

radar

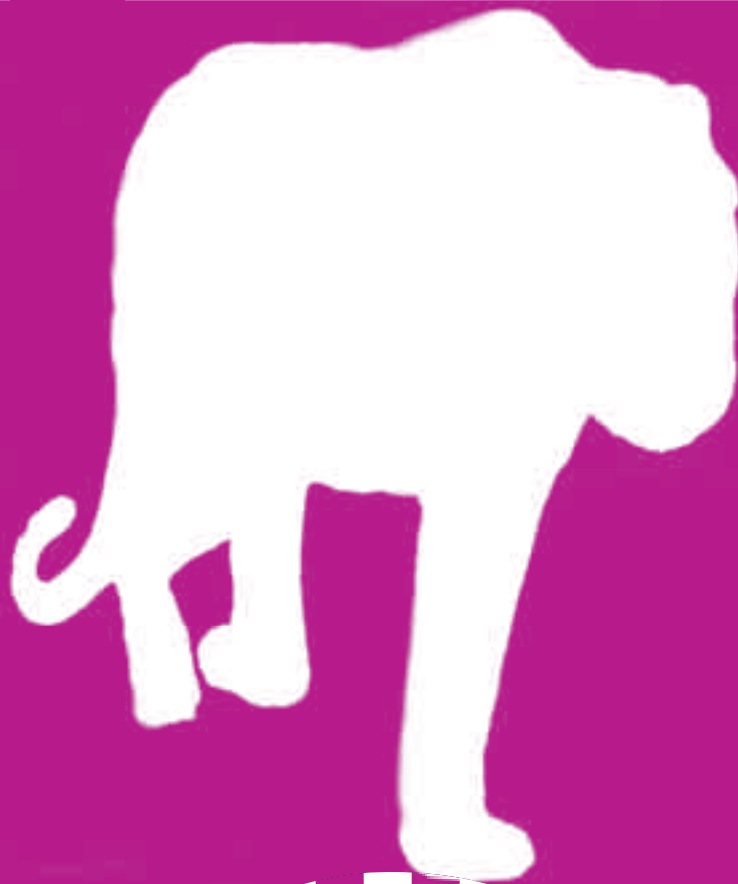
magazyn literacki literaturmagazin літературний журнал

02/2010

listopad

november

листопад



RADAR

magazyn literacki
Kraków 2010, nr 02
e-mail: redakcja.radar@villa.org.pl

REDAKCJA

Renata Serednicka (redaktor naczelna)
Małgorzata Różańska-Braniecka (sekretarz redakcji)
Urszula Pieczek (serwis internetowy)
zespół redakcyjny
Birgit Bauer
Małgorzata Olszewska
Robert Ostaszewski
Ostap Sływynski
Igor Stokfiszewski
Natalka Śniadanko
Andreas Volk
współpracownicy
Iwona Boruszkowska
Alexander Lay

RADAR ONLINE

www.e-radar.pl

PROJEKT GRAFICZNY, ILUSTRACJE, SKŁAD

Dorota Gawryszewska
Anna Jaworska
(Pracownia Grafiki), Warszawa
www.pracowniagrafiki.pl

PROJEKT OKŁADKI

Anna Jaworska

WYDAWCA

Stowarzyszenie Willa Decjusza
ul. 28 Lipca 17a
PL 30-233 Kraków
www.villa.org.pl

DRUK

Drukarnia Leyko
ul. Romanowicza 11
PL 30-702 Kraków
www.leyko.pl

NAKLAD

4.000 egz.

WYDANO Z FINANSOWYM WSPARCIEM

Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej
oraz Allianz Kulturstiftung

ZDJĘCIA

© Katja Hoffmann

RADAR

literaturmagazin
Krakau 2010, Nr. 02
e-mail: redakcja.radar@villa.org.pl

REDAKTION

Renata Serednicka (chefredakteurin)
Małgorzata Różańska-Braniecka (redaktionssekretärin)
Urszula Pieczek (internetseite)
redaktionsmitglieder
Birgit Bauer
Małgorzata Olszewska
Robert Ostaszewski
Ostap Sływynski
Igor Stokfiszewski
Natalka Śniadanko
Andreas Volk
zusammenarbeit
Iwona Boruszkowska
Alexander Lay

RADAR ONLINE

www.e-radar.pl

GRAPHIK, ILLUSTRATIONEN, SATZ

Dorota Gawryszewska
Anna Jaworska
(Pracownia Grafiki), Warschau
www.pracowniagrafiki.pl

UMSCHLAGGESTALTUNG

Anna Jaworska

HERAUSGEBER

Verein Villa Decius
ul. 28 Lipca 17a
PL 30-233 Kraków
www.villa.org.pl

DRUCK

Druckerei Leyko
ul. Romanowicza 11
PL 30-702 Kraków
www.leyko.pl

AUFLAGE

4.000 Exemplare

HERAUSGEGEBEN MIT FINANZIELLER UNTERSTÜTZUNG DER

Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit
und der Allianz Kulturstiftung

FOTOS

© Katja Hoffmann

РАДАР

літературний журнал
Краків 2010, № 02
e-mail: redakcja.radar@villa.org.pl

РЕДАКЦІЯ

Рената Середницька (головний редактор)
Малгожата Ружанська-Бранецька (секретар редакції)
Уршуля Печек (веб-редактор)
редколегія
Біргіт Бауер
Малгожата Ольшевська
Роберт Осташевський
Остас Сливинський
Ігор Стокфішевський
Наталка Сняданко
Андреас Фольк
співпраця
Івона Борушковська
Александр Лей

РАДАР ОНЛАЙН

www.e-radar.pl

ГРАФІЧНИЙ ДИЗАЙН, ІЛЮСТРАЦІЇ, ВЕРСТКА

Дорота Гавришевська
Анна Яворська
(Pracownia Grafiki), Варшава
www.pracowniagrafiki.pl

ПРОЕКТ ОБКЛАДИНКИ

Анна Яворська

ВИДАВЕЦЬ

Асоціація Вілла Деціус
вул. 28 Липня 17а
PL 30-233 Краків
www.villa.org.pl

ДРУК

Друкарня Лейко
вул. Романовича 11
PL 30-702 Краків
www.leyko.pl

НАКЛАД

4 000 примірників

ВИДАНО ЗАВДЯКИ ФІНАНСОВІЙ ПІДТРИМЦІ

Фонду Німецько-Польської Співпраці
та Фондації Allianz

ФОТО

© Катя Гоффманн

Kiedy próbowaliśmy przewieźć pierwszy papierowy numer czasopisma „RADAR/РАДАР” przez granicę polsko-ukraińską, uświadomiono nam, że istnieją pewne ograniczenia wagowe (sic!), reglamentujące liczbę bezpłatnych czasopism literackich per capita, jaką można wwieźć na terytorium Ukrainy. Mianowicie czasopisma te nie powinny ważyć więcej niż pięćdziesiąt kilogramów. Jak widać niektóre rządy bardzo się troszczą, żeby obywatele nie zczytali się na śmierć.

Nie udało nam się przekonwertować rzeczonych pięćdziesięciu kilogramów na konkretną objętość informacji tekstowej i wizualnej, ale na wszelki wypadek przy drugim numerze postanowiliśmy być bardziej lakoniczni, żeby znowu nie było problemów na granicy. Dlatego też numer, który trzymacie w ręce, pozabawiliśmy nawet tytułu, bo przecież taki tytuł musiałby ważyć swoje. Zrezygnowaliśmy również z doboru tekstów wedle z góry wyznaczonego i wspólnego dla wszystkich tematu, choć nie tylko z racji wagowych. Stwierdziliśmy, że po tym, jak w pierwszym numerze usiłowaliśmy przekonać czytelników, że literatury naszych trzech regionów językowych wykazują spore podobieństwo, że łączą je wspólne motywy i nastroje, teraz przyszła pora na próbę wręcz odwrotną: pokazanie ich odmienności, odrębności i samodzielności – czyli tego, co w literaturze najważniejsze.

Larysa Denysenko we fragmencie swojej powieści lawiruje pomiędzy Żydami i Niemcami – od zmarłego do zaginionego dziadka, również śladami dziadka przemierza ulice austriackiego Grazu Oksana Zabużko, bohaterka Katarzyny Sowuli usiłuje uzyskać unieważnienie ślubu kościelnego i sądzi się ze swoim eksem o pół świni, a bohater tekstu Matthiasa Göritza prowadzi superelitarnie seminarium dla adwokatów: uczy ich jak dopasowywać gesty, słowa, mimowolne ruchy głowy, nóg i tułowia do treści wypowiedzi tak, żeby wywrzeć na słuchaczach jak najlepsze wrażenie i nie zdradzić zdenerwowania czy niepewności mówcy. Wszystkie te i pozostałe teksty prozatorskie i poetyckie łączy tylko jedno – świetnie się bawiliśmy, czytając je i tłumacząc, czego i Wam życzymy.



Bei unserem Versuch, die erste gedruckte Nummer von Radar/РАДАР über die polnisch-ukrainische Grenze zu bringen, haben wir erfahren, dass es gewisse Gewichts()beschränkungen hinsichtlich der Menge kostenloser Literaturzeitschriften pro Kopf der Bevölkerung gibt, die in die Ukraine eingeführt werden dürfen. Das Gewicht darf 50 Kilogramm nicht überschreiten.

Manchen Staaten ist offenbar sehr daran gelegen, dass ihre Bürger sich mit dem Lesen nicht übernehmen.

Wir haben es nicht geschafft, dieses Gewicht auf die Menge an textueller und visueller Information umzulegen, uns aber bei der zweiten Nummer auf jeden Fall entschlossen, lakonisch zu sein, damit uns Probleme mit der Überführung der Zeitschrift in die Ukraine erspart bleiben. Daher haben wir bei der Zeitschriftennummer, die Sie jetzt in den Händen halten, sogar auf einen Titel verzichtet, denn der Titel kann bekanntlich die größte Erschwernis sein. Verzichtet haben wir auch auf die Auswahl der Texte gemäß eines vorher vereinbarten und für alle gemeinsamen Themas, wenn auch nicht nur aus Gewichtsgründen. Nachdem wir in der ersten Nummer die Leser überzeugen wollten, dass sich die Literaturen unserer drei Sprachräume ähneln, über viele gemeinsame Themen und Stimmungen verfügen, die die von uns gewählte Konzeption bereitwillig stützen, schien uns nun die Zeit gekommen, das Gegenteil zu zeigen – die Verschiedenartigkeit, Andersartigkeit und Originalität, das, was Literatur ausmacht, also. Larysa Denysenko wandert in dem Ausschnitt ihres neuen Romans zwischen Deutschen und Juden – von ihrem verstorbenen zu ihrem verlorenen Großvater, auf den Spuren ihres Großvaters ist auch Oksana Sabuschko auf den Straßen im österreichischen Graz unterwegs, die Heldin von Katarzyna Sowula versucht, die Erlaubnis der kirchlichen Scheidung zu erhalten, und streitet mit ihrem früheren Ehemann vor Gericht um ein halbes Schwein, der Held im Text von Matthias Göritz führt ein superliterarisches Seminar für Anwälte durch, in dem er ihnen beibringt, ihre Gesten, ihre Stimme, ihre spontanen Kopf-, Bein- und Rumpfbewegungen so an das Gesagte anzupassen, dass ihre Auftritte möglichst überzeugend wirken und keine Erregung oder Unsicherheit des Sprechers verraten.

Das Einzige, was alle diese, aber auch zahlreiche andere Prosa- und Lyriktexte verbindet, ist unserer Meinung nach, dass es interessant und lustig war, die Texte zu lesen und zu übersetzen, und dieses Vergnügen wünschen wir auch Ihnen.



Намагаючись перевезти перше друковане число часопису „RADAR/РАДАР” через польсько-український кордон, ми довідалися, що існують певні вагові () обмеження щодо кількості безкоштовних літературних часописів на душу населення, дозволених для ввезення на територію України. Ця вага не повинна перевищувати п'ятдесяти кілограмів. Як бачимо, деякі держави пильно дбають про те, щоб їхні громадяни не обчиталися.

Нам не вдалося конвертувати цю вагу у кількість текстової та візуальної інформації, але про всяк випадок у другому числі ми вирішили бути лаконічними, аби не мати проблем із перевезенням журналу до України. Тому в числі нашого часопису, яке ви тримаєте в руках, відмовилися навіть від назви, бо ж відомо, що назва може „заважити” найбільше. Відмовилися ми і від добору текстів відповідно до заздалегідь визначеної і спільної для всіх них теми, хоча і не лише з вагових міркувань. Нам здалося, що після того, як у першому числі ми намагалися переконати читачів, що літератури наших трьох мовних просторів подібні між собою, сповнені спільних тем і настроїв, слухняні у підтвердженні обраної нами концепції, настав час продемонструвати протилежне, а саме – їхню відмінність, несхожість, самотність, тобто найважливіше у літературі. Лариса Денисенко блукає в уривку свого нового роману поміж євреями і німцями – від померлого до загиблого діда, також слідами діда пересувається вулицями австрійського Граца й Оксана Забужко, героїня Катажини Совулі намагається отримати дозвіл на церковне розлучення і судиться з колишнім чоловіком за півсвині, а герой тексту Маттіаса Гьорітца проводить суперелітарний семінар для адвокатів, у ході якого вчить їх dopasовувати жести, голос, мимовільні повороти голови, ніг і всього тулуба до сказаного так, щоб промова виглядала якомога переконливішою і не видавала хвилювання чи невпевненості в собі мовця.

Єдиним, що об'єднує всі ці, а також численні інші прозові та поетичні тексти, є, на нашу думку, те, що читати та перекладати їх нам було цікаво і весело, чого і вам бажаємо.

3 PRZYSTAWKI VORSPEISEN ХОЛОДНІ ЗАКУСКИ
{**Marcin Wilk Marcin Wilk Марцін Вільк**} Übers. Heinz Rosenau, переклад: Олександр Ірванець

10 КАТЕРИНА БАБКИНА KATERYNA BAVKINA KATERYNA BAVKINA
Übers. Chrystyna Nazarkewytsch und Anja Utler, tłum. Ksenia Kaniewska

19 CEZARY K. KĘDER CEZARY K. KĘDER ЦЕЗАРИ К. КЕНДЕР
Übers. Bernhard Hartmann, переклад: Христина Стельмах

26 JOANNA LECH JOANNA LECH ЙОАННА ЛЕХ
Übers. Ursula Kiermeier, переклад: Остап Сливинський

32 TOM SCHULZ TOM SCHULZ ТОМ ШУЛЬЦ
tłum. Sława Lisiecka, Agnieszka Gadzała, переклад: Юрко Прохасько, Христина Назаркевич

39 ІРИНА ШУВАЛОВА IRINA SHUVALOVA ІРІНА SZUWAŁOWA
Übers. Chrystyna Nazarkewytsch und Anja Utler, tłum. Ksenia Kaniewska

50 ЮЛІЯ СТАХІВСЬКА JULIA STACHIVSKA JULIA STACIWSKA
Übers. Chrystyna Nazarkewytsch und Anja Utler, tłum. Aneta Kamińska

56 JAN WAGNER JAN WAGNER ЯН ВАГНЕР
tłum. Tomasz Ososiński, переклад: Юрко Прохасько

63 KONRAD WOJTYŁA KONRAD WOJTYŁA КОНРАД ВОЙТИЛА
Übers. Andreas Volk, переклад: Остап Сливинський

70 JANUSZ HEBT DEN ARM JANUSZ PODNOSI RĘKĘ ЯНУШ ПОКАЗУЄ РУКУ
{**Dirk Brauns Dirk Brauns Дірк Браунс**} tłum. Tomasz Dominiak, переклад: Ольга Сидір

82 МОЄ ЖИТТЯ: ВІД ПОМЕРЛОГО ДО ЗАГИБЛОГО ДІДА MEIN LEBEN: VOM VERSTORBENEN ZUM VERLORENEN GROSSVATER МОЄ ЖИЦІЄ: ОД ЗМАРЛЕГО ДО ЗАГІНІОНЕГО ДІАДКА
{**Лариса Денисенко Larysa Denysenko Larysa Denysenko**}
Übers. Alexander Kratochvil, tłum. Małgorzata Buchalik

90 RHETORIKLEHRER FÜR ANWÄLTE NAUCZYCIEL RETORYKI DLA ADWOKATÓW
ШКОЛА РИТОРИКИ ДЛЯ АДВОКАТІВ
{**Matthias Göritz Matthias Göritz Маттіас Гьорітц**} tłum. Tomasz Ososiński, переклад: Наталка Сняданко

104 ZIMNE NÓŻKI EINGELEGTE FÜSSE ХОЛОДЕЦЬ
{**Hubert Klimko-Dobrzaniecki Hubert Klimko-Dobrzaniecki Губерт Клімко-Добжанецький**}
Übers. Heinz Rosenau, переклад: Христина Стельмах

911 K+M+V K+M+V K+M+V
{**Katarzyna Sowula Katarzyna Sowula Катажина Совуля**} Übers. Ulrich Heisse, переклад: Наталка Сняданко

124 Wszak Łakociami Jesteśmy dla Siebie ja Naschereien sind wir uns selbst
БО МИ ОДНЕ ДЛЯ ОДНОГО, ЯК СМАКОЛИКИ
{**Marta Syrwid Marta Syrwid Марта Сирвід**} Übers. Andreas Volk, переклад: Наталка Сняданко

137 TYSIĄC SZMATOCZKIB TAUSEND TEILE TYSIĄC KAWAŁKÓW
{**Галина Ткачук Halyna Tkatschuk Halyna Tkaczuk**} Übers. Maria Weissenböck, tłum. Zofia Bluszcz

145 AU BORD DE LA MER AU BORD DE LA MER AU BORD DE LA MER
{**Salome Wieland Salome Wieland Саломе Віланд**} tłum. Ryszard Wojnakowski, переклад: Христина Назаркевич

156 ПОВЕРНЕННЯ ДО ГРАЦА RÜCKKEHR NACH GRAZ POWRÓT DO GRAZU
{**Oksana Zabuzko Оксана Забужко Oksana Sabuschko**} Übers. Alexander Kratochvil., tłum. Katarzyna Kotyńska

Marcin Wilk Marcin Wilk Марцін Вільк

PRZYSTAWKI VORSPEISEN ХОЛОДНІ ЗАКУСКИ

I
Słuchaj, jest taka sprawa. Krzysztof Ibisz, lat 45 (ale patrząc na fotki, w życiu byś nie pomyślał!), rozpoczyna swój dzień od jajecznicy z pięciu białek i jednego żółtka. Lub z jednej paczki jajek przepiórczych. Są one bowiem o wiele zdrowsze od kurzych, nie mają cholesterolu i nie uczulają. Do tego dochodzi sałatka z pomidorów z odrobiną oliwy z oliwek i grzanki z pełnoziarnistego pieczywa. Jeszcze łyk ożywczonego espresso przed wyjściem z domu i już jest gwarancja udanego dnia. Dosłownie. A potem? Potem Krzysztof Ibisz lotów nie obniża. Ogólna zasada głosi, by jeść posiłek, zanim dopadnie człowieka wilczy głód. Dobrze jest zatem nosić przy sobie: jakąś zgrzebną skrzynkę podzieloną na kilka przegródek próżniowych, gdzie znajdują się przygotowane wcześniej potrawy. Tak, by można było o dowolnej porze i w dowolnych warunkach (na przykład w korku na ulicach wielkiego miasta, gdzie robisz, proszę ja ciebie, właśnie karierę) coś przegryźć. Jakieś węglowodany (ryż, kasza lub makaron – ale najlepiej razowy), jakieś białka (gotowana pierś z kurczaka bądź indyka, ulubiony gatunek ryby – zapomnij o swoim wegetarianizmie!) i sałatka z sałaty lodowej. Na przykład z pomidorkami koktajlowymi i selerem naciowym. Serialnie. Niczego nie zmyśliłem. Wszystko ze strony www.ibisz.pl, zakładka „Mój styl życia”. Prawie ci cytuję. Zero fabularnej ściemy, same fakty. Mówię ci. Krzysztof Ibisz, lat 45, gwiazda polskiej telewizji i nie tylko. Żadna tam postać z książki. 100 procent authentic.

II
Byłeś kiedyś gwiazdą? Niekoniecznie telewizji. Księgarską gwiazdą, dajmy na to. Taką, która sprzedaje, no, proszę ja ciebie, jakieś 500 tys. książek. Bestsellerów, znaczący się. Prawie za jednym zamachem. Potem robią z tego serial, a ty budujesz dom, jeździsz po świecie i generalnie to o ciebie zabiegają, a nie ty o nich. Albo cokolwiek. Taki względny kilkumiesięczny luz. Takie kokosy. Zdarzyło się więc ci coś takiego? Małgorzacie Kalicińskiej, lat... (nieważne, i tak byś nie uwierzył) się chyba zdarzyło. „Dom nad rozlewiskiem”, „Powroty nad rozlewiskiem”, „Miłość nad rozlewiskiem”.

Spotkałeś się z tymi tytułami? Czytałeś? Czytałeś?! Ojeju! I co? I jak? Dobra, nieważne. Chodzi mi o to, że tam, to znaczy w tych książkach, dużo przepisów jest. No takich na dania rozmaite, rozumiesz. Wiosna, lato, jesień, zima. Dla każdego coś dobrego. Całe spektrum. No weź na przykład gołąbki ziemniaczane Karolakowej. Najpierw trzesz ziemniaki na tarce, dodajesz potem gotowanych (ziemniaków, znaczy się, mogą być z poprzedniego dnia), trochu soli, pieprzu. Wbijasz jajko, majeranku odrobinę, czosnku, zeszkłonej cebulki (nie umiesz? nie mnóż problemów!), skraweczki ze słoniny lub boczku (nie nudź ze swoim wegetarianizmem!). Potem bierzesz kapustę, najlepiej włoską, zdejmujesz liście, głowę z wydrążonym głąbem trzymasz we wrzątku. Następnie kładziesz liść na deseczce, ścinasz nadmiar łyka z liścia (zawsze trochę jest tam tego badziewia), nakładasz farsz i jedziesz. Boki do środka, resztę zawijasz, rolujesz. Potem siup, układasz ciasno na dnie rynienki wysmarowanej tłuszczem i obłożonej plasterkami słoninki i boczku (dajże spokój z tym wegetarianizmem!), zalewasz wodą i stawiasz na wolnym ogniu. Kostka magii wskazana. Podajesz następnie z ciemnym, cebulowym sosem lub pomidorowym. Pyszne? A widzisz! A jak dołożysz do tego pikantną zmianę w życiu, seks bez ograniczeń oraz fajnych ziomków, to smakuje jeszcze lepiej, jak „Dom nad rozlewiskiem”. Kilkaset tysięcy sprzedanych egzemplarzy. Bez bajery.

III
Nie, nie, to wcale nie jest polski fenomen z tym jedzeniem. Żebyś sobie nie myślał. Bym ci sypnął przykładami z rękawa. Ferenc Mate, Marlena de Blasi, o „Jedz, módl się, kochaj” nie wspominając. Owszem, u Dana Browna nie jedli tak dużo, ale Dan Brown jest passe i mało już kogo kręci, więc o co kaman? Teoretycznie wydawcy więc teraz (no, powiedzmy jeszcze z jakiś rok, dwa) nie powinni mieć problemu. Książka mówi o cudownej zmianie w życiu i nawróceniu? Bierzemy. Książka opowiada o przenosinach z jednego kontynentu na drugi? Proszę podsyłać natychmiast rękopis. Jest mnóstwo przepisów? Jeszcze w tym miesiącu robimy

redakcję i inwestujemy grube euro w promocję. Oto masz prosty przepis na bestseller: weź nudne życie zarobasa po czterdziestce albo pięćdziesiątce, człowieka o niskim umocowaniu w tradycyjnym porządku społecznym (kobieta lub gej najlepsi, choć ten drugi ciągle ciężko się sprawdza w mainstreamie; o lesbijce już nie wspominając, bo z tą w ogóle są problemy – zresztą nie wiadomo, kiedy lesbijka jest lesbijką a kiedy heteroseksualną fantazją), zwolnij go z roboty (świetnie płatnej roboty, korporacji najlepiej), przenieś na drugi kontynent (lub co najmniej do innego kraju z inną kulturą) i patrz jak se bidulek/bidulka radzi. Znajdując na końcu spokój, szczęście i harmonię oczywiście. Gites, co?

IV
Dobra, weźmy, dajmy na to taką fabułę. Pociąg (znaczy się: kolejowy pociąg) jako metafora. Jeździsz po świecie, zwiedzasz, doświadczasz. Jacyś bohaterowie typu popaprańcy emocjonalni i życiowi. Rzekłbyś: wykojeńcy. Trochę stereotypowi ale nie do końca. Zderzają się (zwłaszcza, gdy mają czerwone światło) z innymi, których nie rozumieją, ale wobec których zostali postawieni i nie wiedzą, co dalej zrobić. Perypetie luźne, przestrzeń dowolna (wschodnie Niemcy, południowo-wschodnia Polska, środkowa Ukraina – wybierz sam, albo nie wybieraj – wszystko na raz), postaci wyraziste, ale nie przywiązujesz się do nich. Dziś są, jutro ich nie ma. Życie. Oczywiście sobie nie radzą, ale tak pięknie o tym autor pisze, że szok. Czy raczej: palce LIZAĆ. Albo co innego. Taka książka z prowincji. Albo osiedla postsowieckiego. Albo pogranicza. Ukraińsko-polskiego albo niemiecko-czeskiego. Ale nie że ktoś rzucił robotę w korporacji i teraz zmienia się w kogoś innego, kim nie był, a kim zawsze być chciał. Nie, nie. Mieszkał tam, na tej prowincji, od dziada-pradziada. Kocha ją, a nawet jeśli nie, to jej broni. Korzenie ma, dajmy na to, galicyjskie. Przeszłość czuje się w jakichś okrucinach, którymi się pojedynczo nie najesz, ale jak zbierzesz je – okrucuch po okrucuchu – to z tego wychodzi całkiem znośne danie. Zwłaszcza, gdy w wielkim złożonym słowem i wyobrażeniem półmisku podane. Zresztą półmisk nie musi być złożony. Złoto to bull shit. Chyba, że nie. Trudno ROZGRYŻĆ.

Albo bardzo dużo alkoholu. Patologicznie dużo. Wyborowa, pieprzowa, tequila, piwo, prosta chłopska sliwowica, palinka, wiśniówka, cytrynówka, bimber. Jakieś fajki. Jakieś zioło. Coś białego (o ile pozwalają fundusze na to). I leci z czymkolwiek. Wypatruje kobiet, byle z biustami oraz nogami aż po szyję (po wiśniówce dużo takich się kręci po placu), podsypia w dziwnych miejscach, jacyś kumple (różni oni są, ale są i trzyma z nimi), rodzina,

za którą tęskni albo o której marzy. Oraz balansowanie na granicy życia i śmierci. Dosłownie albo w alkoholizowanej wyobraźni. I jak zwykle SMAKOWITE opisy. Wypas.

V
Bo, proszę ja ciebie, różnie z tym bywa. Co ci będę zresztą dużo mówić. Są rzeczy lekkostrawne i są takie, co zamulają. I na odwrót. Zależy, co spożywasz na co dzień. To znaczy, jaką literaturą się żywisz na co dzień. Jaką, że się tak wyrażę, strawę duchową przyjmujesz. Są na przykład takie fabuły, które miętolisz godzinami, a potem dniami, tygodniami, czasem miesiącami. Przywierasz się do nich długo albo masz jakąś potrzebę, może udowodnienia czegoś komuś?, że to się nadaje do strawienia. Podchodzisz, cofa cię po jednym zdaniu albo i nie. Ale czujesz, że przez twoje wąskie gardło ten ledwie mały kęs nie przejdzie. Mimo to wypychasz go, na siłę trochę, tłumacząc sobie w myśl psychologicznej zasady, że ciałem rządzi psychika, więc dasz radę. I przekonujesz się, że warto, że się opłaca – z takich to, a takich powodów. Jeśli to rzecz, która smakuje twoim idiomom, raczej powstrzymasz się przed przyznaniem się do niestrawności. Jeśli im nie smakuje – puścisz pawia, aż się zazielenisz. A literackie chipsy? Takie, rozumiesz, co chrupiesz i chrupiesz, mimo świadomości ich złego wpływu na twoje całościowo ujmowalne zdrowie. Ale jesz je, popijając czym popadnie. Wcinasz je, aż ci się uszy trzęsą. W autobusach trzymasz paczki z tym przysmakiem, uprawiając często jakimś kawałkiem innego papieru, który nie zdradzi twojej niecnej zachcianki. Zupełnie jak, o ile nie zapomnisz tego zrobić, piwo trzymane w papierowej torebce na krakowskim Kazimierzu, przy Placu Żydowskim, żeby nie dostać mandatu (100 zł czyli, przyjacielu, jakieś 25 euro). Na czym polega fenomen tych przekąsek? Chodzi o specyficzne substancje chemiczne ukrywane w potrawce? Ale jak to się ma do literatury? Chodzi o zdania, frazy, pomysły, fabuły, bohaterów, obrazy?

VI
Poza tym! Boże złoty! Jak ty się czasem męczyć lubisz! Wyluzuj, chłopie. Się ogarnij. Weź głęboki oddech, zażyj trochę powietrza. Przystań się oglądać na innych. Relaksik. Święty Benedykt mówił, że nie ważny jest trud, ważny jest cel, a raczej skuteczne jego osiągnięcie. Zresztą. Najważniejsze, jak mówią, to nie dać ciała. Czy raczej, mówiąc ściśle, dupy. Poza tym jedź do woli. I na zdrowie.

rufen keine Allergien hervor. Dazu getoastetes Vollkornbrot und einen Tomatensalat mit einem Hauch Olivenöl. Zum Abschluss noch einen belebenden Espresso und der Tag kann beginnen. Wortwörtlich. Und später? Krzysztof Ibisz bleibt den ganzen Tag am Ball. Die Grundregel lautet: Iss etwas, bevor dich der

Heißhunger packt. Am besten, man hat immer eine handelsübliche Frischhaltedose mit Fächern dabei, in der sich ein paar vorbereitete Mahlzeiten befinden. Sodass man zu jeder Zeit und in jeder Situation (zum Beispiel im stockenden Verkehr der Großstadt, in der du – na, du weißt schon – gerade Karriere machst) einen Happen zu dir nehmen kann. Ein paar Kohlenhydrate (Reis, Buchweizengrütze oder Nudeln, aber aus Vollkorn), Proteine (gedämpfte Hühner- oder Putenbrust, deine Lieblingsfischsorte – vergiss, dass du Vegetarier bist!) und einen Eisbergsalat. Zum Beispiel mit Cocktailtomaten und Staudensellerie. Ungelogen. Stammt nicht von mir. Nachzulesen auf der Seite www.ibisz.pl unter "Mein Lebensstil". Fast wortwörtlich. Kein fiktiver Bullshit, nur die Fakten. Ehrlich. Krzysztof Ibisz, 45, polnischer Fernsehstar und nicht nur das. Keine Figur aus Büchern. Ein hundertprozentiger Authentiker.

II
Warst du schon mal ein Star? Nicht unbedingt ein Fernsehstar. Sagen wir mal, ein Literaturstar. Einer, der – na, du weißt schon – so um die 500 000 Bücher verkauft. Bestseller, versteht sich. Fast alle auf einen Schlag. Hinterher machen sie eine Fernsehserie draus, und du baust dir ein Haus, reist um die Welt und generell laufen dir die anderen hinterher, und nicht du den anderen. Oder was auch immer. Es ein paar Monate ruhig angehen lassen. So mit allem Komfort. Hast du so was schon mal erlebt? Małgorzata Kalicińska (ihr Alter tut nichts zur Sache, du würdest es mir doch nicht glauben ...) hat es anscheinend erlebt. „Haus an der Aue“, „Rückkehr an die Aue“, „Liebe an der Aue“. Du kennst diese Titel? Du hast sie gelesen? Echt? Oh Gott! Und? Wie war's? Na, egal. Ich meine nur, weil da so viele Rezepte drin sind. So für verschiedene Gerichte, du weißt schon. Frühling, Sommer, Herbst und Winter. Für jeden etwas. Das ganze Spektrum. Zum Beispiel Kohlrouladen mit Kartoffelpüree nach Art von Frau Karolakowa. Zuerst reibst du rohe Kartoffeln, dann gibst du drei gekochte hinzu (Kartoffeln, versteht sich, es können auch welche vom Vortag sein) und etwas Salz und Pfeffer. Dann ein Ei, ein wenig Majoran, Knoblauch, glasig gedünstete Zwiebeln (du weißt nicht, wie das geht? Nun mach es nicht noch komplizierter!), klein geschnittenen Speck (und erzähl mir nicht schon wieder, du seist Vegetarier!). Anschließend nimmst du den Kohl, am besten Wirsing, entfernst die äußeren Blätter und den Strunk und gibst ihn in kochendes Wasser. Dann legst du die Blätter auf ein Brett, schneidest die harten Teile raus (ein bisschen von dem Zeugs ist immer mit dran), legst die Füllung drauf und los geht's. Die Blätter seitlich einschlagen und dann aufrollen. Und dann, schwupp, legst du die Kohlrouladen dicht an dicht in eine mit Fett ausgestrichene und mit Speckscheiben ausgelegte Auflaufform (ich will jetzt nichts mehr davon hören, du seist Vegetarier!), gießt alles mit Wasser auf und lässt es auf kleiner Flamme garen. Ein Maggiwürfel kann nicht schaden. Dazu reichst du eine dunkle Zwiebelsoße oder eine Tomatensoße. Lecker? Na, siehst du! Und wenn du dann noch eine pikante Wende im Leben, hemmungslosen Sex und ein paar liebenswerte Landsleute dazugibst, dann schmeckt es noch besser, genau wie "Haus an der Aue".

Hunderttausende verkaufter Exemplare. Kein Scheiß.

III
Aber nicht, dass du jetzt denkst, das mit dem Essen sei ein polnisches Phänomen. Oh nein. Ich könnte die Beispiele nur so aus dem Ärmel schütteln. Ferenc Mate, Marlena de Blasi, ganz zu schweigen von "Eat, Pray, Love". Okay, bei Dan Brown wird nicht so viel gegessen, aber Dan Brown reißt eh niemanden mehr vom Hocker, also wen kehrt's? Theoretisch sollten die Verlage also im Augenblick (sagen wir mal, die nächsten ein, zwei Jahre) überhaupt keine Schwierigkeiten haben: Ihr Buch erzählt von einer wundersamen Wende im Leben des Helden? Nehmen wir. Es handelt von einer Reise auf einen anderen Kontinent? Nehmen wir. Bitte schicken Sie uns sofort das Manuskript. Gibt es auch genügend Rezepte? Wir machen noch diesen Monat die Korrekturen und stecken richtig Geld in die Promotion. Hier hast du ein einfaches Rezept für einen Bestseller: nimm irgendeinen langweiligen Geldsack, so um die vierzig oder fünfzig, einen, der ein wenig außerhalb der traditionellen Gesellschaftsordnung steht (am besten eine Frau oder einen Schwulen, obwohl sich Letzterer im Mainstream immer noch schwer tut, von Lesben gar nicht zu reden, mit denen gibt es generell Probleme – außerdem weiß man nie, wann eine Lesbe wirklich eine Lesbe ist und wann nur eine heterosexuelle Fantasie), lass ihn seinen Job verlieren (am besten einen richtig gut bezahlten in einer großen Firma) schick ihn auf einen anderen Kontinent (oder wenigstens in ein anderes Land mit einer anderen Kultur) und sieh zu, wie die arme Sau dort zurechtkommt – und am Ende natürlich zu innerer Ruhe, Glück und Harmonie findet. Krass, oder?

IV
Oder wie wär's mit der folgenden Geschichte: Ein Zug (soll heißen ein Eisenbahnzug) als Metapher. Du fährst durch die Welt, besichtigst, machst Erfahrungen. Irgendwelche Protagonisten vom Typ Loser, emotional und überhaupt. Sprich: Aus der Bahn Geworfene. Etwas stereotyp, aber doch nicht ganz. Die Figuren prallen aufeinander (vor allem wenn sie Rot sehen), verstehen einander nicht, aber das Schicksal hat sie nun mal zusammengeführt, und jetzt wissen sie nicht, was sie tun sollen. Die Handlung ist lose, der Ort beliebig (der Osten Deutschlands, der Südosten Polens oder die mittlere Ukraine – such dir einen aus oder nimm einfach alle auf einmal), die Figuren sind lebendig, aber sie wachsen dir nicht ans Herz. Heute sind sie da und morgen weg. So ist das Leben. Selbstverständlich scheitern sie alle am Ende, aber der Autor beschreibt das so schön, dass es jeden umhaut. Zum FINGERSCHLECKEN. Oder noch anders: So eine Geschichte über die Provinz. Oder über eine postsowjetische Wohnblocksiedlung. Oder über eine Grenzregion. Zwischen Polen und der Ukraine oder zwischen Deutschland und Tschechien. Aber jetzt nicht, wo jemand seinen Job in einer großen Firma hinschmeißt und sich in jemand anderen verwandelt, der er nicht war, aber der er immer sein wollte. Oh nein. Er lebt schon in der dritten Generation in dieser Provinz. Er liebt sie, und selbst wenn er sie nicht liebt, so verteidigt er sie doch. Er stammt aus, sagen wir mal,



I
Hör mal, ich muss dir was erzählen. Krzysztof Ibisz, 45 (aber wenn du ihn auf Fotos siehst, denkst du, dass kann nicht sein!), startet in den Tag mit einem Rührei aus fünf Eiweiß und einem Eigelb. Oder einem aus einer Packung Wachteleier. Die sind nämlich viel gesünder als Hühnereier, haben kein Cholesterin und

Galizien. Die Vergangenheit offenbart sich in kleinen Krümeln, von denen du einzeln nicht satt wirst, aber wenn du sie zusammenträgst – Krümel um Krümel – ergeben sie eine ganz passable Mahlzeit. Vor allem wenn sie auf dem großen, vergoldeten Teller des Wortes und der Fantasie angerichtet sind. Vergoldet muss der Teller übrigens gar nicht sein. Gold ist Bullshit. Oder auch nicht. Schwer zu KNACKEN.

Oder ganz viel Alkohol. Pathologisch viel Alkohol. Wodka, Tequila, Bier, Sliwowitz, Pálinka, Kirschlikör, Zitronenlikör und Selbstgebrannter. Ein paar Kippen. Etwas Gras. Ein wenig Schnee (wenn es das Budget erlaubt). Er nimmt, was er kriegt. Tagsüber sitzt er irgendwo rum und guckt sich Frauen an, Hauptsache, sie haben Brüste und Beine bis zum Hals (nach genügend Kirschlikör laufen ganz viele von denen durch die Gegend), er übernachtet an seltsamen Orten, hat ein paar Kumpel (nicht alle ganz koscher, aber eben Kumpel, und er hält zu ihnen) und eine Familie, nach der er sich sehnt oder von der er träumt. Ein Balanceakt zwischen Leben und Tod. Wortwörtlich oder lediglich in seiner alkoholumnebelten Fantasie. Und natürlich KÖSTLICHE Beschreibungen. Echt fett.

V
Es gibt eben – na, du weißt schon – solche und solche. Was soll ich dir groß erzählen? Es gibt Sachen, die sind leicht verdaulich, und andere, die liegen schwer im Magen. Und umgekehrt. Kommt drauf an, was du so normalerweise konsumierst. Soll heißen, mit was für einer Literatur du dich im Allgemeinen ernährst. Welche, lass es mich mal so sagen, geistige Nahrung du zu dir nimmst. Zum Beispiel gibt es Geschichten, die du stundenlang, tagelang, wochenlang, manchmal monatelang mit dir herumschleppst. Du schiebst sie ewig vor dir her oder vielleicht willst du unbedingt jemandem beweisen, dass sie verdaubar sind. Du näherst dich ihnen und schreckst nach dem ersten Satz zurück, oder auch nicht, aber du spürst, dass deine Kehle zu dünn ist, um selbst diesen kleinen Happen herunterzubekommen. Und trotzdem



I
Слухай-но, тут така справа. Кшиштоф Ібіш, 45 років (хоча дивлячись на фотки, ніколи не подумаєш!) розпочинає день яечнею з п'яти білків та одного жовтка. Себто з одного малого лотка дієтичних перепелиних яєць. Вони буцімто набагато корисніші за курячі, не містять холестерину й не викликають звикання. На додачу буде ще салат із помідорів із краплею оливкової олії та грінки з висівкового хліба. Потім іще ковток збадьорювального еспресо перед виходом із дому – і вдалий день гарантовано. Безсумнівно.

А потім? Потім Кшиштоф Ібіш рівня не опускає. Загальновідоме правило – слід з'їсти сніданок раніше, ніж тебе опанує вовчий голод. А потім добре мати при собі такий собі зграбний невеличкий контейнер на кілька відділів, де дбайливо розкладені заздалегідь приготовані наїдки. Так, щоб можна було в будь-який

stopfst du ihn dir rein, ein bisschen mit Gewalt, und erklärst dir selbst streng psychologisch, dass der Körper dem Geist folgt, also wirst du es schon schaffen. Und du redest dir ein, dass es sich lohnt – aus diesen oder jenen Gründen. Und wenn es etwas ist, das den Menschen, die du bewunderst, geschmeckt hat, dann lässt du dir deine gestörte Verdauung lieber nicht anmerken. Und wenn sie es nicht mochten, kotzt du dir die Lunge aus dem Hals. Oder literarische Chips? Also das Zeug, das du einfach so wegknabberst, obwohl du weißt, dass es einen schlechten Einfluss auf deine ganzheitlich aufzufassende Gesundheit hat. Aber du isst es doch, und trinkst dazu, was gerade da ist. Du futterst, bis es dir zu den Ohren rauskommt. Sogar im Bus hast du immer welche dabei, wickelst sie aber oft in irgendein anderes Papier, um deine niederen Gelüste zu verbergen. Genauso wie du, wenn du im Krakauer Stadtteil Kazimierz, in der Nähe des “Plac Żydowski”, unterwegs bist, dein Bier in eine Papiertüte steckst, um kein Bußgeld zu bezahlen (100 Złoty, Alter, um die 25 Euro). Was macht das Phänomen dieser Snacks aus? Sind es die versteckten chemischen Zutaten? Und wie verhält es sich im Fall der Literatur? Sind es bestimmte Sätze, Phrasen, Gedanken, Geschichten, Helden oder Bilder?

VI
Außerdem! Herrgott noch mal! Mach es dir nicht immer so schwer! Komm mal runter, Mann. Geh in dich. Atme tief durch. Guck nicht immer, was die anderen machen. Und vor allem locker bleiben. Schon der heilige Benedikt hat gesagt, dass nicht die Anstrengung zählt, sondern das Ziel, oder, besser gesagt, das glückliche Erreichen desselben. Übrigens. Die Hauptsache ist, wie man so sagt, du machst dich nicht zum Horst. Oder, was noch schlimmer wäre, zum Arsch. Ansonsten iss, soviel du willst. Wohl bekomm's.

[Übersetzung: Heinz Rosenau]



час і в будь-яких умовах (наприклад, у дорожньому корку на вулицях великого міста, в якому ти й робиш, коли не забув, свою кар'єру) щось перехопити. Якись вуглеводи (рис, каша, макарони, та найкраще все ж органік), якись білки (варена куряча грудина, або індича, улюблений ґатунок риби – забудь нарешті про своє вегетаріанство!) і салатик «Айсберг» з помідорами чері й листям селери.

Все насправді. Нічого не вигадано. Усе взято зі сторінки www.ibisz.pl, рубрика «Мій стиль життя». Цитується майже дослівно. Жодних художніх прикрас, лише голі факти. Кажу ж вам.

Кшиштоф Ібіш, 45 років, зірка польського телебачення і не тільки. Зовсім не вигадана, реальна постать. 100 відсотків автентики.

II
Чи ти коли був зіркою? Не обов'язково телевізійною. Бодай же літературною зіркою. Такою, котра легко продає, ну, наприклад, якихось 500 тисяч примірників книжки. Себто бестселера. Практично за одним махом. Потім на його підставі знімають серіал, а ти собі будуєш гарний дім, їздиш світом, і загалом всі перед тобою запобігають, а не ти перед ними. Або щось такого типу. Такий милий кількамісячний розслабон. У затінку пальм. Траплялося з тобою щось подібне?

Із Малгожатою Каліціньською, ... років (а, несуттєво, все одно не повірив би), таке, здається, трапилось. «Дім над повноводдям», «Повернення над повноводдям», «Любов над повноводдям». Ти зустрічав ці назви? Читав? Читав?! Ой-ой-ой! І що? І як?

Добре, проїхали. Йдеться про те, що там, себто у тих книжках, трапляється багато рецептів. Ну, таких, рецептів усіляких різних страв, розумієш. Весна, літо, осінь, зима. Кожному по пирожному.

Візьмімо, наприклад, ті голубці з картоплею від пані Кароляк. Спершу треш кілька сирих картоплин на тертці, потім додаєш до натертої маси вареної картоплі (не чогось іще, може бути вчорашня), трохи солі, трохи перцю. Вбиваєш туди яйце, додаєш трохи майорану, часнику, ледь присмаженої цибулі (не вмієш? не помножуй проблем!), тонко нарізаного бочка чи бекону (не діставай своїм вегетаріанством!). Потім береш капусту, найкраще савойську, знімаєш верхні листки, тоді цілу голівку з вирізаним качаном опускаєш в окріп. Після того розгортаєш лист, кладеш його на дощці й зішкрібаєш потовщення (завжди там буде трохи того непотребу), накладаєш посередині фарш і починаєш. Край всередину, решту загортаєш і скручуєш. Потім – раз, і вкладаєш тісненько, щільненько на дні чавунця, попередньо змащеного жиром та обкладеного тонкими скибками тих самих бочка і бекону (ну заткнися ти про те своє вегетаріанство!), заливаєш водою і ставиш на маленький вогонь. Бульйонний кубик буде дуже доречним. Потім це все подається з темним цибулевим соусом, можна з додатком томатів.

Добре? А бачиш! Коли ж іще додати до цього кілька пікантних змін у житті, сексу без обмежень і гарних дружбанів, то смакує іще краще, як ото «Дім над повноводдям». Кількасот тисяч примірників уже розпродано. Без гонива.

III
Ні, ні, це зовсім не специфічно польський феномен із тими наїдками. Юлія Висоцька, Даша Малахова, програму «Смак» не згадуємо. Взагалі-то у Дена Брауна не їли так щоб дуже багато, та той Ден Браун вже вийшов з моди й до нього нікому немає справи, тож про що базар?

Теоретично видавці зараз (ну, скажімо, ще якийсь рік чи два) не повинні мати проблем. Книжка розповідає про чарівні зміни й перетворення у житті? Беремо.

Книжка розкаже про переселення з одного континенту на інший? Негайно надсилайте ваш рукопис! Містить багато рецептів? Ще цього місяця редагуємо, видаємо і вкладаємо купу євро у розкрутку.

Ось тобі простенький рецепт бестселера: взяти нудне життя заробляйка років так за сорок, чи й за п'ятдесят, людини з найнижчих щаблів суспільної драбинки (жінка чи гей тут найкращі, хоча того, другого надалі погано сприймають у мейнстрімі; про лесбійку не згадуємо, бо з нею взагалі купа проблем – зрештою, ніколи не відомо, чи вона в ту мить є лесбійкою, а чи просто гетеросексуальною фантазеркою), звільнити героя/героїню з роботи (чудово оплачуваної роботи, найкраще – у великій корпорації), перекинути на інший континент (чи, як мінімум, в іншу країну з відмінною культурою), й дивитись, як собі там він/вона, бідачка, раду дає. Щоб у кінці знайти щастя, спокій і душевну гармонію.

Кльово, правда ж?

IV
Добре, наприклад, візьмімо таку ось фабулу. Поїзд (ну, в значенні залізничний потяг) як метафора. Їздиш собі світом, розуму набираєшся, спостерігаєш. Виникають якісь персонажі, типу лузерів, емоційних і життєвих. Інакше кажучи: чувачки, що злетіли з катушок. Дещо стереотипні, але не до кінця. Стикаються (особливо, як бачать перед собою червоне світло) з іншими, яких не розуміють, ніс до носа, пика в пику, ні фіга не тямлять, лише тупо втикають і не знають, що далі робити. Перипетії заплутані, простір довільний (східна Німеччина, південно-східна Польща, центральна Україна – вибери сам або не вибирай – візьми усе одразу), характери виразні, але до них не прив'язуєшся. Сьогодні вони є тут, завтра їх нема. Таке життя. Всі без винятку невдахи, але автор так гарно це описує, що аж жах. Чи точніш – пальчики ОБЛИЖЕШ.

Або інше. Така собі книжка з провінції. Чи з пострадянського мікрорайону. Чи з прикордонної місцинки, українсько-польської або німецько-чеської. Але не про те, як хтось кинув роботу в потужній корпорації і тепер поступово перетворюється на когось іншого, ким ніколи не був, але ким завжди хотів бути. Ні-ні. Герой жив там, у тій провінції з діда-прадіда. Любить її, а навіть якщо не любить, то бодай захищає. Походження в героя, ну, скажімо, галицьке. Минуле показано якимись фрагментами, крихтами, котрими урозсип не наїсися, але коли їх зібрати – крихта по крихті, з того виходить цілком ситна порція. Особливо, якщо її подано у великому, словом та уявою позолоченому полумиску. Та й полумисок, якщо чесно, не мусить бути позолочений. Золото – це булшіт. Чи, може, й ні. Тут одразу не вкуриш.

Або дуже багато алкоголю. Патологічно багато. Виборова, перцівка, текіла, пиво, проста сільська сливовиця, паленка, вишнівка, лимонна, самогон. Якесь куриво. Якись порошки. Щось біле, дрібно змелене (наскільки дозволяють кошти). І тиняється



герой безцільно вулицями. Видивляється жінок, щоб із бюстами пишними і з ногами від шиї (після вишнівки чимало таких з'являється на площах), спить де попало, дружбани якісь (вони різні, та вони є, і він за них тримається), родина, за якою тужить, або про яку лише мріє. Також наявне балансування на межі життя і смерті. Насправді чи у розбурханій алкоголем уяві. І як завжди, СМАЧНЮЧІ описи.

Круто.

V

Бо, скажу я тобі, по різному трапляється. Та що я тобі розповідатиму. Є речі, які легко засвоюються, а є й такі, котрі зашлаковують організм. Залежить, що ти споживаєш, пускаєш у себе. Тобто якою літературою наповнюєшся. Яку, так би мовити, страву духовну приймаєш.

Бо є такі, наприклад, сюжети, котрі розжовуєш, кутуляєш цілими годинами, а потім днями, тижнями, часом місяцями. Приміряєшся до них довго, чи маєш якусь у тому потребу, чи щось кому довести хочеш? Що воно таки стравне, істівне. Підходиш ближче, тебе пересмикує від першого речення, або й ні. Але відчуваєш, як крізь твоє спазматично звужене горло той маленький шматочок не проходить. Та все ж ти надзусиллям пропихаєш його, через не можу, переконуючи самого себе такими невідпорними аргументами, що тілом керує психіка, тож якось воно буде. Потім переконуєшся, що таки було варто, що це вигідно й потрібно – з тієї або іншої причини. Якщо це річ, котра до смаку твоїм ідолам, тоді ти найшвидше утримаєшся від визнання її неістивною. Якщо ж їм вона не смакує, тоді й ти стругонеш, аж позеленієш.

А літературні чіпси? Такі ото, знаєш, що їх собі хрупаєш і хрупаєш, поза усвідомленням їхнього шкідливого впливу на твоє загалом уже досить-таки підірване здоров'я. Але ти собі їси, смакуєш, запиваючи всякою всячиною. Запихаєшся, аж за вухами лящить. В автобусах тримаєш пакетики з тим наїдком, часто звернувши іще обгортаючи їх якимось шматком іншого паперу, щоб не виявити своєї шкідливої пристрасті. Точнісінько так, як (коли не забудеш цього зробити) пиво, сховане в паперовий пакетик на Казімежі в Кракові, на Жидівській площі, щоб уникнути покарання у вигляді штрафу (в сумі 100 злотих, себто, друже, якихось 25 євро). У чому ж суть феномену такої швидкої їжі? Чи справа у наявності спеціальних хімічних субстанцій, що входять до її складу? Але який стосунок усе це має до літератури? Адже тут уже йдеться про речення, фрази, задуми, сюжети, персонажів, образи?

VI

А поза тим! Боже коханий! Як ти часом помучити любиш! Розслабся, чоловіче! Зберись, згрупуйся. Вдихни якнайглибше, впусти повітря у легені. Перестань озиратись на інших. Попустися. Святий Бенедикт казав, що не праця важлива, а важлива мета. Точніше – успішне її досягнення.

Зрештою...

Найважливіше, як то кажуть, не здаватися. Не піддаватися. Коротше кажучи – не підставлятися.

А так то їж собі, скільки влізе. На здоров'я.

[Переклад: Олександр Ірванець]

Marcin Wilk (1978, Polska) – dziennikarz, publicysta, krytyk, konsultant i koordynator programów literackich (m.in. konsultant projektu DAGNY w Stowarzyszeniu Willa Decjusza). Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. Publikował na łamach m.in. „Polityki”, „Tygodnika Powszechnego”, „Czasu Kultury”, „ha!artu”, „Pograniczy”, „Dekady Literackiej”. Prowadzi kolumnę książkową w „Dzienniku Polskim”. Autor bloga <http://martinwoolf.blogspot.com>

Marcin Wilk (1978, Polen) – Journalist, Publizist, Kritiker, Konsultant und Koordinator von Literaturprogrammen (u. a. Konsultant des Projekts DAGNY des Vereins Villa Decius). Studierte polnische Philologie an der Jagiellonen-Universität. Er veröffentlichte u. a. in den Zeitungen und Zeitschriften „Polityka”, „Tygodnik Powszechny”, „Czas Kultury”, „ha!art”, „Pogranicze”, „Dekada Literacka”. Verfasser einer Bücherkolumne im „Dziennik Polki”. Autor des Blogs <http://martinwoolf.blogspot.com>

Марцін Вільк (1978, Польша) – журналіст, публіцист, критик і координатор літературних програм (зокрема консультант проекту ДАГНИ Вілли Деціуша). Випускник польської філології Ягеллонського університету. Публікував на шпальтах видань „Політика”, „Тигоднік Повшехні”, „Час Культури”, „га!арт”, „Пограніча”, „Декада Літерацка”. Веде книжкову рубрику видання „Дзеннік Польські”. Автор блога <http://martinwoolf.blogspot.com>



КАТЕРИНА БАБКІНА

(1985, Україна) – авторка поетичної книги *Вогні святого Ельма* (2002), прозової – *Лілу після тебе* (2008), та прозових і поетичних публікацій у журналах „Сучасність”, „Четвер”, „Форма(р)т”, „Київська Русь”, „Святий Володимир”, у газетах, електронних альманахах та інших місцях. Займається відеопоезією, відеороботи брали участь у кінофестивалях та літературних фестивалях в Києві, Львові, Сумах, Луганську, Москві, Вільнюсі, Валенсії, Кракові.

KATERYNA BABKINA (1985, Ukraine) – Autorin des Poesiebandes *Feuer des Heiligen Elms* (2002), des Romans *Lilu nach Dir* (2008) sowie poetischer und prosaischer Veröffentlichungen in den Magazinen „Suczasnist”, „Czetwer”, „Forma(r)t”, „Kyjiws'ka Rus'”, „Swjatyj Wołodymyr”, in Zeitungen, Internetalmanachen und anderen Publikationen. Sie ist in der Videopoesie tätig, ihre Videoclips nahmen an Film- und Literaturfestivals in Kiew, Lemberg, Sumy, Luhansk, Moskau, Vilnius, Valencia und Krakau teil.

KATERYNA BABKINA (1985, Ukraina) – autorka tomu poezji *Ognie świętego Elma* (2002), powieści *Lilu po tobie* (2008) oraz poetyckich i prozatorskich publikacji w magazynach „Suczasnist”, „Czetwer”, „Forma(r)t”, „Kyjiws'ka Rus'”, „Swjatyj Wołodymyr”, gazetach, almanachach internetowych i innych miejscach. Zajmuje się wideopoezją, jej wideoklipy brały udział w festiwalach filmowych i literackich w Kijowie, Lwowie, Sumach, Ługańsku, Moskwie, Wilnie, Walencji, Krakowie.

Kateryna Babkina Катерина Бабкіна

Gorzycza

Ten sód jabłkowy w oparach października na szybkach osiada,
I zapach trawy, który z trawą mieszka na poddaszu –
Możemy zostać jedną z tych sosen; możemy spać
W wilgotnej trawie, ale sosny od tego nie staną się bardziej nasze.
Dzika róża purpurowa i ciemny wywar z liści dębu,
I w lesie grusze podgniłe wałą się z hukiem w dni wietrzne.
Możemy wpuścić las pod sam dom ale
nie stanie przez to bardziej nasz ani bardziej domowy
Jesteśmy obcy, znikąd, dysząca szalona wataha,
Tak gorzko, i miękkie nocne ulewy, których nie sposób pochwycić

Bitterton

Die Süße des Apfels, die sich mit dem Oktobernebel an die Scheiben legt,
Der Geruch des Grases, der zusammen mit dem Gras am Speicher lebt –
Wir können uns verwandeln in eine der Kiefern; wir können
Schlafen im feuchten Gras, die Kiefern bleiben uns unverwandt.
Die wilde tiefrote Rose, der dunkle Sud aus dem Eichenlaub,
Die fauligen Waldbirnen klatschen im Wind so dumpf auf.
Wir können maximal – diesen Wald auf unseren Hof lassen,
Aber davon wird er nicht einer der Unsrigen oder handzahn.
Fremd, abwegig, sind wir hier die lärmenden Narren,
Derart bitter, und in der Nacht geht achtsamer Regen, lässt sich nicht fangen

Гірчиця

Цей яблучний солод, що в випарах жовтня на шибках осяде,
І запах трави, який разом з травною живе на горіщі –
Ми можемо стати котроюсь з цих сосен; ми можемо спати
В вологій траві, але сосни від того не стануть нам ближчі.
Шипшина багряна, і темний відвар із дубового листя,
І груші підгнилі у лісі в дні вітряні гупають страшно.
Ми можемо найбільше – хіба що пустити цей ліс на обійстя
Але все одно він від того не стане своїм і домашнім.
Чужі і безглузді, ми тут галасливі вар'яти,
Так гірко, і зливи нічні обережні, що їх не впіймати

наші сни

наші сни у сонці по самі яйця.
там невидимі жодні тони і тіні.
надвечірні ріки від них сахаються,
і минають геть у своєму плині.
наші сни, уважні до щонайменших
перепадів настроїв та погоди,
крізь такі хиткі особисті межі
часом перетікають один у одного.
і якщо нам випаде бути поруч
або ще заснути в одній кімнаті,
наші сни нестримано заговорять
про усе те дивне, чим часто снять, і
попри всі перестороги і знаки
нам насниться сон для обох однаковий.

unsere träume

unsere träume stecken bis an die eier in der sonne.
schatten, schattierungen – keine zu entdecken
sie lassen die flüsse aufschrecken an den vorabend
und sich verstecken im eigenen strom.
unsere träume achten noch auf den sachtsten
dreh von wetterlage und verfassung
ihre porösen einfassungen lassen
manchmal einen in den anderen wachsen.
und wenn es uns zuteil wird zusammen zu sein
oder im selben raum einzuschlafen
heben unsere träume an sich zu unterhalten
über all das seltsame, das einem laufend träumt,
und trotz aller ahnungen, warnsignale
regt sich dann ein traum, einer für alle beide.

nasze sny

nasze sny w słońcu po rozgrzane brzuchy.
znikają tony i cienie.
cofają się od nich przedwieczorne rzeki,
omijają je i płyną w swoją stronę.
nasze sny, wrażliwe na najdrobniejsze
wahania nastrojów czy pogody,
mają tak cienką skórę
czasem się przenikają
i jeśli zdarzy się nam być tuż obok
zasnąć w jednym pokoju,
nasze sny zaraz zaczynają gadać
o dziwach dziwów, o snach swoich snów,
i mimo wszystkich tych przestróg i znaków
wyśni się nam obojgu jednakowy sen.

Czuliśmy się głupio, było nam niewesoło,
Na szybie kreśliśmy losu linie potamane,
Za oknem rzeka, przystań, na rzecze łódki i wiosła,
I im też jest przez nas głupio, też jest niewesoło...

Es war für uns beide peinlich, es war für uns beide betrüblich,
Ans Fenster haben wir Pfade des Schicksals gezeichnet, verflochten,
Hinter dem Fenster ein Fluss aus dem Hafen, auf dem Fluss Boote zum Rudern,
Auch für sie wars betrüblich, auch ihnen wars peinlich für uns...

Нам обом було незручно, нам обом було невесело,
Ми на склі віконному креслили долі лінії покручені,
За вікном ріка із пристанями, на ріці човни із веслами,
І їм також за нас невесело, їм також за нас незручно...

твій маленький бог пожирач сердець

Твій маленький бог - пожирач сердець,
він поганий сон, він невдалий час –
пише в зачарований папірець
щось собі, що думає не про нас.
Він тобі не друг, твій маленький бог.
він тобі не затишок, не тепло,
він під скатертю сушить квітучий мох,
щоб нічого більше не зацвіло.
Твій маленький бог – сірий сатана,
ніби зла зима, ніби дим їдкий,
має дім в шуфляді, де віддавна
ти тримаєш гудзики і нитки.
Лицемір і жлоб твій маленький бог,
він приймає в жертву старі ключі.
Я з ним говорив, я просив за двох,
Але він насупився і мовчить.
Я приніс йому всі свої скарби.
я варив для нього глінтвейн і грог,
я на ничку в кухні сушив гриби,
щоб він був добріший, твій сраний бог!
Я з тобою був, я хотів як міг,
я йому погрожував, ідучи.
Але він спокійний, бо переміг.
Ніби білий щур, шарудить вночі.

Dein kleiner Gott Herzensfresser

Dein kleiner Gott ist ein Herzensfresser,
ist ein schlimmer Traum, missglückte Zeit –
er schreibt auf seinen verhexten Zettel,
was er wirklich nicht von uns denkt.
Er ist nicht dein Freund, dieser kleine Gott.
Ist nicht dein Wohl, keine Wärme,
er trocknet unterm Tischtuch das blühende Moos,
dass sonst nichts mehr zum Knospen kommt.
Dein kleiner Gott ist ein grauer Satan,
wie ein schlimmer Winter, wie giftiger Dampf.
Seine Behausung ist die Schublade,
wo du dein Nähzeug und Knöpfe hast.
Ein Heuchler und Geizhals ist dein kleiner Gott,
als Opfergabe nimmt er alte Schlüssel.
Ich habe mit ihm gesprochen, ich bat für uns beide,
er aber verdüstert sich, schweigt.
Ich habe ihm all meine Schätze gebracht,
ich habe ihm Glühwein und Grog gekocht,
in der Küche habe ich Pilze getrocknet,
um ihn milde zu stimmen, deinen verfluchten Gott!
Ich war mit dir, wollte, wie ich nur konnte,
noch im Weggehen habe ich ihn mit Klagen beworfen.
Jetzt ist er ruhig, weil er gewonnen hat.
Und raschelt nachts, wie ein farbloser Lemming.

twój małeńki bóg pożeracz serc

Twój małeńki bóg co serca pożera,
jest jak zły sen, jak stracony czas –
gdzieś tam ukradkiem na papierze skrobie
myśli spisuje, nas to nie dotyczy.
Nie szukaj w nim przyjaciela, twój małeńki bóg.
nie da ci schronienia ani spokoju ,
pod obrusem suszy kwitnący mech,
by nigdy więcej już nic nie zakwitło.
Twój małeńki bóg – diabeł szary,
jak zima zła, jak dym żrący,
dom ma w szufladzie, tam gdzie od dawna
trzymasz różne nitki i guziki.
Obłudnik sknera małeńki bóg,
ofiara bierze ze starych kluczy.
Rozmawiałem z nim, tak bardzo prosiłem,
Ale on się nastroszył i tylko milczy.
Znosiłem mu wszystkie skarby.
grzałem korzenne wino i grog
w kuchni cichcem suszyłem grzyby,
by był łaskawszy, twój zaszary bóg!
Byłem z tobą, chciałem ze wszystkich sił,
przy każdym spotkaniu mu groziłem,
Ale jest spokojny, bo zwyciężył.
Szura nocami niczym biały szczur.

стільки всього любов

Стільки всього поглинає любов –
Жирна і ласа зелена гусінь.
Іноді жінка проходить повз
І дивиться, ніби зараз вкусить.
В неї в руках голубий футляр,
В неї волосся забране дулею.
Серед міських знавіснілих пар
Жінка сама, і її це муляє.
Що їй це літо без берегів,
Ніби подрібнене скло, напружене.
Жінка, годуючи голубів,
Чи роздягаючи верх на пляжі,
Жінка, злітаючи стрімголов
Або втискаючись в сині мешти
Думає: стільки всього любов,
Що може вже і її нарешті.

Liebe so vieles

Liebe verschlingt so vieles –
Diese fette, grüne, gefräßige Raupe.
Manchmal kommt eine Frau vorbei
Und schaut, als würde sie gleich beißen.
Ihre Hand hält ein Futteral, himmelblau,
Ihr Haar trägt sie zum Knoten auf gewickelt.
Unter all den irren Paaren der Stadt
Ist die Frau allein, und das verwirrt sie.
Was soll ihr dieser uferlose Sommer,
Wie zerstampftes Glas, lästig.
Die Frau füttert Tauben,
Liegt oben ohne am Strand,
Die Frau fliegt hoch, ungestüm,
Oder drückt ihre Füße in blaue Schuhe
Und denkt: Liebe ist so vieles,
Vielleicht auch endlich.

tyle wszystkiego miłość

Tyle wszystkiego pożera nam miłość –
łakomy i tłusty zielony robak.
Czasami przechodzi obok kobieta
Patrzy jakby pokąsać kogoś chciała.
Trzyma w rękach futerał błękitny,
Włosy w węzełek zebrane.
Wśród miejskich par bezczelnie szczęśliwych
I to ją uwiera, że sama.
Że jej to lato jak bez brzegów rzeka,
I jak szkło pokruszone ciało rani.
Kobieta kiedy karmi gołębie,
Kiedy na plaży bluzkę zdejmuje,
I kiedy spada na łeb na szyję
I kiedy wzuwa błękitne buciki
Tyle wszystkiego, myśli, miłość nam zabiera
Teraz już w końcu nic mogą nareszcie.

【Tłumaczenie: Ksenia Kaniewska, Übersetzung: Chrystyna Nazarkewytsch und Anja Utler】

CEZARY K. KĘDER

KONRAD C. KĘDER (vel Cezary K. Kęder) (1965, Polska) – literat uprawiający wiele gatunków pod wieloma pseudonimami, autor książeczek parapoetyckich (*Sekwencje* - 1994) i poważnej powieści (*Antologia twórczości postnatalnej* - 1996). Ostatnio wydał tom *Najnowszy model* (2004). Redaktor naczelny kwartalnika literackiego „FA-art” oraz wortalu poświęconego czasopismom kulturalnym Witryna.Czasopism.pl. Twórca i do 2001 r. redaktor naczelny dwumiesięcznika kulturalnego „Opcje”.

KONRAD C. KĘDER (alias Cezary K. Kęder) (1965, Polen) – Verfasser unterschiedlicher literarischer Gattungen unter vielen Pseudonymen, Autor parapoetischer Bücher (*Sequenzen* – 1994) und einer ersten Erzählung (*Anthologie des postnatalen Schaffens* – 1996). Zuletzt gab er den Band *Das neueste Modell* (2004) heraus. Chefredakteur der Vierteljahresschrift „FA-art” sowie des Kulturzeitschriftenportals Witryna.Czasopism.pl. Gründer und bis 2001 Chefredakteur der Zweimonatskulturzeitschrift „Opcje”.

КОНРАД Ц. КЕНДЕР (або Цезари К. Кендер) (1965, Польща) – літератор, який працює в багатьох видах літератури під багатьма псевдонімами. Автор псевдопоетичних книжечок (*Секвенції*, 1994) та серйозного роману *Антологія постнатальної творчості* (1996). Останім часом видано том *Найновіша модель* (2004). Головний редактор літературного часопису „ФА-арт” та присвяченого культурним часописам порталу Witryna.Czasopism.pl. Засновник і до 2001 року головний редактор культурного щомісячника „Опц’є”.

Цезари К. Кендер Cezary K. Kęder Cezary K. Kęder

Nasza mała, wszechobecna, miękka (fragmenty)

6%
nie ma porównań bo jest tylko ona
wycięta z tłumy z jej planu dalszego
niż lato tramwaj kolejny przystanek
stukot kół szarpnięcia zakręty poręczce
lepkie od potu, z jej szarego piekła
w którym się dusi na chwilę przed burzą

a ja jestem tu patrzę

page down
to jest real album pełen fotek

15%
z matką i dzieckiem znajdziesz dla nich miejsce
z jej matką? z jej dzieckiem? to ta grubsza
sprawa – bo na to wygląda i na gładką skórę
szesnastolatki po cudownej diecie bezwypryskowej

sprawdź czas i horyzont, niech ci się też przyjrzy
i złap jej spojrzenie, niech nie zdąży uciec
w gierce z takich najprostszych, w co potrafią wszyscy
i nawet w gimnazjum czy innym przedszkolu
bo gdy ktoś jest gapa zaraz mu podkręcą

efekt czerwonych oczu

pędź down
bo to real kuzyn fotoszopa

27%
jej nogi do nieba w półkloszowej mini
niższa od ciebie może o pół głowy
stoi jak na szpilkach chybotliwy rozkrok
wpół falstartu do drzwi

a jak na to miejsce i ten cały upał
zbyt umalowana w zbyt obcisłej bluzce
wprost wycięta z bajki o Czerwonym Cosmo
czy królownie Claudi, z marzenia o lansie
panien wypasionych w poście popkultury
ba, jeszcze pół szajby i napiszę „z ludu”

w piątki królewicz bezet jeździ tramwajami

pędź dań
to jest real konkurencja javy

40%

po stopniach w dół jak motyl nabity na szpilki
 dwie dla wszelkiej pewności niemal się nie wierci
 zresztą jest już za późno
 no już dobrze, dziecko – ale co ty umiesz
 że być, to dostrzegłem, a potrafisz odejść
 to znaczy wrócić, gdy się już odejdzie

jeszcze jedno spojrzenie, ostatnie, ukradkiem
 tuż przed zejściem na ziemię uchwyceniem pionu
 tuż za szybą, w akwarium, tymczasem bez wody

powoli odwraca głowę

pędź dałn
 to jest real animacja w gifie

52%

wiatr kręci wiry z piasku i drobniejszych śmieci
 gdy ruszają w skos placu starsza trzyma sztangę
 wzięta dziecko za rękę a młoda się boczy

idąc w trzy, obok siebie, w nierównym szeregu
 krok w krok zacierają szczegóły jej twarzy

i nagle podmuch
 wiatr zadziera
 młodej minispódniczkę

błysk
 bo do błysku trzeba mieć pod kiecką
 nic oprócz młodej opalonej skóry

lecz równie błyskawicznie strzepnęła ją na dół
 no przecież wszyscy patrzą a w tym szybkim ruchu
 straciła twarz zupełnie więc tak niby-płynnie
 przedłużając ruch ręki, na wpół naturalnie
 wyciąga dłoń do dziecka

może uratuje

pędź dałn
 to jest real wróg przysięgły flasha

71%

tylko że wiatr się zawziął żeby dzisiaj właśnie
 przekartkować tę księgę
 stąd wieje jak uważa od przodu z tyłu z boku

znowu błysk a ona znowu
 opędza się wolną ręką

i spódniczka opada

lecz on jest uparty
 już odnalazł tę stronę tu ją chciał otworzyć
 odkrył coś co wszyscy widzą a ona nie widzi
 więc niech nie będzie śmieszna

no przecież

page down, page down
 to jest real shackowany serwer

85%

wcale nie chce być śmieszna!
 bo ten cały tramwaj stoi jak utrapiony
 ani myśli się ruszyć jakby pan pantograf
 nawet i motorniczej zrobił małe spięcie

gapią się a ona swoje wie idzie
 co i rusz się chwiejąc w te wysokie szpilki
 „niby się nic nie stało” kręcąc pośladkami
 pomiędzy którymi błyska pasek stringów

swoje wie trzyma się dziecka i ma wolną rękę
 nikogo na horyzoncie nie musi się wstydzić
 i wcale nie jest śmieszna naprawdę jest dumna

właśnie wróciła, wraca

pędź dałn
 to jest real kopia bezpieczeństwa

99%

a widownia
 nareszcie odjeżdża
 jest już z tyłu
 za kurtyną wody zastaje ją na dobre
 koniec przedstawienia

lunął deszcz, to jest real
 nieprzyjacieli tivi
 jego wielkie pięć minut zanim
 i nam przyjdzie odejść od monitora
 lec by zredukować efekt czerwonych oczu

*

[107%]
 a oglądałeś może filmik jakiś w sieci?
 na wolnym łączu, no w Polsce
 czyli niemal wszędzie

miał ledwie z pięć mega a stawał co chwila
co chwila przewijany

pędź down

[-56%]
tą linią jeździłem także w drugą stronę
a ona była kurwa i zawsze stawała
przy motorniczym
zabawnie zalotna bo dziewczęco przegięta
nieśmiała kokietka która jakby na próbę tylko wypycha
ciężko spracowane trzydziestoletnie biodro
przecież patrzy na nią mężczyzna
była tania tylko tanie i literaci jeżdżą tramwajami
z tak szeroko otwartymi oczyma

pędź up

[-87%]
nie patrz mi w oczy z taką czułością

zmarnowałeś pięć
i jeszcze siedem lat potem szukam w sieci
zdjęć swojej dawnej dziewczyny
na stronach na których w żaden sposób
nie można ich znaleźć

lecz w końcu znajdujesz nic się nie zmieniła
patrzysz ze wzruszeniem w jej art-doskonałości
taka jest wygolona jak kark na ustawkę

a potem szukasz obecnej od jej białych ud
bije blask jak wtedy na korcie to dlatego
trafiła w nie kilka razy jej przeciwniczka
i ja
raz
prawda, mogłeś tak nie patrzeć jej w oczy

pędź up

Unsere kleine, allgegenwärtige, softe
(Fragmente)

6%
kein Vergleich denn es gibt nur sie
ausgeschnitten aus der Menge und aus der Sicht
hinter Sommer Straßenbahn nächste Station
Rädergeratter Kreischen Kurven Handgriffe
klebrig von Schweiß, aus ihrer grauen Hölle
in der sie kaum Luft kriegt kurz vor dem Gewitter

und ich bin hier schaue

page down
das ist real ein Album voll Bilder

15%
mit Mutter und Kind findest du für sie einen Platz
mit ihrer Mutter? ihrem Kind? das ist die Gewichtige
da rechts - danach sieht's aus und nach der glatten Haut
eines Teenagers nach einer wundervollen Anti-Akne-Diät

checke Zeit und Horizont, lass sie auch dich ansehen
und erhasche ihren Blick, er soll dir nicht entwischen
in diesem Spiel einem von denen, die alle können
sogar im Gymnasium oder sonst einem Kindergarten
denn wer ein Tollpatsch ist dem machen sie schnell

einen Rote-Augen-Effekt

page down
das ist real ein Cousin von Fotoshop

27%
ihre himmlischen Beine in einem Mini-Glockenrock
ungefähr einen halben Kopf kleiner als du
steht sie da wie auf Nadeln ein wackliger Spreizschritt
halber Fehlstart zur Tür

und für den Ort und zumal bei der Hitze
zu stark geschminkt und die Bluse zu knapp
wie ausgeschnitten aus dem Märchen vom Roten Cosmo
und Prinzessin Brigitte, aus dem Traum so zu sein
wie die phätten Idole der fastenzeitlichen Popkultur
ja, noch ein bisschen abdrehen, und ich sage „aus dem Volk“

freitags fährt Prinz Ohneland Straßenbahn

page down
das ist real Konkurrenz für Java

40%
die Stufen runter wie ein Schmetterling
sicherheitshalber doppelt genagelt sie windet sich kaum
ist ja auch eh schon zu spät
na schon gut, Kind - aber was kannst du eigentlich
dass du sein kannst, hab ich gesehen, aber weggehen
das heißt zurückkommen, nachdem man wegging

ein Blick noch, ein letzter, versteckter
kurz vor dem Abstieg zur Erde zum Gleichgewicht
hinter der Scheibe, ins Aquarium, jedoch ohne Wasser

langsam dreht sie den Kopf weg

page down
das ist real eine Animation in gif

52%
der Wind wirbelt Sand und leichteren Müll auf
als sie quer übert Platz laufen die Ältere hält sie zusammen
sie nahm das Kind bei der Hand doch die Jüngere schmollt

sie gehen zu dritt, nebeneinander, in ungleicher Reihe
die Gesichtszüge mit jedem Schritt weniger klar

da ein plötzlicher Stoß
der Wind reißt den Mini
der Jüngeren hoch

ein Blitz
denn damit's blitzt darf unter dem Rock nichts
sein als junge braungebrannte Haut

doch genauso blitzartig streicht sie ihn wieder herab
die Leute gucken ja schon doch die hastige Geste
ist ihr peinlich also setzt sie scheinbar gewollt
die Bewegung fort und streckt halb natürlich
die Hand dem Kind hin

vielleicht lässt sich so noch was retten

page down
das ist real ein geschworener Feind von Flash

71%
nur dass der Wind stur bleibt und genau heute
dieses Buch durchblättern will
deshalb kommt er wie's ihm gefällt von vorn von der Seite von
hinten

wieder ein Blitz und wieder
vertreibt sie ihn mit der freien Hand

und der Mini sitzt wieder richtig

doch der Wind lässt nicht locker
hat jetzt die Seite gefunden hier will er sie aufreißen
er hat etwas entdeckt was alle sehen nur sie nicht
jetzt mach dich doch nicht lächerlich

also wirklich

page down, page down
das ist real so'n gehackter Server

85%
sie will sich ja gar nicht lächerlich machen!
denn die Straßenbahn steht steif und fest da
denkt nicht ans Losfahren als hätte der Pantograf
sogar der Fahrerin einen Kurzen fabriziert

alle glotzen aber sie weiß Bescheid und geht
gefährlich schwankend auf ihren hohen Absätzen
„ist ja nichts passiert“ mit den Hinterbacken wackelnd
zwischen denen der Streifen eines Tangas aufblitzt

sie weiß Bescheid hält sich ans Kind und hat eine Hand frei
sie muss sich vor niemandem am Horizont schämen
und sie ist keinesfalls lächerlich sie ist wirklich stolz

gerade kam sie zurück, kommt sie zurück

page down
das ist real eine Sicherheitskopie

99%
und die gaffende Meute
fährt schließlich komplett ab
sie ist schon weit weg
verschwunden hinter einem Wasservorhang
Ende der Vorstellung

der Regen prasselt, das ist real
ein Feind des TV
hat seine großen fünf Minuten bis
auch wir vom Monitor weg müssen
hetzen um den Rote-Augen-Effekt zu minimieren

*

[107%]
oder hast du vielleicht im Internet ein Filmchen geguckt?
über eine lahme Verbindung, na in Polen
also beinahe überall
hatte mal gerade fünf MB stand aber dauernd
dauernd vor und zurück

page down

[-56%]
mit der Linie bin ich auch oft zurückgefahren
und sie war eine Hure und stand immer
beim Fahrer
komisch kess weil mädchenhaft durchgebogen
eine scheue Kokette die nur wie zur Probe die schwer abge-
nutzen
dreißigjährigen Hüften vorschiebt
es ist ja ein Mann der sie anschaut
sie war billig nur Billige und Dichter fahren Straßenbahn
mit derart weit aufgerissenen Augen

page up

[-87%]
schau mir nicht so zärtlich in die Augen

du hast fünf verloren
und noch nach sieben Jahren suche ich im Netz
nach Fotos von meiner früheren Freundin
auf Seiten auf denen man sowieso
nichts finden wird

am Ende findest du nichts hat sich geändert
du betrachtetest gerührt ihre Kunst-Schönheit
kahlgeschoren wie ein Hool vor dem Kampf

und dann suchst du nach der jetzigen ihre weißen Schenkel
strahlen hell wie damals auf dem Court eben darum
hat ihre Gegnerin sie ein paar Mal getroffen
und ich
einmal
stimmt, du hättest ihr anders in die Augen schauen können

page up

Наша мала, м'яка, всюдисуща

(фрагменти)

6%
немає порівнянь є тільки вона
вирізана з натовпу з її дальших планів
ніж літо трамвай чергова зупинка
стукіт коліс повороти шарпанина липкі
від поту поруччя, з її сірого пекла
в якому задихається на мить перед бурєю

а я тут, дивлюся
page down

це real album повний фоток

15%
з мамою й дитиною для них знайдеться місце
з її мамою? з її дитиною? ось ця грубша
справа – бо на це схоже й на гладку шкіру
шістнадцятилітньої після чудової безвисипкової дієти

перевір час та горизонт, хай і вона до тебе придивиться
впіймай її погляд, щоб не встигла втекти
у грі – одній з тих найлегших, в яку вміють усі,
навіть у гімназії чи в іншому садочку –
бо коли хтось загавиться йому зразу ж підкрутять

ефект червоних очей

пейдж down
це real кузен фотошопу

27%
її ноги до неба в півкльошовому міні
нижча за тебе на пів голови
стоять як на шпильках непевний крок
на половині фальстарту до дверей

і як на це місце і на цю спеку
надто нафарбована в надто вузькій блузці
ніби вирізана з казки про Червоне Космо
чи королівну Клаудію з мрій про

дівчат вигодуваних на постах поп-культури,
ба, ще пів-дози й напишу «з народу»

у п'ятниці королевич незмінно їздить трамваєм

рухайся даун
це real конкуренція для Java

40%
сходами вниз як комаха настроєна на шпильки
дві про всяк випадок майже не крутяться
зрештою, вже запізно
ну, добре, дитинко – але що ти вмієш
що вмієш бути – це я побачив, а чи зумієш піти
тобто повернутись, коли все мине

ще один погляд, крадькома, останній
перед кроком на землю, щоби вхопити вертикаль
за шибою, в акваріумі, без води тим часом

поволі відвертається
рухайся вниз
це real gif-анімація

52%

вітер крутить вихор з піску і дрібного сміття

рушаючи площею навпростець, старша тримає згоду
веде дитину за руку, молода лютує

кривою лінією поруч ідучи втрьох
крок за кроком витирають деталі її обличчя

і враз подих вітру
він задирає
молодій міні-спідничку

спалах
бо для спалаху треба не мати під спідницею
нічого крім молоді засмаглої шкіри

і раптом блискавично шарпнула її додолу
бо ж всі дивляться а в цьому швидкому русі
геть загубила лице, і так ніби-плинно
продовжуючи рух руки, напівприродно
втягує долоню до дитини
можливо pomoже

рухайся даун
це real залятий ворог Флешу

71%
та вітру захотілося саме нині
погортати цю книгу
то й віє як хоче спереду ззаду збоку

знову спалах а вона знову
опирається вільною рукою

і спідничка падає

та він упертий
вже знайшов цю сторону хотів її тут відкрити
відкрив щось що всі бачать а вона – не бачить
тож хай не буде смішною

адже

пейдж даун пейдж даун
це real хакнутий сервер

85%
вона не хоче бути смішною!
бо той трамвай стоїть як пеня

не має гадки зрушити з місця мовби пан пантограф
навіть водійці трамваю зробив замикання

ті витріщаються вона своє знає йде
ну й руш хитаючись в цих високих шпильках
«наче нічого не сталося» крутячи сідницями
між якими зближує пасочок стрінгів

вона своє знає тримається за дитину має вільну руку
нікого на горизонті не мусить соромитись
вона зовсім не смішна навпаки дуже горда

щойно повернулась, вертається

рухайся вниз
це real копія безпеки

99%
а глядацька зала
врешті від'їжджає
вже позаду
за завісою води урочисто застає її
кінець вистави

лунав дощ, це реал
ворог ті-ві
його славних п'ять хвилин перш ніж
і нам доведеться відійти від монітора
лягти б зменшити ефект червоних очей

[107%]

ти дивився в неті якийсь фільм?
на малій швидкості, в Польщі
тобто майже всюди
лише п'ять мегабайт а гальмував щомиті
щохвилинна прокрутка

йди вниз

[-56%]

цією лінією я їздив і в інший бік
а вона була курвою й завжди ставала
біля водія
смійно загравала вигиналась як дівчинка
сором'язлива кокетка що на пробу лише випинає
важко спрацьоване тридцятирічне стегно
на неї ж дивиться чоловік
вона дешева лише дешеві й поети їздять трамваєм
з такими широко розплющеними очима

пейдж ап

[-87%]

не дивись мені чуттєво в очі

ти змарнував п'ять
і ще сім років потому шукаю в неті
знимки колишньої дівчини
на сторінках де її аж ніяк
не можна знайти

зрештою знаходиш нічого в ній не змінилося
дивишся зворушено на її арт-довершеності
вся виголена як качок що йде на бійку

потім шукаєш її справжню її білі ноги
сліплять світлом як тоді на корті тому що
в неї поцілила кілька разів її суперниця
і я

один раз
правда, ти не мусив їй так дивитися в очі

рухайся up

【Übersetzung: Bernhard Hartmann, Переклад: Христина Стельмах】

© Katja Hoffmann 03/10/20_Hamburg: Möwen



JOANNA LECH

(1984, Polska) – poetka, autorka tomu *Zapaść* (2009) oraz *Nawroty* (2010). Publikowała m.in. w „Opcjach”, „Studium”, „Tyglu Kultury”, „Portrecie”, „Toposie”, „Gazecie Wyborczej”, „Czasie Kultury”, „Tygodniku Powszechnym” oraz antologii *Poeci na nowy wiek* (2010). Laureatka wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich, m.in. im. K.K. Baczyńskiego, im. T. Sułkowskiego, im. S. Brzozowskiego, im. Z. Dominiaka, im. R. Wojaczka. W 2007 r. nagrodzona Grand Prix w VI konkursie im. R. M. Rilkego w Sopocie oraz nagrodą główną w XIII konkursie im. J. Biereżina w Łodzi. Za debiutancki tomik została m.in. nominowana do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius. Otrzymała też za niego nagrodę specjalną w kategorii debiut w X edycji Konkursu Literackiego Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek.

JOANNA LECH (1984, Polen) – Dichterin, Autorin der Bände *Zusammenbruch* (2009), *Rückkehr* (2010). Sie veröffentlichte u. a. in den Zeitschriften „Opcje”, „Studium”, „Tygiel Kultury”, „Portret”, „Topos”, „Czas Kultury”, in den Zeitungen „Gazeta Wyborcza”, „Tygodnik Powszechny” sowie in der Anthologie *Dichter des neuen Jahrhunderts* (2010). Preisträgerin vieler polnischer Poesiewettbewerbe, u. a. in den Wettbewerben benannt nach K. K. Baczyński, T. Sułkowski, S. Brzozowski, Z. Dominiak und R. Wojacek. 2007 erhielt sie den Grand Prix des 6. R. M. Rilke-Wettbewerb in Zoppot sowie den Hauptpreis des 13. Jacek-Biereżin-Wettbewerbs in Łodz. Für ihren Debütband wurde ihr der Breslauer Silesius-Poesiepreis verliehen, ebenso der Sonderpreis der Kategorie Debüt in der zehnten Auflage des Literaturwettbewerbs der polnischen Gesellschaft der Literaturverlage.

ЙОАННА ЛЕХ (1984, Польща) – поетка, авторка поетичних збірок *Запасць* (2009) та *Навро́ти* (2010). Її тексти публіковані зокрема в часописах „Опц’є”, „Студіум”, „Тигель Культури”, „Портрет”, „Топос”, „Газета Виборча”, „Час Культури”, „Тигоднік Повшехний” та в антології *Поети на нове століття* (2010). Лауреатка багатьох всепольських поетичних конкурсів зокрема імені Кшиштофа Каміля Бачинського, Тадеуша Сулковського, Станіслава Бжозовського, Збігнева Доміняка, Рафала Воячка. У 2007 році отримала Гран-прі у VI конкурсі ім. Р. М. Рільке у Сопоті та головну премію у XIII конкурсі ім. Яцка Березіна у Лодзі. Її дебютний збірник номінували на Вроцлавську поетичну премію Сілезіус. За цей збірник авторка отримала спеціальну нагороду для дебютантів у X Літературному конкурсі Польського товариства видавців книжок.

Йоанна Лех Joanna Lech Joanna Lech

Odległości

Kiedy wyjeżdżasz, zabierasz ze sobą burzę.

I nagle wszystko staje się jasne; odśtaniem okna i próbuję zatrzeć te ślady, plamy z podłogi, smugi popiołu, siniaki. Mówiłeś, że *już nie ma odwrotu*; jest dym, ale nie ma popiołu, spalona skóra śwędzi,

strupy na całej dłoni. Więc zdradza mnie zapach i tamto skrzywienie; bo gdy próbuję nas jakoś nazwać, wracają bóle przy sercu, zawroty głowy. Znów siadam pod ścianą, powtarzam: to *się chyba wydarza beze mnie*,

jak nawrót jakiejś dziwnej choroby, ostre objawy. A jeszcze nad ranem śniło się zimno, przyśnił się deszcz i zęby zasiane w pustym pokoju, odcisnięte na brzuchu; nic się nie urodzi.

Entfernungen

Wenn du fortfährst, nimmst du den Sturm mit.

Plötzlich wird alles klar; ich ziehe die Vorhänge fort, will Spuren verwischen, Bodensprenkel, Ascheschlieren, blaue Flecken. Du sagtest, *es gibt kein Zurück*; da ist Rauch, keine Asche, versengte Haut brennt,

Schorf auf der ganzen Hand. Mich verraten Geruch und jenes Krümmen; als ich uns bezeichnen will, kommen wieder Herzschmerz, Kopfschwindel. Nochmals sitze ich an der Wand, wiederhole: Das *geschieht wohl ohne mich*,

Schwindelrückfall in die seltsame Krankheit, symptomatisch. Gegen Morgen noch träumte ich Kälte, von Regen und Zähnen, die das leere Zimmer übersäen, abgezeichnet auf dem Bauch; hier wird nichts heranwachsen.

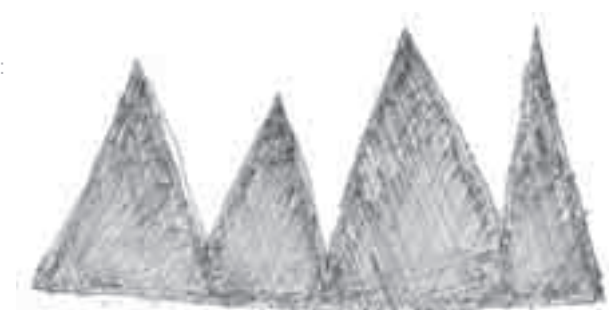
Відстані

Виїжджаючи, ти забираєш із собою бурю.

I раптом все стає ясно; я розсуваю фіранки і намагаюсь затерти сліди, плями з підлоги, смуги попелу і синці. Ти казав, що *дороги назад немає*; є дим, але немає попелу, спалена шкіра свербить,

струпи по цілій долоні. Тож мене зраджує запах і скривлений вираз обличчя: коли я намагаюсь нас якось назвати, вертаються біль коло серця і млості. Сідаю знов під стіною, повторюю: це *діється, мабуть, без мене*,

як рецидив якоїсь чудної хвороби, гострі симптоми. А ще під ранок наснився холод, наснився дощ і зуби, засіяні в порожній кімнаті, слід їхній на животі; не народиться вже нічого.



Ściegi, pętla

Świt naświetla słońce. W tle gasnące niebo, śnieg
draży ulice i tnie blask neonów. Lód skuwa chodniki;
mróz drażni nozdrza.

Zobacz, ten dzień dopiero rysuje rzekę. Rozwiewa mgłę,
wyrzuca na brzeg porwane włókna i łuski, rybnie pęcherze.
W powietrzu ciągle ściera się ten smak rtęci, pękają szyby;
kości wychodzą z ziemi jak pędy roślin. Dlatego rozpad,
wszystkie te rzeczy napiszesz od nowa; martwe jeziora,
zerwane przęsta. To miejsce we mnie, rosące pod skórą
jak zaczyn pleśni. Więc może trzeba zaszyć te ściegi,
pozszywać krawędzie. Zanim strupy ułożą się w słowa,
krew naostrzy noże. Chłód rozerwie pętla;

zobacz, ten dzień dopiero rysuje rzekę. Ból po tobie
stanie się bliźną, zaschnie na brzuchu, spłowieje; wrośnie.

Stiche, Stränge

Dämmergrau belichtet die Sonne. Vor dem verglimmenden Himmel höhlt
Schnee Straßen aus und zerschneidet Neonlicht. Eis umhüllt Bordsteige;
Frost reizt die Nasenflügel.

Schau, der Tag zeichnet den Fluss erst. Verweht den Nebel,
wirft zerfetzte Fasern und Schuppen, Fischblasen ans Ufer.
In der Luft reibt sich noch Bleigeschmack, Scheiben bersten;
Knochen brechen die Erde auf wie Pflanzentriebe. Deshalb der Zerfall,
all diese Dinge schreibst du aufs Neue; tote Seen,
zerrissene Gespanne. Der Ort in mir, er geht unter der Haut auf
wie Schimmelteig. Vielleicht müssen die Stiche vernäht werden,
die Ränder zugenäht. Ehe Schorf sich zu Worten fügt,
schleift Blut die Messer. Kälte zerreißt Stränge;

schau, der Tag zeichnet den Fluss erst. Der Schmerz nach dir
vernarbt, trocknet auf dem Bauch, verblasst, verwächst.

Стібки, петлі

Світанок наświetлює сонце. Позаду – пригасле небо, сніг
надточує вулиці й ріже неонове світло. Крига сковує тротуари;
мороз подразнює ніздрі.

Дивися: цей день щойно креслить ріку. Розвіює млу,
викидає на берег подерті волокна й луску, ryb'ячі міхурі.
У повітрі весь час стирається посмак ртуті, тріскають шибки;
кісті випинаються із землі, наче паростки. Тому оцей розпад,
всі оці речі напишеш наново; мертві озера,
зруйновані арки. Те місце в мені, яке росте десь під шкірою,
наче зародок плісняви. Тож, може, варто зашити стібки,
позшивати краї. Поки струпи складуться в слова,
кров нагострить ножі. Холод розірве петлі;

дивися, цей день щойно креслить ріку. Біль після тебе
зробиться шрамом, присохне на животі, виблякне і вросе.

Knoten

Also Reif, Frost; die Erde wie ein Bett bedeckt, in dem die Morgen frieren und
Nächte aschgrau sind. Noch glüht die fahle Sonne am Himmel, Nebel wuchert in
den Fenstern. Schau, der Herbst verklebte uns mit Spucke, verschloss uns wie in
Bilderrahmen. Hinter Glas, wo wir träumen, fremde Kinder schmiegt sich an
uns, ihre fahlen Münder; Lehm, von dem sich Knochen lösen. Aus den Augen
fließen Kalk und Blut. Morgens rissest du Träume von den Lidern wie Schorf.

Du sagtest: *Kälte ist nur eine Hautkrankheit.* Die Feuchte kommt vom Fluss.
Vor lauter Licht zerbröckelt der Dezember, der Winter ist nah, schon bebt er in
der Erde, in den Wänden; in Wurzeln und Adern. Auf der anderen Seite, dort lag
der geborstene Fluss hinter dir, der Spiegel, unter dem Fische geboren werden.
Unruhe, als riebst du dich an ihren Schuppen; Flutpassagen, Kiestunnel.
Schimmelaarten. Vielleicht vergisst du das Wort morgen

und wirst für immer fremder Zunge sein. Schau; hier, darunter
schlägt weiter ein Puls – der Klang bildet eine Schlinge, prallt am Eis ab
und kommt zu uns zurück als ein Echo.

Вузли

Отже, іній, мороз; земля наче ліжко із постілля, в якій мерзнуть
світанки і ночі, сірі, як попіл. Ще тліє на небі бліденьке сонце,
туман наростає у вікнах. Дивися, ця осінь склеїла нас слиною, замкнула,
як в рамцях. За склом ми бачимо сни, в яких до нас туляться чужі діти,
їхні бліді вуста; глина, від якої відходять кісті. З очей випливають вапно
і кров. А вранці ти відривав ці сни від повік, наче струпи.

Ти казав: *холод – усього лиш хвороба шкіри.* Волога прийде від ріки.
Від надміру світла кришиться грудень, зима уже близько; пульсує
у стінах, в землі; усередині жил і коріння. По інший бік,
де ти лишив за собою порепану річку, поверхню, під якою множаться риби.
Тривога, так наче трешся об їхню луску; залиті проходи, тунелі гравію.
Аорти плісняви. Може, ти завтра забудеш ці слова

і назавжди залишишся іноземною мовою. Глянь: тут, унизу,
все ще чути серцебиття – цей звук завертає, відбивається від криги
і знову приходить до нас відлунням.

Węzły

Więc szron, mróz; ziemia jak łóżko przykryte pościelą, w której marzną
poranki i noce szare jak popiół. Jeszcze tli się na niebie blade słońce,
mgła rośnie w oknach. Zobacz, ta jesień skleїła nas śliną, zamknęła
jak w ramkach. Za szkłem, gdzie śnimy, że tulą się do nas obce dzieci,
ich blade usta; glina, od której odchodzą kości. Z oczu wypływa wapno
i krew. A rano odrywałeś te sny od powiek jak strupy.

Mówiłeś: *zimno to tylko choroba skóry.* Wilgoć przyjdzie od rzeki.
Z nadmiaru światła kruszy się grudzień, zima jest blisko; już tętni
w ziemi, w ścianach; we wnętrzach korzeni i żył. Pod drugiej stronie,
gdzie zostawiłeś za sobą spękaną rzekę, taflę pod którą rodzą się ryby.
Niepokój, jakbyś ocierał się o ich łuski; zalane przejścia, tunele żwiru.
Aorty pleśni. Być może jutro zapomnisz te słowa

i zawsze już będziesz obcym językiem. Popatrz; tutaj, pod spodem
wciąż jeszcze pulsuje tętno – ten dźwięk się zapętla, odbija od lodu
i wraca do nas jak echo.

Пływ

Leżymy jak kamienie, więc mogę nazwać nas brzegiem.
Cisza wchodzi pod skórę jak w papier, puchną powieki.
Pękają żyły. Mamy te same objawy i przez chwilę stajemy się
sobie bliscy, tak samo rozbici, sklejeni jak syrop i cierpcy.
Toniemy w tym zimnym świetle; ból w żebrach pulsuje
i gaśnie. To tylko dreszcze, iskry na zgięciach.
Blizny, które znaczą tylko skórę.

Jeśli ślad ciepła wyjdzie na zewnątrz, zastygnie,
jak twoja twarz; w chwili, gdy się obracasz. I widać –
to, co wylega się w tobie, nie chce się poddać. Zapada się,
gnije, staje się obce; zimne jak noże, tępe żyłki,
pogięte ostrza.

Gezeit

Wir liegen da wie Steine, also kann ich uns Ufer nennen.
Die Stille geht unter die Haut wie ins Papier, die Lider schwellen auf.
Adern platzen. Wir haben die gleichen Symptome, und einen Augenblick lang
sind wir einander nah, genauso zerschlagen, verklebt wie Sirup und bitter.
Wir ertrinken im kalten Licht; der Schmerz in den Rippen pulsiert
und verlischt. Das sind nur Schauer, Blitze an den Beugen.
Narben, die nur Haut bedeuten.

Wenn die Wärmespur nach außen dringt, erstarrt sie
wie dein Gesicht; in dem Augenblick, wenn du dich umdrehst. Und man sieht –
was in dir brütet, will nicht kleinbegeben. Es sackt zusammen,
verfault, wird fremd; kalt wie Messer, stumpfe Rasierklingen,
verbogene Schneiden.

Плин

Ми лежимо, як каміння, тож можна назвати нас берегом.
Тиша всякає у шкіру, наче в папір, напухають повіки.
Тріскають жили. В нас однакові симптоми, й на мить ми стаємо
близькими, обоє розбиті, склеєні, наче сироп, і терпкі.
Тонемо в цьому холодному світлі; біль у ребрах пульсує
і гасне. Це лише дрож, іскри на згинах.
Шрами, що мітять саму лише шкіру.

Якщо слід тепла виступить на поверхні, то скам'яніє,
як твоє обличчя; у мить, коли ти обертаєшся. Й видно:
те, що залягає у тобі, не хоче піддатися. Провалюється,
гниє і чужішає; холодне, як ніж, як затуплені бритви,
погнуті леза.

**Prognozy**

Rano deszcz, potem cisza, nagle jak zapaść. Sobota schowała się za blokami,
jak ciemna chmura, zapowiedź zimy. Może dlatego zaczynam w miejscu,
w którym wczoraj skończyliśmy, w łóżku.

Ponieważ wszystko już było i jest policzone. Tylko na kołdrze zbiera się wilgoć,
okruszki gliny. Ciało jest wynajętym pokojem, nagim i obcym. A jednak to właśnie
nas łączy najmocniej, opuszki palców i pory skóry.

Nie rozmawiamy, czasem szepczemy do siebie przez sen, mimo, że sny
od dawna są ciężkie i zimne, i kończą się drzwiami. A jednak ciągle się budzę,
zasypiam i nie pamiętam nic z wcześniej.

Gdy wreszcie wstaję, odstąpiłam okna, żeby cisza w pokoju nie zakrzęptała jak rana,
nie wbiła się w niebo. Kiedy wychodzę, sąsiad pod blokiem wyrzywa chwasty;
chłodny dzień będzie, mówi do siebie.

Prognosen

Morgens Regen, dann Stille, abgrundjäh. Der Samstag stahl sich hinter Häuserblöcke
wie eine dunkle Wolke, Vorbotin des Winters. Vielleicht fange ich deshalb dort an,
wo wir gestern aufgehört haben, im Bett.

Weil es alles schon gab und gezählt ist. Nur auf der Bettdecke sammeln sich Feuchte,
Lehmbrösel. Der Körper ist ein gemietetes Zimmer, nackt und fremd. Vielleicht
verbindet uns gerade das am stärksten, die Fingerspitzen und die Hautporen.

Wir reden nicht, manchmal flüstern wir miteinander im Traum, obwohl die Träume
seit langem schwer und kalt sind und mit Türen enden. Und doch wache ich ständig
auf, schlafe ein und erinnere mich an nichts mehr von früher.

Als ich endlich aufstand, zog ich die Vorhänge fort, damit die Stille im Zimmer nicht
verschärfte wie eine Wunde, nicht himmelwärts drängte. Als ich fortgehe, zupft der
Nachbar unten am Häuserblock Unkraut; es wird ein kühler Tag, sagt er zu sich selbst.

Прогнози

Вранці – дощ, потім – тиша, раптова, наче колапс. Субота сховалася за будинками,
ніби темна хмара, прикмета близької зими. Може, тому я починаю там,
де ми вчора закінчили, – в ліжку.

Бо ж все вже було, і все пораховане. Лише на ковдрі – краплі вологи,
окрушки глини. Тіло – як винайнята кімната, гола й чужа. А все-таки це
нас найбільше єднає – пучки пальців і пори шкіри.

Ми не розмовляємо, іноді перешіптуємось крізь сон, хоча сні
вже віддавна важкі і холодні, з дверима наприкінці. І я весь час прокидаюся,
засинаю й не можу нічого згадати.

Коли врешті встаю, розсуваю штори, щоб тиша в кімнаті не запеклась, наче рана,
не вп'ялася у небо. Коли виходжу, сусід коло будинку поле бур'ян;
буде прохолодний день, – каже до себе.

(1970, Deutschland) – Dichter, Herausgeber, Übersetzer. Autor von u.a. folgenden Gedichtbänden: *Abends im Lidl* (2004), *Vergeuden, den Tag* (2006), *Abschied von Gomer* (2008), *Kanon vor dem Verschwinden* (2009). Dozent für Kreatives Schreiben und Leiter von Lyrikworkshops an der Universität Augsburg. Projektleiter des Schreibkurses „Lust auf Lyrik“ an Augsburger Gymnasien. Redakteur der Literaturzeitschrift „lauter niemand“. Herausgeber der Anthologie *alles außer Tiernahrung – Neue Politische Gedichte* (2009). Übersetzt spanischsprachige, amerikanische, arabische und niederländische Lyrik u.a. von German Carrasco, Rocio Ceron, Anna Botero, Rafael Zayas, John Ashery und Mohammed el Nabhan. 2010 erhielt der Autor den Bayrischen Kunstförderpreis für Literatur und das Stipendium DAGNY in der Villa Decius.

TOM SCHULZ (1970, Niemcy) – poeta, redaktor, tłumacz. Opublikował między innymi następujące tomiki poezji: *Wieczór w Lidl* (2004), *Marnować dzień* (2006), *Pożegnanie z Gomerą* (2008), *Kanon przed zniknięciem* (2009). Wykłada kreatywne pisanie oraz prowadzi warsztaty literackie na uniwersytecie w Augsburgu. Manager projektu pt. „Ochota na poezję” w augsburskich liceach. Redaktor magazynu „lauter niemand”. Redaktor antologii *wszystko poza karmą dla zwierząt – Nowe Wiersze Polityczne* (2009). Tłumaczy z języka hiszpańskiego, angielskiego, arabskiego oraz holenderskiego. W 2010 roku otrzymał bawarską Nagrodę Promocji Sztuki w zakresie literatury oraz stypendium DAGNY w Willi Decjusza.

ТОМ ШУЛЬЦ (1970, Німеччина) – поет, редактор, перекладач. Видав зокрема такі поетичні збірки: *Вечір в Лідль* (2004), *Марнувати, день* (2006), *Прощання з Гомерою* (2008), *Канон перед зникненням* (2009). Викладач креативного писання та ведучий поетичних семінарів в Аугзбурзькому університеті. Керівник проекту „Охота на поезію” в аугзбурзьких ліцеях. Редактор часопису „суцільні ніхто”. Редактор антології *все крім їжі для звірів – Нові Політичні Вірші* (2009). Перекладач із іспанської, англійської, арабської, голландської мов. У 2010 році отримав баварську Премію промоції мистецтва у сфері літератури та стипендію ДАГНИ на Віллі Деціуша.

Том Шульц Tom Schulz Tom Schulz

trudny wiersz

tego ranka wskoczyłem
do rzeki, wskoczyłem w ubrania
& wyglądałem zwyczajnie

był wtorek po poniedziałku
słońce mrugało, potem przyszły
chmury, kiwały

nie widziałem na niebie
znaków przyszłej stawy, *ach, jak bardzo smakuje
mi dzisiaj zupa* –
chcę zatańczyć w lewo, raz dokoła

a potem w prawo, mówię
molowo-durowymi strunami, na których
ty jesteś morzem & przyplływami

daremnie sprawdzać, kto dzwoni!

to, co ci powiedziałem, dotyczy
ubrań rzek poniedziałków
wtorków nagości szaleństwa

chwyć mnie za rękę:
chciałbym pokazać ci coś, co
nie istnieje, drzewa granatu

przed wejściem do domu, korzenie w asfalcie
wiatr wieje, z klęsk
wyrasta pokarm, trawa dla wszystkich

важкий вірш

цього ранку я стрибнув
у річку, вскочив в одяг
& виглядав дуже просто

був вівторок після понеділка,
сонце блимнуло, тоді насунули
хмари, мені помахали

я не мав допуску
з огляду неба, *о, як смакує мені
нині юшка* –
пуццуся в танок раз ліворуч

а потім праворуч, кажу,
чорно-світлі струни, на яких
ти море & припливи-відпливи
простежити, звідки дзвонили, даремно!

те, що сказав я тобі, стосується
одягу рік понеділів
вівторків нагості шалу

візьми мою руку:
хочу тобі щось показати,
чого нема, дерева гранату

перед вхідними дверима, коріння в асфальті
віє вітер, з поразок
зростає додача, трава для усіх

【Тлумаченіе: Стана Лісієчка】

【Переклад: Юрко Прохасько】

schwieriges Gedicht

an diesem Morgen sprang ich
in den Fluss, sprang in die Kleider
& sah einfach aus

es war Dienstag nach Montag
die Sonne blinzelte, dann kamen
Wolken, sie winkten

ich hatte keinen Vorlass
am Himmel gesehen, *ah wie gut mir die Suppe
heute schmeckt* –
einmal links herum will ich tanzen

dann rechts, ich sage
die schwarzhellen Saiten, auf denen
du Meer bist & die Gezeiten

Anrufrückverfolgung zwecklos!

was ich dir gesagt habe, gilt für
Kleider Flüsse Montage
Dienstage Nacktheit Verrücktheit

nimm mal meine Hand:
ich möchte dir etwas zeigen, das es
nicht gibt, die Granatbäume

vor der Haustür, die Wurzeln im Asphalt
der Wind weht, aus den Niederlagen
wächst Nachschub, Gras für alle

die Geliebte

sie rollte die Welle an den Strand
an jenem Morgen jene blaue See
kannte Engel ohne Lizenz

zum Engelsein, wenn sie aufs Meer
hinaus schwamm, waren die Berge
niemals ferne Rücken, jedes Mal

setzte sie einen Fuß weich auf
die Insel, der Boden gab nach
die Vulkanerde errötete unter

ihren kleinen Zehen, ich sah sie
gern durch Kirchentüren laufen
andere hielten sie für Beutekunst

es stimmt, sie war wie ein fremdländischer
Opal, mit jedem Tag stieg ihr Preis
Plagiate gab es von ihr keine

ich habe niemals mehr danach
& auch davor eine Vollendung gesehen
die in Sprache ausgedrückt

nicht vorkommen kann –
wenn sie sich singen ließe, dann
in einem Chorwerk von Pergolesi

an der wahren Schönheit operierte
sie, sie hatte einen Fehler, schielte
leicht um Litfaßsäulen, Bars

wenn sie nicht redete, legte ich
den Kopf ins Gras & schwieg die Zeit
zu Ende

ukochana

toczyła falę na plażę
tamtego ranka owo błękitne morze
znała anioły bez prawa

bycia aniołem, kiedy wyływała
w morze, góry nie były nigdy
dalekimi grzbietami, zawsze

stawiała stopę miękko na
wyspie, ziemia się ugiwała
wulkaniczna gleba czerwieniła się pod

jej małymi palcami, lubiłem patrzeć,
jak przechodzi przez drzwi kościołów
inni uważali ją za zrabowane dzieło sztuki

to prawda, była jak cudzoziemski
opal, z dnia na dzień rosła jej cena
była jedyna w swoim rodzaju

nigdy już później
& wcześniej nie widziałem doskonałości
która wyrażona w języku

nie może istnieć –
gdyby dało się ją zaśpiewać, to
w oratorium Pergolesiego

operowała prawdziwym pięknem,
miała pewną skazę, ukradkiem zerkała
na słupy reklamowe, bary

kiedy nie mówiła, kładłem
głowę w trawie & milczałem czas
do końca

【Тłumaczenie: Sława Lisiecka】

кохана

вона котила хвилю на берег
того ранку те синє море
знало ангелів і без ліцензії

на ангельство, коли вона
випливала в море, гори ніколи
не були далекими хребтами, і щоразу

вона м'яко клала на острів
стопу, земля піддавалась
вулканічна земля аж шарілась

під цими маленькими пальцями,
любив я дивитись, як йде крізь двері церковні
дехто вважав її трофейним мистецтвом

справді, вона була мов чужоземний
опал, її вартість зростала щодня
підробити таке неможливо

я ніколи пізніше
та й раніше ніколи не бачив
таку досконалість якої у мові

просто бути не може –
якщо би вдалося її проспівати
то хіба Перголезі в хоралі

оперувала на справжній красі
хиба у неї була одна, зизила
ледь з-за реклами і з барів

коли не говорила вона, я клав
голову в траву & мовчав увесь час
до кінця

【Переклад: Юрко Прохасько】

Ponowne spotkanie w Alei Kasztanowej

nigdy niegrane melodie, które przywiązują
jesień do krzewu, znajdują je
tam, gdzie pochyło opada park

szukanie właściwego
dzióbka, pierwszy mróz na schodach
policzkach, robi się październikowo, listopadowo

już wkrótce, babie lato mgły
w życiu wplata mi już leciutki szron
we włos, chciałbym

żeby przyleciały siewki, które poza tym
są tylko nad morzami, spacerować wzdłuż martwego
koryta rzeki, muszę kończyć

jak ten miesiąc, ta biel tam z tyłu
to nie śnieg, po prostu pomyłka, poetycki
splot, tornado jako fular

[Tłumaczenie: Agnieszka Gadzala]

Wiederbegegnung in der Kastanienallee

nie gespielte Melodien, die den Herbst
an einen Strauch binden, ich finde sie
wo der Park schräg abfällt

die Ausschau nach einem passenden
Schnabel, der erste Frost auf den Treppen
Wangen, es oktobert sich, es novembert

schon bald, der frühe Nebel
in meinem Leben, bildet schon Reif
in Haaresbreite, wünschte ich mir

Sandregenpfeifer herbei, die es sonst nur
an Meeren gibt, spazieren am abgesägten
Flusslauf entlang, ich habe zu enden

wie der Monat, das Weiße da hinten
ist kein Schnee, bloß ein Irrtum, poetisch
gestrickt, eine Windhose als Schal

знову на Каштановій алеї

досі не зіграні мелодії прив'язують
осінь до куща, я знаходжу їх там
де парк різко збігає в діл

роздивляння за відповідним
дзьобиком, приморозки на приступцях
щоках, вже жовтневіє, незабаром

падолистити буде, і рання мла
в моєму житті творить ризку інею
з волосину завтовшки, я прагну

побачити пісочника, який насправді
буває тільки над морем, прогулянки
зниклим руслом річки, завершуся

як цей місяць, оте біле ген там
не сніг, а якась поетично сплетена
помилка, смерчевий шаль

[Переклад: Христина Назаркевич]

die Tagesmutter

Gerölle von kleinen Steinen, ein Kiesel
farbener Tag, von ihm ist nicht mehr
viel übrig, von mir

allerhand, du kannst es aus meinen Augen
trinken, die nicht nachtblinden Fensterscheiben
die morgens niemanden fortgehen sehen

auf Uhren täglich, die eingestellte Zeit
Sittiche mag ich, Babys, beaufsichtige
sie jedoch nicht gern, zwei Katzen

wohnen in meiner Brust, die Mutter
wie Friedhofskresse, im Sommer
muss man alle Mütter gut gießen

man muss sich am Eingang eine Plastik
Kanne ausleihen, dann zu einem Brunnen
schlendern, es gibt sie doch

Brunnen, wenn ich die Stelle streichele
zittert dann die Mutterschoßhand?
es gibt sie doch, zwischen Quietschwatte

Singvögeln, zwischen mir
& der Vorstellung, ich würde Rentnerinnen
umarmen in Parks

wie sag ich es ihr?
ich habe keine & ich weine
den lieben langen Tag ins frische Gras

День з матір'ю

ріль камінців, день кольору
щебеню, від нього нічого вже
не зосталось, від мене ж

немало, ти можеш пити з моїх очей
шибки вікон не засліплені ніччю
вранці не побачать нічийого відходу

щодня на годинниках час наставлений
мені подобаються папужки, малята, проте
я не люблю їх бавити, в моїй душі

дві кішки живуть, мати подібна
до скромної квітки сердечника, влітку
треба добре матерів підливати

при вході позичити собі
пластикову коновку, поволоктися
до криниці, бо ж вони ще існують

криниці, коли погладжую це місце
то чи тремтить долоня матірнього лона?
бо ж вона ще існує, між пінопластом

співочими пташками, між мною
& уявленням, що я кинусь у парку
обіймати пенсіонерок

як мені їй це сказати?
я не маю & хлипаю
весь божий день уткнувшись у свіжу траву

【Переклад: Христина Назаркевич】

dzień z matką

małe okrągłe kamyki, dzień
w kolorze żwiru, niewiele z niego
pozostało, a ze mnie

proszę, możesz pić
z moich oczu, nie są ślepe jak szyby okien nocą
co rano nie widzą, kto odchodzi

na zegarach codziennie zawieszony czas
lubię papużki, dzieci, ale nie lubię
ich pilnować, dwa koty

mieszkają w mojej piersi, matka
jak gorczycznik cementarny, latem
trzeba wszystkie matki dobrze podlewać

przy wejściu pożyczyć plastikową
konewkę, potem niespiesznie pójść
do studni, ona przecież jest

studnia, kiedy głaszczę to miejsce
czy zadrży urodzajna ręka?
bo przecież ona jest, w miejskim gwarze,

śpiewie ptaków, między mną
& myślą, że obejmuję emerytki
w parkach

jak jej to powiem?
że mi jej brak & wszystko nie tak
i płaczę w świeżą trawę przez cały boży dzień

【Tłumaczenie: Agnieszka Gadzała】

ІРИНА
ШУВАЛОВА

(1986, Україна) – поетка, перекладачка. Закінчила філософський факультет КНУ ім. Тараса Шевченка, де зараз пише дисертацію. Здобуває другу вищу освіту в Київському інституті перекладачів при Національній академії наук України. Вірші широко друкувалися в літературній періодиці („Українська літературна газета”, журнал „ШО”, часопис „Четвер”, „Кур’єр Кривбасу”, „Березіль”), альманахах та антологіях. Учасниця численних перформансів, читань, фестивалів, літпроектів. Упорядниця антології сучасної світової квір-літератури *120 сторінок содому*. Лауреатка кількох літературних конкурсів – у тому числі володарка першої премії конкурсу видавництва „Смолоскип” 2009 року в номінації поезії (за збірку віршів *Ран*). Перекладає прозу та поезію з російської та англійської мов. Переклади друкувалися, зокрема, у журналі „Всесвіт”.

IRINA SHUVALOVA (1986, Ukraine) – Dichterin und Übersetzerin. Absolventin sowie Doktorantin der Philosophie an der Taras-Szewczenko-Universität in Kiew. Gegenwärtig legt sie ihr zweites Diplom am Kiewer Institut für Übersetzung an der staatlichen Wissenschaftsakademie der Ukraine ab. Ihre Gedichte wurden in zahlreichen Literaturzeitschriften (z.B. „Die ukrainische Literaturzeitung”, „Szo”, „Czetwer”, „Kurier Krywbasu”, „Berezil”) sowie in Almanachen und Anthologien veröffentlicht. Sie nahm an zahlreichen Performancen, Lesungen, Festivals und Literaturprojekten teil. Redakteurin der Anthologie *120 Seiten Sodom über zeitgenössische queere Literatur in der Welt*. Preisträgerin einiger Literaturwettbewerbe. 2009 erhielt sie für ihren Poesieband *Ran* den Hauptpreis in der Kategorie Dichtung eines von dem Verlag Smoloskyp organisierten Wettberbs. Sie übersetzt Prosa und Poesie aus dem Russischen und Englischen. Ihre Übersetzungen erscheinen vor allem in dem Magazin „Vsesvit”.

IRYNA SZUWAŁOWA (1986, Ukraina) – poetka, tłumaczka. Absolwentka oraz doktorantka filozofii Uniwersytetu Kijowskiego im. Tarasa Szewczenki. Robi drugi dyplom w Kijowskim Instytucie Tłumaczeń przy Państwowej Akademii Nauk Ukrainy. Jej wiersze były publikowane w wielu czasopismach literackich (np. „Ukraińska Gazeta Literacka”, „Szo”, „Czetwer”, „Kurier Krywbasu”, „Berezil”), almanachach i antologiach. Uczestniczyła w wielu performance’ach, czytaniach, festiwalach i projektach literackich. Redaktorka antologii współczesnej literatury queer na świecie *120 stron Sodomy*. Laureatka kilku konkursów literackich. Za tomik poetycki *Ran* otrzymała główną nagrodę w kategorii poezja w konkursie organizowanym przez wydawnictwo Smoloskyp w 2009 roku. Tłumaczy prozę i poezję z języka rosyjskiego i angielskiego. Tłumaczenia publikowane są przede wszystkim w magazynie „Vsesvit”.

ми дочекаємося весни
неба кора неодмінно трісне
зваби колишні нам стануть прісними
пальта торішні тепер тісні

руки вчорашні не пестять нас
так як нам хочеться. пальці цуплять
ліжко без любощів, чай без цукру
бавитись простором вже не час

завтра я стану луна ніхто
чорного клаптя на біле тло
перше тепло пришиє

дівчинка в переповненому метро
обійме тебе за шию

wir haben den Frühling erwarten können
die Rinde des Himmels zerplatzt unbedingt
was uns gereizt hat wirkt dünn
und die Mäntel vom letzten Jahr spannen

die Hände von gestern Herzen uns nicht
wie wir es wünschen. die Finger zupfen
lieblos das Bett, der Tee zuckerfrei
es ist für Verzückung durch Raum nicht die Zeit

morgen werde ich Widerhall
die frühe Wärme näht ihre Flecken schwarz
in den weißen Grund

ein Mädchen im U-Bahn-Gedränge
legt um deinen Hals ihre Hand

doczekamy wiosny
niebo ziemia rychło pęknie
pokusy dawne jakieś dzisiaj prząsne
płaszcz sprzed roku raptem jakiś ciasny

ręka wczorajsza nie pieści nas
tak jak byśmy chcieli. palce twardnieją
łóżko bez pieścot, herbata bez cukru
na zabawę przestrzeni już nie czas

jutro będę już tylko echem
czarny strzępek na białe tło
pierwsze ciepło przyszyje

dziewczynka w przepełnionym metrze
obejmie cię za szyję

Аніме

тіло оси як гарячий бутончик смерті
містом не озираючись йдуть дівчатка
ми камікадзе ми все завжди спочатку
під кімоно ми закохані і відверті
пальці вологі ноги до крові стерті
скоро асфальт заросте нами кожна латка

мікрорайони підступні як метастази
поступ трави не спинити ні сном ні лезом
руки тонкі обіймаючи нетверезо
ледве тримаєшся хочеш-бо все й одразу
скоро вже осінь треба давати джазу
скоро вже осінь можна вмикати безум

бачиш навшпиньках кожна розлука кожне
дерево кожен клубок павутиння річка
препубертатні розхлябані демонічні
ми неспроможні так але хто з вас може?
ах не дивіться злякано і вороже
скоро зима скоро ми заростемо ніччю

так це трапляється так воно прийде знову
білу пігулку страху під язик беремо
ми не евкліди та маємо теорему
чи пак теорію втім не про це розмова
хочеться точності вічності і любові
скоро весна скоро нас перекусить тремор

знаєте я перевірів усі ми смертні
тіло оси проростає в холодне світло
спину смугасту судомить усі ми діти
лілієликі жорстокі солодкі ревні
скоро ми будемо по підборіддя в серпні
скоро уже нескінчене отруйне літо

Anime

der Wespenleib wie eine heiße Knospe Tod
durch die Stadt gehen Mädchen und drehen nicht den Kopf
wir sind Kamikazeflieger sind immer alles zuerst
verliebt unterm Kimono offen
die Finger feucht die Füße blutig gelaufen
wächst bald jeder Flicker Asphalt mit uns zu

die Viertel verschlagen wie Metastasen
kein Schlaf keine Messer bremsen das Gras
trunken umgreifst du die dünnen Arme
kannst dich kaum halten – willst kurzerhand alles
bald ist Herbst man braucht Jazz
bald ist Herbst man kann zündeln mit Wahn

du siehst auf Zehenspitzen jede Trennung jeder
Baum jedes Knäuel Spinnennetz Bach
präpubertär schlampig dämonisch
wir sind impotent ja und wer von euch kann das?
ach schaut nicht so feindselig, ängstlich
bald ist Winter bald sind wir zugewachsen mit Nacht

ja das kann passieren ja das kommt wieder
weiße Panikpillen unter die Zunge nehmen
wir sind nicht Euklid aber haben Axiome
oder Theorien eher aber das ist nicht das Thema
man wünscht sich Exaktheit Ewigkeit Liebe
bald ist Frühling bald durchnagt uns der Tremor

wissen Sie ich habs geprüft wir sind alle sterblich
der Wespenleib wächst in das kalte Licht
Streifenrücken gekrümmt wir sind alle Kinder
lilienweiß grausam süß rasend
bald stecken wir bis an das Kinn im August
bald kommt der endlose giftige Sommer

Japońska kreskówka

jak gorący listek śmierci ciało osy martwe
miastem nie oglądając się idą dziewczynki
my kamikadze my zawsze do przodu
pod kimonem kochające serca otwarte
palce wilgotne nogi do krwi zdarte
niedługo asfalt zarośnie nami każdą drogę

blokowiska jak przerzuty podstępne
rozpędzonej trawy nie powstrzyma ostrze ani sen
ręce drobne obejmując nietrzeźwo
ledwie się trzymasz, chcesz wszystko od razu
zaraz już jesień tak chce nam się siebie
zaraz już jesień puść obłądu pęd

widzisz na paluszkach każda rozłąka z tobą
każde drzewo każdy kłębek rzeka nić pajęcza
dojrzewamy rozedrgani myśli nas dręczą
bezsilni ale gdzie są ci inni którzy mogą
ach nie patrzcie z przestraczem tak wrogo
zaraz już zima zaraz zarośniemy nocą

tak to się zdarza tak to przyjdzie znowu
białą pigułkę strachu pod język wsunie
jak matematyk swoje teorie wysnuje
czy też przykłady lecz nie nie w tym sprawa
chce się pewności wieczności miłości
zaraz już wiosna dygot chwyci ciało

wiecie sprawdziłem jesteśmy śmiertelni
ciało osy kiełkuje wieje chłodem
grzbiet prądkowany drżący a my zawsze młode
twarzą upiorne słodkie oddane
zaraz po szyję zatoniemy w sierpniu
już zaraz nadejdzie trujące lato

тримайся за вітер мій любий тримайся за вітер
усю нашу марну наскрізність нарешті віджито
відлюблено цноту тож нині у гречку у жито
тримайся за вітер мій любий тримайся за вітер

тримайся за ріки мій любий тримайся за ріки
ми наші одвіку ми наші одвіку й довіку
таких вже було нескінченно багато без ліку
тримайся за ріки мій любий тримайся за ріки

тримайся мій любий за струни тримайся за струни
десь голос подівсь що його ми заледве відлуння
пливімо потоком небес золоті і бездумні
за струни тримайся мій любий тримайся за струни

є я і є ти а є дещо стократно світліше
цей час не згубив мене тільки легенько потішив
цей час не змолв мене тільки я стала певніша
тримайся за тишу мій любий тримайся за тишу

ми доти і доки ми стани і рани і квіти
з долонь ми добудем вогонь в нас народяться діти
ми вільні втрачати й утрачене знову ловити
тримайся за вітер мій любий тримайся за вітер

halte dich an den Wind mein Lieber halt dich an den Wind
unsere Transparenz ist vergeblich und endlich durchlebt
jetzt lässt es sich fremdgehen die Tugend ward ausgelebt
halte dich an den Wind mein Lieber halt dich an den Wind

halte dich an den Fluss mein Lieber halt dich an den Fluss
wir gehören seit jeher zusammen seit jeher auf ewig
solche wie uns hat es viele gegeben unzählig
halte dich an den Fluss mein Lieber halt dich an den Fluss

halte dich an die Saiten mein Lieber halt dich an die Saiten
wo ist die Stimme geblieben wir sind nur fahler Widerhall
im Himmelsstrom schwimmen wir ohne Gedanken und golden
halte dich an die Saiten mein Lieber halt dich an die Saiten

ich bin und du bist es ist etwas hundertmal heller
mich hat diese Zeit nicht verloren etwas besänftiger bin ich
mich hat diese Zeit nicht zermahlen etwas bestimmter bin ich
halte dich an die Stille mein Lieber halt dich an die Stille

wir sind solange wir Wunden und Mulden und Blumen sind
aus den Handflächen schlagen wir Feuer bekommen die Kinder
wir sind frei zu verlieren aufs Neue Verlorenes wieder zu fangen
halte dich an den Wind mein Lieber halt dich an den Wind

trzymaj się wiatru mój miły trzymaj się wiatru
na wskroś nas przejrano, wszystko to już było
zaprzepaszczone cnotę niewinność zabito
trzymaj się wiatru mój miły trzymaj się wiatru

trzymaj się rzeki mój miły trzymaj się rzeki
myśmy nasi od wieków i nasi po wieki
i tacy już byli tak wielu bez liku
trzymaj się rzeki mój miły trzymaj się rzeki

trzymaj się струny mój miły trzymaj się струny
gdzieś głos się schował a my tylko echem
złoci bezmyślni płyniemy niebios potokiem
trzymaj się струny mój miły trzymaj się струny

jestem ja i jesteś ty, to co stokroć ważniejsze
ten czas nie zgubił mnie tylko lekko pocieszył
ten czas nie zmełł mnie tylko jestem pewniejsza
trzymaj się ciszy mój miły trzymaj się ciszy

byliśmy, jesteście stany i rany i kwiaty
z dłoni dobędziemy ogień narodzą się dzieci
jesteśmy wolni, zdolni tracić i stracone znów chwytac
trzymaj się wiatru mój miły trzymaj się wiatru

ось він підступний крадій зі шнурком шовковим
птаха на лапках червоних на лапках обачних
страх дріботить під серцем маленьким м'ячиком
зłodий зневагу твою зачіпає пальчиком
зłodий тебе наче плиску на ласку ловить

ти браконьєр, кабальєро, ти хитрий спритник
я ж зодяглася барвисто і так по-літньому
як не забогти цю здобич не звоювати

сполох чужий що сіпнув уже дріт польоту
ти ж бо хотів завжди ти ж бо прагнув потай
тіло гаряче летюче до рук прибрати

ув очеретах тремтіння сум'яття стебел
трепет і пера строкаті і вихор пуху
зłodий несе твою нехить до вуст до вуха
птаху затагне в охи забракне духу
збігти крило волочачи геть від тебе

крові червоний бісер. маленький бісик
скочив з конопель за комір і жили місить
в лоні сукає довгі косиці жару

шалу так щедро сипне під пернаті шати
горло підстав під шнурок уже час рушати
в темну безодню що золотом птаха вжалить

to on podstępny rabuś z jedwabnym sznurkiem
ptak na łapkach czerwonych na łapkach ostrożnych
strach łomocze pod sercem jak mała piłeczka
złodziej zniwagę twoją zamyka jednym paluszkiem
złodziej jak pliszkę piieszczotą cię łowi

bo jesteś kłusownikiem, jesteś chytrym spryciarzem
przecież odziałam się pysznie i tak jak na lato
ach jak cię kusi by taką zdobyc złowić

cudza trwoga szarpnęła drucik lotu
bo chciałeś zawsze bo pragnąłeś potajemnie
ciało gorące ulotne w dłonie zagarnąć

w trzcinach niepokój żdźbeł poruszenie
i drżenie i pióra pstrokate i wicher puchu
złodziej niesie twą niechęć do ust do ucha
ptak zanieś się szlochom zabraknie mu tchu
by uciec najdalej od ciebie skrzydło włokąc zranione

krwi korale czerwone. maleńki paciorek
z konopi skoczył za kołnierz i żyły gniecie
długie warkocze żaru splata

szалу tak szczerze sypnie pod pierzaste szaty
gardło podstaw pod sznurek czas ruszać
w ciemną głębię co złotem ptaszka użądli

hier der listige Dieb mit seinem Seidenfädchen
der Vogel auf roten bedächtigen Stelzen
im Herz dribbelt Angst wie ein Bällchen
der Dieb legt die Finger an deine Missachtung
der Dieb umkost dich du Vögelchen schlägt zu

du Wilderer, Caballero, gerissener Heuchler
ich bunt gekleidet und sommerlich leicht
wie nach solcher Beute nicht gieren nicht greifen

ein fremdes Flackern zupft schon am Flugdraht
du wolltest doch immer insgeheim wolltest du
Hand an den heißen fliegenden Körper legen

im Schilfgürtel zittert das Stengelgewirr
ein Zucken geschecktes Gefieder und Flaumwirbel
der Dieb trägt deinen Unmut zum Mund zu den Ohren
so schleppt er den Vogel durch Ohs nimmt den Mut
dir zu entfliehen mit verwundetem Flügel

ein gläsernes Blutperlchen rot der Quälgeist
springt aus dem Hanf hinters Halsband walkt dir die Venen
flieht dir im Schoß lange Stränge aus Glut

so freigebig streut sich die Lust unter Federn
steck deinen Hals in die Schleife wir müssen jetzt gehen
in den finsternen Abgrund ein Vogel blitzt golden

Із циклу Nijinsky

замикайте дитячі спальні на сто замків
зачиняйте двері бо ранок скрадеться нишком
білі коні весни знавісніло кусають віжки
і якщо зволікати якщо запізнитись трішки
то дитинство проснеться і кинеться навтьоки

білотілих ляльок вже підвішено за нитки
виростання меткі стрілки проставляють мітки
десь хорти скавучать і занурюють ікла в литки
із м'яких подушок на яких засинали дітки
рвуть зубами пір'я дівчата і юнаки

тут у кожній темниці ребер інакший біс
зі світлиці у сад попри зливу на сходи вниз
білий олень і чорна тінь ненастанно поруч

донеси свій світильник подиху не згаси
передчасно. перетанцюй їх усіх на пси
гончаки часу переймають розкішну здобич

Z cyklu Nijinsky

zamykajcie dziecięce sypialnie na sto zamków
zamykajcie drzwi bo ranek po kryjomu się skrada
białe konie wiosny wściekle lejce gryzą
i jeśli ociągać się jeśli spóźnić się troszkę
dzieciństwo się przebudzi i ucieknie

blade lalki powieszono już za sznurki
zostawiają ślad swój celny strzelcy szybcy
chartów skowyt do krwi gryzą łydki
z miękkich poduszek śnią dzieci
rwą zębami pióra chłopcy i dziewczęta

w każdym więzieniu żeber inny diabeł czyha
do sadu przez dom cały w deszczu zmyka
biały jelen i czarny cień wciąż razem

donieś swoje światło oddechu nie zgaś
przedwcześnie. tańcz aż zabraknie im tchu
gończe psy czasu przechwyć wspaniałą zdobycz

aus dem Zyklus Nijinsky

verschließt die Kinderzimmer mit hundert Schlössern
verriegelt die Türen verstoßen kommt der Morgen
die weißen Frühjahrsrösser reißen an den Leinen
wenn du zauderst zu lange trödelst
erwacht schon die Kindheit stürzt fort

die weißen Puppen hängen an den Fäden
flinke Wachstumspfeile setzen Marken
Jagdhunde winseln verbeißen sich tief in die Waden
die Federn aus Kinderkissen für weichen Schlaf
zerreißen die Älteren mit ihren Zähnen

in jedem Gefängnis aus Rippen ein eigener Teufel
trotz Wolkenbruch raus auf die Treppe zum Garten
der weiße Hirsch und beständig ein schwarzer Schatten

bring deine Atemlampe ins Ziel lösche das Licht nicht
verfrüht. tanz sie alle zunichte
die Zeit hat die Jagdhunde üppig machen sie Beute

вже дзвенить павутиння на сполох – війна війна.
комашня із зухвалим писком штурмує вікна.
що було в цьому світі німого простого літнього,
ще живе, досі тут, але стоншується щодня.

ніби вітрові тільки й діла, що їсти цвіт,
наче всі стихії змовились і взялися
руйнувати крихку фортецю живого листя,
парашути насіння підштовхуючи в політ.

наче все тільки й має сил, що лягти у ґрунт,
тільки спати, спати – знати свій час і місце,
знати м'якість землі і її неосяжну місткість.
а не знаєш – не смійся, бо жорнами перетруть.

це атака – щораз підступна, щоразу в пах,
по найтонших стеблах – та що там: ще по бруньках,
по живому, яке живе зі страху не жити.

подивись, це іде війна проти білих квітів.
тут полеглих ховають в кривавих м'яких плодах.

die Spinnennetze geben Alarm – Krieg es gibt Krieg.
mit zermürendem Sirren erstürmen Insekten die Fenster.
was in dieser Welt einfach war sommerlich stumm,
lebt hier noch immer, wird aber Tag für Tag dünner.

als hätte der Wind nur eines zu tun, Blüten fressen,
als hätten sich alle Elemente verschworen und würden
die labile Festung des lebenden Laubes zerstören
die Samenschirmchen in ihren Flug hinausstoßen.

als hätte alles nur so viel Kraft, in die Erde zu sinken,
zu schlafen, schlafen – die eigene Zeit den eigenen Ort zu wissen
und wie weich die Erde ist weit nach innen und unermesslich.
weißt du's nicht, dann lach nicht – sonst fressen dich die Steine.

diese Attacke – immer voll Niedertracht, jedes Mal in die Hoden,
in die zartesten Stiele, nein: Knospen,
in das Leben, das lebt, aus Angst nicht zu leben.

schau, es wird ein Krieg gegen die weißen Blüten geführt,
was fällt hier, findet sein Grab in den weichen blutigen Früchten.

już na trwogę pajęczyna dzwoni – wojna wojna.
owady ze zuchwałym piskiem szturmują okna.
wszystko na tym świecie co nieme proste letnie,
jeszcze żyje, wciąż żyje, ale codziennie mniej.

jedyna wiatru praca: strącać kwiaty musi,
jakby wszystkie żywioły zmówiły się żeby
rujnować kruchą fortecę listków jeszcze żywych,
spadochrony nasion pobudzać do lotu.

jakby sił wystarczyło tylko, żeby paść na ziemię,
i ciągle spać, spać – znać swoje miejsce i czas,
czuć ziemi miękkość i jej wielkość niezmierną.
nie śmieć się, jeśli nie wiesz, zmiażdżą cię żarnami.

to atak - podstępnie, raz po raz w samo serce,
po łądogach, po najcieńszych źdźbłach – a co tam: i jeszcze po
pączkach,
po żywym, ale jakie to żywe jak ze strachu umiera.

popatrz, nadciąga wojna przeciw białym kwiatom.
tu ofiary się chowa w miękkich soczystych owocach.

ЮЛІЯ СТАХІВСЬКА

(1985, Україна) – поетка, авторка поетичної книжки *Червоні чоловічки*. Лауреатка літературних конкурсів „Смолюскіп” та „Молоде вино”. Тексти також публікувалися в антології поезії 2000-х років *Дві тонни, Альманаху літературного фестивалю 13-го Форуму видавців у Львові, часописах „ШО”, „Кур’єр Кривбасу”*. Учасниця багатьох літературних імпрез, серед яких: Львівський міжнародний літературний фестиваль, „Київські лаври”, Non Fiction # 9 (Москва). Зараз працює арт-менеджером мережі книгарень „Є” в Києві.

JULIA STACHIVSKA (1985, Ukraine) – Dichterin, Autorin des Poesiebands *Rote Männchen*. Preisträgerin der Literaturwettbewerbe *Smoloscyp* und *Mołode wyno*. Ihre Texte wurden in der Anthologie der nach dem Jahr 2000 debütierender Dichter *Zwei Tonnen*, im *Jahrbuch des Internationalen Literaturfestivals des 13. Verlegerforums in Lemberg* sowie in den Zeitschriften „SZO” und „Kurier Krywbasu” veröffentlicht. Sie trat bei zahlreichen Literaturveranstaltungen auf, u. a. auf dem Internationalen Literaturfestival in Lemberg, dem Festival Kiewer Lawra sowie Non Fiction #9 in Moskau. Gegenärtig arbeitet sie als künstlerische Leiterin des Buchhandlungskette „Є” (je) in Kiew.

JULIA STACHIVSKA (1985, Ukraina) – poetka, autorka tomiku poezji *Czerwone ludziki*. Laureatka konkursów literackich „Smoloscyp” i „Mołode wyno”. Jej teksty były również publikowane w antologii poetów debiutujących po 2000 roku *Dwie tony, w Almanachu Międzynarodowego Festiwalu Literatury 13. Forum Wydawców we Lwowie*, w czasopiśmie „SZO” i „Kurier Krywbasu”. Występowała na wielu imprezach literackich, m.in.: na Międzynarodowym Festiwalu Literatury we Lwowie, Festiwalu „Kyjiwśki Ławry” oraz na Non Fiction #9 w Moskwie. Obecnie pracuje jako kierowniczka artystyczna sieci księgarni „Є” (je) w Kijowie.

Julia Stachiwaska Julia Stachivska Юлія Стахівська

часослов™

слова – це скляна капсула в океані світу
це німб над скульптурами святих у напівпорожньому храмі
гачок автобусної розмови на який ловлюсь охоче
камінь лайки що застрягає у сонячному сплетінні
спаська муха старечого бубоніння
пінг-понг дотепу...

слова – безіменні діти – послушники
що підносять чашу нареченим.
сплять у сиротинцях словників
і прокидаються мокрими від снів про маму
мандрують на дорожніх полицях розмовників
по вихідних сіймено і нарізно відвідують
стадіони тезаурусів і театри ars poetica
живучи на сторінках меню ніколи не куштують
усіх тих наїдків
розмножуються вегетативно: коренем і листками
ангели

але слова – це і глибока яма нужника
до якої усі навідуються
липкі мати для фізичних вправ у просоченому
гумою і людьми спортзалі
жуйка із тильного боку парти
політичні та рекламні прокламації
оголошення про аборт
висновок патологоанатома
пдв ввп спд чк ккд сс і навіть мирне узо...

і так від першого підсніжника крику
до останнього білого метелика смерті –

stundenbuch™

die wörter – glaskapseln im weltmeer
sind der heiligenschein für die figuren im fast leeren tempel
gesprächsköder im bus die ich gerne schlucke
ein schimpfstein der sich fängt im sonnengeflecht
erlösungsfliege im greisengebrabbel
witz-pingpong...

die wörter – kinder ohne namen – sind novizen
die den versprochenen den kelch hochreichen
sie schlafen in den waisenhäusern der lexika
erwachen nass aus mutterträumen
wandern durch die regale der sprachführer
besuchen am wochenende allein oder mit der familie
thesaurus-stadien und ars-poetica-theater
bewohnen die seiten der speisekarten ohne je
von all diesen speisen gegessen zu haben
vermehren sich vegetativ – über wurzeln und blätter
sind engel

aber die wörter – sind auch die tiefe notdurftgrube
an die ein jeder geht
klebrige gymnastikmatten in
gummi- und menschengetränkten sporthallen
kaugummi an der unterseite der schulbank
politische proklamationen und reklame
abtreibungswerbung
obduktionsberichte
ust bip fdp vp ss kz zdk zk gar ein fi-schalter...

und so vom ersten schrei wie das schneeglöckchen spitzt
bis zum letzten flügel Schlag des todweißlings –



katechizm™

słowa to szklana kapsuła w oceanie świata
to aureola nad rzeźbami świętych w półpustej świątyni
haczyk autobusowej rozmowy na który łowią się chętnie
kamień reprimendy który utyka w splocie słonecznym
namolna mucha starczego mamrotania
ping pong dowcipu

słowa – bezimienne dzieci – nowicjusze
podnoszący kielich narzeczonym.
śpią w sierocińcach słowników
i budzą się mokre od snów o mamie
wędrują po podróży półkach rozmówek
w weekendy rodzinami i oddzielnie odwiedzają
stadiony tezaursów i teatry ars poetica
żywąc na stronach menu nigdy nie kosztują
wszystkich tych potraw
rozmnażają się wegetatywnie: poprzez korzenie i listki
anioły

ale słowa to i głęboka czeluść świątyni dumania
do której wszyscy wstępują
lepkie maty do ćwiczeń w przesiąkniętej
gumą i ludźmi sali gimnastycznej
balonówka z tylnej ścianki szkolnej ławki
polityczne i reklamowe proklamacje
obwieszczenia na temat aborcji
wniosek patomorfologa
vat pkb czk ss i nawet pokojowe usg

i tak od pierwszego przebiśniegu krzyku
do ostatniego białego motyla śmierci –

зима тут затягується
наче подовження приголосних –
stopp – пласт за пластом улягається холод
намерзають тисячі нових імен
на давно вже відомі арматури речей та істот
і навесні затока вигнеться у інше слово
ще не знає яке
але точно із глибоководним ā

hier zieht sich der winter
wie gelangte stimmlose laute –
stopp – schicht auf schicht legt die kälte sich
es frieren tausende neuer namen
auf lang bekannte wesens- und dingarmaturen
und im frühjahr wird sich die bucht um ein andres wort biegen
welches ist noch nicht klar
bestimmt aber eines mit tiefwässrigem ā

zima przedłuża się tutaj
jak podwojenie spółgłosek –
stopp – warstwa za warstwą układa się zimno
namarżają tysiące nowych imion
na dawno już znane armatury rzeczy i istot
i na wiosnę zatoka wygnie się w inne słowo
jeszcze nie wie jakie
ale na pewno z głębokowodnym ā



усі питання до неї

уже далеко за північ ні навіть за ніч
б'є годинник у портовому містечку –
п'ять каменів упало у порожнє відро
кошеням квилить чайка
іди іди до мене під теплу ковдру
із пташиного пуху до теплих ніг

не хоче – кличе далі
і стукає у клямку мерзлої води
до риб котрі таки підпливають
і несміливими ротами хапають затяжку повітря
але спитати «хто там?» уже не можуть

не хоче – каже: сама розгрібайся
і дай нарешті можливість малькам сну
піднятись до горла
може тоді я прийду і вихоплю кілька
нахаба

ікра у мені
червона ікра крові рухається
до ненаситного рота серця
так уперто і самозаглиблено
що всі питання до неї
до мене – ні

я ж далеко виставляю язик наче мол
на розтерзання вітру морю і дню

alle fragen an ihn

schon nach mitternacht nein mitten in der nacht
die uhr schlägt im hafenstädtchen
fünf steine fallen in einen leeren kübel
wie ein kätzchen krächzt die möwe
komm komm zu mir warm unter die decke
aus vogelfedern an die warmen füße

will nicht – schreit weiter
klopft dem gefrorenen wasser ans schloss
den fischen nach die herankommen
mit angstvollen mäulern nach luft schnappen
doch fragen „wer ist da?“ können sie nicht

will nicht – sagt: komm du selber klar
gib endlich der brut aus dem traum ihre chance
dir hoch in die kehle zu steigen
dann komm ich vielleicht und pick mir welche raus
früchtchen

in mir ist der rogen
der rote blutrogen schwappt
an den gefräßigen herzmund
hartnäckig selbstvergessen
deshalb an ihn alle fragen
und keine an mich

ich streck die zunge nach draußen wie eine mole
zum verzehr durch den wind das meer und den tag

wszystkie pytania do niej

już grubo po północy nie nawet po nocy
bije zegar w portowym miasteczku –
pięć kamieni wpadło do pustego wiadra
jak kociątko kwili mewa
chodź chodź do mnie pod ciepłą kołdrę
z ptasiego puchu do ciepłych nóg

nie chce – woła dalej
i stuka w klamkę zamrożonej wody
do ryb które jednak podpływają
i nieśmiały ustami łapią sztach powietrza
ale spytać kto tam? już nie mogą

nie chce – mówi: sama się pouklądaj
i daj wreszcie możliwość rybkom snu
wznieść się do gardła
może wtedy przyjdę i złapię kilka
bezczelna

ikra jest we mnie
czerwona ikra krwi porusza się
do nienasyconych ust serca
tak uparta i zagłębiona w sobie
że wszystkie pytania do niej
do mnie – nie

daleko wysuwam język jak molo
na rozszarpanie wiatru morza i dnia

віднайдення персня

скільки речей загублених
ніби посажені в землю зернята
проростуть

годинники – ірисами
каблучки – ромашками
ключі – гладіолусами

(а застібка від твоєї куртки – кульбабою)

і кожна матиме свою історію
записану від кореня до пагона
цупкими знаками життя

я загубила сьогодні перстень з перлиною
і щось срібно мені підказує
що він вигулькне первоцвітами
із масної землі і пречистого снігу

і ти принесеш мені один

den ring finden

so viele verlorene sachen
sie treiben wie in die erde
gesetzte samen

die uhren – werden iris
die eheringe – kamille
schlüssel – gladiolen

(und der knopf von deiner jacke – ein löwenzahn)

eine jede wird ihre eigene geschichte haben
von der wurzel bis zum stengel gesetzt
in zähe lebenszeichen

heute habe ich den ring mit der perle verloren
und irgendwas flüstert mir silbrig vor
dass er sich mit den himmelsschlüsseln
aus der fetten erde dem reinen schnee drehen wird

einen bringst du mir

odnalezienie pierścionka

ile rzeczy zgubionych
niczym posadzone w ziemi ziarenka
wykiełkuje

zegarki jako irysy
obrączki – rumianki
klucze – mieczyki

(a klamerka od twojej kurtki – mleczy)

i każda będzie mieć swoją historię
zapisaną od korzenia do pędu
trwałymi znakami życia

zgubiłam dzisiaj pierścionek z perłą
i coś srebrno mi podpowiada
że wynurzy się pierwiosnkami
z tłustej ziemi i przeczystego śniegu

i ty przyniesiesz mi jednego

(1971, Deutschland) – Lyriker, Übersetzer englischsprachiger Lyrik, freier Kritiker sowie bis 2003 Mitherausgeber der internationalen Literaturschachtel „Die Aussenseite des Elementes“. Im Berlin Verlag erschienen die Gedichtbände *Probebohrung im Himmel* (2001), *Guerickes Sperling* (2004), *Achtzehn Pasteten* (2007) und *Australien* (2010) sowie Bände mit Übersetzungen ausgewählter Gedichte von James Tate. Zusammen mit Björn Kuhligk publizierte er die Anthologien *Lyrik von Jetzt. 74 Stimmen* (2003) und *Lyrik von Jetzt zwei. 50 Stimmen* (2008) sowie das Buch *Der Wald im Zimmer. Eine Harzreise* (2007). Für seine Lyrik, die in 25 Sprachen übersetzt wurde, erhielt er neben Stipendien (u.a. 2004 mit dem Heinrich-Heine-Stipendium in Lüneburg, 2008 als „writer-in-residence“ am Oberlin College in Ohio, 2011 in der Akademie Rom/ Villa Massimo) u.a. den Mondseer Lyrikpreis (2004), den Anna-Seghers-Preis (2004), den Ernst-Meister-Preis (2005) und den ersten Wilhelm-Lehmann-Preis (2009).

JAN WAGNER (1971, Niemcy) – poeta, tłumacz poezji anglojęzycznej, krytyk literacki oraz współwydawca międzynarodowego czasopisma literackiego „Die Aussenseite des Elements“. W wydawnictwie Berlin Verlag ukazały się zarówno tomiki poezji *Odwiert próbny w niebie* (2001), *Wróbel Guericke'a* (2004), *Osiemnaście pasztetów* (2007) i *Australia* (2010), jak i tomiki z tłumaczeniami wybranych wierszy James'a Tate'a. Wspólnie z Björnem Kuhligkiem opublikował zarówno antologię *Dzisiejsza Poezja. 74 głosy* (2003), *Dzisiejsza poezja dwa. 50 głosów* (2008), jak i książkę *Las w pokoju. Podróż przez góry Harcu* (2007). Za swoje wiersze, które zostały przetłumaczone na 25 języków, otrzymał oprócz stypendiów (m.in. w 2004 roku stypendium Heinricha Heine w Lüneburgu, w 2008 roku stypendium „writer-in-residence“ w Oberlin College w Ohio, w 2011 roku w Rzymskiej Akademii/Villa Massimo) także nagrodę Mondseer Lyrikpreis (2004), Nagrodę Anna Seghers (2004), nagrodę Ernsta Meistersa (2005) oraz nagrodę Wilhelma Lehmanna (2009).

ЯН ВАҒНЕР (1971, Німеччина) – поет, перекладач англomовної поезії, літературний критик, а також видавець міжнародного літературного журналу „Зовнішній бік елемента“. У видавництві Берлін Верлаг з'явилися друком його поетичні збірки *Пробна бурова свердловина у небі* (2001), *Горобець Гуеріка* (2004), *Вісімнадцять Паштетів* (2007), *Австралія* (2010), а також збірки з перекладами вибраних віршів Джеймса Тейта. Спільно з Бюрнем Куглігкієм опублікував антології *Сьогоднішня поезія. 74 голоси* (2003), *Сьогоднішня поезія два. 50 голосів* (2008), а також книжку *Ліс у кімнаті. Подорож горами Гарц* (2007). За свої вірші, які були перекладені 25 мовами, отримав крім стипендій (зокрема в 2004 році стипендія Гайнріха Гайне в Люнебурзі, в 2008 році стипендія „письменник описує місто“ в Оберлін Колледж в Огайо, в 2011 році в Римській Академії (Вілла Массімо), поетичну нагороду Мондзеєр (2004), відзнаку Анни Зегерс (2004), нагороду Ернста Мейстера (2005), а також нагороду Вільгельма Леманна (2009).

Ян Ваґнер Jan Wagner Jan Wagner

verabredungen für die kaimanjagd

du das messer, wendig und scharf genug, um ihnen aus dem anzug zu helfen, ihren edlen lederflanken. den knüppel ich, nur sicherheitshalber.

ich das flache boot, das aus eingebung und wagemut zusammengenietet wurde, unsichtbar für wildhüter, selbst für hunde nahezu lautlos,

du die taschenlampe, den lichtstrahl, der die echsenaugen findet, verräterisch im wasser leuchten läßt, falls mein tropenvollmond nicht schon genug ist.

ich die mücken, ich die mangrovensümpfe, du die jaburus mit den langen beinen, federgondeln neben uns, friedlich durch die dämmerung stakend,

die vom himmel sinkt, und die dämmerung, die aufsteigt von den wassern, bis man nicht weiß, ob man gespiegeltes oder spiegelbild ist, bis unser blechkahn

mitten durch die konstellationen gleitet, hungrig, kalt. ich halte die richtung. nimm jetzt du die flinte. ziele genau ins dunkel zwischen zwei sternern.

połowanie na kajmana

ty nóż zwinny, dość ostry na to, żeby wyzwolić je z ich garniturów i z ich skór szlachetnie wytartych, ja pejcz tak na wszelki wypadek.

ja łódź płaskodenną i znitowaną z oddania i śmiałości, niedostrzegalną dla leśniczych, nawet dla psów na tropie niewyczuwalną,

ty małą latarkę, ten promień, który znajdzie jaszczurcze oczy i podstępnie rozpali je w wodzie, gdy nie wystarczy mój księżyc w pełni.

ja moskity, ja bagna zwrotnikowe, ty żabiru smukłe o długich nogach, gondole pierzaste, co tak łagodnie przez zmierzch żeglują,

który z nieba spada i przez zmierzch, który wstaje z wody, aż w końcu nie wiadomo, czy się jest odbijanym, czy też odbiciem, w końcu nasz statek

sunie między konstelacjami, głodny, zmarznięty, teraz ja trzymam ster, a ty weź strzelbę i celuj dokładnie w ciemność między dwie gwiazdy.

приготування до полювання на кайманів

ти ніж, в'юнкий і досить гострий, щоб
звільнити їх з убрання, їхніх
шляхетних шкіряних боків. довбешку я, лише
задля надійності.

я – плаский човен, сплетений з натхнення і
відваги, невидний для лісничих,
ба навіть для собак
майже безгучний,

ти – ліхтарик, промінь світла, що
знаходить ящериці очі і підступно у воді
запалює, якщо моєї місячної повні
недостатньо.

я – комарів, я – мангрові болота,
ти – водомірок з довгими ногами,
і пір'яні гондоли коло нас сумирно
чалапають крізь сутінки –

ті, що звисають з неба, й ті, що
здіймаються із вод, і вже не знаєш, хто
ти – відображене чи відображення,
поки наш човен бляшаний

крізь констеляції проковзує,
голодний і холодний. я тримаю напрям. візьми
тепер гвинтівку. і поціль прямисінько у темінь
між двох зір.

im brunnen

sechs, sieben meter freier fall
und ich war weiter weg
als je zuvor, ein kosmonaut
in seiner kaapsel aus feldstein,
betrachtete aus der ferne
das kostbare, runde blau.

ich war das kind
im brunnen. nur die moose
kletterten am geflochtenen
seil ihrer selbst nach oben,
efeu stieg über efeuschultern
ins freie, entkam.

alles wurde weniger.
ab und zu der weiße blitz
eines vogels, ab und zu
der weiße vogel blitz. ich aß,
was langsamer war. der mond,
der sich über die öffnung schob,
ein forscherauge überm mikroskop.

gerade, als ich die wörter assel und stein
als assel und stein zu begreifen lernte,
drang lärm herab, ein hasten, schreie,
und vor mir begann ein seil.

ich kehrte zurück ins läuten der glocken,
zurück zu brotgeruch und busfahrplänen,
dem schatten unter bäumen, schlangestehen,
gesprächen übers wetter, kehrte
zurück zu taufen und tragödien,
den schlagzeilen, von denen
ich eine war.

w studni

upadek w dół z sześciu, siedmiu metrów
i byłem dalej niż
kiedykolwiek przedtem, kosmonauta
w kapsule z polnego kamienia,
obserwowałem z daleka
drogocenny, okragły błękit.

stało się, wpadłem.
tylko mchy
wspinały się w górę po linie
samych siebie,
bluszcz piął się stając
na ramionach bluszczu, uciekał.

wszystkiego było mniej.
od czasu do czasu biała błyskawica
ptaka, czasem biały ptak błyskawicy.
jadłem wszystko, co było wolniejsze.
księżyc, który wsunął się w otwór, był
jak oko badacza nad mikroskopem.

właśnie gdy zaczynałem rozumieć
znaczenie słowa stonoga i słowa kamień,
z góry wtargnął hałas, głosy, krzyki i
zobaczyłem początek liny.

wróciłem do dźwięku dzwonów
do zapachu chleba i rozkładów jazdy au-
tobusów, do cienia pod drzewami, kolejelek,
rozmów o pogodzie, wróciłem do chrztów
i do tragedii, do nagłówków w gazetach,
sam byłem jednym z nich.

в криниці

сім-вісім метрів вільного падіння –
і я вже віддалився більше,
ніж будь-коли раніше, космонавт
у капсулі із польового каменю,
я спостерігав здалека
що коштовну круглу синь.

я був дітям
в криниці. лиш мохи
спиналися зсуканою ливною
себе самих угору,
плющ дерся по спині плюща
на волю, виривався.

усього стало менше.
часом біла блискавка
птаха, вряди-годи
блискавки білий птах. я їв
усе, що було повільніше. місяць,
що насунувся на отвір,
око дослідника над мікроскопом.

саме коли слова «мокриця» й «камінь»
я вчився розуміти як мокрицю й камінь,
згоря удерся гамір, поспіх, крики,
й переді мною почалася ливна.

я повернувся до звучання дзвонів,
запаху пекарні, до розкладів автобусного руху,
до тіней під деревами, стояння в чергах,
балачок про погоду, повернувся
до Хрестин і до трагедій,
заголовків на передовицях, із яких
одним був я.

riß

der sommer, als sie mich nach drinnen riefen,
mit schwalben, die präzise wie skalpelle
über die felder schnitten, jenen reifen
gewittertrauben hinter der kapelle,

und gerade als die katze wie gestochen
zum keller rannte (der instinkt der tiere,
der urkontakt) fast in mir selbst das krachen,
vom turm der eine schlag. da war es vier.

am nächsten morgen ließ uns der vikar
nach oben: kohletauben, brandgeruch,
die meisterglocke aus der zeit der fugger –

beim nähertreten erst sah man den riß,
der feingezackt über das kupfer kroch
wie ein insekt, gefangen unterm glas.

rysa

to lato, gdy wezwali mnie do domu,
jaskółki, co dokładnie jak skalpele
równiny rozcinały i dojrzałe
burzowe grona z tyłu za kaplicą

i właśnie kiedy kot jak oparzony
zbiegł do piwnicy (ach, ten instykt zwierząt,
ach, ta pierwotna łączność), dźwięk od strony
wieży, jak uderzenie. była czwarta.

nazajutrz proboszcz zabrał nas na górę:
czarne gołębie zapach spalenizny
i piękny dzwon z czasów fuggerów –

dopiero z bliska widać było ryse
pełznącą wolno po miedzianej tafli,
jak owad przyciśnięty szklanym kloszem.

тріщина

те літо, коли мене закликали ввійти до неї
зі стрижами, що несхибно, як ножами,
достигле гроно бурі тяти над ріллею
за каплицею, над сіножаттю,

i саме коли кицька, мов ужалена,
помчала до пивниці (інстинкт звірят,
зв'язок прадавній), я почув відлуння –
з вежі гримнуло. i знерухомів циферблат.

a вранці вікарій нас пустив
нагору: смаленого запах, звуглілі голуби,
красивий дзвін із фуггерських часів –

i треба було ближче підійти, аби її розгледіти –
ту тріщину, яка зубцями дрібними поповзла по міді,
немов комаха спіймана під склом.

ein pferd

„The well-aimed phrase is a whip
your poem a horse.“
(Michael Donaghy, nach Lu Chi)

ist es ein fuchs, ein schimmel oder rappe,
hengst oder stute,
was durch den garten trabt und am rhabarber
zugange ist, an der lavendelstaude?

was dort über die triplebarre
hinwegsetzt, nur um in der mitte
des schlachtfelds zu landen, vor den karren
mit fässern und die goldene pyramide

aus heu gespannt? das kaltblut,
das aus brabant ein kiloschweres herz
heranschleppt und das V, den leichten pflug
der wildgänse, oder der lippizaner, der als schwärze

geboren wird, der über alle felder
hinwegzutänzeln weiß und immer weißer,
der zum triumph wird, alle welt ins schach stellt,
blendend wie das schnupftuch eines kaisers?

versteht sich: sämtliche zweihundert-
undzweiundfünfzig knochen kannst du noch im schlaf
zusammensetzen, weißt vom huftritt,
erkenntnishart, der präzision im schweif,

den schemen, die sich nachts graubraun
am zaun der weide reiben, hü und brr,
hörst das erstickte wiehern in den gräbern
der pharaonen und eroberer.

und doch bist du jetzt hier, rot wie ein bier-
kutscher und fluchend, mit dem zuckerstück
genialität in deiner tasche und dem tier,
das weder vor geht noch zurück,

nicht reagiert auf deine gerte
und auch nicht auf die möhre, die am band
vor seinen nüstern baumelt wie die kerze
vor der ikone. rühr dich, sagt du bebend.

es rührt sich nicht. es steht da, sieht ins land.



koń

„The well-aimed phrase is a whip
your poem a horse.“
(Michael Donaghy, nach Lu Chi)

czy to kasztan, siwek, czy też kary,
ogier czy klacz
biega po ogrodzie, koło rabarbaru,
przy krzaku lawendy właśnie skacze?

i przeskakuje tam przez stacjonaty,
by wylądować w samym środku
jatki, zaprzężony między wóz drabiniasty
z beczkami i złotą

piramidę siana? koń pociągowy, który przywłókł
kilogramowe serce z brabancji
oraz V, lekki pług
dzikich gęsi, czy też koń lipicański,

który rodzi się czarny, który umie tańczyć po wszystkich
polach, i jest coraz
bielszy, który staje się triumfem, szachuje wszystkich,
oślepiając białą, jak chusteczka cesarza?

oczywiście: jego dwieście
dwadzieścia pięć kości potrafisz złożyć
nawet we śnie,
znasz jego twarde kopyto, ogon hoży,

zjawy, które nocą szarobure
ocierają się o płot pastwiska,
wio i prr, słyszysz zduszone rżenie w pobliżu grobu
faraonów i zdobywców.

a przecież teraz jesteś tu, czerwony jak dorożkarz
i przeklinający, w kieszeni
masz cukier geniuszu, a przed sobą zwierzę,
które nie chce iść w przód ani cofnąć się,

nie reaguje na twój pejcz,
ani na marchewkę, która przy bandzie kolebie
mu się przed nosem jak świeczka
przed ikoną. rusz się, mówisz w gniewie.

a on się nie rusza. stoi, patrzy przed siebie.

коняка

„The well-aimed phrase is a whip
your poem a horse.“
(Майкл Донагі, за Лу Чі)

гнідий, вороний, чалий,
огир чи кобила,
що садом чвалом,
і за ревінь взявся, за лаванди било?

що потрійну перепону
бере, щоб приземлитися
на полі раті, упрягтися в колісницю,
де бочка й сіна золота копиця

пірамідою? цей ломовик,
який волочить із брабанту серце,
тягне букву «V», цей легкий плуг
диких качок, чи ліпіцанер-кінь, що чорним

народився, і завиграшки минає
всі застави, і білішає,
і триумфує, шах світу ставить,
сліпить всіх, як імператорський носовичок?

ну, ясна річ: всі – скопом – його
двісті п'ятдесят дві кістки навіть уві сні
ти зможеш скласти, знаєш про удар копитом,
точний хвіст,

примари, що вночі в бронзово-сірих
тонах об загороду труться, тпру та вйо,
і чуєш притлумлене іржання між могил
загарбників і фарао-

нів. втім, ти досі тут, червоний, як п'яничка-
фірман, клянеш на чім стоїть, цукрова грудка
геніальності в кишені, а тварюка
ані руш – і ні вперед, ані назад.

і не зважає на твою лозину,
ні на морквину, що на стрічці
теліпається перед ніздрями, як свічка
перед іконою. та рушся, гаркнеш на тварину.

а та не ворушиться. знай стоїть. стоїть і дивиться.

KONRAD WOJTYŁA

(1979, Polska) – poeta, dziennikarz, krytyk literacki. Zastępca redaktora naczelnego Polskiego Radia Szczecin. Absolwent filologii polskiej z dziennikarstwem na Uniwersytecie Zielonogórskim. Obecnie przygotowuje rozprawę doktorską o aspektach religijnych w twórczości Rafała Wojaczka. Wydał cztery książki poetyckie; ostatnio *może boże* (2010). Recenzje, eseje i wiersze publikował w wielu pismach, m.in. „Odra”, „Portret”, „FA-art”, „Biuro Literackie”, „Kresy”, „Arkadia”, „Pogranicza”, „Przegląd Polski” (USA) czy „Gazeta Wyborcza”. Mieszka w Szczecinie.

KONRAD ВОЙТИЛА (1979, Польша) – поет, журналіст, літературний критик. Заступник головного редактора Польського Радіо Щеціна. Випускник полоністики та журналістики Університету в Зеленій Гурі. Готує дисертацію про релігійні аспекти творчості Рафала Воячка. Видав чотири поетичні збірки; остання під назвою *може боже* (2010). Рецензії, есеї та вірші публікував у багатьох журналах, зокрема „Одра”, „Портрет”, „ФА-арт”, „Бюро Літерацке”, „Креси”, „Аркадія”, „Пограніча”, „Пшегльонд Польські” (США) та „Газета Виборча”. Живе у Щеціні.

KONRAD WOJTYŁA (1979, Polen) – Dichter, Journalist und Literaturkritiker. Stellvertretender Chefredakteur von Polskie Radio Szczecin. Absolvent der polnischen Philologie und Journalistik an der Universität von Zielona Góra. Gegenwärtig bereitet er seine Dissertation über religiöse Aspekte im Schaffen von Rafał Wojacek vor. Herausgeber von vier poetischen Büchern; zuletzt *vielleicht gott* (2010). Er veröffentlichte Rezensionen, Essays und Gedichte in zahlreichen Zeitschriften, u. a. in „Odra”, „Portret”, „FA-art”, „Biuro Literackie”, „Kresy”, „Arkadia”, „Pogranicza”, „Przegląd Polski” (USA) sowie „Gazeta Wyborcza”. Der Autor lebt in Stettin.

Pierwsze i ostatnie

Matka płacze
nad rozlanym mlekiem;
śmierci nie wierzy
bo życie nie może
tak po prostu zniknąć.
Przecież nie rozejdzie się
po kościach; w ziemi.
Jak nic.

Wkładam całe ciało
w ostatnią podróż. To już.
Urywa spojrzenie. Wie.
Krzusi się.
Będzie przygotowana;
grzeczna. Da się
złapać za rękę,
i nie będzie płakać.

Złap mnie, jeśli możesz.
Wykop, jeśli potrafisz.

Erstes und Letztes

Die Mutter weint
über die vergossene Milch;
dem Tod glaubt sie nicht
das Leben kann doch
nicht einfach so verschwinden.
Es verläuft schließlich nicht
im Sande; in Erde.
Als wäre nichts gewesen.

Ich lege meinen ganzen Körper
in die letzte Reise hinein. Es ist so weit.
Sie reißt den Blick los. Sie weiß.
Sie verschluckt sich.
Sie wird vorbereitet sein;
brav. Sie lässt sich
bei der Hand ergreifen,
und wird nicht weinen.

Ergreif mich, wenn du kannst.
Grabe mich aus, wenn du imstande bist.

Перше й останнє

Мати плаче
над розлитим молоком;
смерті не вірить,
бо життя не може
так просто зникнути.
Бо ж не зійде на-
нівець, у прах, у землю.
Наче ніщо.

Вкладаю все своє тіло
в останню мандрівку. Кінець.
Обриває погляд. Знає.
Захлинається.
Вона буде готова і
чемна. Дозволить
узяти її за руку,
не буде плакати.

Упіймай мене, якщо можеш.
Викопай, якщо вмієш.

Druga w roku

Kobieta się śmieje.
Z niego. Nie ze mnie.
Lekko drga języczek uwagi.
Lubię ten śmiech –
Diagnozę rzeczy wspólnych.

Kobieta puszcza oko. Leci. Unosi się
latawiec spódnicy.
Jest w tym niezła.
Można by nawet przypuszczać,
Że będzie pragnął ją upić.

Mówi, że już. Że może by pójść.
Że już nie może, nie wytrzyma; że
noc nie noc, ponieważ
i byle już tylko
palce lizać po tobie.

Die Zweite im Jahr

Die Frau lacht.
Über ihn. Nicht über mich.
Leicht bebzt das Zünglein an Aufmerksamkeit.
Ich mag dieses Lachen –
die Diagnose von Gemeinsamkeiten.

Die Frau wirft ein Auge. Im Flug. Der Rock
steigt auf wie ein Drachen.
Das macht sie nicht schlecht.
Man könnte gar meinen,
er wird sie betrunken machen wollen.

Sie sagt, es sei genug. Besser sie gingen.
Sie könne nicht mehr, halte es nicht aus; es sei,
Nacht hin oder her, zu spät,
um nur mehr
sich die Finger nach dir zu lecken.

Друга година року

Жінка сміється.
З нього. Не з мене.
Ледь тремтить язичок уваги.
Люблю я цей сміх –
Діагноз спільних речей.

Жінка пускає бісики. Летить. Підймається
парашутик спідниці.
Йй це гарно вдається.
Можна припустити,
Що він захоче її споїти.

Він каже: вже. Може, ходімо?
Він більше не може, не витерпить; і
ніч – не ніч, а потім – по всьому,
й лиш пальчики після тебе
облизувати.

Przejście podziemne

tyle śmierci razem że nie mniej
niż osobno. Patrz pustka
w pokoju jeszcze ślady
przejść i słów.

wyrazy
współczucia

których wyrazić się nie da
unoszą się przy rogach łóżka
w ciepłym fotelu ręka
co uwiecznia gest
i oko co spod powiek
ostatni raz rzuca się
na osłep.

gdzie już rosną trawy i korzenie
i skrzep lęku i śliny i kamienie
mchem porośnięte. gdzie bryła ziemi
którą nie sposób rzucić w dół
w otwarte gardło ojca
co niby śpi, a patrzy.

podziemnym przejściem
der tod wychodzi
z ciebie we mnie
i znów coś
umiera.

Unterführung

so viel tod zusammen nicht weniger
als einzeln. schau die leere
im raum noch spuren
der übergänge und worte.

bekundungen
des beileids

die sich nicht aussprechen lassen
erheben sich an den enden des bettes
im warmen sessel eine hand
die eine geste verewigt
und ein auge das unter den lidern
das letzte mal
blind drauflos stürzt.

wo schon gras und wurzeln wachsen
und ein gerinnsel aus angst und spucke und mit moos
überwachsene steine. wo ein erdklumpen
sich unmöglich nach unten werfen lässt
in die offene kehle des vaters
der scheinbar schläft, aber schaut.

aus der unterführung
kommt *der tod*
aus dir in mich
und wieder stirbt
etwas.

Підземний перехід

стільки смерті вкупі – не менш
ніж окремо. дивись пустка
в кімнаті ще сліди
переходів і слів.

слова
співчуття

яких і не висловиш
висять над кутами ліжка
у теплому кріслі рука
що увічною жест
і око що з-під повіки
востаннє кидається
наосліп.

де вже ростуть трави й коріння,
згусток страху й слини, і поросле
мохом каміння. де брила землі
що її неможливо жбурнути вниз
у відкрите горло батька
який ніби спить, а все бачить.

підземним переходом
виходить *der tod*
із тебе у мене
і знов щось
помирає.

Na krawędzi piaskownicy

Męstwo zaczyna się w piaskownicy
pośród okrzyków i ziarenek piasku.
Później bicie baby po twarzy i sypanie
za kołnierz całej łopatki.
Nadchodzi taki czas. W domu albo przed blokiem
przechodzi pustynna burza. Latają zabawki i spojrzenia.
Trup ściele się piaskiem.
Unosi się, leci w proch.
Pełno nas, a nie ma nikogo. Zaraz przyjdą matki
i będą płakać nad utraconym dzieciństwem.
Znów zacznie się celibat gestów i myśli.
Dla bohatera pomnik. Róża –
albo coś co pachnie.
Przewracam się na trzeci bok.
Śni mi się pustynia. Wieniec.
Pęknięte wargi, piasek.
Wykręcam się męstwem w poszukiwaniu
mokrego języka.

Am Rande des Sandkastens

Tapferkeit beginnt im Sandkasten
zwischen Schreien und Sandkörnern.
Später dem Weib ins Gesicht schlagen und die ganze Schaufel
in den Kragen schütten.
Dafür kommt die Zeit. Zuhause oder vor dem Block
zieht ein Wüstensturm vorbei. Spielzeug und Blicke fliegen.
Im Sand Leichenberge.
Sie erheben sich in die Luft, fallen zu Staub.
So viele sind wir und keiner ist da. Gleich kommen die Mütter
und werden die verlorene Kindheit beweinen.
Wieder beginnt das Zölibat der Gesten und Gedanken.
Für den Helden ein Denkmal. Eine Rose –
oder etwas, das duftet.
Ich drehe mich auf die dritte Seite.
Ich träume von der Wüste. Einem Kranz.
Aufgesprungene Lippen, Sand.
Ich drücke mich um die Tapferkeit herum auf der Suche
nach einer feuchten Zunge.

На краю пісочниці

Мужність починається у пісочниці
серед галасу і піщинок.
Потім – биття баби в обличчя, й
піску їй за комір – цілу лопатку.
Настає такий час. Удома або
на подвір'ї
шаліє піщана буря. Літають іграшки
й погляди.
Пісок устелений трупом.
Труп піднімається, летить у прах.
Повно нас тут, а нема нікого. От-от прийдуть матері
й будуть плакати над втраченим дитинством.
Знову почнеться celibat порухів і думок.
Для героя – пам'ятник. Троянда
або щось запахуще.
Я перевертаюся на третій бік.
Мені сниться пустеля. Вінець.
Потріскані губи, пісок.
Ухиляюся мужністю в пошуку
мокрого язика.



jak gorący listek śmierci ciało
 dusy gnające się da dziewczynki
 przygnębiające serce przykryte
 kochające wilgotne nogi do krwi
 zapalenie nami każdą drogę
 blokowiska jak przerzuty
 trawy nie powstrzymanej ani
 nie przetrzymać drogi obumierać
 masz, chcesz wszystko się trząść
 siebie już jest tak chce nam się
 obrędu pęd zaraz już jesień puszcz
 widzisz na paluszkach każda
 kochanka z łopatką każde drzewo
 nas drzewami rozdrożeni najwyżsi
 się patrzą który przestąpił ale gdzie
 wrogo zaraz już zima zaraz
 zarosniemy nocą
 tak to się zdarza tak to przyjdzie
 znowu podniebiać piórkę strąca
 matematykę w suple jak
 nie w tym sprawa przykłady nie
 pewności wietrzności miłości się
 zaraz już wiosna dygot chwyci
 ciało
 wiecie sprawdzikem jesteśmy
 śmierci nie ciało gęskuje
 wieje chłodem drzazgi agnety zawsze
 stółki odwarzyezki upiórnie
 szyje zatorujemy w sierpniu po
 już zaraz nadzieje trujące lato

JANUSZ HEBT DEN ARM JANUSZ PODNOSI REKĘ ЯНУШ ПОКАЗУЄ РУКУ

kamerafahrt für einen toten
jazda kamerą dla umarłego
кінохроніка для покійного

„Dreiunddreißig Prozent Ermäßigung!“
„Zwanzig Minuten vor Abfahrt des Zuges soll ich noch Fahrkarten kaufen?“. Ich zeigte ihm unsere von einem reklamebunten Kuvert der Staatsbahn umhüllten Dokumente.
„Dort drüben ist ein Kiosk. Ich werde noch ein paar Zeitungen besorgen“, sagte ich, aber ich war zu leise, kam nicht an gegen die kofferrollende, taubendurchflatterte Geschäftigkeit der Halle.
„Natürlich Alex, du musst frühstücken, ich warte hier.“
Als wir auf dem Bahnsteig saßen und er wortlos aufstand und verschwand, packte mich die Angst. Ich registrierte seinen tollpatschigen Gang und die in meinen Augen nicht darauf abgestimmte, von der Unruhe dieses Morgens ausgelöste Schnelligkeit, mit der er sich zwischen Reisenden und ihrem Gepäck hindurchbewegte. Ich war kurz davor ihm nachzugehen und ließ es.

Apfel knabbernd kehrte Janusz zurück. Der Zug fuhr ein, und wir kletterten, einander festhaltend, über den Abgrund zwischen Bahnsteig und Wagon.
„Frische Luft, bitte!“, wünschte er, als wir aus dem Bahnhofstunnel rollten. Ich öffnete das Fenster und eine Brise blähte die Gardinen. Mit uns im Abteil saßen vier Jungs, um die achtzehn Jahre alt und so müde, dass sie sich stumm in ihre Kapuzenjacken wickelten und sofort einschlieften. Wir verließen Warschau, und der Film hinter dem Fenster wechselte von schwarz-weiß auf grün-gelb.
„Jetzt nicht!“
Janusz gab mir die Tageszeitungen zurück und sah hinaus. Der Zug fuhr schneller, und es wirbelten immer heftigere Windstöße herein. Die Gardinen rissen bereits bedrohlich an ihren Aufhängungen. Das Dröhnen massierte meine Trommelfelle. Doch der mitten in diesem Orkan sitzende Janusz winkte ab, als ich anbot, den Fensterspalt zu verkleinern. Nach einer halben Stunde war ich durchgefroren – den Anzug hatte ich längst zugeknöpft bis obenhin – und fand es verständlich, dass einer der Jungs erwachte und den Kälteeinbruch mit einem entschlossenen Ruck beendete.
„Nie trzeba. Wszystko w porządku!“

Janusz sprang auf.
„Ich bin ehemaliger Häftling aus Auschwitz. Das ist meine Nummer. Ich benötige auf Reisen Frischluft. Können wir das Fenster bitte öffnen?“
Der Angesprochene war zu perplex, um etwas anderes zu tun, als das Fenster wieder aufzureißen. Janusz lächelte, setzte sich in Position und wir froren. Wir anderen. Nach dem Umsteigen in Krakau brachte uns eine ruckende Regionalbahn bis Oswiecim. Janusz, der seit Warschau nichts anderes getan hatte, als konzentriert hinauszuschauen, stand am geöffneten Fenster und was an Orientierungspunkten neben der Strecke auftauchte, Brücken, größere einzeln stehende Häuser, eine Raffinerie, eine Kohlengrube, kannte er beim Namen. Er schien den Anblick zu inhalieren, schloss schwer atmend die Augen, bewegte die Lippen wie ein Betender und rief irgendwann:
„Ich bin aufgeregt. Dies ist der Ort, an dem ich gewohnt habe.“
Mir schien, als hätte sich sein Gemütszustand in den letzten Stunden mehrfach abrupt geändert. Ich machte

mir Sorgen und wollte, dass er zur Ruhe kam.
Aus der Bankreihe gegenüber telefonierte ich mit dem Hotel, bestätigte unsere Ankunft und rechnete, als wir am Bahnhof von Oswiecim bremsen, nicht unbedingt mit einem Janusz, der aus dem Wagon stieg und meinte: „Hurra, Hurra, ich bin wieder da.“
Der Spruch, den Auschwitz-Häftlinge nach gescheiterten Fluchten rufen mussten, bevor sie vor angetretener Belegschaft und oft zu Kapellenmusik gehängt wurden, er amüsierte Janusz noch, als wir zum Taxistand hinüberliefen.
Nicht allen Details, nicht jeder von Januszs Regungen, nahm ich mir auf der Fahrt zum Hotel vor, würde ich nachspüren. Ein Bewusstsein, das mir überscharf vorkam, irr auf einen Punkt gerichtet, musste hin und wieder ins Leere laufen.
Janusz war müde. Nach den Formalitäten an der Rezeption begleitete ich ihn in sein Zimmer. „Weck mich um vierzehn Uhr“, bat er und stieg aus der Hose.

Am Nachmittag fuhren wir nach Birkenau.



Es war drückend heiß.

„Man kann das Lager auch von der Rückseite aus betreten!“, belehrte Janusz den Taxifahrer. Der Mann, der mir sofort seine Handynummer zugesteckt hatte, nickte und setzte uns vor dem Pappelwäldchen ab, das bis an die beiden zentralen Krematoriumsruiuen reichte. Nach seinem Mittagsschlaf wirkte Janusz erholt, aber Fußwege von einigen hundert Metern machten ihm, obwohl wir uns im Waldschatten hielten, zu schaffen. Ich schätzte die Temperatur auf mindestens dreißig Grad. Die Luft stand still.

„Lauf langsamer“, bat ich Janusz, dessen Gesicht sich rot färbte. Ich hakte ihn unter und öffnete, als wir in die gleißende Sonne traten, den Schirm.

„Dort drüben!“, stöhnte er und wir schwenkten nach links. Abgesehen von der körperlichen Anstrengung wirkte er ruhig. Es war, als hätte er sein jungenhaftes Temperament vor dem Lager abgelegt und auf Autopilot umgeschaltet. Unweit der Sauna, dem Gebäude, in dem Häftlinge die Aufnahmeprozedur über sich ergehen lassen mussten, machten wir auf den Bänken vor einem Toilettencontainer Rast. Er blickte hinüber zu den Resten der ehemaligen Kläranlage und erzählte von seinem ersten und letzten Auschwitz-Besuch, fünfzehn Jahre nach Kriegsende:

„An dieser Stelle habe ich damals einen Mann getroffen. Er war ein Witzbold und wollte seine Begleiter mit der Bemerkung amüsieren, dass man in diesen Behältern, die ja tatsächlich wie große Kochtöpfe aussehen, Juden Fett gesammelt und zu leckerem Schmalz verarbeitet hätte.“ Janusz berichtete tonlos. Tonlosigkeit war die exakte Beschreibung seines Verhaltens, seitdem wir das Lagergelände betreten hatten.

„Ich rannte zu ihm hin und schlug auf ihn ein, bis er blutete“, sagte er, und wir brachten die letzten vierhundert Meter bis zur Sauna hinter uns.

Das Wort Juden Fett hing mir nach.

Janusz, der korrektes Deutsch einmal als „Basis des Überlebens“ bezeichnet hatte, betonte es sorgfältig. Dann kamen wir in den kahlen Raum, in dem das Häftlingsdasein begonnen hatte. Hier drinnen wie dort draußen auf dem Gelände herrschte eine Leere, die weder von Besuchern noch von Bäumen, Vögeln oder schönem Wetter zu füllen war. Der Gedanke der Ausrottung menschlichen Lebens an diesem Ort war übermächtig. Tote, die mich ansahen, Tote unter den Schuhen, Tote unter den Fingernägeln, Tote in der Luft, Tote, die ich ein- und wieder ausatmete.

Ich erkannte das Geschenk, mit einem von ihnen, der seit damals tat, als würde er leben, hier zu sein. Janusz, der mich nie spüren ließ, dass er hoch oben war und tot und ich, hier unten am Leben, wir sahen hinaus auf ein Schotterfeld, das sich in nördlicher Richtung hinstreckte bis zu den Überresten der ersten, aus ehemaligen Bauernhäusern erbauten Krematorien.

„Hier lagerten oft Neuankömmlinge. Sie waren eben aus dem Zug gestiegen. Sie trugen Zivilkleidung, saßen im Kreis und aßen. Hastig stopften sie sich das letzte Ei in den Mund und wollten nichts mit uns zu tun haben.“ Er stockte.

„Warum nicht?“, fragte ich.

„Sie hatten keine Ahnung. Sie zogen ihre Kinder weg und riefen: Haut ab! Ihr habt gestreifte Kleidung an. Ihr seid Verbrecher. Eine Stunde später stiegen sie

dort drüben als Rauch auf.“

Wir gingen durch die einzelnen Räume. Janusz erklärte, was schon auf den Schildern stand. Der Ablauf der Registrierung, wo geschoren, geduscht, desinfiziert, tätowiert und die Häftlingskleidung ausgehändigt wurde. Bei der Restaurierung des Gebäudes hatte man den Fußboden mit einer durchsichtigen Glaskonstruktion bedeckt, die ihn irritierte. Unsicher tastete er sich voran. Abgesehen von der Erwähnung eines Freundes, der im Keller der Desinfektionsabteilung als Heizer gearbeitet hatte und sich nicht mehr wusch, weil er Matrose gewesen war, und dem Wasser die Schuld für seine Internierung gab, blieb er beinahe amtlich.

„Was hast du in diesem Gebäude gemacht?“, wollte ich wissen. Aber meine Frage erreichte ihn nicht, oder er wollte sie nicht beantworten.

Neben dem Ausgang lag das Gästebuch. Er borgte sich meinen Kugelschreiber und schrieb langsam und fest aufdrückend hinein:

„Heute kehrte ich an den Ort zurück, an dem ich vom Juni 1943 bis November 1944 gearbeitet habe. Janusz Tichowski, Häftlingsnummer 754769.“

Gegenüber der Sauna, wo früher die Baracken und Lagerhallen der Effektenkammer gestanden hatten, setzte er sich auf den Rand eines der verbliebenen Fundamente. „Das war Baracke Nummer elf. An der Seite lag die Stube von SS-Unterscharführer Franz Wurm. Weil ihn der lehmi-gige Boden des Lagers störte, hatte ich vor seiner Tür einen Betonsockel mit zwei Stufen gemauert, wo man sich die Schuhe säubern sollte.“ Ächzend erhob er sich und begutachtete, was von seiner Maurerarbeit übrig war.

„Hier vor der Frauenunterkunft habe ich gestanden, jeden Nachmittag um vier und spielte mit meiner Band.“

„Was musstet ihr spielen?“

„Wir mussten nicht, wir wollten. Ich hatte mir ein Akkordeon besorgt, ein sehr gutes italienisches Akkordeon der Marke Scandalli. Wir standen genau hier.“

Er wies auf die Stelle, als wollte er sie einpacken lassen und mitnehmen.

„Wir spielten Volkslieder und Schlager, irgendwas. Musik war mein Leben. Schon mit vierzehn saß ich im Bahnhofsrestaurant von Lemberg am Klavier. Im Lager hatten die Frauen ja keine Menstruation mehr. Ich habe geglaubt, dass es mit Musik wieder klappen könnte.“

„Du hast gespielt, damit sie wieder menstruieren?“

„Das kann man so sagen.“

„Und?“

Er schüttelte den Kopf und sank zurück auf den Rand der Baracke. Nicht zum ersten Mal reichte ich ihm die Wasserflasche, aber er wollte nicht trinken. Ich drückte ihm den Schirm in die Hand und lief hinüber zum Sauna-Gebäude, in dem auch der Wachschatz der Gedenkstätte ein Büro hatte.

„Przepraszam, możecie Państwo dać mi wózek?“ Rollstuhl heißt auf Polnisch „wózek“. Aber sie hatten keinen. Ich hätte ihn einen Tag vorher bestellen müssen. Für einen ehemaligen Häftling könnte jedoch ein Taxi auf das Gelände kommen. Zehn Minuten später hielt es vor der Sauna.

Ich war dabei, Janusz auf den Beifahrersitz zu hieven, als hinter mir jemand in stark sächsisch gefärbtem Englisch fragte:

„Excuse me, Mister, is that really a taxi?“

Ich fuhr herum und starrte auf einen etwa Sechzigjährigen mit Basecap und kurzen Hosen.

„Sie können Deutsch sprechen. Ja, das ist ein Taxi.“

„Großartig. Wäre es möglich, dass Sie meine Tochter und mich bis zum Parkplatz mitnehmen?“

„Kein Problem, steigen Sie ein.“

Ich hielt ihm die Tür auf, aber er blieb stehen und schaute sich um. Weit und breit war niemand zu sehen. Er warf mir einen Verständnis erheischenden Blick zu und rief dann laut und gedehnt:

„Sophia! Hier wartet ein Taxi. Kommst du!“

Ich stieg ein. Janusz ließ sich überreden, etwas zu trinken, und ich bat den Fahrer, so lange wir nicht vollzählig waren, im Schatten zu parken.

Während des Vorsetzens klebte der Sophia-Rufer wie eine Klette am Wagen. Schließlich tauchte sie auf, dunkelhaarig, um die dreißig – eine Frau, der sicher nicht nur Bauarbeiter hinterherpfliffen.

Vorbei an den Krematorien vier und fünf holperte das Taxi mit uns über die Lagerstraße. Janusz genoss den Fahrtwind und erzählte dem Fahrer eine Ausschwitzgeschichte. Sophia fragte:

„Ist er ein ehemaliger Häftling?“

„Ja“, sagte ich.

„Papa, hast du gehört, er ist ein ehemaliger Häftling.“

„Das ist ja spannend.“

Janusz schien zu bemerken, welch Ehrenformation sich hinter ihm bildete. Im Gespräch mit dem Fahrer lachte er länger und schriller als sonst. Ich war erleichtert, dass es ihm gut ging, und Sophias Wispern an meinem Ohr versetzte mich in einen Zustand wohliger Müdigkeit.

„Könnten Sie ihn bitte fragen, wie er sich fühlt und warum er ins Lager zurückgekommen ist?“

Das muss doch schmerzhaft für ihn sein!“

Ich hörte, dass Janusz dem Fahrer gerade einen Witz über die Krätze im Lager erzählte. Die Pointe verstand ich nicht, aber es ging um eine Frau beim Arzt, die behauptete, sie hätte den juckenden Ausschlag nicht wie üblich zwischen den Fingern, sondern zwischen den Beinen. Wir passierten den Schlagbaum vor der ehemaligen Kommandantur, und in der vorderen Reihe herrschte ausgelassene Stimmung.

„Janusz, die beiden hier möchten wissen, weshalb du wieder hergekommen bist.“

„Weshalb ich wieder hergekommen bin?“

Er drehte sich um und musterte uns.

„Ganz einfach. Ich komme her, weil ich überlebt habe.“ Obwohl Janusz unmissverständlich Deutsch gesprochen hatte, wendete sich Sophias Vater weiter an mich.

„Könnten Sie ihn auch fragen, ob er die Nummer hat, diese eintätowierte Nummer?“

„Papa, bitte, das ist geschmacklos!“

Janusz, der die Frage verstanden hatte, blieb gelassen.

„Selbstverständlich habe ich eine Nummer.“

„Darf ich sie fotografieren?“

„Nur zu.“

Wir waren am Haupteingang. Janusz hob seinen Arm für eine Serie von Aufnahmen in die Kamera. Sophias Vater dirigierte das Motiv ins optimale Licht.

Ich verzog mich ins Büro der Museumsverwaltung und bestellte einen Rollstuhl für den nächsten Tag.

Als ich zurückkam, waren die beiden verschwunden und Janusz berichtete:

„Was soll ich dir sagen, Sophia Loren wohnt in unserem Hotel. Sie kommt zum Bankett nachher mit!“

Am Abend schleuste man uns durch einen Seiteneingang in den Saal. Um die festlich gedeckte Tafel verteilte sich eine Handvoll Damen und Herren, gefilmt von einem im Hintergrund postierten Kamerateam des polnischen Fernsehens. Ich kam nicht dazu, die Szenerie zu erfassen, weil sich zur Begrüßung alle erhoben.

Die anwesenden Überlebenden, zwei Frauen und drei Männer, krepelten Janusz gegenüber die Ärmel hoch und zeigten ihre Tätowierung, wie auch er ihnen seine Nummer zeigte und sie dröhnend hersagte.

Nach diesem Appell nahm Janusz, den offensichtlich niemand kannte, Platz und erzählte sogleich seine Lagerbiografie. Sophia und ich entkamen auf Stühle an der Wand und bildeten sozusagen Kamerateam zwei.

„Czy wolno mi przedstawić: Pan Prezydent.“

Flüsternd stellte mir jemand den Bürgermeister vor, welcher ebenfalls flüsterte:

„Es handelt sich hier um Angehörige des ersten polnischen Häftlingstransportes nach Auschwitz sowie einen Überlebenden des Sonderkommandos.“

Durch die Tuscheleien bekam ich nicht mit, wie Janusz sich in der Arena auführte. Erst nachdem Sophia mich in die Seite stupste und bat zu übersetzen, hörte ich genauer hin.

„...als ich im Lager ankam, trug ich eine tschechische Uniform“, schmetterte er und ließ sich Rotwein nachschenken. Die Damen an seiner Seite wandten sich ab und begannen ein Planungstreffen für die alljährliche Zusammenkunft ehemaliger Auschwitz-Häftlinge in Warschau zu erörtern.

„Stell dir vor, jemand hat vorgeschlagen, ein Theaterstück aufzuführen, das auf der Autobiografie des Lagerkommandanten beruht.“

„Wie kann man Rudolf Höß an solch einem Tag das Wort erteilen?“

Sie betrachteten Janusz, als wäre er derjenige gewesen. Wir waren eine halbe Stunde vor Ort und mir erging es wie dem Fan, der bei einem Auswärtstritt seiner Mannschaft begreift, dass das Spiel nicht zu gewinnen ist. Januszs Sturmläufe um Anerkennung hörten nicht auf. „Ein polnischer Minister für Wohnungsbau hat mich bei einer Konferenz in den sechziger Jahren als Auschwitz-Häftling erkannt!“

Er erinnerte sich an dessen Namen, nannte Mitglieder seiner Widerstandsgruppe in Lemberg und beschwor seine Koordinaten in Birkenau:

„Effektenkammer, Baracke neunundzwanzig“. Aber das Begrüßungsritual des erhobenen Arms bedeutete offensichtlich nicht, dass man einer großen Familie angehörte.

Der Mann im Zentrum – wie man mir zuraunte, hieß er Zoltan Rosenstern und war einer der wenigen noch lebenden Angehörigen des Sonderkommandos – hatte seinen Blick fast zwanzig Minuten lang in Janusz gebohrt, ohne dessen Palaver damit Einhalt gebieten zu können. Als Janusz seine Tätigkeit in der Sauna schilderte, wodurch ich erst erfuhr, dass er als Mitglied des „Sauna-kommandos“ die Knöpfe von den Kleidern der Vergasten abgetrennt hatte und auch bei Desinfektionen neuer Häftlinge zugegen gewesen war, platzte diesem Schweiger der Kragen.

„Was redest du für einen Unsinn. Mit Zyklon B wurde getötet! Ich habe das selbst gesehen“, schimpfte er. Janusz hatte erzählt, dass sich in den Desinfektionswanen, in die die Häftlinge bei der Lageraufnahme tauchen mussten, eine schwach konzentrierte Zyklon B-Lösung befunden hatte. Er beharrte auf seinem Standpunkt: „Das Zeug in den Wannen war grün und enthielt Zyklon B. Wir mussten deshalb Handschuhe tragen.“

„Wo warst du in Auschwitz? Was hast du gemacht? Hast etwa du die Leichen aus den Kammern geholt? Hast du sie über den nassen Beton geschleppt? Hast du nachher die Knochenreste zerschlagen bis sie wie Mehl waren?“

„Habe ich nicht. Aber ich war Essenholer im Effektenkommando und bin zweimal am Tag an den Krematorien vorbeigelaufen. Ich habe gesehen, was ich gesehen habe.“

„Diskutier nicht mit mir! Was hast du schon gesehen? Zyklon B war keine Waschlauge. Wenn das gestreut wurde, war in geschlossenen Räumen nach zwanzig Minuten Ruhe.“

„Das bestreitet auch niemand“, gab Janusz zu und fing erneut mit den Badewannen an.

Was mich mehr interessierte als technische Details, war die Verbitterung, mit der zwei ehemalige Häftlinge beim Thema Giftgas übereinander herfielen. Es schien sie nicht zu kümmern, ob ihnen jemand zuhörte oder eine Kamera sie filmte. Sie verteidigten, jeder für sich, ihre Sauna, ihr Krematorium, ihr Zyklon B-Expertentum.

Auch die polnischen Filmleute verfolgten die Auseinandersetzung. Sie bildeten ein eigenes Grüppchen und verhielten sich leise und zurückhaltend. Nur die leuchtenden Aufnahmeknöpfe an ihren Kameras verrieten,

dass sie sich nichts entgehen ließen. Ihre Anwesenheit erinnerte daran, in welcher voyeuristischer Situation wir uns befanden. Einer von ihnen, aus dessen Körpersprache ich schloss, dass er der Kopf des Unternehmens war, trug eine eckige, betont moderne Brille mit gelben, flämmchenförmigen Bügeln. Es war töricht, aber ich konnte mich der Idee nicht erwehren, dass durch Brillen wie diese nur Oberflächen erfasst werden konnten, und ich fragte mich, wie der Konflikt zwischen Janusz und seinem Zyklon B-Gegenspieler in der entstehenden Dokumentation wohl gezeigt werden würde.

Ich wollte den Brillenmann ansprechen. Doch Janusz rief: „Komm, wir gehen!“

Es klang, als könnte er keine Sekunde länger warten. Auf meine Frage, wie die Stimmung so hatte kippen können, nuschelte er:

„Für die bin ich einer aus dem Lager Kanada. So hieß die Effektenkammer bei den Häftlingen. Ein Ort, vollgestopft mit Lebensmitteln und Reichtümern der Vergasteten. Das Land, wo Milch und Honig fließen.“

Durch Müdigkeit hindurch strahlte Schmerz über die bittere Süße seines Überlebens. „Privilegien“, murmelte er, „dass ich nicht lache.“

Untergehakt und mit jedem Schritt schwächer werdend ließ er sich zum Wagen bringen.

Dass er am Ende dieses Tages Sophia Loren im Arm hielt, besser gesagt sie ihn, bemerkte er nicht mehr.

rozbrzmiewający turkotem walizek na rolnkach i trzepotem gołębi ruch panujący w hali.

– Oczywiście, Alex, musisz zjeść śniadanie, poczekam tutaj.

Gdy siedzieliśmy na peronie, a on bez słowa wstał i zniknął, ogarnął mnie strach. Widziałem jego niezdarny chód i, w moich oczach, nieharmonizujący z nim, wywołany nerwowością tego poranka pośpiech, z jakim przeciskał się pomiędzy podróżnymi i ich bagażami. Niemal już szedłem za nim i dałem spokój.

Janusz wrócił, obgryzając jabłko. Wjechał pociąg i wspieliśmy się, podtrzymując się wzajemnie, ponad otchłanią dzielącą wagon od peronu.

– Świeżego powietrza, proszę! – zażyczył sobie, gdy wytoczyliśmy się z tunelu dworca. Otworzyłem okno i lekki wiatr nadął firanki. Razem z nami w przedziale siedziało czterech chłopaków, około lat osiemnastu i tak zmęczonych, że milcząco opatulili się swoimi bluzami z kapturami i natychmiast zasnęli. Opuściliśmy Warszawę i film za oknem zmienił się z czarno-białego na zielono-żółty.

– Teraz nie!

Janusz oddał mi gazety i patrzył przez okno. Pociąg przyspieszył i do przedziału wbijały się coraz silniejsze podmuchy wiatru. Firanki niemal niebezpiecznie szarpały na zaczepach. Huk masował mi błony bębenkowe. Jednak Janusz, siedzący w samym środku tego orkanu, machnął tylko ręką, gdy zaproponowałem, że przymknę

trochę okno. Po pół godzinie byłem przemarznięty – dawno już zapiąłem garnitur pod samą brodę – i uznałem za zupełnie zrozumiałe, że jeden z chłopaków przebudził się i jednym zdecydowanym ruchem zakończył atak zimna.

– Nie trzeba. Wszystko w porządku! – Janusz poderwał się. – Jestem byłym więźniem Auschwitz. To jest mój numer. W podróży potrzebuję świeżego powietrza. Proszę, czy możemy otworzyć okno?

Zagadnięty chłopak był za bardzo zdumiony, by zrobić coś innego, niż tylko na powrót otworzyć okno. Janusz uśmiechnął się, usiadł na swoim stanowisku, a my marzliśmy. My, inni.

Po przesiadce w Krakowie dojechaliśmy szarpiącym pociągiem regionalnym do Oświęcimia. Janusz, który od Warszawy nie robił nic innego, tylko skoncentrowany wyglądał z pociągu, stał przy otwartym oknie i co pojawiały się wzdłuż trasy jakieś punkty orientacyjne, mosty, większe pojedynczo stojące domy, rafineria, kopalnia, to on znał ich nazwy. Zdawał się inhalować ten widok, zamknął oczy, ciężko oddychając, poruszał wargami jakby, się modlił i w pewnym momencie wykrzyknął: – Jestem podekscytowany. To jest miejsce, gdzie mieszkałem. Wydawało mi się, jakby w ciągu ostatnich godzin jego nastrój wielokrotnie gwałtownie się zmieniał. Martwiłem się i chciałem, żeby odzyskał trochę spokoju.

Zadzzwoniłem do hotelu, potwierdziłem nasze przybycie i byłem zaskoczony, gdy Janusz wychodząc z wagonu na dworc w Oświęcimiu, powiedział:

– Hurra, Hurra, ich bin wieder da.

Zdanie, które więźniowie z Auschwitz musieli wykrzykiwać po nieudanej próbie ucieczki, zanim zostali powieszani przed ustawionymi w szeregi współwięźniami i często przy akompaniamencie kapeli obozowej. Janusz jeszcze bawił się nim, gdy zsiłszy do postoju taksówek.

W drodze do hotelu postanowiłem sobie, że nie będę próbował zrozumieć każdego detalu, każdej emocji Janusza. Świadomość, która zdawała mi się zbyt wyostrożona, obsesyjnie skierowana na jeden punkt, co trochę musi trafiać w próżnię.

Janusz był zmęczony. Po formalnościach na recepcji odprowadziłem go do pokoju. – Obudź mnie o czternastej – poprosił i zaczął się rozbierać.

Po południu pojechaliśmy do Brzezinki. Było nieznośnie gorąco.

– Do obozu można wejść także od tyłu! – Janusz pouczył taksówkarza. Mężczyzna, który od razu wetknął mi numer swej komórki, skinął i wysadził nas przy topolowym lasku, który sięgał aż do obu środkowych ruin krematoriów. Po swojej południowej drzemce, Janusz robił wrażenie wypoczętego, ale kilkusetmetrowa droga pieszo wykończyła go, choć trzymaliśmy się cienia, jaki dawał las. Temperaturę szacowałem na co najmniej trzydzieści stopni. Powietrze stało w bezruchu.

– Zwolnij trochę – poprosiłem Janusza, którego twarz zrobiła się już czerwona. Wziąłem go pod ramię i gdy wyszliśmy na połyskujące słońce, otworzyłem parasol.

– Tam! – jęknął i skierowaliśmy się na lewo. Pomijając wysiłek fizyczny, robił wrażenie spokojnego. Było tak, jakby przed obozem zostawił swój chłopięcy temperament i przełączył się na autopilota. Niedaleko Sauny, budynku, w którym więźniowie musieli znosić procedurę przyjęcia, zrobiliśmy sobie postój, odpoczywając na ławkach przed kontenerem toalety. Spoglądał na drugą

stronę ku resztkom dawnej oczyszczalni i opowiadał o swojej pierwszej i ostatniej wizycie w Auschwitz, piętnaście lat po wojnie: – W tym miejscu spotkałem wtedy pewnego mężczyznę. Żartowniś był z niego i chciał zabawić swoje towarzystwo opowieściami, że w tych zbiornikach, które faktycznie wyglądają jak wielkie kadzie, zbierano Judenfett i przetwarzano na smakowity smalec.

Janusz relacjonował monotennie. Monotonność była precyzyjnym opisem jego zachowania, odkąd tylko weszliśmy na teren obozu.

– Podbiegłem do niego i okładałem go tak długo, aż zaczął krwawić – powiedział i pokonał ostatnie czterysta metrów dzielące nas od Sauny. Słowo Judenfett zapadło mi w pamięć.

Janusz, który poprawną niemiecką określił raz jako „podstawę przeżycia”, starannie je podkreślił. Potem weszliśmy do zupełnie pustego pomieszczenia, w którym rozpoczynał się więźniarski byt. Tak samo tu w środku, jak i na zewnątrz, na terenie obozu, panowała pustka, której wypełnić się nie dało ani zwiedzającymi, ani drzewami, ani ptakami czy piękną pogodą. Przemózna była w tym miejscu myśl o eksterminacji ludzkiego życia. Umarli patrzący na mnie, umarli pod butami, umarli pod paznokciami, umarli w powietrzu, umarli, których wdychałem i wydychałem.

Doceniłem ten dar bycia tu z jednym z nich, który od tamtego czasu udaje jakby dalej żył. Janusz, który nie dał mi nigdy odczuć, że był wysoko w górze martwy, i ja, tu na dole żywy. Spoglądaliśmy na zewnątrz na żwirowisko, które rozciągało się w kierunku północnym, aż po pozostałości pierwszych krematoriów przebudowanych z dawnych chłopskich chałup.

– Tu często obozowali nowoprzybyli. Dopiero co wysiedli z pociągu. Nosili cywilne ubrania, siedzieli w kręgu i jedli. Pośpiesznie wypychali sobie ostatnie jajko do ust i nie chcieli mieć z nami nic wspólnego – urwał.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Nie mieli pojęcia. Odciągali swoje dzieci i krzyczeli: Precz! Macie na sobie pasiaki. Jesteście przestępcami. Godzinę później wychodzili przez komin jako dym. Szliśmy przez kolejne pomieszczenia. Janusz tłumaczył to, co napisane już było na tablicach. Przebieg rejestracji, gdzie strzyżono, myto, dezynfekowano, tatuowano i wydawano więźniarskie ubranie. Podczas restaurowania budynku podłogę przykryto przeźroczystą szklaną konstrukcją, która go irytowała. Szedł naprzód, niepewnie stawiając kroki.

Pomijając wspomnienie przyjaciela, który pracował jako palacz w piwnicy oddziału dezynfekcji i nigdy się nie mył, ponieważ był marynarzem i wodzie przypisywał winę za to, że został uwięziony, był niemal oficjalny.

– Co robiłeś w tym budynku? – chciałem się dowiedzieć. Ale moje pytanie nie dotarło do niego albo nie chciał na nie odpowiedzieć.

Przy wyjściu leżała księga pamiątkowa. Pożyczył mój długopis i wpisał się powoli, mocno przyciskając: „Dzisiaj wróciłem na to miejsce, gdzie pracowałem od czerwca 1943 do listopada 1944 roku. Janusz Tichowski, numer obozowy 754769.”

Naprzeciw Sauny, gdzie dawniej stały baraki i magazyny z mieniem zagrabionym więźniom, usiadł na brzegu jednego z zachowanych fundamentów.



– Od trzeciej nie spałem – wymamrotał Janusz. Jego twarz była biała jak kreda. Wziąłem od niego torbę, która wydawała się zupełnie pusta, pomogłem przy wsadaniu i zapiąłem mu pasy.

– Buuuu, robiło buuuu. Brzmiało to jak jakieś głośne brzęczenie pszczoł. Mój Boże.

Siedział z plecami wciśniętymi w fotel i nieruchomo wpatrywał się przez przednią szybę. Jego głos był ochrypły, tak mocno zawładnęło nim wspomnienie miejsc i współtowarzyszy. Siedziałem za nim. Czas przelatował przez warszawską taksówkę niczym szare błyskawice. Janusz bombardował kierowcę ułamkami zdań to po polsku, to po niemiecku, a jego ofiara, jak mogłem zobaczyć w tylnym lusterku, z przerażenia coraz szerzej otwierała oczy. Gdy skręciliśmy na teren przy dworcu i Janusz już się trochę uspokoił, mężczyzna siedzący za kierownicą odważył się na komentarz:

– Ze szkołą też raz byliśmy w obozie koncentracyjnym. Jak wtedy ludzie zabijano, tego dzisiaj nikt nie może sobie wyobrazić.

W hali dworca mój przyjaciel szedł przodem. Przed kasami wyjął swoją legitymację rencisty i oświadczył: – Trzydzieści trzy procent zniżki!

– Dwadzieścia minut przed odjazdem pociągu kupować mam jeszcze bilety? – pokazałem mu nasze papiery schowane w kolorowej od reklam kopercie kolei państwowych.

– Tam jest kiosk. Kupię jeszcze kilka gazet – powiedziałem, ale zbyt cicho, mój głos nie przedarł się przez

– To był barak numer jedenaście. Po tej stronie znajdowało się pomieszczenie SS-Unterscharführera Franza Wurma. Ponieważ przeszkadzała mu gliniasta ziemia obozu, wymurowałem przed jego drzwiami betonowy cokół z dwoma stopniami, gdzie miało się czyścić buty. Podniósł się, stękając i poprzyglądał się, co pozostało z jego murarskiej roboty.

– Tu przed barakiem, gdzie mieszkały kobiety, stałem każdego popołudnia o czwartej i grałem ze swoim zespołem.

– Co musieliście grać?

– Nie musieliśmy, chcieliśmy. Zafatwiłem sobie akordeon, bardzo dobry włoski akordeon marki Scandalli. Staliśmy dokładnie tutaj.

Wskazał na miejsce, jakby chciał kazać je zapakować i zabrać ze sobą.

– Graliśmy piosenki ludowe i szlagiery, cokolwiek. Muzyka była moim życiem. Już jako czternastolatek siedziałem przy fortepianie w restauracji dworcowej we Lwowie.

Kobiety w obozie nie miały już menstruacji. Myślałem, że z muzyką może się znowu uda.

– Grałeś po to, żeby znowu miesiączkowały?

– Można tak powiedzieć.

– I co?

Pokręcił głową i osunął się z powrotem na brzeg baraku. Nie po raz pierwszy podałem mu butelkę z wodą, ale nie chciał pić. Wcisnąłem mu do ręki parasol i pobiegłem na drugą stronę do budynku Sauny, w którym swoje biuro miała też ochrona muzeum.

– Przepraszam, możecie państwo dać mi wózek? – zapytałem po polsku.

Nie mieli. Musiałbym zamówić go dzień wcześniej.

Dla byłego więźnia na teren obozu wjechać mogła jednak taksówka. Dziesięć minut później zatrzymała się przed Sauną. Właśnie wsadzałem Janusza na fotel obok kierowcy, gdy z tyłu za mną ktoś zapytał po angielsku z silnym saksońskim akcentem:

– Excuse me, Mister, is that really a taxi?

Odwrociłem się szybko i zobaczyłem mniej więcej sześćdziesięciolatka w bejsbolówce i krótkich spodenkach.

– Może pan mówić po niemiecku. Tak, to jest taksówka.

– Wspaniale. Czy mógłby pan podwieźć mnie i moją córkę do parkingu?

– Bez problemu, niech pan wsiada.

Przytrzymałem mu drzwi, ale on zatrzymał się i się rozglądał. Jak okiem sięgnąć, nikogo nie było widać. Rzucił w moją stronę spojrzenie oczekujące wyrozumiałości, a potem zawołał głośno i przeciągle:

- Sophia! Taksówka czeka. Chodź!

Wsiadłem. Janusz dał się przekonać, żeby się napić, a ja poprosiłem kierowcę, aby zaparkował w cieniu, póki nie będziemy w komplecie.

Podczas parkowania wzywający Sophię trzymał się wozu jak rzep. W końcu pojawiła się kobieta, ciemnowłosa, około trzydziestki, za którą z pewnością oglądali się nie tylko robotnicy na budowie.

Taksówka podskakiwała z nami na drodze obozowej mijając krematoria numer cztery i pięć. Janusz delektował się pędem powietrza i opowiadał kierowcy obozową historię. Sophia zapytała:

– Czy on jest byłym więźniem?

– Tak – powiedziałem.

– Tato, słyszałeś, on jest byłym więźniem.

– To ciekawe.

Janusz dostrzegł, że utworzyła się gwardia honorowa.

Rozmawiając z kierowcą, śmiał się dłużej i głośniejszym niż zwykle. Ulżyło mi, gdy zobaczyłem, że mu tak dobrze, a szept Sophii przy moim uchu wprawił mnie w stan błędnego zmęczenia.

– Czy mógłby go pan zapytać, jak się czuje i dlaczego wrócił do obozu? To przecież musi być dla niego bolesne!?

Słyszałem, że Janusz opowiadał właśnie kierowcy dowcip o świerzbie w obozie. Puenty nie rozumiałem, ale chodziło o kobietę u lekarza, która twierdziła, że ma świerzbiącą wysypkę i to nie jak zwykle pomiędzy palcami, tylko pomiędzy nogami.

Minęliśmy szlaban przed dawną komendanturą, w przednim rzędzie panował wesoły nastrój.

– Janusz, ci dwoje tu chcieliby wiedzieć, czemu tutaj wróciłeś.

– Czemu tu wróciłem?

Odwrocił się i zmierzył nas wzrokiem.

– To proste. Przyjeżdżam tu, bo przeżyłem.

Choć Janusz niewątpliwie mówił po niemiecku, ojciec Sophie zwracał się wciąż do mnie.

– Mógłby pan go też zapytać, czy ma numer, ten wytuowany numer?

– Tato, proszę, to nietaktowne!

Janusz, który zrozumiał pytanie, zachował spokój.

– Oczywiście, że mam numer.

– Czy mogę go sfotografować?

– Śmiało!

Byliśmy przy głównym wejściu. Janusz uniósł przedramię w stronę aparatu dla całej serii zdjęć. Ojciec Sophie pokierował motyw w optymalne światło.

Zniknąłem w biurze administracji muzeum i zamówiłem wózek na następny dzień. Gdy wróciłem, tamtych dwojga już nie było, a Janusz relacjonował:

– Co mam ci powiedzieć, Sophia Loren mieszka w naszym hotelu. Pójdzie z nami potem na bankiet!

Wieczorem przeszmygowano nas bocznym wejściem do sali. Wokół świątecznie nakrytego stołu ustawiło się kilka osób, kobiet i mężczyzn, filmowanych przez ulokowaną w tle ekipę filmową polskiej telewizji. Nie udało mi się uchwycić tej sceny, bo na powitanie wszyscy powstali. Obecni na sali ocalali, dwie kobiety i trzech mężczyzn podwinęli rękawy i pokazali Januszowi swoje tatuaże, tak jak i on pokazał im swój numer i wyrecytował go dudniącym głosem.

Po tym apelu Janusz, którego najwyraźniej nikt tu nie znał, zajął miejsce i od razu zaczął opowiadać swoją obozową biografię. Razem z Sopią uciekliśmy na krzesła pod ścianą i tworzyliśmy niejako ekipę filmową numer dwa.

– Czy wolno mi przedstawić: Pan Prezydent – ktoś szepetem przedstawił mi prezydenta miasta, który również wyszeptał:

– Chodzi tu o należących do pierwszego transportu polskich więźniów i o jednego z ocalałych z Sonderkommanda.

Przez te szeptanki nie spostrzegłem, jak Janusz zachowywał się na arenie. Dopiero, gdy Sophia szturchnęła mnie w bok, prosząc o tłumaczenie, zacząłem dokładniej się przysłuchiwać.

– ... gdy przybyłem do obozu, miałem na sobie czeski mundur – zagrział i kazał dolać sobie czerwonego wina. Panie siedzące obok niego odwróciły się i zaczęły rozprawać o spotkaniu organizacyjnym przed corocznym war-

szawskim zjazdem byłych więźniów obozu w Auschwitzu. – Wyobraź sobie, ktoś zaproponował, aby wystawić sztukę teatralną opartą na autobiografii komendanta obozu.

– Jak można w taki dzień głosu udzielać Rudolfowi Hößowi?

Przyglądały się Januszowi tak, jakby to on był tym kimś. Byliśmy na miejscu pół godziny i czułem się jak fan, który w trakcie występu swojej drużyny na wyjeździe, uświadamia sobie, że meczu nie da się wygrać. Januszowe rajdy po uznanie nie miały końca.

– Na konferencji w latach sześćdziesiątych pewien minister budownictwa rozpoznał mnie jako więźnia Auschwitz!

Przypomniał sobie jego nazwisko, wymienił członków jego grupy oporu we Lwowie i przywołał jego koordynaty w Birkenau.

– Effektenkammer, barak dwadzieścia dziewięć.

Ale powitalny rytuał uniesionego przedramienia najwyraźniej nie oznaczało, że należało się do jednej wielkiej rodziny.

Mężczyzna w środku – jak mi podszeptano, nazywał się Zoltan Rosenstern i był jedną z nielicznych żyjących jeszcze osób należących do Sonderkommando – niemal przez dwadzieścia minut wwierał swój wzrok w Janusza, nie mogąc powstrzymać jego gadaniny.

Gdy Janusz przedstawiał swoją pracę w Saunie, dzięki czemu wtedy dopiero dowiedziałem się, że należąc do „Saunakommando” odcinał guziki z ubrań zagazowanych i że był obecny przy dezynfekcji nowych więźniów, tamten milczek wybuchł z gniewem.

– Co za głupoty opowiadasz. Cyklonem B zabijano!

Sam to widziałem – pomstował.

Janusz opowiadał, że w wannach dezynfekcyjnych,

w których zanurzać się musieli więźniowie podczas przyjmowania do obozu, znajdował się mocno rozcieńczony roztwór cyklonu B. I obstawał przy swoim zdaniu:

– To, co było w wannach, miało zielony kolor i zawierało cyklon B. Musieliśmy dlatego nosić rękawice.

– Gdzie ty byłeś w Auschwitzu? Co robiłeś? Wyciągałeś może zwłoki z komór? Ciągnąłeś je po mokrym betonie? Rozbijalesz potem resztki kości na miazgę?

– Nie. Ale w Effektenkommando byłem od noszenia jedzenia i dwa razy dziennie przechodziłem obok krematoriów. Widziałem, co widziałem.

– Nie dyskutuj ze mną! Co ty mogłeś zobaczyć? Cyklon B nie był jakimiś mydlinami. Gdy tym posypali, to w zamkniętych komorach była cisza po dwudziestu minutach.

– Temu nikt nie zaprzecza – przyznał Janusz i znowu zaczął o wannach.

Bardziej niż detale techniczne zainteresowało mnie rozgoryczenie, z jakim przy temacie trującego gazu rzucili się na siebie dwaj byli więźniowie. Wydawało się, że nie martwią się o to, czy ktoś się im przysłuchuje lub czy kamera ich filmuje. Bronili każdy swego, swojej sauny, swego krematorium, swojej eksperckiej wiedzy o cyklonie B.

Polscy filmowcy również śledzili spór. Tworzyli osobną grupkę i zachowywali się cicho i z dystansem. Jedynie świecące na ich kamerach przyciski nagrywania zdradzały, że nic im nie umknie. Ich obecność przypominała o tym, jak bardzo znajdowaliśmy się w sytuacji podglądaczy. Jeden z nich, z którego mowy ciała wnioskowałem, że jest głową przedsięwzięcia, nosił prostokątne, nadzwyczaj nowoczesne okulary z żółtymi zausznikami w kształcie płomieni. To było głupie, ale nie potrafiłem pozbyć się wrażenia, że poprzez okulary takie jak te, dostrzec można jedynie powierzchnię i zapytałem sam siebie, jak pokazany zostanie w tej dokumentacji konflikt pomiędzy Januszem i jego przeciwnikiem od cyklonu B.

Chciałem zagadnąć okularnika.

Janusz jednak zawołał:

– Chodź, idziemy!

Brzmiało to, jakby nie mógł czekać ani sekundy dłużej.

Na moje pytanie, jak mogła się tak popsuć atmosfera, wymamrotał:

– Dla nich jestem jednym z obozu Kanada. Tak wśród więźniów nazywano Effektenkammer. Miejsce po brzegi wypełnione żywnością i bogactwami zagazowanych.

Kraj mlekiem i miodem płynący.

Poprzez zmęczenie przebijał ból gorzkiej słodczy ocalenia.

– Przywileje – mamrotał – że aż śmiech bierze.

Podtrzymywany pod ramię, i z każdym krokiem słabszy, pozwolił odprowadzić się do samochodu.

Nie zauważył, że pod koniec tego dnia obejmował ramieniem Sopię Loren, a dokładniej, to ona jego.

[Tłumaczenie: Tomasz Dominiak]

► „Я не спав від третьої години”, – пробурмотів Януш. Його обличчя було бліде, як крейда. Я взяв його сумку, яка здавалася майже порожньою, допоміг сісти в машину і застебнув на ньому пасок безпеки. „Вууу” – загуділо, „вууу”. Звук нагадував гучне бджолине дзижчання. „Воже мій.” (Боже мій.) Згорбившись на сидінні, він дивився крізь лобове скло. Він захрип, схвилюваний спогадами про місця і супутників. Я сидів іззаду. Сірі блискавки часу спалахували у варшавському таксі. Януш бомбардував водія ламаюю мовою, то польською, то німецькою, а його жертва, як я міг бачити у дзеркалі, перелякано витріщала очі. Коли ми звернули на привокзальну площу, а Януш трохи заспокоївся, чоловік за кермом витиснув із

себе коментар: „Коли я вчився в школі, ми теж раз були в концтаборі. Того, як убивали тоді людей, ніхто сьогодні не може зрозуміти.” У головному залі вокзалу мій друг покрокував уперед. Перед віконечками кас витяг своє пенсійне посвідчення й оголосив: „Тридцять три відсотки знижки!” „Хіба я купував би квитки за двадцять хвилин до відходу потяга?” Я показав йому наші проїзні документи в конверті з рекламою держзалізниці. „Он там кіоск. Куплю ще кілька газет”, – сказав я, але, мабуть, надто тихо, не зміг перекричати гуркіт валіз та шерхіт голубиних крил у метушливому залі. – „Звісно, Алексє, тобі треба посподати, я почекаю

на тебе тут”.

Коли ми сиділи на пероні, і він раптом мовчки встав і зник, я злякався. Зауважив його незграбну ходу і ту, як на мене, невідповідну, пов'язану з хвилюваннями цього ранку, квапливість, з якою він пробирався поміж пасажирами та їхнім багажем.

Я кинувся за ним, але спинився.

Януш повернувся, хрумаючи яблуком. Потяг під'їхав, і ми, міцно тримаючи один одного, подолали провалля між пероном і вагоном.

„Будь ласка, повітря!” – забажав він, коли ми виїхали з вокзального тунелю. Я відчинив вікно, і вітерець надув фіранки. З нами в купе сиділо четверо хлопців, років по вісімнадцять. Вони були такі потомлені, що мовчки натягли на голови каптури своїх курток і відразу ж позасинали. Ми виїхали з Варшави, і кіно за вікном змінилося з чорно-білого на зелено-жовте. „Не тепер!”

Януш повернув мені газету й визирнув з вікна. Поїзд їхав швидше, пориви вітру, що вривалися в купе, ставали щораз сильнішими. Фіранки вже загрозливо смикалися на своїх кріпленнях. Гуркотіння вдарило по моїх барабанних перетинках. Однак Януш, сидючи посеред цього тайфуну, заперечливо похитав головою, коли я запропонував прикрити вікно. Через півгодини я замерз – костюм довелося застебнути на всі гудзики, тож не здивувався, коли один із хлопців прокинувся й рішучим ривком припинив цей наступ холоду.

„Nie trzeba. Wszystko w porządku!” (Не треба. Все гаразд!)

Януш підскочив.

„Я колишній в'язень Освенцима. Ось мій номер.

У дорозі мені потрібно мати свіже повітря. Відчиніть, будь ласка, вікно!”

Хлопець так сторопів, що знову розчахнув вікно.

Януш посміхнувся, сів на місце, і ми продовжили мерзнути. Ми, інші.

Після пересадки у Кракові тряска приміська електричка довезла нас до Освенцима. Від самої Варшави Януш увесь час зосереджено дивився у вікно. Він пам'ятав назви орієнтирів, що зринали вздовж колії, мости, окремі великі будинки, нафтопереробний завод, вугільна шахта. Здавалося, що він глибоко вдихає цей момент. Важко дихаючи, заплющував очі, рухав губами, як під час молитви, а в якийсь момент вигукнув:

„Я хвилююсь. Це село, в якому я жив”.

У мене було враження, що за останні години настроїв у нього змінювався кілька разів. Я хвилювався за нього, хотів, щоби він заспокоївся.

Я подзвонив у готель, щоб підтвердити наш приїзд, і був дуже здивований, коли Януш, вийшовши в Освенцимі з вагону, промовив: „Nurta, Nurta, ich bin wieder da”. (Ура, ура, я знову тут). Фразу, яку мусили викрикнути перед підвищенням в'язні Освенцима після невдалих спроб утечі – на очах у вишикуваного табору й часто під духову музику. Януш тішився зі свого жарту весь час, поки ми йшли до стоянки таксі. Дорогою до готелю я постановив собі, що не співпереживатиму кожну деталь, кожен відрух Януша. Свідомість, яка здавалася мені надто загостреною, помилково зосереджувалася на одній точці, час до часу потрапляючи в нікуди.

Януш змучився. Залагодивши формальності на рецепції, я відпровадив його до номера. „Розбуди мене о другій”, – попросив він і зняв штани.

Пополудні ми поїхали до Біркенуа.

Було задушливо гаряче.

„У табір можна зайти і ззаду!” – повчав Януш таксиста. Чоловік, який одразу ж дав мені номер свого мобільного, кивнув і висадив нас перед тополиним гайком, який простягався до двох центральних руїн крематорію.

Поспавши після обіду, Януш нібито відпочив, але піша прогулянка довжиною в кілька сотень метрів давалася йому важко, хоч ми й трималися в тіні дерев. Мої відчуття підказували, що температура сягнула щонайменше тридцяти градусів. І жодного вітерцю.

„Не поспішай”, – попрохав я Януша, обличчя якого розчервонілось. Я взяв його під лікоть, а коли ми вийшли на пекуче сонце, відкрив парасолою.

„Он там!” – простогнав він, і ми повернули ліворуч. Фізичне зусилля давалося знаки, та поза тим він справляв враження спокійного. Так, ніби залишив свій юнацький темперамент перед табором і перемкнувся на автопілот. Неподалік лазні, будівлі, в якій в'язні були вимушені проходити процедуру прийому, ми присіли перепочити на лавочці перед біотуалетами. Він подивився на залишки колишньої очисної споруди і розповів про свій перший та останній візит до Освенцима, через п'ятнадцять років після війни: „Тоді на цьому місці я зустрів одного чоловіка. Це був жартівник, він хотів розвеселити своїх супутників зауваженням, що в цих посудинах, які такі справді виглядають як великі каструлі, збирали єврейський жир і переробляли його на справжній смалець.”

Януш розповідав беззвучно. Беззвучність – ось найточніше визначення його поведінки, відколи ми зайшли на територію табору.

„Я підбіг до нього і вдарив, бив, аж він заюхився кров'ю”, сказав Януш, і ми подолали останні чотириста метрів до лазні.

Словосполучення „єврейський жир” не йшло мені з голови.

Януш, який колись сказав, що добре знання німецької стало для нього „основою виживання”, наголосив ці слова особливо старанно.

Тоді ми прийшли в порожнє приміщення, в якому починалося буття в'язня. Тут, усередині, як і зовні, на території, панувала пустка, яку не могли заповнити ні дерева, ні птахи, ні гарна погода. Ідея винищення людського життя в цьому місці була всесильною. Мертві, які дивилися на мене, мертві під ногами, мертві під нігтями, мертві в повітрі, мертві, яких я вдихав і видихав.

Я усвідомив, який це дарунок – бути тут разом з одним із них, із тим, хто відтоді вдає, ніби живе. Януш, який мені ніколи не давав відчуття, що він високо вгорі і мертвий, а я, тут унизу, живий, ми дивилися назовні, на кам'яне поле, поле, яке простягалося в північному напрямку до руїн перших, перебудованих із селянських хат, крематоріїв. „Тут часто таборилися новачки. Щойно вийшовши з потяга. На них був цивільний одяг, вони сідали

кружком і їли. Поквапливо запихали до рота останні яйця і не хотіли мати з нами нічого спільного.”

Він замовк.

„Чому?” – запитав я.

„Вони нічого не розуміли. Не пускали до нас своїх дітей і кричали: „Геть! На нас смугастий одяг. Ви злочинці”. А вже через годину здіймалися в небо димом”.

Ми проходили через окремі приміщення. Януш пояснював те, що було написано на табличках. Перебіг реєстрації, де стригли, мили, дезінфікували, татуювали й видавали арештантський одяг. Під час реставрації будівлі підлогу вкрили прозорою скляною конструкцією, і це його спантеличило. Він просувався вперед непевно, навромацки.

Він залишався майже офіційним, хіба раз згадав про приятеля, який працював кочегаром у пивниці відділу дезінфекції і перестав митися, бо був матросом і приписував воді вину за своє ув'язнення. „Що ти робив у цій будівлі?” – поцікавився я. Але він не почув мого запитання чи не захотів на нього відповісти.

Біля виходу лежала гостьова книга. Він взяв у мене ручку і написав, повільно і міцно притискаючи: „Сьогодні я повернувся на те місце, де працював від червня 1943 до листопада 1944. Януш Тіховскі, арештантський номер 754769.”

Навпроти лазні, де колись стояли бараки і табірні склади особистих речей в'язнів, він сів на край руїни фундаменту.

„Це був барак номер одинадцять. Збоку була розташована кімната унтершарфюрера СС Франца Вурма. Оскільки йому не подобалася глиняна долівка табору, перед його дверима я змурував бетонний цоколь з двома сходинками, об які можна було почистити собі черевики.”

Він підвівся, крехтячи, аби роздивитися, що залишилося від його мулярської роботи.

„Тут, перед жіночим бараком, ми з моїм гуртом стояли щодня о четвертій і грали.”

„Що ви мусили грати?”

„Ми не мусили, ми хотіли. Я дістав собі акордеона, дуже добрий італійський акордеон марки Scandalli. Ми стояли точнісінько на цьому місці.”

Він показав на місце, ніби хотів схопити його і забрати з собою.

„Ми грали народні пісні і шлягери, щось таке. Музика була моїм життям. Вже у чотирнадцять років я сидів на львівському вокзалі в ресторані за фортепіано. У таборі ж у жінок не було більше менструацій. Я думав, що музика їх відновить.”

„Ти грав, щоб у них знову почались менструації?”

„Можна сказати і так.”

„І?”

Він похитав головою і знову опутився на край барака. Я вже не вперше простягнув йому пляшку води, але він не хотів пити. Я дав йому потримати парасолою і побіг до лазні, в якій був розташований офіс охорони меморіалу.

„Przepraszam, możecie Państwo dać mi wózek?”

(Перепрощую, можете дати мені візок?)

Візок польською wózek (вузек). Але його в них не було. Я мав замовити за день наперед. Для

колишнього в'язня таксі може заїхати на територію.

Через десять хвилин машина зупинилася перед лазнею.

Я саме намагався підсадити Януша на переднє сидіння, як ззаду мене хтось запитав по-англійськи з сильним саксонським діалектом: „Excuse me, Mister, is that really a taxi?” (Перепрощую, пане, це справді таксі?)

Я озирнувся і втупився у чоловіка років шістдесяти у бейсболці й шортах.

„Ви можете розмовляти німецькою. Так, це таксі.”

„Чудово. Чи могли б ви підвезти нас із донькою до майданчика для паркування?”

„Без проблем, сідайте.”

Я відчинив перед ним дверцята, але він усе ще стояв і озирнувся. Наскільки сягало око, нікого не було видно. Він поглядом попросив мене зачекати, а тоді прокричав голосно і протяжно: „Софіє! Таксі чекає. Ходи сюди!”

Я сів у машину. Януш погодився трохи попоти, і я попросив водія, доки чекаємо, припаркуватися в тіні. Поки машина заїжджала в тінь, чоловік, який гукав Софію, приклеївся до авта, як плющ. Врешті вона з'явилася, темноволоса, років тридцяти – жінка, вслід якій підсвистували не лише будівельники. Таксі з нами всіма тряслося повз крематорії номер чотири і п'ять вздовж табірної дороги. Януш насолоджувався вітром і розповідав водієві якусь історію з Освенцима. Софія запитала:

„Він колишній в'язень?”

„Так”, – сказав я.

„Тату, ти чув, це колишній в'язень.”

„Як цікаво.”

Януш, здається, помітив, що в нього за спиною утворюється група шанувальників. У розмові з водієм він сміявся довше і різкіше, ніж зазвичай. Я відчув полегшення, що йому покращало, і Софіїне шепотіння у мене біля вуха привело мене у стан благодушної втоми.

„Запитайте, будь ласка, як він себе почуває і чому він повернувся до табору? Це ж, напевно, дуже важко для нього!?”

Я чув, що Януш саме розповідав водієві анекдот про сверблячку в таборі. Кінцівки я не розчув, але йшлося про жінку, яка розповідала лікарю, що в неї свербить не між пальцями, а між ногами.

Ми минули шлагбаум перед колишньою комендатурою, на передніх сидіннях панував невимушений настроїв.

„Януш, ці двоє хочуть знати, чому ти повернувся.”

„Чому я повернувся?”

Він озирнувся й уважно поглянув на нас.

„Дуже просто. Я приїхав, бо вижив.”

Хоча Януш розмовляв німецькою, Софіїн батько знову звернувся до мене.

„Можете його запитати, чи він має номер, цей такий витатуюваний номер?”

„Тату, прошу тебе, це безтактно!”

Януш, який зрозумів питання, залишився спокійним. Звісно, я маю номер.”

„Чи можна його сфотографувати?”

„Прошу дуже.”

Ми доїхали до головного входу. Януш підняв руку до знімки. Софіїн батько подбав про оптимальне

освітлення мотиву.

Я сходив до офісу керівництва музею і замовив візок на наступний день. Коли я повернувся, обидва зникли, а Януш повідомив:

„Що тобі сказати, Софі Лорен живе в нашому готелі. Вона потім прийде на банкет!”

Увечері нас провели через бічний вхід у зал. Довкола святково накрито столу сиділа купка пань і панів, їх знімала розташована позаду команда операторів польського телебачення. Я не встиг оглянути товариство, бо всі підвелися для привітання.

Присутні колишні в'язні, двоє жінок і троє чоловіків закотили рукави і показали Янушеві свої татування, він теж показав свій номер і голосно його прочитав.

Після цієї переклички Януш, який, вочевидь, нікого не знав, сів й одразу ж розповів свою табірну біографію. Ми з Софією присіли на стільці біля стіни й утворили, так би мовити, операторську групу номер два.

„Czy wolno mi przedstawić: Pan Prezydent.” (Чи міг би я відрекомендувати всім: пан президент.)

Пошепки хтось представив міського голову, який теж прошепотів:

„Тут ідеться про ув'язнених першого польського арештантського ешелону до Освенцима і ще живих представників зондеркоманди.”

Через шепотіння мені важко було зрозуміти, як Януш почуває себе на арені. Тільки після того, як Софія штурхнула мене в бік і попросила перекладати, я почав слухати уважніше.

„... коли я потрапив до табору, на мені була чеська уніформа”, – проревів він і попросив налити йому ще червоного вина.

Дами, які сиділи з його боку, відвернулися і почали обговорювати план щорічної зустрічі колишніх в'язнів Освенцима у Варшаві.

„Уяви собі, хтось запропонував поставити п'єсу на основі автобіографії коменданта табору.”

„Як можна в такий день надати слово Рудольфові Гесу??”

Вона подивилася на Януша так, ніби комендантом був він.

Ми сиділи тут уже півгодини, і я почувався, мов той футбольний фанат, який спостерігаючи за грою своєї команди на чужому полі, розуміє, що гру не виграти. Януш не припиняв спроб здобути визнання.

„Польський міністр житлового господарства на одній із конференцій в шістдесятих роках впізнав у мені в'язня Освенцима!”

Він згадав прізвище міністра, назвав членів своєї львівської групи опору і підтвердив свої координати в Біркену:

„Склад особистих речей в'язнів, барак двадцять дев'ять.”

Але привітальний ритуал із піднятою рукою очевидно не означав приналежність до однієї великої родини. Чоловік у центрі – як мені нашепотіли – називався Золтан Розенштерн і був одним із небагатьох іще живих членів зондеркоманди – свердлов поглядом Януша майже двадцять хвилин, але на його балакучість це не вплинуло.

Коли Януш описував свою діяльність у лазні, з чого я вперше довідався, що він як член „банної команди”

відрізав гудзики з одягу вбитих у газовій камері, а також був присутній під час дезінфекції нових в'язнів, цьому мовчуну урвався терпець.

„Що за дурниці ти говориш. Циклоном-Б вбивали! Я сам бачив”, – злостився він.

Януш розповів, що у ванни для дезінфекції, в які в'язні мусили занурюватися під час прийому до табору, наливали слабкий розчин циклому-Б. Він наполягав на цьому:

„Рідина у ваннах була зелена й містила циклон-Б. Тому ми мусили носити рукавиці.”

„Де ти був в Освенцимі? Що ти робив? Може, то ти витягав трупи з газових камер? Тягнув їх по мокрому бетону? А потім розбивав залишки кісток на муку?”

„Ні, не я. Але я носив їжу для команди з обробки особистих речей і двічі на день проходив повз крематорії. Я бачив те, що бачив.”

„Не сперечайся зі мною! Що ти там бачив? Циклон-Б не був лужним дезінфектором. Коли його запускали, в закритих приміщеннях за двадцять хвилин вже було тихо.”

„Ніхто не сперечається”, – погодився Януш і почав знову розповідати про ванни.

Затятість, з якою двоє колишніх в'язнів накинудили один на одного, зачепивши тему отруйного газу, зацікавила мене більше, ніж технічні деталі.

Здавалося, їх не хвилює, чи слухає їх хтось, чи знімає камера. Вони захищали кожен для себе свою лазню, свій крематорій, свої експерименти з циклоном-Б.

Польські документалісти знімали суперечку. Їхня група поводитися тихо й стримано. Тільки вогники на камерах зраджували, що вони нічого не пропускають. Їхня присутність нагадувала про те,

в якій вуайеристичній ситуації ми опинилися. Один із них, як можна було зрозуміти з його жестикуляції, головний у цій справі, мав прямокутні, підкреслено модні окуляри з жовтими хвилястими дужками.

Дурниця, але я не міг позбутися думки, що через такі окуляри, які ці, можна бачити лише поверхні, і питав себе, як буде показано в майбутньому документальному фільмі конфлікт між Янушем і його опонентом у темі циклому-Б.

Я хотів заговорити з чоловіком в окулярах. Та Януш вигукнув: „Ходи, ми йдемо!”

Це прозвучало так, ніби він не міг більше чекати ані секунди.

На моє запитання, чого раптом так різко змінився його настрій, він промимрив:

„Для них я в'язень з табору „Канада”. Так в'язні називали склад особистих речей. Місце, наповнене продуктами і цінностями тих, хто загинув у газовій камері. Край, де ріками тече мед із молоком.

Крізь його втому пробивався біль гіркої радості виживання. „Привілеї, – пробурмотів він, – не смішіть мене”.

Під руку зі мною, слабнучи з кожним кроком, він дав довести себе до машини.

Того, що наприкінці цього дня він обнімав Софі Лорен, точніше вона його, Януш уже не помітив.

[Переклад: Ольга Сидір]

Dirk Brauns (1968, Deutschland) – Reporter, Schriftsteller. In den Jahren 1990-1993 studierte er Szenisches Schreiben bei Heiner Müller und Yaak Karsunke an der Hochschule der Künste in Berlin. Danach arbeitete er als Hörspiel- und Theaterautor, sowie als Reporter. 1997 debütierte er mit dem Buch *Berlin-München. Zu Fuß*. In den Jahren 2000-2005 war er China-Korrespondent für „Die Woche“ und „Berliner Zeitung“. Seit dem Jahr 2005 lebt er in Warschau und betätigte sich zunächst als Korrespondent. Nach einem Unfall und einer Krankheit nahm er im Jahr 2006 Abschied vom Journalismus. In den Jahren 2007-2009 verfasste er den Reportageroman *Café Auschwitz*, dem der Auszug entstammt.

Dirk Brauns (1968, Niemcy) – dziennikarz, pisarz. W latach 1990-1993 studiował scenopisarstwo w Wyższej Szkole Sztuki w Berlinie u Heiner Müllera i Yaaka Karsunke. Później pisał słuchowiska i sztuki teatralne, pracował jako dziennikarz. W 1997 zadebiutował książką *Berlin-München. Pieszko*. W latach 2000-2005 był korespondentem zagranicznym gazet „Die Woche”

oraz „Berliner Zeitung” w Chinach.

W 2005 roku przeniósł się do Warszawy, gdzie kontynuował pracę jako korespondent. W 2006 roku, po wypadku i przebytej chorobie, zrezygnował z dziennikarstwa. W latach 2007-2009 pracował nad powieścią reportażową pt. *Café Auschwitz*, z której pochodzi prezentowany fragment.

Дірк Браунс (1968, Німеччина) – журналіст, письменник. У 1990-1993 роках вивчав писання сценаріїв у Вищій школі мистецтв у Берліні у Гайнера Мюллера та Яка Каршунке. Пізніше писав радіо- та театральні п'єси, працював журналістом. У 1997 році вийшов його книжковий дебют *Берлін-Мюнхен. Пішки*. У 2000-2005 роках був закордонним кореспондентом для газет „Di Woche” та „Берлінер Цайтунг” у Китаї. У 2005-му переселився до Варшави, де далі працював кореспондентом. Після аварії та хвороби у 2006 році залишив журналістику. У 2007-2009 роках писав роман-репортаж *Кафе Аушвіц*, з якого походить представлений фрагмент.

© Katja Hoffmann 09/11/07 Berlin: Regierungsviertel



МОЄ ЖИТТЯ: ВІД ПОМЕРЛОГО ДО ЗАГИБЛОГО ДІДА MEIN LEBEN: VOM VERSTORBENEN ZUM VERLORENEN GROSSVATER MOJE ŻYCIE: OD ZMAR- ŁEGO DO ZAGINIONEGO DZIADKA

«У мене помер дід», – сказала я. «Сьогодні вранці». «Якщо хочеш, я можу помолитися за нього в костелі. Я завтра все-одно туди піду. Ти віриш у Бога?» Питання моєї віри в Бога я проігнорувала, я не звикла обговорювати подібне в такому форматі. «Дякую. Але мені здається, краще це робити в синагозі». «Це ж церква для євреїв! Чого раптом? Тобі видніше, звичайно, але це дивно. Ок, не буду молитися. Давай краще про веселе! Я тобі нікого не нагадую?» Він продемонстрував мені профіль. Він справді мені когось нагадував.

«Допоможу! Згадай етикетку нової фруктової ковбаси, згадала?» Він просвистів мені рекламну мелодійку. І я згадала. «Навіщо ти зробився схожим на Гера Ернста Фруктеля? У нього огидні бакенбарди та й взагалі». «Неправильно робиш акцент! Це вони зідрали образ гера Ернста Фруктеля з цілком живого Штефана Месароша! І вони мені за це заплатять. Трохи згодом. Бо наразі я хочу зробити невеличку операцію, змінити розріз очей». Штефан Месарош. Точно, це його ім'я. Прізвисько з угорської перекладається як м'ясник.

«Слухай, дякую за чай. Мені слід знайти Дерека». «Якщо не хочеш солоних паличок з кмином та пива – тоді бувай!» Взагалі-то мені хотілося залишитися тут, споживати солоні палички та пиво, а, можливо, і кохатися з гером Фруктелем, думаю, що це був непоганий план, і мені б вдалося його втілити. Крім того, в цьому було щось мультяшне, кохатися з героєм реклами фруктової ковбаси, було б про що розповісти нащадкам, але я вперто діяла згідно попередньо складеного плану. Я йшла до Дерека. «Чао».

«Агов!» Почула я. «А це не твій брат перемиг сьогодні в Баварії? Конкурс для архітекторів чи щось таке. Манфред фон Вайхель?» «Мій. Друге місце. Спеціальний приз». «А це правда, що незабаром відкриється його виставка? Так передавали по радіо його голосом». «Напевно, правда. Навіть якщо цього разу він збрехав, то загалом в нього бувають виставки».

«Агов, зачекай ще трохи, в мене є до тебе важлива справа». «Яка?» «Мені необхідно мати іменне запрошення на його виставку. Це ж не важко буде організувати?» «Ти фахівець, журналіст, навіщо це тобі?» «Загалом я – хімік. Ти думала, що я те й роблю, що працюю обличчями різних продуктів?» Я так не думала. Мені зітхнулося. «Слухай, на ці виставки можна приходити без запрошення. Вхід – вільний». «Не сумніваюся, але мені потрібно саме запрошення!» «Навіщо?» «Щоб вразити пані Фоль. Уяви. Вона відкриває свою скриньку, а там – білий конверт з тисненням, а краще... кольору паленого цукру, це вишуканіше, на ньому зазначена адреса, моє ім'я. Вона передає мені конверт, але не відходить, а дивиться. Ти ж знаєш, яка вона цікава. З конверта до її ніг випадає шикарне запрошення на виставку! Від інтелігентної людини, переможця конкурсів, знаменитості! І вона буде ставитися до мене інакше. Я ледь витримую, щоб не кинутися на неї, так ворожо вона на мене дивиться. Мій батько дозволяє собі так дивитися тільки на росіян. Але, погодься, в нього ж на це причини, найвони і видаються сумнівними, але вони є. А що такого я зробив пані Фоль, щоб вона так на мене дивилася? І це після того, як я привіз їй кілька

слоївків з печеним перцем». «Добре», – пообіцяла я. Манфред тільки зрадіє такому прохання, а іноді мені буває необхідно до нього підлеститися.

«У тебе очі... я не знаю, як то буде німецькою, але з тобою все гаразд?» Звертається до мене Наташа. Насправді Наташа чудово знає німецьку мову і навіть редагує один журнал. Але кожному з нас необхідний захист. Наташа обирає мовний. Хто я така, щоб зневажати її вибір?

Я не знаю, наскільки я можу бути відвертою з Наташею. Ні, я знаю, що з нею я можу бути цілком відвертою, але мене це дратує. «У мене проблеми з дідом», – кажу я. «Потрібна сиділка?» Східноєвропейські дівчата дуже прагматичні. «Вже, мабуть, ні. Власне, він помер», – кажу я. І починаю вигинати пальці так, щоб вони торкнулися зап'ястя. «Мені дуже шкода», – каже Наташа. «Скільки йому виповнилося років?» Почалося. Важко відповідати на такі питання. «Вісімдесят чотири», – відповідаю я. «О», – каже Наташа. Я розумію, що в мене такий вигляд, наче мій дід спромігся вмерти під час свого народження, і я безмежно жалкую за ним.

«Він щось залишив Дереку на згадку про себе?» Питає Наташа. «Що?» «Ти сказала, що тобі потрібний Дерек, бо вмер твій дід, правильно?» У мене немає заперечень. «Я подумала, що він залишив щось антикварне Дереку. То Дерек його знав?» «Ні», – кажу я. «Навіть я його не знала». «Дерека?» Про всяк випадок перевіряє мою та свою адекватність Наташа. «Діда». Відповідаю я. Оскільки вона не виглядає дуже здивованою, я починаю пояснювати, що вважала діда загиним під час другої світової, а про його цивільну смерть дізналася одночасно з тим, що він, виявляється, до сьогодні був живим.

«І де він був увесь цей час?» Запитує Наташа. Я кажу, що він утримувався в спеціальному закладі, і я завтра мушу туди поїхати. «На крематоріум». Наташа дивиться на мене з розумінням. «Він залишив після себе кілька речей. Біблію, хасидського капелюха, самовчителя з івриту, картку з двома персиками та написи, що їх ніхто не може розшифрувати. Хоча предметно я цим не займалася».

«Це речі тих, кого він убив?» Спокійно запитує Наташа, а я розумію, що навіть не подумала про це! Господи, але ж це дійсно можуть бути речі жертв... «Привіт», – почула я голос Дерека і озирнулася. «Ти вже із фотелем Гімлера?» «Ще ні, але незабаром він буде в мене». Дерек також босоніж, світло-зелена футболка, мабуть, присвячена очам Наташі, джинси. Дерек із Наташою діють злагоджено, вона підводить, він сідає на стілець, вона присідає йому на коліна, які в неї довгі ноги... «У Марти сьогодні помер дід», – каже вона йому. «Який?» «Батьків батько», – відповідаю я, я стежу за його рукою, його палець вирівнює вигин Наташіної талії, ретельно, так турецькі ремонтники готують до фарбування стіну... «А хіба він не помер у 43-му?» В Дерека хороша пам'ять. «Він помер сьогодні в божевільні», – відповідає Наташа. «У 43-му помер хтось за нього. Натомість він залишив їм речі євреїв, яких ним було вбито». Додає вона безпосередньо. «Щоб що?» Питає Дерек. «Щоб пам'ятали», – нервово відповідає Наташа. «Може, він залишив заповіт?» – питає Дерек. Нарешті він звертається до мене. «Ні, Олаф нічого

про заповіт не повідомив. А про це він сказав би в першу чергу. Та й який заповіт, якщо дід справді був несповна розуму», – кажу я.

«Я хочу з цим розібратися. У мене голова обергом», – продовжую. «Марто, навіщо це зараз тобі потрібно? Що це змінить, що це тобі дасть? Помер дід – то й помер. Тему закрито, свій рід він устиг продовжити. І титул передати. Зрештою, чи настільки важливо, коли і де він помер? На війні чи в божевільні – на результат це не впливає. До речі, а що каже твій батько?»

«Це може впливати на наслідки. І могло би вплинути на результат, якби я дізналася про його життя, а не про його смерть. Батька зараз немає, про діда він знав. Я маю на увазі, знав про те, що дід живий і божеволіє на державних харчах. Так каже Олаф. Звичайно, я допитаю і батька, і тітку, і матір як слід. У цьому можеш не сумніватися». «Я в тобі ніколи й не сумнівався. Особливо, в твоїй фокстер'єрській завзятості. А нащо тобі з цим вовтузитися? Я вже сам від себе втомився. Але слухай, ну, помер дід. Збожеволів. Залишив кілька речей, пов'язаних із єврейством, то й що тобі з цього?»

Він доведе мене до сказу. «Як ти не розумієш?! Я була на його могилі в Союзі. Ми довго отримували дозвіл, щоб поїхати туди. Всі просто повірити не могли, що нас туди пустять. Я сказала батьку, що буду голодувати біля посольства Радянського Союзу, якщо вони не дозволять нам оплакати діда, і вперше в житті побачила батька настільки переляканим. Манфред додав перцю, коли сказав, що також підтримає мене, але їсти буде, натомість зробить скульптуру з червоного картону, таку, що «ради позеленіють». Втім, нам дозволили приїхати. Я пам'ятаю, як батько стояв поруч зі мною в жалобі. Мати – теж. А виявляється він, а може й вона також, знали, що у цей самий час його батько спокійно

їсть лікарський сніданок у божевільні і грається капелюхом вбитого єврея?»

«Слухай, можливо, це капелюх не вбитого єврея, можливо, він того єврея врятував. Це – жарт. Адже це все-одно не має значення». «Це – має значення. А раптом він борювався з фашизмом? Раптом він захищав євреїв, тому його запроторили до божевільні, родичам повідомили, що він помер. А над ним усе життя ставили експерименти, від чого йому і зірвало дах. От про що я думаю».

«О Господи, Марто. Ти думаєш, що твій дід був Оскаром Шиндлером? Романтична нісенітниця. Слухай, припини себе картати, огидно слухати. Мене бісить це німецьке картання. Мало того, що наш народ було розірвано навпіл, мало того, що кожний уряд брав на себе відповідальність за те, що було зроблено зовсім іншими людьми, мало того, що ми відкрили кордони всій Східній Європі та виплатили шалену кількість компенсацій і мертвим, і живим, і ненародженим, а з євреїв зробили новий культ нації. Євреї – сучасні католицькі ягнята. Давайте підемо далі – будемо замість материнського молока вливати в наших німецьких немовлят сироватку довічної провини перед всесвітом за навіженого Адольфо. Фашизм – наш спільний спадок, хіба ні? І не треба цього зрікатися і не треба відрубати собі руки. Я думав, що в тебе вистачає здорового глузду це розуміти».

«Виявляється, що не вистачає, Дереку. Але що поробиш, це – спадкове. Я упіймала тебе на двоєдушності. Знаєш, про що я подумала? Ти в нас, значить, не відчуваєш ніякої провини, так? Тебе це не стосується. Дуже похвально. Але скажи мені, любий, може ти закохався у польку і кинув німецьку баронесу саме тому, що ти відчуваєш велетенську персональну провину за фашизм? Ти про це не думав, ні? Ви розмовляєте про концтабори в Польщі?»

rosch. Richtig, das ist sein Name. Der Nachname kommt aus dem Ungarischen und heißt so viel wie Schlächter. „Danke für den Tee. Ich muss jetzt los, Derek finden.“ „Na ja, wenn du keine Lust auf Salzstangen mit Kümmel und Bier hast – dann ciao!“ Plötzlich hatte ich Lust zu bleiben, Salzstangen zu knabbern, Bier zu trinken, und, eventuell, mit Herrn Fruchtel zu schlafen, ich meine, das war gar kein übler Plan, und er wäre mir bestimmt gelungen. Außerdem hatte es etwas von einem Comic, mit einer Werbefigur für Fruchtwürstel zu schlafen, das könnte man noch seinen Kindern und Kindeskindern erzählen, doch ich handelte exakt gemäß meiner ursprünglichen Absicht. Ich ging zu Derek. „Ciao!“ „Hey!“ rief er mir nach. „Hat da nicht dein Bruder heute in Bayern gewonnen? Einen Architekturwettbewerb oder so was. Manfred von Weichel?“ „Ja, mein Bruder. Den zweiten Platz. Einen Spezialpreis.“ „Und demnächst wird eine Ausstellung von ihm eröffnet, oder? So hat er's wenigstens in einer Radiosendung gesagt.“ „Na, ganz bestimmt. Selbst wenn er diesmal gelogen haben sollte, es gibt Ausstellungen von ihm.“ „Bleib noch ein bisschen, es gibt da eine wichtige Sache,

die ich mit dir besprechen muss.“

„So und welche?“

„Ich brauche unbedingt eine persönliche Einladung für seine Ausstellung. Wäre das schwierig zu organisieren?“

„Du bist doch Journalist, du brauchst so was nicht.“

„Eigentlich bin ich Chemiker, hast du gedacht, dass ich so was arbeite, als Gesicht für verschiedene Produkte?“

„Das habe ich nicht gedacht.“ Ich seufzte.

„Auf die Ausstellungen kommt man auch ohne Einladung. Der Eintritt ist frei.“

„Zweifellos, aber ich brauch unbedingt eine Einladung!“ „Warum denn?“

„Um Frau Voll zu beeindrucken. Stell dir mal vor, sie öffnet ihren Briefkasten, und da liegt ein weißer Umschlag mit einer gedruckten, oder noch besser ... ein karamellfarbener Umschlag mit meinem Namen. Sie will mir den Umschlag geben, ich bin aber nicht da, also schaut sie hinein. Du weißt, wie neugierig sie ist. Aus dem Umschlag segelt ihr so eine noble Einladung entgegen! Von einem intelligenten Menschen, dem Sieger des Wettbewerbs, einem Promi! Und fortan wird sie sich mir gegenüber ganz anders benehmen. Ich würde mich am liebsten mit Gebrüll auf sie stürzen, so feindselig blickt sie mich immer an. Mein Papa schaut höchstens Russen so an. Aber, man muss ihn verstehen, er hat seine Gründe, auch wenn sie zweifelhaft sind, aber es gibt sie wenigstens. Aber was habe ich Frau Voll getan, dass sie mich derart anschaut? Und das nachdem ich ihr mehrere Einmachgläser mit gebratener Paprika mitgebracht habe.“

„Na gut“, versprach ich. Manfred fühlt sich von solchen Bitten immer geschmeichelt, und manchmal muss auch ich ihn ein bisschen hofieren.

„Deine Augen ... hmm, ich weiß nicht, wie man das auf Deutsch sagt, aber ist alles ok?“ fragte mich Natascha. Eigentlich kann Natascha wunderbar Deutsch, sie redigiert sogar eine Zeitschrift. Aber wir haben alle so unsere Schutzmechanismen. Natascha hat sich die Sprache ausgesucht. Und wer bin ich, um ihre Wahl in Frage zu stellen?

Ich bin mir nicht sicher, wie offen ich gegenüber Natascha sein kann. Nein, eigentlich weiß ich, dass ich zu Natascha völlig aufrichtig sein kann, doch das ärgert mich. „Ich habe Probleme mit meinem Großvater“, sagte ich. „Braucht er Pflege?“ Die osteuropäischen Mädels sind sehr pragmatisch. „Nein, eigentlich nicht mehr, er ist schon tot.“ Und ich beginne meine Finger so zu verbiegen, bis sie das Handgelenk berühren.

„Tut mir leid“, sagte Natascha. „Wie alt ist er geworden?“ Es ging los. Schwer ist es, auf solche Fragen zu antworten. „Vierundachtzig“, antwortete ich. „Oh“, sagte Natascha. Mir war klar, dass ich ein Gesicht machte, als wäre mein Großvater schon bei seiner Geburt gestorben, und ich würde nun furchtbar leiden.

„Hat er Derek ein Erinnerungsstück hinterlassen?“, fragte Natascha.

„Was?“

„Du hast doch gesagt, dass du zu Derek musst, weil dein Großvater gestorben ist, oder?“ Nichts einzuwenden.

„Deshalb dachte ich, er habe Derek was Antikes hinterlassen. Kannte Derek ihn?“

„Nein“, sagte ich. „Ich habe ihn selbst nicht gekannt.“

„Wen, Derek?“ Sicherheitshalber überprüfte Natascha meine und ihre Aussagen.

„Den Großvater“, antwortete ich. Obwohl sie nicht beson-

ders erstaunt drein blickte, begann ich zu erklären, dass der Großvater seit dem 2. Weltkrieg als verschollen galt, und mit seinem Tod erfuhr ich gleichzeitig, dass er bis heute am Leben gewesen war.

„Und wo war er die ganze Zeit?“, fragte Natascha.

Ich sagte, er sei in einer besonderen Institution gewesen und morgen könne ich dorthin fahren. „Zur Einäscherung.“ Natascha blickte mich verständnisvoll an. „Er hat ein paar Sachen hinterlassen. Eine Bibel, einen chassidischen Hut, einen Sprachführer Ivrit, eine Karte mit zwei Pfirsichen, und Aufschriften, die keiner entziffern kann. Obwohl objektiv hab ich mich damit nicht beschäftigt.“ „Sind das Sachen von denen, die er umgebracht hat?“ „Ja“, fragte Natascha ganz ruhig. Und ich verstand plötzlich, ich hatte bisher an so was noch nicht gedacht. Aber, lieber Gott, das konnten wirklich Sachen von Opfern sein ... „Hallo!“, ich hörte Dereks Stimme und blickte mich um. „Hast du schon den Sessel von Himmler?“

„Noch nicht, aber bald.“ Derek ist auch barfuss, hat einen hellgrünen Pulli, anscheinend passend zu Nataschas Augen, Jeans. Zwischen Natascha und Derek läuft es harmonisch, sie stand auf, er setzte sich auf einen Stuhl, sie sich auf seine Knie, wie lange Beine sie hat ... „Martas Großvater ist heute gestorben“, sagte sie in seine Richtung. „Welcher?“

„Der Vater meines Vaters“, antwortete ich und beobachtete dabei seine Hand, ein Finger fuhr an Nataschas Taille entlang, aufmerksam, wie türkische Arbeiter, die eine Wand streichen ...

„Ist er denn nicht schon 1943 gestorben?“ Derek hat ein super Gedächtnis.

„Er starb heute im Irrenhaus“, antwortete Natascha.

„1943 ist jemand anderer für ihn gestorben. Dafür hat er ihnen die Sachen von den Juden hinterlassen, die er umgebracht hat“, fügte sie unvermittelt hinzu.

„Wie-was?“, fragte Derek. „Zur Erinnerung“, antwortete Natascha genervt.

„Hat er ein Testament hinterlassen?“, wandte sich Derek nun endlich an mich.

„Nein, Olaf hat nichts von einem Testament gesagt. Das hätte er bestimmt als erstes erwähnt. Aber was für ein Testament könnte es geben, der Großvater war doch nicht ganz bei Verstand“, sagte ich. „Ich möchte mir Klarheit darüber verschaffen. Ich hab da ein Durcheinander im Kopf“, fuhr ich fort.

„Martha, warum denn noch? Was ändert das, was hast du davon? Der Großvater ist gestorben, dann ist er eben gestorben. Ende der Vorstellung. Nachkommen hat er jedenfalls in die Welt gesetzt. Auch seinen Titel weitergegeben. Und ist es letztlich so wichtig, wann und wo er gestorben ist? Im Krieg oder in der Klapse – das Ergebnis ist das gleiche. Was sagt übrigens dein Vater?“

„Das kann sich auf seine Nachkommen auswirken.“

Und es hätte sich anders entwickeln können, wenn ich erfahren hätte, dass er noch lebt und nicht tot ist. Mein Vater ist zurzeit nicht da. Vom Großvater wusste er. Ich meine, er wusste, dass der Großvater am Leben ist und auf Staatskosten rumspinnt. So sagte es Olaf. Ich werde natürlich meinen Vater, meine Mutter, meine Tante ausfragen. Da mach dir mal keine Sorgen.“

„Da mach ich mir bei dir auch keine Sorgen. Störrisch wie ein Esel. Aber warum quälst du dich damit? Ich zum Beispiel plag mich schon genug mit mir selbst herum. Na komm, der Großvater ist gestorben. Er war verrückt.“

Hat n'paar Sachen hinterlassen, die was mit Juden zu tun haben, was soll's?"

Der macht mich noch rasend. „Kapiertu denn nicht?! Ich hab sein Grab in der Sowjetunion gesehen. Wir bekamen lange keine Erlaubnis, dorthin zu fahren. Keiner wollte es glauben, als man uns dann doch rein ließ. Ich sagte meinem Vater, dass ich neben der Sowjetbotschaft einen Hungerstreik beginnen würde, wenn man es uns nicht erlaube, zu Großvaters Grab zu fahren, ich hab damals meinen Vater zum ersten Mal so richtig besorgt gesehen. Manfred goss noch Öl ins Feuer, als er sagte, dass er mich unterstützen werde, er werde zwar essen, aber dafür werde er eine Skulptur aus rotem Karton machen, dass alle ganz grün werden, man hat uns dennoch erlaubt zu fahren. Ich weiß noch wie mein Vater neben mir stand, in Trauer. Meine Mutter auch. Und jetzt kommt raus, dass er, und vielleicht auch sie damals wusste, dass sein Vater gerade in dem Augenblick frühstückt, irgend so ein medizinisches Frühstück in der Klapse, und mit dem Hut eines ermordeten Juden spielt?"

„Na ja, vielleicht war es ja nicht der Hut eines ermordeten Juden, vielleicht hat er den Juden auch gerettet. Das ist ein Witz. Aber es ist doch so oder so egal.“

„Das ist doch nicht egal! Und was wenn er ein Widerstandskämpfer war? Wenn er die Juden gerettet hat, und sie ihn deshalb in die Klapse gesteckt und den Verwandten erzählt haben, er wäre gestorben? Und den Rest seines Lebens haben sie Experimente an ihm durchgeführt, wovon er schließlich verrückt geworden ist. Stellt euch das vor.“

„Gute Güte, Martha. Meinst du denn, dein Großvater sei Oskar Schindler gewesen? Romantische Flausen! Hör endlich auf, dich selbst zu quälen, ich kann's nicht mehr hören. Mich kotzt dieses deutsche Schuldgejaule an. Unser Volk wurde geteilt, jede Regierung übernahm von neuem die Schuld für etwas, was andere verbrochen hatten, wir haben ganz Osteuropa die Grenzen geöffnet und abnorme Entschädigungen für die Lebenden, die Toten und Ungeborenen gezahlt, und aus den Juden wurde ein neuer nationaler Kult. Die Juden sind die katholischen Unschuldslämmer der Gegenwart. Warum verpassen wir eigentlich unseren deutschen Säuglingen nicht mit der Muttermilch gleich den Virus der ewigen Schuld vor der Welt für den bekloppten Adolf? Der Faschismus ist doch unser gemeinsames Erbe, oder? Man kann sich davon genauso leicht lossagen, wie man sich die Hand abhaken würde. Ich dachte du wärst helle genug, dass zu kapierten.“

„Sieht so aus, dass ich nicht helle genug bin, Derek. Aber da kann man nichts machen, das ist eben erblich. Aber was du sagst, ist verlogen. Ich habe den Eindruck, du verspürst keinerlei Schuldgefühl. Es geht dich nichts an, ja? Lobenswert. Aber mein Lieber, was wäre, wenn du dich in eine Polin verliebst und eine deutsche Baronessa nur deshalb verlässt, weil du dich persönlich für den Faschismus verantwortlich fühlst? Schon mal dran gedacht? Werdet ihr über Konzentrationslager in Polen reden?"

[Übersetzung: Alexander Kratochvil]

„Umarł mi dziadek”, powiedziałam. „Dziś rano”. „Jak chcesz, mogę pomodlić się za niego. Jutro i tak idę do kościoła. Wierzysz w Boga?” Pytanie o wiarę w Boga zignorowałam, nie miałam w zwyczaju mówić o takich sprawach w podobny sposób. „Dziękuję. Myślę, że lepiej będzie w synagodze”. „Przecież to kościół dla Żydów! Co cię tak nagle wzięło? Jasne, rób jak chcesz, ale dziwnie to będzie wyglądać. OK, nie będę się modlił. Lepiej pogadajmy o czymś przyjemniejszym! Powiedz, nie przypominam ci kogoś?” Zademontrował profil. Faktycznie, kogoś przypomniał.

„Uwaga, podpowiadam! Pamiętasz etykietkę tej nowej kiełbasy bakaliowej?” Zagwizdał melodyjkę reklamową. Przypomniałam sobie. „I po co się zrobiłeś na Herr Ernsta Fruktela? Obrzydliwe ma te bokobrody i w ogóle”.

„O nie! Odwrotnie! To oni zwędzili wizerunek Ernsta Fruktela od żywiutkiego Stefana Mesarosza. Zapłacą mi za to. Już niedługo. A na razie chcę zrobić sobie małą operację, zmienić kontur oczu”. Stefan Mesaros. A tak, tak się nazywa. Nazwisko po węgiersku znaczy „rzeźnik”.

„Słuchaj, dzięki za herbatę. Muszę namierzyć Derka”. „Jak nie chcesz słonych paluszków z kminkiem i piwa, to pa, do miłego!” Właściwie chciałam zabunkrować się tutaj, chrupać paluszki i zapijać piwem, a może i kochać się z panem Fruktelem; tak, to był niezły pomysł, i całkiem możliwy do zrealizowania. Trochę jak w filmach animowanych, seks z bohaterem reklamy kiełbasy bakaliowej, miałabym co opowiadać potomnym, ale uparcie trzyma-

łam się starego planu. Szłam do Derka. „Ciao”.

„Hej!”, usłyszałam. „To nie twój brat wygrał dzisiaj w Bawarii? W konkursie architektonicznym czy czymś takim. Manfred von Weigel?” „Mój. Drugie miejsce. Nagroda specjalna”. „Podobno niedługo będzie miał wystawę? W radio mówili, jego głosem zresztą”. „Pewnie tak. Nawet jeśli tym razem skłamał, to rzeczywiście co jakiś czas ma wystawy”.

„Hej, zaczekaj chwilkę, mam ważną sprawę”. „Jaką?” „Potrzebne mi imienne zaproszenie na tę wystawę. Chyba nie sprawi ci to kłopotu?” „Jesteś dziennikarzem, zawodowcem, po co ci to?” „Tak w ogóle, to jestem chemikiem. Myślałaś, że pracuję nad wizerunkiem produktów?” Nie, nie myślałam. Westchnęłam. „Słuchaj, na te wystawy można chodzić bez zaproszenia. Wstęp wolny”. „Jasne, ale potrzebuję właśnie zaproszenia!” „Po co?” „Żeby zrobić wrażenie na pani Foll. Wyobraź sobie tylko. Otwiera skrzynkę, a tam biała koperta z tłoczeniami albo jeszcze lepiej... w kolorze palonego cukru, to takie eleganckie, i na niej moje nazwisko i adres. Oddaje mi kopertę, stoi i czeka, co zrobię. Wiesz, jaka jest wścibska. A z koperty wypada jej pod nogi piękne zaproszenie na wernisaż! Od intelektualisty, laureata konkursów, sławnego człowieka! Od razu zacznij mnie inaczej traktować. Czasem mam ochotę ją kopnąć, ledwie się powstrzymuję, kiedy tak wrednie na mnie patrzy. Mój ojciec patrzy w ten sposób tylko na Rosjan. Tyle że on ma chociaż jakieś powody, może i dyskusyjne, ale ma. A ta Foll – co ja jej zrobiłem?”

Nawet przywiozłem parę słoików pieczonej papryki...”. „Zgoda”, obiecałam. Manfred się ucieszy, a i ja czasem muszę mu się podliżać.

„Masz takie dziwne oczy... Nie wiem, jak to powiedzieć po niemiecku. Na pewno dobrze się czujesz?”, pyta Natasza. Tak naprawdę, Natasza świetnie zna niemiecki i nawet redaguje jakieś pismo. Ale każdy ma jakąś strategię obrony. Natasza – językową. Jej wybór, jej sprawa. Nie wiem, na ile szczerze powinnam rozmawiać z Nataszą. To znaczy wiem, że mogę być z nią całkiem szczerą, ale jednak jakoś mnie to irytuje. „Mam kłopot z dziadkiem”, mówię. „Szukasz pielęgniarki?” Dziewczyny ze Wschodniej Europy są bardzo pragmatyczne. „Raczej już nie. Właśnie umarł”, mówię. I zaczynam wyginać palce, tak żeby dotknęły nadgarstków. „Bardzo mi przykro”, mówi Natasza. „Ile miał lat?” No tak, zaczyna się. Ciężko mi odpowiadać na takie pytania. „Osiemdziesiąt cztery”, mówię. „O”, mówi Natasza. Dociera do mnie, że wyglądam tak, jakby dziadek zmarł tuż po urodzeniu i jakbym teraz rozpaczała z tego powodu.

„Zostawił coś Derkowi na pamiątkę?”, pyta Natasza. „Co miał zostawić?” „Przecież mówiłaś, że szukasz Derka, bo umarł twój dziadek, tak?” Racja. „Pomyślałam, że zostawił coś dla Derka, jakiś antyk czy coś. Derek go znał?” „Nie”, mówię. „Nawet ja go nie znałam”. „Derka?”, Natasza na wszelki wypadek porządkuje fakty. „Dziadka”, odpowiadam. Nie wygląda na specjalnie zdziwioną. Wyjaśniam, że dziadek zaginał podczas drugiej wojny światowej i że o jego śmierci dowiedziałam się w chwili, kiedy okazało się, że aż do teraz żył.

„I gdzie był przez cały ten czas?”, pyta Natasza. Mówię, że w zakładzie specjalnym i że jutro muszę tam pojechać. „Na kremację”. Natasza patrzy na mnie ze współczuciem. „Zostawił parę rzeczy. Biblię, chasydzki kapelusz, samouczek hebrajskiego, kartkę z dwiema brzoskwiniami i dopiskiem, którego nikt nie potrafi rozszyfrować. Nie wgłębiałam się w to na razie”.

„Te rzeczy należały do ludzi, których zabił?”, pyta spokojnie Natasza, a do mnie dociera, że nawet o tym nie pomyślałam! Boże, to naprawdę mogą być rzeczy jego ofiar... „Cześć”, usłyszałam głos Dereka i obejrzałam się. „Masz już ten fotel Himmlera?” „Jeszcze nie, ale niedługo zdobędę”. Derek też jest w sandałach, jasnozielonej koszulce, może to komplet do oczu Nataszy, dzinsach. Derek z Nataszą są nieźle zgrani, ona wstaje, on siada na krześle, ona przysiąda mu na kolanach, jakie ma długie nogi... „Marcie umarł dziś dziadek”, mówi Natasza do Derka. „Jaki dziadek?” „Ojciec ojca”, odpowiadam i obserwuję jego dłoń, palec starannie wyrównuje łuk talii Nataszy, jak tureccy robotnicy wygładzają tynk pod malowanie...

„Czekaj, a on nie umarł w czterdziestym trzecim?”. Derek ma świetną pamięć. „Zmarł dzisiaj w psychiatryku”, odpowiada Natasza. „W czterdziestym trzecim ktoś umarł zamiast niego. A on zostawił mi rzeczy Żydów, których zabił”, dodaje natychmiast. „Po co?”, pyta Derek. „Żeby pamiętać”, odpowiada nerwowo Natasza. „Może spisał testament?”, pyta Derek. W końcu zwraca się do mnie. „Nie, Olaf nic nie mówił o żadnym testamencie. Na pewno by powiedział. Zresztą jaki testament, dziadek był naprawdę niespełna rozumu”, mówię.

„Chcę się w tym jakoś połapać. Mam w głowie kompletny mętlik”, ciągnę. „Marta, po co ci to teraz? Co to zmieni, co ci to da? Dziadek umarł i kropka. Koniec tematu, na

szczęście zdążył przedłużyć swój ród. I przekazać tytuł. Czy to ważne, kiedy i gdzie umarł? Na wojnie czy w psychiatryku – na to samo wychodzi. A właśnie, co powiedział twój ojciec?”

„To akurat może mieć znaczenie dla jego potomków. I wcale nie na to samo by wyszło, gdybym dowiedziała się o jego życiu, zamiast o jego śmierci. Ojca teraz nie ma. O dziadku wiedział. To znaczy wiedział, że dziadek żyje i że jest w zakładzie, na utrzymaniu państwa. Możesz mi wierzyć”. „Zawsze ci wierzyłem. Jesteś zawzięta jak foksterier. Nie masz innych kłopotów? Tak, nudny jestem. Słuchaj, zmarł dziadek. Wariat. Zostawił parę rzeczy, jakoś tam związanych z Żydami – no i co z tego?” Zaraz doprowadzi mnie do szału. „Nie rozumiesz?! Byłam na jego grobie w Związku Radzieckim. Długo musieliśmy się starać o wizę. Nikt nie mógł uwierzyć, jak nas w końcu puścili. Powiedziałam ojcu, że urządzę głodówkę pod ambasadą, jeśli nie pozwolą nam opłakać dziadka, i pierwszy raz w życiu widziałam, jak ojciec się przestraszył. Manfred dołał oliwy do ognia: powiedział, że pójdzie ze mną, ale nie będzie głodował, za to zrobi rzeźbę z czerwonego kartonu, taką że „Sowietci zzielenieją”. I wtedy nagle pozwolili nam jechać. Pamiętam, jak ojciec stał obok mnie, w żałobie. I matka. A teraz okazuje się, że wiedział, a może nawet obydwójka wiedzieli, że w tym czasie dziadek spokojnie pałaszuje dietetyczne śniadanie w psychiatryku i bawi się kapeluszem zabitego Żyda?”

„Słuchaj, może to nie jest kapelusz zabitego Żyda, może on tego Żyda uratował. Dobra, żartuję. Przecież to i tak nie ma znaczenia”. „Owszem, ma. A jeśli walczył z faszyzmem? Jeśli ratował Żydów i właśnie dlatego zamknęli go w psychiatryku, a rodzinie powiedzieli, że umarł? I całe życie robili na nim doświadczenia, aż w końcu od tego zwariował. Jest nad czym pomyśleć”.

„Boże, Marta. Myślisz, że twój dziadek był jakimś Oskarem Schindlerem? Sentymentalna bzdura. Nie obwiniaj się, przestań. Wkurzają mnie te niemieckie jęki. Jakby mało było tego, że nasz naród rozwalono na pół, mało, że każdy rząd brał na siebie odpowiedzialność za to, co zrobili zupełnie inni ludzie, mało, że otworzyliśmy granice całej Wschodniej Europy i wypaliliśmy niewiarygodnie odszkodowania martwym, żywym i nienarodzonym, a z Żydów zrobiliśmy nowy kult narodowy. Żydzici to współczesne katolickie baranki. Śmiało, idźmy dalej – zamiast mleka matki wlewajmy do ust naszym niemieckim niemowlętom serwatkę niewybaczalnej winy wobec całego świata za nawiedzonego Adolfa. Faszyzm to nasz wspólny spadek, prawda? Nie trzeba się go zrzekać, nie trzeba obcinać sobie rąk. Myślę, że masz dosyć zdrowego rozsądku, żeby to zrozumieć”.

„Nie, nie mam dosyć. Ale nic nie poradzisz – to też spadek. Złapałam cię na niekonsekwencji. Wiesz, o czym pomyślałam? Wychodzi na to, że nie widział w nas żadnej winy, tak? Ciebie to nie dotyczy. Doskonałe. Ale powiedz, mój drogi, może zakochałeś się w Polsce i rzuciłeś niemiecką baronesę właśnie dlatego, że czujesz ogromną osobistą winę za faszyzm? Nie zastanawiałeś się nad tym, co? Rozmawiacie w Polsce o obozach koncentracyjnych?”

[Tłumaczenie: Małgorzata Buchalik]

Лариса Денисенко (1973, Україна) – вивчала юриспруденцію в Україні, Нідерландах, Чехії. Народилася та живе в Києві. Працює адвокатом у сфері цивільного та адміністративного права. Ведуча культурологічних програм на телеканалах 1+1 та 1+1 International. У 2002 році отримала Гран-прі конкурсу „Коронація слова” за книгу *Забавки з плоті та крові*. Роман *Корпорація ідіотів* (2005) був відзначений премією „Літературний олімп-2006” як книжка, яку найбільше крали в книгарнях. Книга *Танці в масках* (2006) отримала премію „Гармонія слова”. Книга *Сарабанда банди сари* (2008) була нагороджена як Найкраща українська книга 2008 за версією читачів та журі тижневика „Кореспондент”. Пише для дорослих і дітей.

Larysa Denysenko (1973, Ukraine) – studierte Rechtswissenschaft in der Ukraine, Holland und Tschechien. Geboren und wohnhaft in Kiew. Sie ist als Anwältin im Internationalen Recht und im Verwaltungsrecht tätig. Sie leitet Kulturprogramme in den Fernsehsendern 1+1 sowie 1+1 International. Im Jahr 2002 erhielt sie für ihren Debütroman *Spielzeuge aus Körper und Blut* den Grand Prix im Wettbewerb Krönung des Wortes. Für ihren

Roman *Körperschaft der Idioten* (2005) erhielt sie 2006 den Preis Literarischer Olymp für das am häufigsten aus Buchhandlungen gestohlene Buch, ihr nachfolgendes Buch *Maskentanz* (2006) wurde mit dem Preis Harmonie des Wortes geehrt, wohingegen ihr letztes Buch *Sarabanda bandy sary* (2008) von den Lesern und der Jury der Wochenzeitung „Korespondent” preisgekrönt wurde. Die Autorin schreibt Erwachsenen- und Kinderliteratur.

Larysa Denysenko (1973, Ukraina) – studiowała prawo na Ukrainie, w Holandii i Czechach. Urodziła się i mieszka w Kijowie. Jest adwokatką, zajmuje się prawem cywilnym i administracyjnym. Prowadzi programy kulturalne w telewizji 1+1 i 1+1 International. W 2002 roku otrzymała Grand Prix w konkursie „Koronacja Słowa” za debiutancką powieść *Zabawki z ciała i krwi*. Za powieść *Korporacja idiotów* (2005) otrzymała w 2006 roku nagrodę „Literacki Olimp” dla najczęściej kradzionej książki z księgarni, kolejna książka *Tańce w maskach* (2006) otrzymała w roku wydania m.in. nagrodę „Harmonia Słowa”, a jej ostatnia książka *Sarabanda bandy sary* (2008) została nagrodzona przez czytelników i jury tygodnika „Korespondent”. Autorka pisze książki dla dorosłych i dla dzieci.



RHETORIKLEHRER FÜR ANWÄLTE NAUCZYCIEL RETORYKI DLA ADWOKATÓW ШКОЛА РИТОРИКИ ДЛЯ АДВОКАТІВ

romanauszug
fragment powieści
уринок із роману

Parker erwachte wie immer schweißgebadet. Das sanfte Brummen der schweren Motoren der Boeing und das gedämpfte Licht der First-Classkabine erinnerten ihn daran, wo er sich befand: in der Luft. Wie passend. Da hing er nun überm Atlantik in einer Reishöhe von 10000 Fuß, wieder mal auf dem Weg zu einem Seminar, diesmal zu einem Kurs für den schleswig-holsteinischen Anwaltsverband, haderte mit sich und schwitzte sein Ich aus. Sein Körper reagierte auf die ungeheure Wasserzufuhr – Parker trank mindestens 5 Liter am Tag – mit extremen Schwitzen während des Schlafs. Er hatte unterschiedliche Diagnosen auf sein Schlaf-Schwitzen bekommen. Die Konstitution eines Athleten. Stoffwechselstörung. Völlig normal. Sie müssen vorsichtig sein: das Herz. Genau wie sein Vater traute er Ärzten nicht. Oder redete sich dies ein. Vielleicht traute er sich nur nicht wirklich in eine fortgesetzte Behandlung. Er ließ die Stewardess kommen und bat sie um ein Glas Wasser.

Das Gift in Parker – er hatte beschlossen, es seine Erinnerung zu nennen, als ermöglichte ihm der Schmerz der Auflösung den Blick in eine tiefere, menschliche Wahrheit, eine die hinführte zu einer Gleichung mit dem Tod. Organe, die zerflossen, Arterien, die von innen durch zu viele Blutströme rissig, porös geworden waren. Dann noch das äußere Vertrocknen des schlaffen Hautsacks, der als Gesicht, schlaffer Bauch, Gesäß oder Brusthaut nur noch die äußere, clowneske Verkleidung eines innerlich schon ganz dahingegangenen Ordnungssystems namens Körper bildet. Das waren die Endstufen des Alters, jenes zündenden Einfalls, den Gott, Zufall oder Schöpfung gehabt haben musste, als er dem Menschen in der Evolution freie Bahn gewährte, die zu Spiegel, Liebe und Altersheimen geführt hatte.

Parker fühlte sich, Mitte dreißig, alt. Nein, nicht alt, alternd. Wie im Zeitraffer wiederholte er die Illusionen eines Lebens, das er mit Neela in eine dieser doch schon lang als abgestanden verschriebenen großen Lieben zum Abschluss gebracht und geteilt zu haben glaubte. Nun war sie fort. Eigentlich war er ja gegangen, nicht wahr? Er trank das Glas in einem Zug aus, so was konnte man auch Verdünnung nennen, halb bei Vergiftungen, definitiv.

Was war passiert? Wie hatte er sie wirklich verloren? In welchem Schuppen gewühlt, die Schippe geliftet, die Spinne, die sich in dunkler Raserei auf ihn gestürzt hatte, nicht gesehen und war gebissen worden? Irgendwann hatten sie nicht mehr gereicht, die Grüße per SMS um 3 Uhr morgens aus irgendeinem Relexa oder Hyatt Park Hotel, einer Econo Lodge, die Beschwörung der Nähe bei Schlaflosigkeit. Über die Entfernung hinweg existierte nichts einfach – sein Fuß tastete weiter nach etwas, das ihm Halt gab, den Bruchstücken fremder Existenzen. Er küsste die Lippen anderer Frauen, kostete das Versprechen eines Neuanfangs aus, jedes Mal wieder, von Stadt zu Stadt neu, von Monat zu Monat, Woche zu Woche. Der Traum ewigen Aufbruchs, bezahlt mit dem Gefühl bei all dem innerlich zu verfaulen. Es war Verrat gewesen. An sich. An ihr. An all den anderen, die er vertröstet hatte, auf Momente, die er schon kannte, und die es nun nicht einmal im Schnelldurchlauf mehr gab.

Manchmal glaubte er, mit Neela seine Zukunft verloren zu haben, nicht nur die Möglichkeit Kinder zu bekommen, sich anzusiedeln, gemeinsam alt zu werden, die gemeinsamen Träume Wirklichkeit werden zu lassen oder zumindest immer wieder an ihren Gehalt zu glauben, wie an das Feuer in einer kalten Nacht. Jemand, der da war,

wo man auch war, sich nehmen ließ, umarmte, in all dem Vergehen noch den Anfang sah. Zukunft als eine Zeit, in der sich noch etwas ändern würde. Jetzt schienen das einzige, was sich änderte, die Orte zu sein, an die es ihn zog.

Die Hotelhalle war ein Tempel des Minimalismus. Beton und dunkelbraunes Holz. Kein Messing, wie man es von einer Hafenstadt erwartet hätte, und woran er sich noch vom letzten Jahr her zu erinnern glaubte. Ausgesuchte Designershops, Calvin Klein, Hugo Boss, Donna Karan. Er hatte sich immer gefragt, was das ausmachte, ob jemand seinen Lebenssinn fand, wenn er oder sie Calvin-Klein-Träger war, ein kleiner Calvinus, schlicht, elegant, der Prädestinationslehre unterworfen, wie nur irgendein Fluggast seinem Bestimmungsort: aus Dir wird ein glücklicher, gut funktionierender Mensch werden, gut bezahlter Job, angesagte Stadt, späte Kinder. Mode, das war Transport in die Welt der Versprechung, Illusion der Kontrolle, das Einschlagen einer Richtung. Aber würden die Schilder wirklich etwas verraten, von dem, was der Träger war, was er sich wünschte? Parker schüttelte sich. Vom Zustand der Welt um ihn her jedenfalls lenkten die Karans, Boss', Kleins nicht lange ab. Angenehm künstliche Düfte und eine Orchidee auf dem Rezeptionsbrett. Die Boutiquen waren für die Nacht geschlossen. Ein einzelner Reinigungswagen bohnerte leise den Raum vor den Fahrstuhltüren. Gaben einem Kleider wirklich die Sicherheit eines Gottes oder wenigstens das Maß eines Menschen vor, der sich den Dingen gewachsen zeigt?

Wie immer, wenn er übermüdet von irgendeinem Flughafen in irgendeinem Hotel ankam, fühlte sich Parker zu erschöpft, um wirklich darüber nachzudenken. Sollten die Schöpfer nun ganze Universen oder nur Mode erzeugen, egal. Er reichte dem Nachtportier seinen Pass und seine Kreditkarte und bekam ein Zimmer mit Blick.

Ein Zimmer mit Blick hieß: sich in einem großen Haus wieder zu finden, aus dem Fenster zu sehen und sich vorzustellen, man sei wie viele andere Menschen hinter den gleichen Fenstern und Vorhängen nur ein Hirnvorgang. Neuronale Impulse, ein Blitzgewitter, hin und wieder aufleuchtende, geheime Gedanken der Häuser, die diese nur austauschen würden, wenn jemand die Stadt wechselte, umzog, in ein anderes Haus, ein anderes Leben, Liebschaften unterhielt, sich zu Geschäftsessen traf. Menschen als Botschaften. Dabei waren sie höchstens Wortfetzen, Gedankensplitter, Informationspartikel, die zwischen Zimmern ausgetauscht wurden, immer wieder

eingeschleust in die alten, arbeitenden Schädel der Städte, leicht zu entschlüsselnde Codes.

– Liebst du mich?
– Ja
– Schläfst du mit mir?
– Ja. Komm, nimm noch etwas Wein.

Trotzdem waren es die Hotels, die nach Parkers Ansicht die klügsten Häuser waren – und nicht die Restaurants. Weil sie ruhten. Oder wie Gräber waren. Oder weil man in ihnen schneller lebte, ein Haufen rennender Mäuse in dicken, mit Lachgas gefüllten Ballons. Weil sie einen Menschen wie ihn mit offenen Armen empfingen.

Draußen schneite es wild. Man hatte ihn, wie letztes Jahr, ins Hotel Astor gebucht. Vom 7. Stock aus hatte er einen schönen Blick auf den hinter den Schneeflocken verschwindenden Hafen. Der Autolärm der vierspurigen

Andreas-Gayk-Straße drang nur gedämpft zu ihm herauf. Deshalb mochte er Schnee, er machte die Dinge ruhiger. Er sah auf eines der typischen, ihn wegen des Backsteins immer an Kasernen erinnernden Geschäftshäuser auf der gegenüberliegenden Straßenseite, die Fassade verkündete in 50er-Jahre-Leuchtbuchstaben „NordwestLotto Schleswig-Holstein“. Über den Dächern leuchteten die zwei Schornsteine der Schwedenfähre

rot, und auf dem Oberdeck war das Rettungsboot blau angestrahlt, oder es war irgendein Teil der Reling, jedenfalls schien ihm das ganze Schiff im milchigen Schneelicht eine märchenhafte Erscheinung zu sein. Er schnipste die angerauchte Zigarette nach draußen und schloss das Fenster. Die dicken Flocken waren in kleinere, härtere Kristalle übergegangen, die schneller und in größeren Abständen zu Boden fielen. Eine Kälte, die man nicht mehr so gern mit dem Mund hätte auffangen wollen.

Er hängte seine Anzüge in den Schrank, packte die Koffer aus, richtete seine Bücher auf der Kofferbank aus, sodass er sie morgen schnell greifbar hätte. Er nahm zwei Baldrian und eine Melatonin, hatte aber das Gefühl, dass er nicht sofort würde einschlafen können. Es gab zwei Möglichkeiten. Heiß Baden wollte er nicht.

„Heißen Sie wirklich Parker, wie der Weintyp?“
„Heh, ja dieser Punkte-Guru, richtig?“, mischte eine heisere Stimme sich ein, „Matthew Parker wie der Weinknirch, und – wie der Spinnenmann.“ Wilfried schob sich und seinen mitgebrachten Thermoskannenkaffee



© Katja Hoffmann 06/11/18 Berlin: Porzellanhund

zwischen die beiden.

„Peter“, sagte Matthew.

„Was?“, fragte Wilfried und pustete von unterhalb seiner Schirmmütze, die er auch im Seminarraum getragen hatte.

„Peter. Peter Parker ist Spiderman. Ich heiße Matthew.“ Mit einem angedeuteten Lächeln in ihre Richtung stieß er wie unabsichtlich an Wilfrieds Kaffeebecher.

„Scheiße, Mann“. Wilfried beeilte sich, die gefährlich ins Schwappen geratene dampfende Flüssigkeit auszublancieren, indem er die Hüfte wie ein Torero vor einem angreifenden Stier zurückzog, während er den Arm mit dem Becher durchstreckte, um sich nicht zu verbrühen. Anneli lachte. Normalerweise hasste er solche Namen. Anneli, Beate, Waltraud. Sie erinnerten ihn an die Kummerexistenzen, die er aus seiner Kindheit kannte, jene Tanten mit regelmäßigem Kaffeekränzchen, die sich in den Ein-Zwei-Familienhäusern an der Ausfallstraße zum Bahnhof in ihrem engen Leben eingenistet hatten. Traurige Vögel. Und er stand nicht auf Schadenfreude. Aber auf Anneli, das wusste er seit der ersten Unterrichtseinheit, hatte er „reagiert“. Sie war eine dieser komplizierten Schönheiten, deren Geheimnis man niemals in einem Bild würde einfangen können. Sie hatte ein unregelmäßiges Gesicht, aber ihre Lippen schienen durch kleinste Kontraktionen alles auszudrücken, was sie empfand, füllten sich, schwellen an, wenn ihr etwas gefiel.

Er konnte kaum seine Augen von ihr abwenden. Ansonsten musste er in ein Nest toter Fünziger gefallen sein, einschließlich der Eber- und Gerhards, die jetzt einen Kreis um den armen Wilfried zogen und zusahen, wie er den Kampf mit dem Kaffeebecher verlor. Eine Kaffeelache bildete eine Art Opferplatz auf dem Boden des Schulflurs. Parker sah sich plötzlich selbst, wie er Wilfried in die Kniekehle trat und ihn, nachdem er eingeknickt war, sein Gesicht in die Kaffeepfütze stieß. Los, Wilfried, trink. Vielleicht lagen sie hier in Kiel einfach so zurück, vielleicht waren die Leute, die er unterrichtete, alle einer elterlichen Sekte von „Kommt-wir-geben-unseren-Kindern-Namen-aus-der-Wirtschaftswunderzeit“ Fanatikern entsprungen. Und vielleicht war es auch kein Zufall, dass sie alle angehende Anwälte, Richter und Staatsanwälte waren. Baseballkappe und halbleerer Kaffeebecher als nutzlose Accessoires einer verlorenen Coolness, plötzlich spürbar an seinem Körper, so tupfte Wilfried jetzt mit einem Papiertaschentuch den Boden auf und Parker unterdrückte ein Lächeln, in seinem Seminar durfte es, so früh, noch keine Ausgrenzung geben. Er trat zu Wilfried und half ihm auf.

„Alles in Ordnung?“

„Ja, alles klar.“

Jetzt konnte er also den Helden spielen. Sie, Anneli, wandte sich ihm wieder zu.

„Matthew Parker. Das ist ungewöhnlich, Matthew.“ Sie kaute seinen Namen förmlich, fand er, als würde sie erwägen, ob er tatsächlich jener mit 94 Punkten im letzten Weinguide ausgezeichnete Pinot Noir vom Kap der Guten Hoffnung sei, oder der mit fruchtig, rassig, komplex angepriesene im Eichenfass ausgebaute Spanier aus der Mancha.

„Ja“, antwortete er, „mein Vater war Engländer.“

„Und Jazzfan?“

In seiner Eingangsübung, die eigentlich lediglich eine Vorstellungsrunde gewesen war, hatte er vorbereitete

Kärtchen an die Teilnehmer verteilt.

„Schreiben Sie Ihren Namen, Ihren Beruf, ein paar Stichworte zu Ihrer Person, Hobbys, ob Sie gern Essen, ob Sie gern Tanzen, alles was wir in 3 Minuten unbedingt von Ihnen wissen sollten, und Ihre Erwartungen für dieses Seminar auf. Und dann kommen Sie nach vorn.“

Hierbei hatte er aufs Pult geklopft, an das er lässig lehnte und von dem er sich dann entfernte, die ganze bedrohliche Präsenz eines Schafotts zurücklassend.

Er würde sie einen nach dem anderen aufrufen. Die erste hatte er sich bereits ausgesucht. Es war Anneli.

Sie machte ihre Sache gut, zitterte nur ein wenig. Er saß ein wenig seitlich, weit genug weg, um den Eindruck eines reservierten Zuhörers erkennen zu lassen und damit die harte Situation der auf die Rednerin gerichteten allgemeinen Aufmerksamkeit nicht aufzulösen. Und doch nah genug, um sich die Beine anzusehen.

Die Beine verrieten alles. Standen sie bei einem Teilnehmer gekreuzt, oder wippte der oder die Teilnehmerin beim Vortragen hin und her, deutete das auf erhöhte Anspannung, manchmal extreme Nervosität hin, die sich dann über die meist das Pult umklammernden Hände bis in die Gesichtsmuskulatur fortsetzte und sich – ein Fehler der Atmung – in schnell gehaspten Sätzen ohne Pausen und Betonung Bahn brach. Ein Verhalten, das lediglich in der Lage war, seinem Publikum diese einzige Botschaft mitzuteilen: Ich will hier schnell wieder raus. Körpersprache trog nie. Aber dazu würden sie später kommen. Anneli machte fast alles richtig. Stand im Seemannsgang, wurde dadurch automatisch ruhiger, fing auch nicht sofort an, sondern atmete erst einmal. Dann, bei den Erwartungen ans Seminar, sah sie Parker an und verschluckte den Satz. Er stand auf, erlöste sie von der Verkrampfung mit einem Nicken, hielt sie, bevor sie wieder auf ihren Platz verschwinden konnte, an der Hand fest, stellte sich neben sie und erklärte, dass man die Hände am besten ganz locker aufs Pult legte und die Bauchatmung unterstützte. Er forderte die Teilnehmer zum Aufstehen auf, legte sich die Hand auf den Unterbauch, beschrieb, wie man die Luft ins Zwerchfell einsog und so einen schönen Luftvorrat sammelte, den er, mit dem Hinweis „die Sänger nennen das Stütze“, in einem volltönenden „Lala“ in den zugegen Klassenraum entließ.

Die Teilnehmer waren beeindruckt. Ihre Erprobung der Atemtechnik verlief sich zwar meist in einer scheibenwischernden Suchbewegung der Hände nach dem Zwerchfell. Was insgesamt in einem hilflosen Gezucke der einen, und einem stilleren nach in sich gekehrten Genicke der anderen Hälfte der Seminarteilnehmer endete, die ihre Mitte nun, dank Parker, gefunden zu haben glaubte. Parker empfing dankbare Blicke. Die Angst vor dem drohenden Auftritt ließ nach, denn einer, Anneli, hatte ja schon begonnen und Parker hatte mit seiner Erklärung ihrer aller Nervosität in die erste Unterrichtssequenz verwandelt.

Er dankte Anneli und bat dann Wilfried, ans Pult zu treten, was diesem augenblicklich Schweißperlen auf die Stirn trieb. Nervös nestelte Wilfried mit seinen 3 Kärtchen, als wäre ihm die Reihenfolge immer noch nicht klar. Er fing dann aber doch mit einem „Äh, ich bin, heiße, Wilfried“ an, alles nach unten gesprochen, völlig vor den Blicken der anderen durch seine Schirmmütze

geschützt. Er würde eine harte Nuss werden. Nachdem sich alle 13 Teilnehmer vorgestellt hatten, und er sich die Namen, die Sitzpositionen, erste Schwächen und Stärken sowie Erwartungen an das Seminar notiert hatte, war es für Parker an der Zeit gewesen, nun auch die Karten auf den Tisch zu legen.

Er war selber nervös, wie immer. In den ersten Einheiten würde der Grundstein für den Erfolg des gesamten Seminars gelegt werden, das wusste er.

Neben einigen Bemerkungen zum Ablauf, gab er prägnante Stationen seines Lebens bekannt, so ausgewählt, dass sie das Gespräch in den Pausen trugen, und, wie er hoffte, die unvermeidliche Neugier der Teilnehmer beim Mittagessen, in die richtige Richtung lenken würde. Anneli hatte sofort angebissen.

„Ja, Jazzfan war mein Vater auch, hat für BFBS, den Militärsender der Engländer das Nachtprogramm gemacht. Schlafloser, der er war.“

„Dann haben Sie ja Glück gehabt, Matthew, dass er Sie nicht Charlie genannt hat.“

Er sah seinen Vater vor sich. Wie die Lefzen einer Bulldogge hatten seine Wangen ihm vom Gesicht gehangen, wenn er konzentriert in das Mikrofon sprach, nach einer Wendung suchte, einem seiner berühmten schlüpfrigen Sprachspiele, für den die Kompanien in Lüneburg, Münster und Bielefeld den Sergant Major gemocht, ja verehrt hatten.

„Jetzt kommt Charlie „the Bird“, Freunde, ihr wisst, was das heißt, Vögeltime, ja, Platz für richtige Nordatlantikpaktfreundschaften, Folks, komm Charlie, blas uns einen.“

Matthew hatte seinen Vater durch die schalldichte Doppelglasscheibe angestiert, wenn der ihn ins Studio mitnahm und ihn bei Benny, seinem Lieblingstonmann absetzte, wo Matthew ihm ganze Abende lang bei der Arbeit zusah. Parker jr., wie auf der Feldjacke stand, die sein Vater ihm, zu groß, zu seinem zehnten Geburtstag geschenkt hatte – so viel zu groß, dass sie ihm auch mit 13 noch passte und zu einem Relikt wurde, nachdem Parker senior seiner Frau im Suff einen Handkantschlag verpasst hatte und mitsamt seiner Plattensammlung und den Armeephotos aus der Wohnung ausgezogen war, sich nach England versetzen ließ und sie niemals wieder etwas von ihm hörten.

Das „jr“ hatte er sich aus der Jacke geschnitten, aber nicht aus dem Herzen, wie seine Mutter meinte, als er sie bat, das Radio aus der Wohnung zu schmeißen und von nun an klassische Musik auf den Plattenspieler zu legen oder, noch besser, ganz auf dieses „Konservengeplärre“ zu verzichten. Es war doch etwas aus ihm geworden, dachte er jetzt, während er auf Anneli sah, die die vorgeschriebene Sozialdistanz – kulturbedingt in Deutschland ein Abstand von etwa einer Armlänge – bereits jetzt deutlich unterschritt und ihn mit ihren hellen blauen Augen ansah. Seine Mutter fiel ihm ein, die in Hamburg lebte und die sich sicher fürchterlich aufregen würde, wenn sie erfuhr, dass er mit dem Flieger mal wieder in Frankfurt gelandet und auf dem Weg zu seiner Arbeit „durchgerauscht“ war, wie sie es nannte. Der Gedanke an sie, machte ihn traurig, weil sie traurig sein würde, dass er sie nicht besuchte, und ihre Wut über die dauernde Zurücksetzung trotzdem unterdrückte. Er konnte ihre Stimme nicht ertragen, die irgendwie weinerlich klang, ein junges Mädchen auf Abruf, das gerade von ihrem Freund, der noch gestern

Kinokarten für sie beide besorgt hatte, verlassen worden war und immer noch hoffte, die ganze Angelegenheit würde sich, wie auch das ganze Leben selbst, als regelbar, als ein bedauerlicher Irrtum erweisen. Er dachte an ihre Wohnung, für die sie sich erst vor kurzem neue braune Möbel angeschafft hatte, ein flacher asiatischer Tisch und eine Designercouch, die sie sich nicht leisten konnte und deren edles Leder, kastanienfarben, eher einem jungen gut verdienenden Paar angestanden hätte, das noch einige Jahre, ohne zu heiraten, frei an Parties und wilden Sex miteinander dachte und dann doch auch Kinder haben würde, die ihren Bananenbrei und den Möhrensaft ungehindert und abwischbar in die Ritzen verteilten, ohne dass es dem Möbel in seiner gedeckten Farbe irgendetwas anhaben könnte.

Seine Mutter war 49 er 33 – weder schienen ihm Halbgeschwister denkbar, noch war es jetzt noch nötig, ihm ein Möbelstück für die erste Studentenbude mitzugeben, da er ja diese Ausbildungsphase auch ohne ihre Hilfe mit schmutzigen Tricks – Doppelbelegungen von Seminaren und Vorlesungen zur selben Zeit, um Zeit zu sparen – und nervtötenden Jobs, wie dem Ausfahren von Zierfischcontainern, hinter sich gebracht hatte.

„Matthew, ist etwas? Habe ich etwas Falsches gesagt?“, fragte Anneli.

„Nein, nein. Ist schon gut, ich habe bloß an etwas gedacht“, versuchte er abzuwehren. Wenn sie jetzt nachfragte, woran, würde er die Pause verkürzen.

„Hoffentlich an etwas Schönes.“

„An meine Mutter.“

„Oh.“

In der nächsten Pause würde er sie fragen, ob sie am Abend Lust hätte, mit ihm Essen zu gehen.

Die Dreisätze gingen der Gruppe leicht von der Hand. Titel, Inhalt, Wertung, ein einfaches Denkmuster, das Informationen und Wertungen für beliebige Themen gegliedert zur Darstellung brachte. Er hatte es sogar geschafft, Wilfried nach der Mittagspause seine Kopfbedeckung in geschlossenen Räumen auszureden, der hing sich jetzt allerdings an ihn, als wäre er sein Freund. Nicht nur die Baseballkappe war es gewesen, die die Gruppe sofort gegen den schlaksigen Junganwalt eingenommen hatte. Er hatte sich auf einen der Eckplätze gesetzt, eigentlich untypisch für einen „Verklemmten“, als den ihn Matthew zunächst eingestuft hatte. An den Ecken saßen Matthews Erfahrung nach für gewöhnlich die mit einem übersteigerten Selbstbewusstsein, die „Troublemaker“. Denen ging es meistens zu langsam, zu verschult zu, die fragten, wenn man ihnen nicht gleich von Anfang an entweder durch spezielles Lob oder durch besonders harte Kritik den Wind aus den Segeln nahm, irgendwann entnervt und jeden Dozenten ins Schleudern bringend, was denn das Ganze solle, sie hätten sich da etwas ganz Anderes erwartet. Man durfte sich nicht durch die anfängliche Angst im Seminar täuschen lassen: hier herrschte Krieg – und die Fronten konnten sich leicht gegen den Dozenten richten, wenn der nicht von Anfang an die Zügel fest in die Hände nahm.

Erst abends, kurz vor Schluss konnte man sie laufen lassen. Wie immer am ersten Tag baute er auf die Fünfsatzübung. Geübt werden sollte spontane Dialektik mit vorbereiteten Argumenten, schnelle Bezugnahme auf den Gegner in einer Podiumsdiskussion, wo pro und

contra klar definiert waren. Sein Paradedeja für diesen Abschluss war, wie üblich, „Hunde in der Stadt – Segen oder Fluch?“

Nachdem sich Hundeliebhaber und Hundegegner nach dem digitalen Abzählsystem auseinander dividiert hatten, blieb für Parker gewöhnlich Zeit aufzuräumen, seine Unterlagen und das Arbeitsmaterial für den nächsten Tag zu ordnen und dabei etwas Abstand von dem zu gewinnen, was die letzten Stunden passiert war. Normalerweise war er zu diesem Zeitpunkt hundemüde. Als er die Killerphrasen und die Folien mit den Rede-konzepten und Argumentationsplanspielen für den nächsten Tag zurechtlegte, warf er noch einen Blick auf das Videoequipment im Nebenraum, das Eberhardt hatte springen lassen. Wahrscheinlich von der Volkshochschule ausgeliehen. Es war ihm letztes Mal schon merkwürdig vorgekommen, so viel Geld für ihn zu bezahlen und sich dann in diesem schäbigen Ambiente zu treffen. Aber vielleicht reizte gerade die unvertraute Schabigheit der Schulräume die hoch bezahlten Juristen. Morgen würde es ernst werden, dann sollten sich die Teilnehmer bei ihren Redeübungen sehen, er würde ihnen beibringen, die eigene Körpersprache zu analysieren und die Grammatik ihrer Gesten besser mit dem abzustimmen, was von ihnen ausgesagt werden sollte. Keine Ruhleder Rhetorik, kein Manager- und Politbonzenschweiß, wo zwecks perspektivischer Größenerweiterung auf Tische gesprungen und kleine Dächer mit den Händen geformt wurden, für die mediale Öffentlichkeit, weil das angeblich selbstsicher und kompetent wirkte, als würde dieses Handhaus die grundsätzliche Leere zwischen Himmel und Erde verdecken. Vielleicht tat sie das auch. Umso schlimmer. Rhetorik war keine exakte Wissenschaft, es ging nicht um Wahrheit, sondern um Überzeugung und Wahrscheinlichkeit. Das war zwar bedauerlich, passte aber zu einem Unversum, wo selbst Anwälte nicht an die Sachen, sondern an die Verhältnisse glaubten und sich damit in die Maschinerie des Papiers, der Rechtsmittel, der Beziehungen zum Richter, ihrer Brao-Abrechnungsordnung begaben. Flexibel würde er ihnen, von denen viele bereits Seminare besucht hatten - wie hätten sie auch sonst ihre Aufregung im Gerichtssaal, bei Anhörungen, ja, schon beim Referatehalten noch während der Studienzzeit,

Parker obudził się jak zwykle złany potem. Łagodny warkot ciężkich silników boeinga i przytłumione światło kabiny pierwszej klasy przypomniały mu, że znajduje się w powietrzu. Wspaniale. Wisiał właśnie nad Atlantykiem na wysokości 10 000 stóp, w drodze na kolejne szkolenie, tym razem na kurs dla związków prawników w Szlezewiku-Holsztynie, przeklinał swój los i pocił się. Wskutek częstych dostaw wody – Parker pił co najmniej 5 litrów dziennie – jego ciało obficie pociło się w czasie snu. Diagnozy lekarzy były różne. Atletyczna budowa. Zaburzenia przemiany materii. Wszystko w normie. Musi pan uważać na serce. Podobnie jak jego ojciec, Parker nie ufał lekarzom. W każdym razie, tak twierdził. Może po prostu nie miał odwagi zdecydować się na długotrwałe leczenie. Wezwał stewardessę i poprosił o szklankę wody.

dämpfen können - Vertrauen in die eigenen Fähigkeiten, in den eigenen Stil einimpfen, sie dahin führen, aus sich herauszugehen. Er wollte, dass sie sich ihrer Angst stellten. Schauspieler und „Ich-bin-ok-du-bist-ok“ – Dale Carnegie Freaks brauchte er nicht. Viele hielten Rhetorik immer noch für eine Wunderwaffe, was er ihnen, gerade durch seine simplen Techniken, die langsam, sehr langsam aufeinander aufbauten, wieder ausredete. Er schaltete die Kamera ein und überprüfte, ob der Anschluss an den Fernseher auf dem Plasmabildschirm ein flackerfreies Bild ergab, dann schob er die Kamera auf ihrem Rollstativ in den Türrahmen und fing Anneli ein. Sie stand gelöst in der Gruppe der Hundebefürworter und filterte die Gehirnstürme auf ein weißes Blatt, welche in begeisterter Aufmerksamkeit von den Mitgliedern ihrer Gruppe produziert wurden. Alle waren in ihre Aufgabe vertieft, mit dem absurden Hundethema beschäftigt, würden wahrscheinlich, da schlug die Ausbildung durch, anders als „normale“ Seminargruppen, auch die rechtlichen Konsequenzen von „Hunde in die“ und „Hunde aus der Stadt“ aufzeigen. Und mit jenen Appellsätzen, auf die es im Laufe der Blitzpodiumsdiskussion automatisch zuliefe, würden sie schließlich ihr imaginiertes Kiel zu-pflastern – Hunde in, Hunde aus, Scheiße hin, Scheiße her. „Mein Vorredner hat gesagt, er könne sich die Reinigung seiner Schuhe nach Parkspaziergängen nicht mehr leisten. Das ist – auch wenn es uns allen schwer fällt, an einen finanziellen Engpass beim geschätzten Kollegen zu glauben - bedauerlich. Sicher sind solche Tretminen nicht schön, aber sie müssen auch die rechtlichen Aspekte eines Hundeverbots bedenken.“

Eine schöne Übung, weil alle befreit von ihrem normalen Arbeitsalltag und nach den harten Phasen dieses Tages ganz andere Seiten aufziehen konnten. Witz war genauso wichtig wie Argument – jedenfalls, wenn es um Hunde ging.

Die Gegenseite, stellte Parker nach einem Kameraschwenk auf Annelis Ausschnitt fest, probierte es mit „mind-mapping“. Parker war sich sicher: nach dieser Diskussion würden sie ein paar Tage lang einen großen Bogen um Vierbeiner machen.

Trucizna w Parkerze – bo tak postanowił nazwać swoje wspomnienie, jakby ból związany z zanikaniem umożliwił mu wgląd w głębszą ludzką prawdę, która prowadziła do zrównania ze śmiercią. Organy, które się rozpadały, tętnice, które pod wpływem przepływającej krwi pękały, stawały się porowate. A do tego usychanie tych wiszących fałdów skóry, które w formie twarzy, obwisłego brzucha, tyłka albo klatki są już tylko zewnętrznym błazeńskim przebraniem całkiem wewnątrz obumarłego systemu zwanego ciałem. To były ostatnie etapy życia, tego genialnego pomysłu, jaki musiał mieć Bóg, przypadek albo stworzenie, kiedy dawał człowiekowi wolną rękę w procesie ewolucji, mającej doprowadzić go do lustra, miłości i domu starców.

Kilka lat po trzydziestce Parker czuł się staro. Nie, nie

staro, czuł, że się starzeje. Jak na przyspieszonym filmie przypominał sobie złudzenia, którymi żył razem z Neelą i które uśmiercił w jednej z tych wielkich miłości, już dawno uznanych za niemodne. Teraz ona odeszła. Właściwie to on odszedł, prawda? Wypił szklankę jednym haustem, można to było nazwać rozcieńczeniem, w przypadku zatrucia to najlepsza metoda, bez dwóch zdań.

Co się stało? W jaki sposób właściwie ją stracił? W jakiej szopie buszował i podnosząc topatę, nie dostrzegł pająka, który rzucił się na niego z wściekłością i ugryzł go? Pewnego dnia przestały już wystarczać pozdrowienia esemesem o 3 nad ranem z hotelu Relexa lub Hyatt Park Hotel, z motelu Econo Lodge, namiętne esemesy pisane w bezsennej noc. Na odległość nic nie było łatwe – dalej szukał czegoś, co dałoby mu oparcie, odłamków cudzych egzystencji. Całował usta innych kobiet, kosztował nowych obietnic, w każdym mieście po raz kolejny, miesiąc za miesiacem, tydzień za tygodniem. Sen o wiecznym rozpoczynaniu, za który płaci się jednak poczuciem wewnętrznego rozkładu.

To była zdrada. Wobec siebie. Wobec niej. Wobec wszystkich innych, zwodzonych do momentu, który już znał i którego nie było widać przy przewijaniu.

Czasami wydawało mu się, że tracąc Neelę, stracił całą przyszłość, nie tylko możliwość posiadania dzieci, wspólnego zamieszkania, wspólnego starzenia się, urzeczywistnienia wspólnych marzeń lub przynajmniej zachowania w niej wiary, jak wierzy się w ogień w zimną noc. Kogoś, kto był zawsze w tym samym miejscu, kto dawał się wziąć, obejmował, w całym tym przemijaniu widział dopiero początek. Przyszłość jako czas, w którym jeszcze dałoby się coś zmienić. Teraz wydawało się, że zmienia się tylko miejsce jego pobytu.

Hol hotelowy był świątynią minimalizmu. Beton i ciemnobrązowe drewno. Żadnego mosiądzu, którego można by się przeciw spodziewać po mieście portowym, i który, jak mu się zdawało, był tu jeszcze w zeszłym roku. Ekskluzywne sklepy, Calvin Klein, Hugo Boss, Dona Karan. Zawsze zastanawiał się, jakie to miało znaczenie, że ktoś znalazł sens życia, jeśli był lub była klientem Calvina Kleina, małym Calvinkiem, prostym, eleganckim, podlegającym predestynacji, niczym pasażer samolotu udającym się do miejsca przeznaczenia: szczęśliwy, dobrze poukładany człowiek, dobrze płatna praca, topowe miasto, później dzieci. Moda była sposobem na wejście do świata obietnic, iluzją kontroli, obraniem kierunku. Ale czy szyldy naprawdę mówiły coś o tym, kim był klient, czego sobie życzył? Parker wzdrygnął się. Karan, Boss i Klein nie na długo mogli oderwać go od otaczającego świata. Przyjemne sztuczne zapachy i orchidea na recepcji. Butiki były zamykane na noc. Tylko jedna maszyna sprząająca woskowała cicho podłogę przed drzwiami windy. Czy ubrania dawały człowiekowi naprawdę pewność jakiegoś boga albo przynajmniej określały miarę człowieka, który potrafi sprostać rzeczywistości? Jak zawsze, kiedy zmęczony przybywał z lotniska do hotelu, czuł się zbyt wyczerpany, żeby naprawdę się nad tym zastanowić. Było mu wszystko jedno czy twórcy tworzą, całe wszechświaty, czy tylko modę. Podał nocnemu

portierowi paszport, kartę kredytową i dostał pokój z widokiem.

Pokój z widokiem oznaczał: znaleźć się ponownie w dużym budynku, patrzeć przez okno i wyobrażać sobie, że podobnie jak wielu innych ludzi za podobnymi szybami i zasłonami jest się tylko procesem myślowym. Neuronowe impulsy, burza z piorunami, od czasu do czasu rozbłyskujące sekretne myśli domów, które wymieniliby, gdyby tylko ktoś zmienił miasto, przeprowadził się do innego domu, prowadził inne życie, miewał romanse, spotykał się na firmowych kolacjach. Ludzie jako wiadomości. Byli jednak najwyżej urywkami słów, odławkami myśli, partykułami, które wymieniano między pokojami, ciągle na nowo przemycano do starych, działających pośród miasta, czaszek, kodami łatwymi do rozszyfrowania.

– Kochasz mnie?

– Tak.

– Prześpisz się ze mną?

– Tak. Chodź, nalej sobie jeszcze wina.

Mimo wszystko to hotele były według Parkera najma-drzejszymi domami – nie restauracje. Bo spoczywały. Albo były jak groby. Albo, dlatego że żyło się w nich szybciej, jak gromada ruchliwych myszy w grubych balonach wypełnionych gazem rozśmieszającym. Bo kogoś takiego jak on przyjmowały z otwartymi ramionami.

Na zewnątrz padał śnieg. Zarezerwowano mu pokój w hotelu Astor, tak jak w zeszłym roku. Z 7. piętra miał piękny widok na port znikający pod płatkami śniegu. Hałas samochodów na czteropasmowej ulicy Andreasa Gayka docierał do niego niewyraźnie. Dlatego lubił śnieg, śnieg uspokajał. Spojrzał na jeden z typowych domów handlowych po drugiej stronie ulicy, którego ceglana fasada przypominała mu koszary. Widniał na niej neon z lat pięćdziesiątych „NordwestLotto Schleswig-Hostein“. Nad dachami błyszczały dwa czerwone kominy szwedzkiego promu, a na górnym pokładzie świeciła na niebiesko łódź ratunkowa albo jakaś część relingu, w każdym razie cały statek w mlecznym zimowym świetle wydawał mu się jak z bajki. Przytknął palcem niedopalonego papierosa i zamknął okno. Grube płatki zamieniły się w małe twarde kryształki, które szybciej i w większych odstępach spadały na ziemię. Chłód, który niezbyt chętnie chciałoby się poczuć na twarzy. Powiesił swoje garnitury w szafie, rozpakował walizkę, ustawił swoje książki na szafce, żeby jutro można było szybko po nie sięgnąć. Wziął dwie waleriany i jedną melatoninę, ale czuł, że nie zaśnie od razu. Były dwie możliwości. Gorącej kąpieli brać nie chciał.

– Naprawdę nazywa pan się Parker, jak ten facet od wina?

– Hm, ten guru od dawania punktów, zgadza się? – wmieszał się ochrypły głos. – Matthew Parker jak ten dupek od wina, jak człowiek-pająk. – Wilfried przysunął się do nich, trzymając w ręce termos z kawą.

– Peter – powiedział Matthew.

– Co? – zapytał Wilfried i prychnął spod swojej czapki z daszkiem, którą nosił także na szkoleniu.

– Peter, Peter Parker to spiderman. Ja nazywam się Matthew. – Uśmiechając się zdawkowo, potracił niby przypadkiem kubek z kawą Wilfrieda.

– Kurwa, człowieku. – Wilfried próbował balansować niebezpiecznie zachwianym kubkiem parującej cieczy, cofając biodra jak torreador uciekający przed atakującym bykiem, w tym samym momencie odsuwając od siebie rękę z kubkiem, żeby się nie oparzyć. Anneli roześmiała się. Zazwyczaj nienawidził takich imion jak Anneli, Beate, Waltraud. Przypominały mu smutne życiorysy, które znał z dzieciństwa, te ciotki regularnie plotkujące przy kawie, które urządziły się skromnie w jakimś domku jednorodzinnych lub bliźniaku, przy drodze wylotowej, w pobliżu dworca. Biedactwa. Nie lubił patrzeć na cudze nieszczęście. Ale na Anneli „zareagował”, uświadomił to sobie już na pierwszych zajęciach. Była to jedna z tych skomplikowanych piękności, których tajemnicy nigdy nie dałoby się uchwycić na obrazie. Miała nieregularną twarz, ale jej usta najmniejszymi skurczami zdawały się wyrażać wszystko, co odczuwała, zaokrąglaly się i nabrzmiewały, gdy coś jej się podobało. Prawie nie mógł odwrócić od niej wzroku. Tymczasem znalazł się w towarzystwie obumierających pięćdziesięciolatek, Eberhardów i Gerhardów, którzy otoczyli teraz biednego Wilfrieda i przyglądali się, jak toczy skazaną na porażkę walkę z kubkiem kawy. Kałuża kawy rozlana na podłodze szkolnego korytarza była jakby miejscem ofiarnym. Parker wyobraził sobie nagle, że kopie Wilfrieda w łydkę, i że gdy tamten pada, wypycha jego twarz w kałużę kawy. No dalej, pij.

Może oni tu w Kiloni byli po prostu trochę zafocani, może ludzie, których uczył, byli dziećmi rodziców należących do sekty pod tytułem „Nadajmy naszym dzieciom imiona z czasów cudu gospodarczego”. I może nie był to przypadek, że wszyscy byli początkującymi adwokatami, sędziami i prokuratorami. Czapka z daszkiem i na wpół opróżniony kubek kawy stały się nagle bezużytecznymi atrybutami luzackiego niegdyś trybu życia, Wilfried wycierał serwetką podłogę, a Parker powstrzymał się od uśmiechu, na szkoleniu nie mógł sobie pozwolić na wykluczanie, nie na tym etapie. Podszedł do Wilfrieda i pomógł mu.

– Wszystko w porządku?

– Tak, spoko.

Teraz mógł grać bohatera. Anneli zwróciła się do niego. – Matthew Parker. To niezwykle, Matthew. – Zdawało mu się, że przeżuwa jego nazwisko, jak gdyby zastanawiała się, czy jest tym Pinot Noir z Przylądka Dobrej Nadziei, które w najnowszym katalogu win dostało 94 punkty, czy też tym owocowym, szlachetnym i wychwalanym winem hiszpańskim z Manchy, dojrzewającym w dębowej beczce.

– Tak - odpowiedział - mój ojciec był Anglikiem.

– I fanem jazzu?

W ramach pierwszego zadania, które właściwie było tylko rundką zapoznawczą, rozdał uczestnikom karteczki.

– Proszę zapisać na nich imię, zawód, kilka zdań o sobie, hobby, czy Państwo chętnie jedzą, tańczą, wszystko czego w ciągu trzech minut powinniśmy koniecznie się o was dowiedzieć oraz państwa oczekiwania wobec szkolenia. Potem proszę tu podejść. – Przy tym zastukał w pulpit, o który opierał się niedbale i od którego oddalił się teraz, niczym od groźnie wznoszącego się nad grupą szafotu. Będzie ich wywoływał jednego po drugim. Wiedział już, kto będzie pierwszy. Anneli.

Dobrze sobie radziła, była tylko trochę zdenerwowana.

Parker siedział nieco z boku, wystarczająco daleko,

żeby sprawiać wrażenie bezstronnego obserwatora i nie ułatwiać niczego dziewczynie, która znajdowała się teraz w centrum uwagi. A jednak wystarczająco blisko, żeby popatrzeć na jej nogi.

Nogi mówiły wszystko. Jeśli uczestnik miał je skrzyżowane albo machał nimi podczas wykładu, świadczyło to o większym napięciu, czasami o zdenerwowaniu, które poprzez ręce zazwyczaj ściskające pulpit docierało wtedy do napiętych mięśni twarzy i – wskutek błędnego oddychania – wypływało na zewnątrz w formie pospiesznie wypowiedzianych zdań, pozbawionych pauz i właściwych akcentów. W ten sposób mówiący przekazywał słuchaczom tylko jedną wiadomość: chcę, żeby się to jak najszybciej skończyło.

W mowie ciała nie dało się kłamać.

Ale o tym będzie później.

Anneli prawie wszystko robiła prawidłowo. Stała pewnie na obu nogach i przez to od razu była spokojniejsza, nie zaczynała mówić od razu, lecz najpierw brała oddech. Potem, kiedy doszła do oczekiwań wobec szkolenia, spojrzała na Parkera i zacięła się. Parker wstał i skinięciem głowy wyzwolił ją z napięcia, złapał za rękę, zanim zdążyła uciec na swoje miejsce, stanął obok niej i wyjaśnił, że najlepiej swobodnie położyć ręce na blacie i oddychać przeponą. Poprosił uczestników, żeby wstali, położył sobie rękę na podbrzuszu i wyjaśnił, jak wciągnąć powietrze do przepony i zebrać większy zapas, który, oznajmiając, że śpiewacy nazywają to podporą, wypuścił z siebie w formie dźwięcznego „lala”.

Uczestnicy byli pod wrażeniem. Ich próby z technikami oddychania ograniczały się zazwyczaj do szukania przepony ruchem ręki podobnym do ruchu wycieraczek samochodowych. Kończyło się to bezradnym wruszeniem ramion połowy uczestników i cichszym, zamyślnym skinięciem głowy drugiej połowy, która wierzyła, że dzięki Parkerowi odnalazła swój środek. Patrzyli na Parkera z wdzięcznością. Strach przed groźącym im wystąpieniem zmalał, ponieważ jedna – Anneli – właśnie wystąpiła, a Parker swoim wyjaśnieniem sprawił, że ich zdenerwowanie stało się tematem pierwszej części lekcji.

Podziękował Anneli i poprosił Wilfrieda, któremu wystąpiły wtedy na czoło krople potu. Wilfried nerwowo przekładał swoje trzy karteczki, jak gdyby nie mógł się zdecydować, w jakiej kolejności je ułożyć.

Potem w końcu zaczął od:

– Hm, jestem, nazywam się Wilfried. – Mówił przez cały czas pod nosem, a czapka z daszkiem chroniła go przed spojrzeciami innych. Trudno go będzie rozgryźć. Po tym, jak wszystkich trzynastoro uczestników przedstawiło się, a Parker zanotował sobie ich imiona, miejsca, ich słabe i mocne strony oraz oczekiwania wobec szkolenia, przyszła kolej na niego.

Był zdenerwowany, jak zwykle. Od przebiegu kilku pierwszych zajęć zależny sukces całego szkolenia. Wiedział o tym.

Poza tym że zrobił kilka uwag na temat zajęć, opowiedział o kilku najważniejszych wydarzeniach ze swojego życia, które mogły potem służyć podtrzymaniu rozmowy w czasie przerw i które, jak ufał, ukierunkują prawidłowo nieuniknioną ciekawość uczestników podczas obiadu. Anneli od razu połknęła haczyk.

– Tak, mój ojciec był też fanem jazzu, prowadził nocny

program dla BFBS – angielskiej stacji wojskowej. Był z niego nocny marek.

– Miał pan w takim razie szczęście, że nie nazwał pana Charlie.

Wyobraził sobie ojca. Sierżant major miał policzki obwisłe jak buldog, kiedy w skupieniu mówił do mikrofonu, gdy szukała słowa i wymyślał jedną z tych swoich sławnych wręcz gier słownych, za które lubiły go, wielbiły wręcz, kompanie z Lüneburga, Münster czy Bielefeld.

– Teraz będzie Charlie „the Bird”, kochani, wiecie, co to znaczy czas dla ptaszka, czas na prawdziwą przyjaźń w ramach Paktu Północnoatlantyckiego, ludzie, dalej Charlie, dmuchaj. – Matthew często gapił się na ojca przez dźwiękoszczelną podwójną szybę, gdy ojciec zabierał go do studia i zostawiał u Bennego, swego ulubionego dźwiękowca, gdzie Matthew siedział całym godzinami. Parker Jr – tak było napisane na kurtce polowej, którą ojciec podarował mu na 10 urodziny i która była tak duża, że pasowała na niego jeszcze w wieku 13 lat i stała się rodzajem pamiątki, po tym jak Parker senior przywalił swojej żonie po pijaku i wyprowadził się razem ze swoim zbiorem płyt, przeniósł do Anglii i słuch po nim zaginął.

Parker wyciął z kurtki to „Jr”, ale nie wyciął go z serca, tak twierdziła matka, kiedy poprosił ją, żeby wyrzucić radio i puszczać tylko płyty z muzyką klasyczną albo jeszcze lepiej w ogóle zrezygnować z tego „rzępolenia”. A jednak wyszedł na ludzi, pomyślał teraz, patrząc na Anneli, która właśnie skracała dystans socjalny – w Niemczech to około pół metra – i spoglądała na niego swoimi jasnymi niebieskimi oczami.

Przypomniała mu się matka, która mieszkała w Hamburgu i okropnie by się zdenerwowała, gdyby wiedziała, że znów przyleciał do Frankfurtu i „przefrunął” tylko, jak mówiła, w drodze do pracy. Myśl o niej napełniała go smutkiem, ponieważ ona byłaby smutna, że jej nie odwiedził, a pomimo to tłumiały swoją wściekłość z powodu doznawanej krzywdy. Nie mógł znieść jej płaczliwego głosu, głosu łatwej młodej dziewczyny, którą właśnie zostawił chłopak, choć jeszcze wczoraj kupował dla nich bilety do kina, a która ma nadzieję, że wszystko okaże się tylko nieszczęśliwą pomyłką, i że cała sytuacja, jak też i całe życie, da się jeszcze wyjaśnić. Myślał o jej mieszkaniu, do którego kupiła sobie ostatnio nowe brązowe meble, niski azjatycki stół i designerską kanapę, na którą właściwie nie było jej stać i której gatunkowa skóra w kolorze kasztanów pasowałaby raczej do młodej dobrze zarabiającej pary, która żyjąc jeszcze przez kilka lat bez ślubu, będzie myślała wyłącznie o imprezach i dzikim seksie, a potem w końcu będzie miała dzieci, które spokojnie będą rozmazywać swoją bananową kaszkę i sok marchewkowy w zagłębieniach kanapy, nie będąc jednak w stanie naruszyć w ten sposób jej koloru. Matka miała 49 lat, on 33 – nie spodziewał się już rodzeństwa przyrodniego, nie potrzebował też mebli do studentckiego pokoju, jako że bez jej pomocy zakończył fazę edukacji uniwersyteckiej, korzystając ze sposobów, takich jak jednoczesne uczestnictwo w ćwiczeniach i wykładach dla zaoszczędzenia czasu, czy też podejmując ogłupiające prace, jak rozwożenie kontenerów z rybkami akwariowymi.

– Matthew, co jest? Powiedziałaś coś nie tak? – zapytała Anneli.

– Nie, nie. W porządku, po prostu zamyśliłem się – próbował łagodzić. Jeśli teraz zapyta o czym, skróci przerwę.

– Mam nadzieję, że o czymś miłym.

– O mojej matce.

– Och.

Na następnej przerwie zapyta ją, czy miałyby wieczorem ochotę pójść z nim na kolację.

Przedstawianie się w kilku zdaniach szło grupie jak z płatka. Tytuł, treść, ocena - prosty schemat, porządkujący informacje i oceny dotyczące dowolnych kwestii. Podczas przerwy udało mu się nawet wyperśwadować Wilfriedowi noszenie nakrycia głowy w pomieszczeniach. Wilfried przyczepił się teraz do niego, uznał go za przyjaciela.

Ten młody i niezgrabny adwokat zraził do siebie grupę nie tylko swoją czapką z daszkiem. Zajmował miejsca na rogu, co było właściwie nietypowe dla osoby „skrepowanej”, za jaką wziął go pierwotnie Matthew. Na rogu siadali, według jego doświadczeń, zwykle ci bardzo pewni siebie, „troublemaker”. Dla nich zajęcia przebiegały zazwyczaj za wolno, były zbyt szkolne, i jeśli zaraz na początku nie spacyfikowano ich z pomocą specjalnych pochwał lub druzgocącej krytyki, zbijając z tropu każdego wykładowcę, pytali podniesionym głosem, co to ma wszystko znaczyć, bo oni oczekiwali czegoś zupełnie innego. Na początku szkolenia wśród uczestników dało się wyczuć strach: trwała tam jednak wojna – a fronty mogły się łatwo skierować przeciwko prowadzącemu, jeśli od początku nie pokazywał, kto tu rządzi.

Dopiero wieczorem, na krótko przed końcem można trochę odpuścić. Pierwszego dnia jak zwykle ćwiczyli pięć zdań. Ćwiczyli spontaniczną dyskusję z pomocą przygotowanych argumentów, szybką odpowiedź na argument przeciwnika podczas dyskusji panelowej, gdzie stanowiska były jasno zdefiniowane. Jego ulubionym tematem dyskusji był zwykle temat: „Psy w mieście – błogosławieństwo czy udręka?”

Gdy grupa podzieliła się już na zwolenników i przeciwników psów, Parker miał zwykle chwilę czasu na posprzątanie, uporządkowanie materiałów na następny dzień i zdystansowanie się do tego, co wydarzyło się w przeciągu kilku ostatnich godzin. Zazwyczaj był już wtedy totalnie wyczerpany.

Kiedy przygotował teksty i folie z planami argumentacji, rzucił jeszcze okiem na sprzęt video w pomieszczeniu obok, załatwiony przez Eberhardta. Prawdopodobnie wypożyczył go z Uniwersytetu Ludowego. Już ostatnim razem wydało mu się dziwne, że tak dużo mu płacą, a zajęcia odbywają się w tak nędznym pomieszczeniu.

Ale może dobrze opłacanych prawników ekscytowała właśnie brzydota szkolnych klas. Jutro zacnie się na poważnie, uczestnicy zaczną ćwiczyć mównie, a on nauczy ich analizować mowę własnego ciała i lepiej dopasowywać gesty do tego, co chcą powiedzieć. Żadnej retoryki Ruhledera, żadnego menedżersko-prominenckiego gówna, żadnego skakania na stoły i robienia nad głową daszków z dłoni w celu poszerzenia horyzontów, pod publikę, ponieważ wygląda to na pewność siebie i kompetencję, jak gdyby ten daszek mógł zakryć zasadniczą pustkę między niebem i ziemią. Może i mógł. Tym gorzej.

Реторика не була наукою, не chodziло о правду, lecz о przekonanie і prawdopodobieństwo. Było to, co prawda żalosne, ale pasowało do wszechświata, w którym nawet adwokaci nie wierzyli w rzeczy, lecz w relacje і szybko wpadali w tryby papierów, narzędzi prawnych, stosunków z sędziami, przepisów federalnych. Parker miał zamiar zaszczepić tym, którzy w większości uczestniczyli już w jakichś szkoleniach – jak inaczej mogliby opanować zdenerwowanie на sali sądowej, przy przesłuchaniach czy nawet podczas referatów, które wygłaszali на studiach – wiarę we własne możliwości, własny styl, і sprawić, że otworzą się на świat. Chciał, żeby zmierzyli się ze swoim strachem. Nie potrzebował aktorów ani świrów w stylu Dale’a Carnegie powtarzających: „Ja jestem ok. I ty jesteś ok.” Wielu wciąż jeszcze uważało retorykę за cudowną broń, co Parker wyperswadowywał im stopniowo z pomocą najprostszycиh technik. Włączył kamerę і sprawdzil, czy po podłączeniu do telewizora obraz на плазмowym ekranie nie drga, następnie przesunął umieszczoną на ruchomym statywie kamerę pod drzwi і złapał Anneli. Stała spokojnie поśród miłośników psów і przelewała на kartkę papieru burzę szalejącą w mózgach skupionych członków grupy. Wszyscy byli zaabsorbowani problemem, zajęci absurdalną kwestią psów, potem prawdopodobnie – żadna „zwykla” grupa by na to nie wpadła – wskażą

prawne konsekwencje wypędzenia psów і konsekwencje zatrzymania ich w mieście. I slogana-mi, do których trzeba będzie ograniczyć się w trakcie krótkiej dyskusji panelowej, wypełnią в końcu swoją wymarzoną Kilonię – wypędzić psy, nie wypędzac psów, gówno to kogoś obchodzi. – Mój przedmówca powiedział, że nie jest в stanie pokrywać kosztów czyszczenia butów по spacerach в parku. Jest to godne pożałowania, nawet jeżeli trudno nam uwierzyć в trudną sytuację finansową naszego szanownego kolegi. Wejście на taką minę на pewno nie jest niczym przyjemnym, ale trzeba też uwzględnić prawny aspekt zakazu posiadania psów. To dobre ćwiczenie, bo по trudnym dniу wszyscy mogli zapomnieć о codziennej pracy і zająć się czymś innym. Dowcip był tak samo ważny jak argumentacja, в każdym razie там, gdzie chodziло о psy. Parker najechał kamerą на dekolt Anneli, по czym stwierdził, że druga strona próbuje posługiwać się „mind-mappingiem”. Był pewien, że по tej dyskusji przez kilka dni będą omijać czworonogi szerokim łukiem.

[Tłumaczenie: Tomasz Ososiński]

зруйнована, а зовні зберегла форму клоунського костюма. Це була завершальна стадія старіння, одного з процесів, які стали наслідком химерного настрою Бога, що призвів до акту творіння, або ж виникли випадково, і людині у ході еволюції було дозволено самій вибирати свій шлях, який веде до дзеркала, кохання і притулку для старих. Паркер, якому щойно перевалило за тридцять, почував себе старим. Точніше, не те щоб уже остаточно постарілим, а таким, що відчуває, як він старіє. Ніби у кадрах сповільненої зйомки він прокручував у своїй уяві всі ілюзії життя з Неелою, того життя, яке він зник вважати справжнім великим коханням, таким, що його давно списали в запас і визнали неактуальним, життя, яке йому самому здавалося завершеним і сповненим взаємності почуттів. І ось її не було. Хоча взагалі-то це ж він пішов, хіба не так? Він випив склянку води одним ковтком, можна було вважати, що таким чином він зменшує концентрацію, а це точно допомагає під час отруєння. Але що трапилося? Як він насправді її втратив? Захований у якому сараї, підняв лопату і не влучив у павука, якого не зауважив, і який під час панічної втечі наштовхнувся на нього і вкусив? Настав момент, коли цього вже стало занадто мало – мало самих лише смс-ів, надісланих о третій ранку із якого-небудь готелю «Релекса», «Хаят Парк» чи «Еконо Лодж», цих запевнень того, що йому бракує її, оспідчень під час нападу безсоння. Ніщо не може існувати просто, якщо постійно доводиться долати відстані – його нога і далі шукала опору, наприклад, в уламках чужого існування. Він цілував губи інших жінок, смакував обіцянки нового початку, раз за

разом, у кожному місті нові й не схожі на попередні, місяць за місяцем, тиждень за тижнем. Мрія вічного вирушання у подорож, за яку доводилося платити таким відчуттям, ніби ти поволі гниєш ізсередини. Це була зрада. Себе самого. Її. Всіх інших, кого він покинув, епізодів, уже знайомих йому, і таких, яких більше не існувало навіть під час швидкого пробігання повз. Іноді йому здавалося, що разом із Неелою він утратив власне майбутнє, не лише можливість народити дітей, вкорінитися на якомусь місці, разом постаріти, здійснити спільні мрії або хоча би раз за разом подумки спиратися на ці мрії, триматися за них, як тримаються біля вогню у холодну ніч. Він втратив когось, хто побував би разом із ним у тих чи інших місцях, кого можна було би притулити, обійняти, втратив людину, яка могла би дати йому відчуття початку посеред усього цього проминання. Майбутнє як можливість того, що все ще може змінитися. Тепер, здавалося, єдине, що змінюється, це місяця, до яких його тягне.

Готельний хол був храмом мінімалізму. Бетон і темно-брунатне дерево. Жодної латуні, як цього можна було би сподіватися у портовому місті і яку він ще пам’ятав із минулого року. Вишукані дизайнерські крамнички: Кельвін Кляйн, Х’юго Босс, Донна Каран. Він завжди питав сам себе, що означає для людини носити одяг від Кельвіна Кляйна, чи можна знайти зміст життя, якщо перетворишся на такого собі маленького Кельвінуса, простого, елегантного, свідомого свого життєвого призначення і схожого в цьому на пасажирів авіаліній, який прямує до місця посадки літака: ти обов’язково станеш щасливою і всім задоволеною у своєму житті людиною, у тебе буде добре оплачувана робота, ти житимеш у зручному і допасованому до твоїх потреб місті, пізно народиш дітей. Moda була транспортом у світ обіцянок, ілюзій контролю, руху у чітко визначеному напрямку. Але хіба таблички справді передають хоча би частину інформації про того, хто їх носить, про його мрії? Паркер заперечно похитав головою. У кожному разі, усі ці бренди лише ненадовго можуть відволікти від справжнього стану речей довкола тебе. Приємні штучні запахи і орхідеа на столі рецепції. Модні крамнички зачинені на ніч. Лише тихо працює мотор машини, яка чистить підлогу перед ліфтом. Невже одяг і справді дає божественну впевненість у собі або хоча би переконаність людини, яка відчуває себе на своєму місці? Паркер був занадто виснаженим, аби справді серйозно розмірковувати на цю тему, так із ним траплялося завжди, коли він приїздив до якогось готелю, втомлений після перельоту. Не має значення, що саме створюють дизайнери – цілі світи чи лише моду. Він подавав нічному сторожеві свій паспорт та кредитну картку і отримував кімнату з гарним виглядом за вікном.

Гарний вигляд означає, що ти відчуваєш себе у цьому великому будинку як удома, визираєш із вікна і уявляєш собі, що ти такий самий, як і багато інших людей за такими ж вікнами та шторами, і все це лише справа твоєї уяви. Імпульси мозку, гроза, приховані думки будинків, які знову і знову з’являються в голові,

будинків, які зміняться лише тоді, коли ти опинишся в іншому місті, переїдеши, переселишся до іншого помешкання, закохаєшся, зустрічатимешся з кимось на діловій обіді. Люди як повідомлення. Але при цьому вони були самими лише уривками слів і думок, частинками інформації, якими обмінювалися між собою мешканці окремих кімнат, знову і знову замурувані у старі працюючі черепи міст, ці коди, які так легко розшифрувати. – Ти мене кохаєш? – Так. – Ти переспши зі мною? – Так. Давай, візьми собі ще склянку вина. Але попри все, саме готелі, а не ресторани, на думку Паркера, були наймудрішими будинками. Бо вони перебували у спокої. Або заміняли гробівці. Чи тому, що у них жилося швидше, жилося так, ніби ти належав до зграйки миш, які невтомно бігають туди-сюди усередині наповненої гелієм повітряної кульки. Бо готелі приймають таку людину, як він, із розпростертими обіймами.

Надворі падав густий сніг. Його поселили, як і минулого року, до готелю Астор. Зі свого восьмого поверху він міг насолоджуватися чудовим краєвидом порту, який ховався поміж сніжинками. Знизу долинав приглушений шум автомобілів із чотириполісної вулиці Андреаса-Гайка. Він любив сніг за те, що той притишував усе. Паркер подивився на будівлю магазину, розташовану на тротуарі іншого боку вулиці, типовий для забудови 50-х стиль із його червоною нетинькованою цеглою нагадував казарми, на фасаді світілася неоновим вивіскою «Північно-західна сілезько-гольштинська лотерея». Над дахами світілися два димарі шведського парома, а на верхній палубі можна було побачити пофарбований голубим човен рятувальників, хоча, можливо, це була якась частина релінгової загорожі на палубі, у кожному разі увесь корабель здався йому якимось казковим творінням у молочному сніговому світлі. Він викинув недокурену цигарку і зачинив вікно. Великі сніжинки перетворилися на крихітні тверді кристалики, які летіли вниз швидше і на більшій відстані одна від одної. Цей холод уже більше не хотілося ловити губами. Він порозвішував свої костюми у шафу, розпакував валізу, порозкладав книги на підставці для багажу, щоб завтра вранці швидше зібратися. Випив дві таблетки валеріани і одну мелатоніну, але відчуття, що він ось-ось засне, так і не з’явилося. Тепер залишалося дві можливості. Але він не хотів приймати гарячу ванну.

„Вас і справді звати Паркер, як того чувака, що оцінює вино?“ „Ого! Це той самий, що виставляє бали Паркера, так?“ – втрутився у розмову ще чийсь захриплий голос, – „Метью Паркер як винний експерт і – як Спайдермен“, – Вільфрід підсунувся сам і поставив свій термос із кавою поміж ними обома. „Петер“, – сказав Метью. „Що?“ – не зрозумів Вільфрід і присвиснув із-під своєї кепки, яку він не знімав навіть під час семінару.

Паркер прокинувся, як завжди, весь мокрий від поту. М’яке гудіння важких моторів «Боїнга» і приглушене світло кабіни першого класу нагадали йому, де він знаходиться: у повітрі. Як добре. Ось він висить над Атлантичним океаном на висоті 10000 метрів і знову летить на семінар, цього разу це буде курс для сілезько-гольштинської спілки адвокатів. Він незадоволено бурчав сам на себе, а разом із потом із нього виходила вся його внутрішня сутність. Його тіло реагувало на неймовірну кількість води, яку споживав Паркер – а він пив як мінімум 5 літрів на день, реагувало екстремальним потовиділенням під час сну. Лікарі ставили йому різні діагнози, намагаючись визначити причину цього нічного пітіння. Атлетична будова тіла. Порушення обміну речовин. Цілоком нормальна реакція організму. Будьте обережні, це – серце. Як і його батько, він не довіряв лікарям. Або переконував себе в тому, що не довіряє. Можливо, насправді він просто не наважувався розпочати тривале лікування. Він покликвав стюардесу і попросив її принести склянку води.

Отрута всередині його тіла, як Паркер вирішив називати свої спогади, так ніби цей біль розпаду давав йому можливість зазирнути у саму глибину людської правди, тієї, що уподібнює до смерті. Органи у напіврозкладеному стані, артерії з потрісканими під тиском крові внутрішніми стінками. А зовнішній шкіряний мішок висох і обвис, хоча й досі обличчя, плаский живіт, зад чи шкіра на грудях усе ще вважалися частиною впорядкованої системи під назвою тіло, системи, яка зсередини вже давно була

„Петер. Спайдермена звати Петер Паркер. А мене – Метью“. Із ледь помітною посмішкою він ніби ненароком стукнувся об Вільфрідове горнятко з кавою.

„Блін, чувак“, – Вільфрід поспіхом витягнув руку з горнятком подалі від себе, щоб не захляпатися, і намагався вирівняти поверхню розколісної паруючої рідини, при цьому він розставив ноги, ніби тореро перед нападом бика. Аннелі засміялася. Петер ненавидів такі імена. Аннелі, Беате, Вальтрауд. Вони нагадували йому неприємних істот із його дитинства, тітоньок, які пили каву у визначені години, вгніздившись у будиночки на одну-дві сім'ї, розташовані вздовж головної вулиці, що вела до вокзалу, там і проходило їхнє обмежене вузькими рамками життя. Це були сумні пташки. Але він не любив бути злосливим. Хоча на Аннелі, це йому стало зрозуміло вже під час першого заняття, він однозначно „реагував“. Вона належала до того типу непротих красунь, чию таємницю ніколи неможливо втиснути в короткий опис. Її обличчя мало неправильні риси, але губи примудрялися найменшими порухами виражати все, що вона відчувала, вони округлювалися і ставали повнішими, коли їй щось подобалося. І тоді він не міг відвести від неї очей. А поза тим він був приречений на гніздо мертвих п'ятдесятилітніх, включно з Ебер- і Гергардом, які зараз оточили колом Вільфріда і спостерігали, як той програє битву з кавовим горнятком. Спільний кавовий регіт створив щось на зразок жертговника на шкільному майданчику. Паркер раптом уявив собі, як дає під дих Вільфрідові, а після того, як той згинається, тицяє його обличчям у каложу з кавою. „Давай, Вільфріде, пий“.

Можливо, у них тут, у Кілі, зупинився час, або ж батьки всіх тих людей, яким він викладав, належали до однієї і тієї ж секти „Давайте-назвемо-своїх-дітей-іменами-з-часів-економічного-буму“ і були фанатиками своєї справи. І, можливо, не випадково всі ці люди стали успішними адвокатами, суддями та прокурорами. Баскетбольні кепки і напівпорожні горнятка з кавою як нікому не потрібні аксесуари втраченої впевненості у собі, раптом стали відчутними на його тілі, тому тепер, коли Вільфрід витирав паперовою хустинкою підлогу, Паркер не дозволив собі посміхнутися, бо на його семінарі ще не настав час, аби ізольовати когось від товариства. Він підійшов до Вільфріда і допоміг йому.

„Усе гаразд?“

„Так, усе добре.“

Тепер він міг почувати себе героєм. Вона, Аннелі, знову подивилася на нього зацікавлено. „Метью Паркер. Це незвично, Метью“ – вона вимовляла його ім'я, як йому здавалося, занадто офіційно, прожовувала його так, ніби вона справді розмірковувала, чи воно належало виробникові відзначеного 94 пунктами в останньому довіднику вин Піно Нуар з Мису Доброї Надії чи знаменитому іспанському виноробові з Ла-Манчі, який продукував витримані у дубовій бочці вина з насиченим фруктовим смаком.

„Так“, – відповів він, – „Мій батько був англійцем“. „І любив джаз?“

Під час своєї вступної вправи, яка, властиво, була церемонією знайомства, він роздав учасникам заздалегідь підготовані картки.

„Напишіть будь-ласка своє ім'я, професію, кілька слів про себе, гобі, чи любите ви їсти, танцювати, усе те, що ми обов'язково повинні довідатися про вас протягом трьох хвилин, а також ваші очікування від семінару. А потім виходьте наперед“, – після цих слів він постукав по кафедрі, на яку недбало спирався, а потім відійшов від неї на кілька кроків, залишаючи на очах глядачів саму лише загрозиливу присутність ешафоту.

Він викликати їх одного за іншим.

Першу він уже вибрав. Це буде Аннелі.

Вона все зробила добре, лише трохи тремтіла від хвилювання. Він сидів збоку, достатньо далеко від неї, щоб справляти враження стриманого слухача і щоб не підсилювати й так складної ситуації, коли на доповідачку скерована вся увага аудиторії. Але його місце було розташоване достатньо близько, аби він міг добре роздивитися її ноги.

Ноги зраджували все. Якщо учасник семінару схрещував ноги, або ж під час доповіді переступав із ноги на ногу, це свідчило про напругу, іноді про сильне хвилювання, що передавалося далі, до рук, які спазматично чіплялися за кафедру і до м'язів обличчя, а також відчувалися у неправильному диханні, тоді речення ставали уривчастими, вимовлялися занадто швидко, без пауз між ними і були позбавлені інтонації. Така поведінка говорила слухачам тільки одне: я хочу якомога швидше піти звідси геть.

Мова тіла ніколи не обманювала. Але до цього вони дійдуть згодом.

Аннелі майже все зробила правильно. Вона стояла, вбрана у морський костюм, і це заспокоювало її, вона не почала відразу говорити, а спершу глибоко вдихнула. Коли справа дійшла до очікувань від семінару, вона подивилася на Паркера і проковтнула речення. Він піднявся зі свого місця і кивком позбавив її напруженості, потім узяв за руку, стримуючи від повернення на своє місце, став біля неї і пояснив, що найкраще покласти руки на кафедру зовсім розслабленими і дихати діафрагмою. Він попросив учасників піднятися зі своїх місць, поклав собі руку на низ живота, описав, як правильно вдихати повітря, рухати діафрагмою і затримувати дихання, потім пояснив, що „співачки називають це „спиратися на діафрагму“, потім проспівав „ла-ла“ і випустив повітря у семінарійну залу, якою гуляли перетяги.

Учасники семінару були під враженням. Їхні спроби опанувати техніку правильного дихання наразі обмежувалися невпевненими пошуками діафрагми, ці рухи нагадували миття вікон. Це призводило до безпомічної шарпанни одних і спокійнішого, зосередженого на власних відчуттях, розхитування інших, ці останні вважали, що завдяки Паркерові знайшли власну середину. Паркер ловив звідусюди вдячні погляди. Страх перед публічним виступом відступав, бо одна, Аннелі, вже стала першою, а Паркер своїми поясненнями перетворив їхнє хвилювання на першу частину заняття.

Він подякував Аннелі і попросив вийти до кафедри Вільфріда, від чого у того виступили краплини поту на чолі. Вільфрід знервовано пересував туди-сюди свої три картки, так ніби досі сумнівався у тому, в якій послідовності їх розташувати. А потім розпочав свою промову невпевненим: „Е, мене, тобто я називаюся Вільфрід“, всі слова вимовив з нисхідною інтонацією, його кепка захищала його від поглядів слухачів. Він буде твердим горішком. Після того, як представилися усі 13 учасників семінару, і Паркер записав собі імена, посади, перші слабкі і сильні місця, а також очікування від семінару, тепер настав час і Паркеру розкрити свої карти. Він і сам хвилювався, як завжди. Від перших занять залежить успіх усього семінару, це він знав. Після кількох загальних зауважень про подальший перебіг занять він розповів найважливіші дані про себе, які він підібрав таким чином, щоб вони давали матеріал для розмов під час перерви, а також скеровували у правильному руслі неминучу цікавість учасників, яку вони проявлять під час спільного обіду. Аннелі відразу ж проковтнула наживку.

„Так, мій батько справді був шанувальником джазу, він вів нічні програми англійського військового радіо BFBS. Його постійно мучило безсоння“.

„Тоді Вам пощастило, що він не назвав Вас Чарлі“.

Паркер пригадав собі батькове обличчя. Його щоки звисали, ніби у бульдога, коли він зосереджено говорив щось у мікрофон, підшукуючи слова для одного зі своїх знаменитих каламбурів, за які сержанта-майора так любили, майже обожнювали у Люнебурзі, Мюнстері та Білефельді.

„А зараз буде Чарлі Бірд Паркер, чуваки, ви знаєте, що це означає, the Bird – середній палець, фак, час на парування, підписування Північно-Атлантичного пакту між американцями і німкенями, давай, Чарлі, візьми у нас в рот“.

Метью дивився на батька крізь подвійне звуконепроникне скло, коли батько брав його з собою в студію і залишав зі своїм улюбленим звукооператором Бенні, там Метью цілими вечорами сидів і спостерігав, як той працює. „Паркер мол.“ було написано на його солдатській куртці, яку батько подарував йому на десятий день народження, куртка була завелика, настільки завелика, що він міг носити її ще й у 13, і вона перетворилася на справжню пам'ятку, особливо після того, як сильно нетверезий Паркер-старший вдарив свою дружину ребром долоні і разом зі своєю колекцією платівок і армійських світлин назавжди зникнув із їхнього помешкання, переселився до Англії і більше вони ніколи про нього не чули.

Він вирізав собі з куртки слово „мол.“, але не зміг викинути його з серця, у кожному разі, так думала його мама, коли він просив її викинути геть із помешкання радіо і слухати класичну музику на програвачі, або, ще краще, взагалі відмовитися від цього „консервованого звуку“. Все ж таки з нього вирости люди, – думав він собі, поки спостерігав, як Аннелі уважно вдивляється у нього своїми голубими очима і присувається до нього суттєво ближче, ніж це дозволяє загальноприйнята у Німеччині соціальна дистанція між людьми, яка повинна бути не меншою за довжину витягнутої руки. Він подумав про свою матір, яка жила у Гамбурзі

і яка точно би страшенно розізлилася, якби довідалася, що він по роботі постійно лігає над Гамбургом і приземляється у Франкфурті, як вона це називає, „пробігає повз і не зазирає“. Йому ставало сумно, коли він думав про неї, бо вона би засмутилася, що він її не відвідує, але попри все вона притлумлює в собі лють на те, що її колись покинули. Він не міг чути її голосу, у якому постійно відчувалися плаксиві нотки, так, ніби вона була юною дівчинкою з поганою славою, і її щойно покинув хлопцев, який ще вчора купував для неї квитки в кіно але дівчинка і далі сподівається, що вся ця історія виявиться якоюсь прикрою помилкою або ж якось там залагодиться, як і все подальше життя. Він пригадав материне помешкання, до якого вона нещодавно купила собі нові брунатні меблі, низенький азіатського типу столик і дизайнерську кушетку з дорогої шкіри каштанового кольору, що була для неї явно занадто розкішною і значно краще пасувала би молодій заможній парі, яка ще кілька років не збиратиметься одружуватися, а в голові їм будуть лише думки про вечірки і секс, а потім народяться діти, які розливатимуть бананове пюре і морквяний сік на подрапини кушетки, і все це легко змиватиметься і не завдаватиме стриманому кольору кушетки жодної шкоди.

Його матері було 49, йому 33 – але він ніколи не думав про те, що у нього могли би з'явитися зведені брати або сестри, так само йому не спало би на думку брати у матері меблі для свого першого студентського помешкання, бо цю фазу свого навчання він залагодив за допомогою різних брудних махінацій – якби хтось уважно вивчив його папери, то побачив би, що за відвідування одних і тих же семінарів та лекцій він отримував по два заліки, щоб заощадити час і позбавити себе необхідності довше займатися виснажливими підробітками на зразок розвезення акваріумів із декоративними рибами.

„Метью, що з тобою? Я щось не так сказала?“ – запитала Аннелі.

„Ні, ні. Все гаразд, я просто подумав про щось своє“, – спробував він захиститися. Якщо вона зараз запитає, про що саме, йому доведеться скоротити перерву. „Сподіваюся, про щось приємне“.

„Про мою матір“.

„О“.

Під час наступної перерви він запитає, чи не піде вона з ним повечеряти.

Тему про три основні елементи промови група засвоїла легко. Назва, зміст, оцінка, – ця проста схема дозволяла структуровано здійснювати та представляти іншим поділ інформації на будь-яку тему, а також оцінювати дані. Паркерові навіть вдалося після обідньої перерви перекопати Вільфріда знімати свою кепку у закритих приміщеннях, Вільфрід тепер не відходив від нього, так, ніби був його другом.

Але не лише кепка миттєво настроїла групу проти довготелесого молодого адвоката. Він відразу ж обрав собі місце у кутку, що було доволі нетипово для „закомплексованого“, як відразу ж охрестив його Метью. З досвіду Метью на розі завжди сідали особливо впевнені у собі, ті, хто постійно провокував

конфлікти. Їм здебільшого здавалося, що все відбувається надто повільно, надто по-школярськи, і якщо їм відразу ж не вибити ґрунт із-під ніг якоюсь особливою похвалою, або навпаки, жорсткою критикою, то вони рано чи пізно виведуть із рівноваги будь-якого доцента знервованою реплікою про те, що вони не розуміють, що взагалі тут відбувається, і що вони уявляли собі все зовсім по-іншому і чекали більшого. Тут не можна було дати ввести себе в оману початковою невпевненістю учасників семінару: насправді вони ведуть затяту війну, яка може об'єднатися у єдиний фронт проти доцента, якщо він вчасно, від самого початку, не перехопить ініціативу.

Вже аж увечері, незадовго до завершення, можна було дати їм волю. Як завжди, у перший день, вони вправлялися на прикладах із п'яти речень. Ішлося про спонтанну діалектику зі задалегідь підготованими аргументами, миттєву реакцію на сказане співрозмовником у ході публічної дискусії, у якій були чітко розставлені по місцях усі „за“ і „проти“. Його коронним номером, який він беріг на завершення, була, як завжди, тема „Собаки у місті – благо чи прокляття?“

Після того, як собачники і собаконенависники поділилися на групи відповідно до двійкової системи числення, у Паркера зазвичай залишався час на прибирання, він готував папери і матеріали для наступного дня і намагався абстрагуватися від того, що трапилося протягом кількох останніх годин. Переважно на цей момент він уже почувався втомленим, як собака.

Після того, як він розклав на свої місця файлики з коронними фразами, темами промов та планами ігрових занять із аргументації, вирішив ще кинути оком на доставлене Ебергадтом звідкись відеообладнання у сусідній аудиторії. Мабуть, його позичили у найближчому виші. Метью вже минулого разу було дивно, що люди платять йому такий високий гонорар, а семінар проводиться у настільки невідповідному приміщенні. Але, можливо, заможних юристів якраз збуджувала незвична бідність шкільних класів. Завтра буде важкий день, учасники повинні вправлятися у виголошуванні промов, він навчить їх аналізувати мову власного тіла і краще допасовувати граматику своїх жестів до того, що вони хочуть сказати. Ніяких риторичних прийомчиків від Рольфа Руледе, ніякої туфти у стилі менеджерів і політиків, які з метою досягнути перспективного розширення вилазять на столи і складають долоні у формі дашка, це робиться для публіки і преси, бо вважається, що такі жести виражають впевненість у собі і компетентність, так, ніби цей будиночок із долонь здатний приховати абсолютну пустку, яка панує поміж небом і землею. Можливо, що такі здатний. Тим гірше. Риторика не належить до точних наук, у ній не йдеться про правду, а лише про переконання і потенційні можливості. Це сумно, але це пасує до світу, в якому навіть адвокати вірять не у реальні речі, а лише у силу обставин, і тим самим віддають себе у розпорядження машинерії паперів, законів, знайомств у юридичних колах, коректного

виставлення рахунків відповідно до діючих тарифів. Багато хто з його групи вже відвідував схожі семінари, що не дивно, бо як би вони по-іншому могли позбутися хвилювання під час виголошення промови у залі суду, або навіть під час звичайного зачитування реферату у студентські роки, а тепер він буде вміло розвивати у них віру у власні можливості, формувати у кожного свій стиль, спонукати їх перевершити себе самих. Він хотів, щоб вони позмагалися з власним страхом. Акторів та поведених на вченні Дейла Карнегі „у-мене-все-окей-у-тебе-все-окей“ йому не потрібно. Багато хто все ще вважає риторичку чарівною зброєю, і саме він переконуватиме їх у тому, що це не так, переконуватиме за допомогою своїх простих методик, які поволять, дуже поволять, накладаються одна на одну і починають діяти. Він увімкнув відеокамеру і перевіряв, чи працює під'єднання до телевізора з плазмовим екраном і чи зображення якісне, без плям. Потім він посунув камеру на її обладнаному колесами штативі крізь дверний отвір і наштотхнувся на Аннелі. Вона стояла посеред групи собачників і проектувала свої ідеї на білий листок посиленої уваги і захоплених поглядів на себе решти членів групи. Усі були заглиблені у розв'язання поставленої нею завдання, захоплені безглуздою собачою темою, і, ймовірно, на відміну від інших „звичайних“ семінарних груп, вийдуть за межі навчання і будуть обговорювати також правові наслідки для гасел на зразок „гуманна смерть для собак“ чи „собаки геть із міста“. І цими закликами, які автоматично виникають у ході кожної публічної дискусії, вони врешті-решт вимостять вулиці свого уявного міста Кіль – собаки у місті, собаки геть із міста, гівно на вулиці, геть гівно із вулиць.

„Попередній доповідач стверджує, що більше не може дозволити собі віддавати взуття у хімістку після кожної прогулянки парком. І хоча всім нам складно повірити в аж таку обмеженість його фінансових можливостей, це, ясна річ, прикро. Звичайно ж, такі міни на тротуарах нікому не подобаються, але ми повинні з вами обдумати також правові аспекти заборони тримання собак у місті“. Це дуже добра вправа, бо всі можуть відчути себе вільними від своєї звичайної роботи і після важкого дня переключитися на щось зовсім інше. Жарти були не менш важливими, ніж аргументи, особливо, коли йшлося про собак. Паркер скерував камеру на виріз блузки Аннелі і почув, що група, яка дотримувалася протилежної точки зору, застосовувала техніку mind-mapping, тобто „карт розуму“ – візуалізації своїх ідей. Паркер був переконаний: після цієї дискусії вони ще добрих кілька днів обходитимуть четвероногих десятою дорогою.

[Переклад: Наталка Сняданко]

Matthias Göritz (1969, Deutschland) – Schriftsteller, Dichter, Übersetzer. Längere Aufenthalte in Russland und den USA haben ihm die westliche wie östliche Welt und ihre Literatur erschlossen. Er veröffentlichte zwei Gedichtbände *Loops* (2001) und *Pools* (2006) sowie den Roman *Der kurze Traum des Jakob Voss* (2005). Zuletzt übersetzte er Nicholson Bakers Roman *The Anthologist* und die Lyrik von Ann Lauterbach, die er bei den Frankfurter Lyriktagen 2009 vorgestellt hat. Die ebenfalls von ihm für den deutschen Sprachraum entdeckte und übersetzte Rae Armantrout ist mit dem Pulitzer-Preis für Poesie 2010 ausgezeichnet worden. Der Autor schreibt auch für Radio und Theater. Er gehört der Originalbesetzung von Jan Klatas Theaterstück *Transfer!* an.

Matthias Göritz (1969, Niemcy) – pisarz, poeta, tłumacz. Długie pobyty w Rosji i Stanach Zjednoczonych otwoczyły autora zarówno na świat Zachodu i Wschodu, jak i na literaturę z tych rejonów. Opublikował dwa tomiki poetyckie *Loops* (2001) i *Pools* (2006) oraz powieść *Krótki sen Jakoba Vossa* (2005). Ostatnio przetłumaczył na niemiecki powieść Nicholsona Bakera *The Anthologist* oraz wiersze Ann Lauterbach, które przedstawiał w 2009 roku w czasie Dni Poezji we Frankfurcie. Odkryta dla szerszej publiczności i tłumaczona przez niego poetka Rae Armantrout w 2010 roku otrzymała Nagrodę Pulitze-

ra w dziedzinie poezji. Autor pisze również dla radia i telewizji. Należy do pierwszej obsady sztuki Jana Klaty pt. *Transfer!*.

Маттіас Ґоріц (1969, Німеччина) – письменник, поет, перекладач. Тривалі перебування в Росії та США відкрили авторові світ і літературу Заходу і Сходу. Видав дві поетичні збірки *Лупс* (2001) і *Пульс* (2006) та роман *Короткий сон Якоба Восса* (2005). Останнім часом переклав німецькою мовою роман Ніколсона Бейкера *Антологіст* та вірші Анн Ляутербах, які представив у 2009 році під час Днів Поезії у Франкфурті-на-Майні. Відкрита для шуршого кола читачів і перекладена ним поетка Рае Армантраут отримала у 2010 році Пулітцерівську премію в категорії поезії. Пише також для радіо й телебачення. Входить до першого акторського складу вистави польського режисера Яна Кляти *Трансфер!*

© Katja Hoffmann 04/04/29_Berlin: Fernsehturm



ZIMNE NÓŻKI EIN- GELEGTE FÜSSE ХОЛОДЕЦЬ



► Trzech rzeczy bałem się w życiu najbardziej: nóżek w galarecie, wojska oraz języka niemieckiego. Pamiętam przyjęcie w naszym mieszkaniu i zniecierpliwione głosy biesiadników. – Maryla! No co z tymi zimnymi nóżkami! Daj coś na ząb! Byłem przekonany, że rodzice poćwiartowali kogoś z naszej kamienicy. Wsadzili do galarety i za chwilę będą go jedli. Spociałem się ze strachu i zakryłem po czubek głowy kołdrą. Po chwili usłyszałem głośnie „noooo!” Ze stołowego zaczęły docierać następne oznaki zachwytu. – Wyszły ci te nóżki, Maryla! Są pyszne! No to panowie i panie, zdrowie! Siupniem pod mięsko zdechłe! A potem nastąpiła cisza. Nagła i straszna. Teraz wiem, że spowodowana kontrolowanym wdechem toastowym. Ale wtedy myślałem, że ucichli z szacunku dla nieboszczyka. I znowu zrobiło się głośnie, i znowu cisza. Tak na przemian, aż ze strachu zasnąłem.

Następnego dnia z wielką podejrzliwością obserwowałem rodziców. Kiedy wyszli na balkon, poszedłem do kuchni i w koszu na śmieci próbowałem odszukać szczątki zabitego sąsiada. Pomyślałem, że skoro Trojanowski zawsze im działał na nerwy, to pewnie jego nóżki zjedli. Nawet przygotowałem papierową torbę, bo chciałem w nią zapakować odnalezioną czaszkę, wymknąć się z mieszkania i odwiedzić z dowodem zbrodni milicjanta Kowalczyka. Z tego Kowalczyka to było niezłe ziółko. Przynajmniej raz w tygodniu bił żonę Alinę. Ujadała na cały dom, a on wykrzykiwał. – Zaraz ci ten wielki tyłek rozpołowię, suko jedna! Ale na milicjanta nie było bata. Po prostu, wszyscy się go bali. Alina przychodziła do moich rodziców. Z podbitymi oczami, uśmiechnięta, piła kawkę i opowiadała, jaki to numerant z tego jej męża. Kiedyś wsadził jej pistolet do tyłka i nacisnął spust. Spociła się ze strachu myśląc, że to koniec, że kulka wyleci przez głowę razem z mózgiem. – Ale mój stary nie nabił pistoletu. Hi, hi, hi – śmiała się, a moi rodzice pobledli. Nie znalazłem czaszki Trojanowskiego, za to spotkałem sąsiada na klatce i pierwszy raz w życiu nie usłyszałem ode mnie „dzień dobry”. Stałem przed nim i mierzyłem go od pasa w dół. Był nietknięty. Gdy dorosłem i usłyszałem o wielu rzeczach, a niektóre z nich osobiście przeżyłem, uświadomiłem sobie, że Kowalczyk z Aliną stanowili bardzo udany i szczęśliwy związek sado-macho. A co z nóżkami? To się chyba fachowo nazywa dziecięca trauma. Bo kiedy uczestniczę w imprezie z wódką, a gospodarze serwują nóżki na zagrychę i choć towarzystwo jest doborowe i pani domu zapewnia, że wieprzowinka badana, z najlepszej ubojni, od najlepszego rzeźnika, że dodała czosnku, groszku, marchewki, że galaretka jest naturalna, znaczy z tego, co wyciekło z chrząstek podczas gotowania, to grzecznie się wykręcąm i piję wódkę, zagryzając chlebem.

Druga trauma to wojsko. Armii nie lubię, a w szczególności tej, która dalej prowadzi przymusowy pobór. Bo jeśli ktoś ma sadystyczne powołanie i lubi oraz musi sobie postrzelać do drugiego człowieka, ewentualnie do dużej grupy ludzi, to armia zawodowa ma jeszcze jakiś sens. Otóż, jak każdy osiemnastolatek zostałem wezwany na komisję poborową. Komisja urzędowała w mieście Dzierżoniów Śląski. W rynku. Nie chciałem, ale musiałem, bo jeślibym sprawę olał, to dostałbym wezwanie na kolegium, grzywnę, no i tak później musiałbym się zgłosić. Dobrą stroną tego cyrku było to, że dostawało

się wolne ze szkoły, a jeśli poborowy oddał honorowo krew, to dwa dni, kilka tabliczek gorzkiej czekolady i bloczki na obiad w barze „Zodiak”. Czekając w pomieszczeniu rekrutów, zauważyłem kilku garbatych. Wtedy jeszcze bardziej poczułem odrazę do tej instytucji, bo zrozumiałem, że to wojsko znowu nie obroni nas przed Niemcami. A kiedy ci sami garbaci wychodzili z sali komisyjnej z kategoriami A-1, wiedziałem, że taka armia nie tylko nie jest w stanie uchronić nas przed ponownym atakiem Niemców, ale nawet nie będzie mogła stłumić zamieszek mniejszości cheskiej zamieszkującej wieś Lewin Kłodzki oraz okolice Kudowy Zdrój w liczbie 45 osób. Z czystej ciekawości zapytałem jednego z garbatych, dlaczego z kalectwem, z tak widoczną wadą przyznali mu najwyższą kategorię. Tłumaczył, że jest niż demograficzny i każdy żołnierz jest Polsce bardzo potrzebny. Nawet garbaty. Co więcej, ci garbaci byli bardzo dumni ze swoich kategorii i za Chiny nie chcieli się odwoływać od decyzji komisji, oni wręcz czekali na bilet do wojska. Podejrzewam, że Ludowe Wojsko Polskie było jedyną organizacją, która w tamtych czasach potrafiła dowartościować garbatych. Ze względu na pobieraną naukę dostałem odroczkę. A-1 też dostałem. Skorzystałem z szansy oddania krwi, obiadu w barze „Zodiak”, a czekoladę dałem mojej dziewczynie, która była bardzo ze mnie dumna. Nie wspominałem, że w tym dniu innych kategorii nie przewidywano. Ci, którzy skończyli zawodówkę, dostali bilety do jednostek. Narzeczone płakały, bo wyjeżdżali na drugi kraniec Polski. Potem z miejsca zachodziły w ciążę z innymi. Najgorzej było, kiedy chłopak z naszego miasteczka dostawał bilet do marynarki wojennej. To była kompletna kłapa. Po pierwsze, o ile inni służyli dwa lata, tamten musiał trzy. Po drugie, nasze łodzie podwodne same się zatapiały. Po trzecie, o ile udało się przeżyć, eksmarynarz wracał z tatuażami na całym ciele. Po czwarte, jeśli nie pił, to w marynarce zostawał alkoholikiem. No i po piąte, miał spodnie bez rozporka. Jednej tylko rzeczy zazdrośczone chłopakom z marynarki. Mieli śliczne mundury. Ale i one nie potrafiły uchronić ich przed syfem. Ja sobie przyrzekłem, że nigdy do tej organizacji nie trafię, a książeczkę wojskową schowałem w takie miejsce, że na długi czas całkowicie zapomniałem o jej istnieniu. W liceum grałem w grupie punkowej i śpiewałem anarchistyczne teksty. Wszystko miałem gdzieś, bo naszym głównym słowem było słowo BUNT. Z dziewczyną jakoś nie wyszło. Ona jednak lubiła mundurowych i cicho marzyła, że po maturze zgole swojego niebieskiego irokeza, zdejmę glany, obcisłe dżinsy i jupe moro, przestanę śpiewać brzydkie piosenki, przestanę obrażać Polskę i stanę się pragmatycznym człowiekiem. Złożę papiery do Wyższej Szkoły Wojsk Kwatermistrzowskich w Poznaniu i po czterech latach zostanę zawodowym trepem w randze podporucznika. Marzyła też, że może wcześniej uda się nam spłodzić dziecko, no i na trzecim roku dostaniemy mieszkanie od armii. Jak już zostanę podporucznikiem, to będę szybko awansował zawodowo. Będę mądrym i przebiegłym złodziejem, może nawet dochrapię się stopnia pułkownika. Jeszcze trochę popracuję, a następnie przejdę na wcześniejszą emeryturę. I za te ukradzione pieniądze zbudujemy sobie willę gdzieś koło Srebrnej Góry, i wynajmiemy pokoje gościnne turystom. Syn się ożeni i będziemy mieli wnuki. Na koniec umrę, a pogrzeb będzie za darmo, bo wojsko

zapłaci. Tak marzyła moja dziewczyna. Była szczerą. Ja też, więc się zaczęło kończyć między nami zaraz po tym, jak zdałem maturę. Nie ogoliłem irokeza. Nie ściągnąłem ze stóp podróbek doktora Martensa. No i oczywiście nie próbowałem nawet myśleć, a co dopiero prosić o przyjęcie do szkoły wojskowej. Choć maturę miałem w kieszeni, zapisałem się do szkoły, która matury nie wymagała, a mianowicie do Dwuletniego Policealnego Studium Unasieniania Zwierząt w Henrykowie Śląskim. Tak, tak, w tym samym Henrykowie, gdzie powstała „Księga Henrykowska”, w której jakiś mnich zapisał pierwsze zdanie po polsku. Brzmiało mniej więcej tak: „daj ac ja pobruszam, a ty poczywaj”. Wypowiedział je chłop Boguchwał do swojej żony na polu, a skrzętny skryba je zanotował. Rodzi się pytanie, co robił mnich pomiędzy parką na polu. Więc to staropolskie zdanie językoznawcy przetłumaczyli tak: „daj, ja teraz pooram, a ty odpocznij”. Ja myślę, że w tym zdaniu wcale nie chodziło o orkę, tylko o rzeczy bardziej przyjemne i dlatego ten mnich się tam pojawił, bo chciał się załapać na drugiego. Ale zostawmy pierwsze staropolskie trójki. Kiedy mnie przyjęli do szkoły, tam również zapytali o książeczkę wojskową i wbili następne odroczenie. Aha, zapomniałem powiedzieć, że dziewczyna wtedy definitywnie odeszła, bo się zaczęła mnie brzydzić. W przypływie szczerości opowiedziałem jej, jakim sposobem uzyskuję nasienie od knurów rozplodowych. Na studia nie chciałem zdawać. Wiedziałem, że jeśli je ukończę, to i tak będę musiał iść do wojska w charakterze tak zwanego „bażanta”. Na drugim roku studium otrzymałem następną pieczęć w książeczce. A krótko po tym, pod wpływem inhalacji butaprenowej, razem z innymi punktami spaliliśmy nasze książeczki wojskowe. Tomek po tym rytualnym spaleniu dokumentu zniknął. Potem się dowiedziałem, że się ożenił i zamieszkał w Ziębicach Śląskich, więc postanowiłem go odwiedzić. Wdrapałem się na drugie piętro kamienicy stojącej w centrum, zadzwoniłem. Otworzył jego ojciec albo teść, sam nie wiem. – Dzień dobry, jest Tomek? – Tomek jest rozwieziony! – odpowiedział jakby automatycznie. Ten krótki dialog uświadomił mi, że w tym kraju nie tylko wojsko jest surrealistyczne, ale ojcowie i teściowie też. Postanowiłem zmykać. Kiedy skończyłem szkołę, wykupiłem wycieczkę do Wiednia, na posterunku podpisując lojalną, że wrócę i wydali mi paszport. Najpierw z ulgą odetchnąłem, ale zaraz po tym zdałem sobie sprawę, że w Austrii mówią po niemiecku, a niemiecki był trzecią rzeczą, której się w życiu najbardziej bałem.

Przyczyny tego strachu są dosyć proste i jeszcze z czasów dzieciństwa, tak jak te nożki. Mokasyny, szare prochowce, pomarszczone twarze, kapelusiki z zielonego filcu, portfele wypchane do granic przyzwoitości, aparaty fotograficzne i kolorowe autobusy z kibelkiem w środku. No właśnie, to jest typowy obrazek z moich okolic, z początku lat siedemdziesiątych, no i ja jestem na tym obrazku. Walczę, bo inni się poddają. Sprzedają godność za garść cukierków. Nigdy tego dnia nie zapomnę. Siedzę z kumplami pod kościołem. Jest cicho, niebo jasne, słońce, ptaki latają, aż tu zza rogu wycieczka. Ludzie w opisanych wyżej ubraniach. Szwargocą i strach w nas wzbudzają. Już widzę, jak mnie z kamienicy wyrzucają i gonią w góry. A za tymi górami nie ma niczego, jest pustka i spadam w przepaść. Ale oni zamiast kul

śmiercionośnych mają cukierki i zaczynają nimi do nas strzelać. Kumple jak zgłodniałe psy rzucają się na ziemię. Ci w kapelusikach pstrykają zdjęcia. Wkraczam do akcji ruszony honorem i krzyczę, żeby zostawili te cukierki, bo mogą być zatrute. Nawet to nie pomaga. Na koniec dostaję najpierw jedną lufę, potem drugą i robi się afera. Gebelsi robią jeszcze kilka zdjęć i zmykają. Słyszę tylko z oddali ten okropny język. Z obitą przez moich kolegów twarzą leżą w łóżku. Zасыpiam i śni mi się koszmar. To jest okropne, bo wszystkie postaci krzyczą po niemiecku. Łapią mnie i wrzucają do komory gazowej. Tylko że w tej komorze nie używa się cyklonu B, a pierdziochów. Jest to wielki zbiorowy niemiecki bąk wyprodukowany z piwa, kiełbasek i kapusty kiszzonej. Widzę otwór w suficie, a w ten otwór jakiś feldfelbel wkłada puszkę z tym bąkiem. Gaz ulatnia się. Zaczynam się dusić. Ale do komory wchodzi facet w masce przeciwgazowej i wyjmuję z kieszeni kartkę w języku polskim. Podaje mi ją. Czytam przez łzy. – Jeszcze możesz wszystko odwrócić, jeszcze możesz wyjść z tego pomieszczenia i żyć, żyć spokojnie i dostatnio. Lecz musisz podpisać listę i nauczyć się niemieckiego. Opanowuje mnie głupi śmiech. Drę kartkę i rzucam nią w postać w masce przeciwgazowej. Wychodzi i zamyka za sobą metalowe drzwi, a ja dusząc się kapuścianymi pierdziochami, próbuję odśpiewać hymn państwowy. Jeszcze Polska nie zginęła... Kiedy się obudziłem, obiecałem sobie, że zrobię wszystko w życiu, żeby się niemieckiego nie nauczyć, tak samo jak sobie obiecałem, że nie tknę zimnych nóżek, tak samo jak sobie później obiecałem, że nie pójdę do wojska. No i w tym moim postanowieniu dopomagało mi jeszcze kilka życiowych faktów. Otóż, komuś z miasteczka udało się wyjechać na wakacje do Niemiec Zachodnich i o dziwo wrócił. Ten ktoś przywiózł ze sobą kolorową gazetę, w której na pierwszej stronie widniała moja obita morda, a pod spodem widniał komentarz następującej treści: „Bieda w Polsce nie zna granic, nawet pozbawia młodocianych resztek człowieczeństwa. Biedna młodzież zrobi wszystko, aby dostać cukierka, skatują nawet swoje kolegi.” Zagotowało się we mnie, a potem zagotowało jeszcze bardziej, kiedy to rodzice nie wyrazili zgody na to, żebym po podstawówce poszedł do technikum weterynarii w Nysie, a kazali mi iść do naszego liceum. I w tym liceum drugim językiem obcym obok rosyjskiego był niemiecki. Ja już się wtedy całkiem zawiązałem i byłem tak konsekwentny, że profesor Teodor Mop musiał mnie posadzić na koniec roku i dzięki temu mogłem zmienić szkołę i poszedłem do innego liceum, takiego z rosyjskim i angielskim. Tak sobie myślę, że to moje policealne studium unasieniania, to proteza, wyrównanie za technikum weterynarii. No dobrze, wyciągnąłem te pieniądze od rodziców na wycieczkę do Wiednia i oczywiście nie miałem z niej zamiaru wracać, bo gdzie? Prosto do wojska? Siedzę w autobusie, zbliżamy się do granicy w Boboszowie. Granica. Wpadają najpierw polscy pogranicznicy, potem czescy, a na koniec celnicy i ryją wszystkich. Każą wysiadać, torby na ławki wykładać i spowiadają. Większość towaru odbierają i każą wracać do autobusu. Tylko mi nie dowierzają, bo mam małą torbę z rzeczami osobistymi. – Na osobistą! – pada polecenie jednego z celników. Każą spodnie spuszczać, w tyłku grzebią, latarką świecą, a tam nic. Jedziemy. Jesteśmy już w Czechosłowacji, kraju smutnym i przystrojonym gwiazdami, gdzie ludzie chodzą z głowami

nisko spuszczone i nisko spuszczone gaciami. Mijamy Svitavy i jedziemy w kierunku Brna. Pilot coś tam o Brnie pitoli, ale nikt go nie słucha, bo każdy myśli, jak tu przejechać z tym, co mu jeszcze zostało do opchnięcia. Za chwilę Mikulov. Inna granica. Żelazna kurtyna. Wchodzą Czesi. To samo, co w Boboszowie. I jedziemy pasem ziemi niczyjej obłożonej minami. Widzimy druty kolczaste i napis „Republika Austrii”. Austriacy pogranicznicy sprawdzają dokumenty, celnicy podjeżdżają z lusterkami na wysięgnikach, aby dokładnie pooglądać nasz autokar od spodu. Robią taką atmosferę, aby nam udowodnić, że nic dobrego na nas w Wiedniu nie czeka. Ale na koniec puszcza. Jesteśmy w wielkim świetle. Droga prosta, asfalt równy. A w Wiedniu na parkingu pilot przez trzaskający mikrofon mówi: „Tym z państwa, którzy mają zamiar wrócić, proponuję spotkanie w niedzielę o jedenastej przed autokarem w tym samym miejscu. A tym państwu, którzy chcą przedłużyć pobyt, życzę powodzenia i informuję, że austriacki Caritas dowozi za darmo posiłki dla bezdomnych rano i wieczorem, i rozda je przy wszystkich większych dworcach w mieście”.

Włączyłem się tak trzy miesiące bez celu, korzystając z darmowej pomocy Caritasu, śpiąc gdzie popadnie, zadając się z kim popadnie i już nawet myślałem o powrocie, tylko że nie miałem kasy, a robiło się coraz zimniej, coraz bardziej beznadziejnie. Ale w grudniu przyszła nadzieja w osobie generała Jaruzelskiego, który wprowadził stan wojenny. Więc wyszło na to, żeby jednak nie wracać. Zgłosiłem się na policję i skierowali mnie do obozu. A w obozie było ciepło i można było po polsku pogadać i się wykapać. Ubrania i jedzenie też dawali. Tylko że ci Austriacy chcieli, żebyśmy się gdzieś dalej wynieśli. Na przykład do RPA czy Australii. Część się zgodziła zapolować na Murzynów czy kangury, ale ja powiedziałem, że chcę zostać w Austrii, bo bałem się tak długiej podróży, no i byłem sam. Ci od kangurów zostali całymi rodzinami. Było im łatwiej wyjechać i zaczynać w innym kraju. Ponieważ się uparłem i nie myślałem o dalekich krajach, jakoś przystali na moją prośbę, ale w zamian musiałem iść na kurs niemieckiego. Koszmar wrócił. Cyklon B i tak dalej. Napisałem test wstępny i wyszło na to, że profesor Teodor Mop coś w moim mózgu pozostawił, bo zakwalifikowano mnie na kurs dla średniozaawansowanych. Jednak dotąd podejrzewam egzaminatorów i władze obozu o zawyżenie wyników. Na kursie siedziałem w baraku wraz z Arabem, Murzynem i Ruskim, z którym się mogłem jako tako dogadać. Kurs prowadziła wybitnie odrażająca nauczycielka z Tyrolu, która wypowiadała te niemieckie słowa z równie odrażającym akcentem. Ona ogólnie brzydziła się nas, a my brzydziliśmy się jej. Obcy. Tak więc nauczycielka, której imienia ani nazwiska nie pamiętam, miała osobliwe metody nauczania. Kiedy jeden z nas nie udzielał wystarczająco dobrej odpowiedzi, albo jej w ogóle nie udzielał, musiał wstać i stać. Najbardziej przerażane miał kolega Murzyn, nie tylko z racji koloru skóry, ale i błyskotliwych odpowiedzi. Nigdy nie odrabiał zadania domowego, a kiedy nauczycielka pytała dlaczego, to

odpowiadał, że nie posiada zadania domowego, ponieważ nie było go wczoraj w domu. Albo po prostu, że w obecnej chwili nie posiada domu i żeby odrobić zadanie domowe, najpierw musi ten dom kupić. Nauczycielka wpadała w furję i Murzyn prawie każdego dnia musiał stać do końca lekcji. No tak, dałem się spacyfikować, ale tłumaczyłem sobie, że ten austriacki niemiecki, to zupełnie inny niemiecki niż niemiecki niemiecki i że nie sprzedaję się do końca. Prócz tego poczułem, że mogę coś wyciągnąć z tego kraju, że poniesiona ofiara później zaowocuje. Pod koniec kursu odbył się egzamin, który, o dziwo, jako jedyny zdałem. Otrzymałem pozwolenie na pracę i pobyt oraz kawalerkę z puli socjalnej. Ale wyjeżdżać nie mogłem. Mój polski paszport był przegrany. W chwili powrotu czekało na mnie wojsko lub ciupa. A mi się jakoś za Polską zatęskniło. Oprócz dyplomu językowego z wyraźnie wypisaną oceną dostateczną, otrzymałem pisemną opinię bardzo poważnych ekspertów od bardzo poważnych problemów międzynarodowych. W tym dokumencie było napisane, że zważywszy na to, skąd pochodzę, wykazane umiejętności językowe oraz nazwisko i imię, a nazywam się Robert Kant, mam wielką szansę na totalną integrację i obywatelstwo. Obywatelstwo oznaczało paszport. Paszport oznaczał wolny wyjazd do Polski i wyjazd. Więc się bardzo ucieszyłem i kiedy przepracowałem w Austrii odpowiednią ilość czasu i zebrałem odpowiednie dokumenty, wystąpiłem z prośbą o przyznanie mi obywatelstwa. Obywatelstwo w normalnym trybie urzędowym mi przyznano. Poczuję się kimś ważnym, kimś życiowo ustawionym, kimś, komu udało się pomimo przeciwności losu zrealizować lub prawie zrealizować to, co sobie za młodu obiecał. Chodziłem po tym Wiedniu, bo był teraz mój, zdobyłem go. Wpadałem do knajp i jak widziałem jakiegoś niedopitego Polaka, to zaraz stawiałem mu kilka piw, bo chciałem, żeby poczuł się dobrze, lepiej, tak samo jak ja, obywatel wolnego kraju. Otwierałem swoją skrzynkę pocztową i wyciągałem z niej kartki z gratulacjami z Polski, a pewnego dnia wyjąłem z niej urzędowe pismo. I z wypiekami na policzkach zacząłem je czytać, bo byłem pewien, że to zawiadomienie, że mój paszport już na mnie czeka. I brnąć ze swadą przez pierwsze linijki, że słowa na słowo zwałniałem, aż całkiem przestałem, bo był to list z armii austriackiej, która wyznaczyła mi termin komisji poborowej. – Cholera! – krzyknąłem, a potem zapłakałem. Wybiegłem z mojej kamienicy i zacząłem biec jak na stracenie. Przebiegłem tak kilka sąsiednich dzielnic, aż zatrzymałem się przed jakąś wystawą i z chodnika podniosłem kamień. A potem ten kamień owinąłem listem. W złości i desperacji cisnąłem nim przed siebie. Szyba pękła, a ja stałem w bezruchu, czekając, aż mnie policja zabierze. Ale nikt nie podjeżdżał. Ze sklepu wyszedł grubas w białym kitlu. W dłoniach trzymał półmisek, a na tym półmisku drżały nożki w galarecie i ten mój kamień też na nim leżał.

Drei Dinge fürchtete ich im Leben am meisten: eingelegte Schweinefüße, das Militär und die deutsche Sprache. Ich erinnere mich noch lebhaft an eine Feier meiner Eltern und an die ungeduldigen Stimmen der Gäste. – Maryla! Was ist denn nun mit diesen eingelegten Füßen! Wir brauchen was zwischen die Zähne! – Ich war überzeugt, meine Eltern hätten einen unserer Nachbarn geschlachtet, ihn eingesülzt, und gleich würden sie ihn aufessen. Ich schwitzte vor Angst und zog mir die Decke über den Kopf. Etwas später hörte ich ein lautes „Ohooo!“ Aus dem Esszimmer drangen immer neue Anzeichen von Begeisterung. – Die sind dir aber gelungen, Maryla! Köstlich! Na dann, Prost miteinander! Runter mit dem toten Fleisch! – Und dann trat Stille ein. Eine plötzliche und grauenhafte Stille. Heute weiß ich, dass diese Stille eine Folge trinkbedingten Luftanhaltens war. Damals jedoch glaubte ich, alle seien aus Achtung vor dem Verstorbenen verstummt. Und dann wurde es mal lauter und mal leiser. Immer abwechselnd, bis ich vor Angst einschlief. Am nächsten Tag beobachtete ich meine Eltern mit großem Argwohn. Sobald sie auf den Balkon gegangen waren, lief ich in die Küche und durchsuchte den Mülleimer nach Überresten des getöteten Nachbarn. Ich dachte mir, sie hätten bestimmt die Füße von Herrn Trojanowski gegessen, wo er ihnen doch immer so auf die Nerven ging. Ich hielt sogar eine Papiertüte bereit, um den gefundenen Schädel darin zu verpacken. Dann wollte ich unbemerkt aus der Wohnung schlüpfen und das Beweisstück Herrn Kowalczyk von der Miliz vorlegen. Dieser Kowalczyk war ein ganz schöner Schlawiner. Mindestens einmal die Woche schlug er seine Frau. Die keifte dann durch das ganze Haus, und er schrie: Jetzt reiße ich dir deinen dicken Hintern entzwei, du Hure! Doch gegen einen von der Miliz war nichts zu machen. Alle hatten Angst vor Herrn Kowalczyk. Seine Frau Alina kam anschließend immer zu meinen Eltern. Mit blau geschlagenen Augen und einem Lächeln auf den Lippen trank sie Kaffee und erzählte, was ihr Mann doch für ein Spaßvogel sei. Einmal habe er ihr eine Pistole an den Hintern gehalten und abgedrückt. Sie habe geschwitzt vor Angst, weil sie dachte, jetzt sei alles vorbei, gleich würde die Kugel am anderen Ende gemeinsam mit ihrem Gehirn wieder herauskommen. – Dabei war die Pistole gar nicht geladen. Hihhihi – lachte sie, und meine Eltern wurden ganz blass. Trojanowskis Schädel fand ich nicht, dafür begegnete ich ihm im Treppenhaus, und zum allerersten Mal sagte ich ihm nicht „Guten Tag“. Ich stand wortlos da und musterte ihn von den Knien abwärts. Er war unversehrt. Als ich bereits erwachsen war und mir verschiedene Dinge zu Ohren gekommen waren – einige davon hatte ich sogar selbst erlebt – wurde mir bewusst, dass Herr und Frau Kowalczyk eine zutiefst erfüllte und glückliche Sado-Macho-Beziehung führten. Aber was ist nun mit diesen Füßen? Im Fachjargon nennt man so etwas wohl ein Kindheitstrauma. Denn wenn ich heute irgendwo eingeladen bin, und die Gastgeber reichen Schweinefüße zum Wodka, dann mag die Gesellschaft noch so fein sein, und die Gastgeberin kann mir tausend Mal versichern, das Fleisch stamme aus kontrollierter Aufzucht, aus dem allerbesten Schlachthof, vom allerbesten Fleischer, sie habe lediglich Knoblauch, Erbsen und Karotten hinzugefügt, und die Sülze habe sich auf ganz natürliche Weise aus dem Knorpelsud gebildet, druckse ich nur höflich herum und esse Brot zum Wodka.

Mein zweites Trauma ist das Militär. Ich kann Armeen nicht leiden, vor allem solche nicht, die noch immer zwangsverpflichten. Wenn jemand eine sadistische Ader hat und es toll findet, auf einen anderen Menschen oder möglicherweise sogar auf sehr viele andere Menschen zu schießen, dann mag eine Berufsarmee noch einen gewissen Sinn ergeben. Kurz und Gut, ich wurde wie jeder andere Achtzehnjährige auch zur Musterung bestellt. Die Musterungsstelle befand sich in der Stadt Dzierżoniów. Am Marktplatz. Ich wollte nicht, aber ich musste, denn hätte ich den Termin einfach sausen lassen, hätte ich eine Vorladung vor Gericht bekommen, eine Strafe zahlen und mich hinterher doch melden müssen. Das einzig Gute an dem ganzen Zirkus war, dass man einen Tag schulfrei bekam, und wenn man freiwillig Blut spendete, sogar zwei Tage, dazu noch ein paar Tafeln Bitterschokolade und ein Mittagessen im Restaurant „Zodiak“. Während ich im Warteraum saß, bemerkte ich ein paar bucklige Rekruten. In diesem Moment spürte ich eine noch stärkere Abneigung gegen diese Institution, denn mir wurde klar, dass uns diese Arme wieder nicht vor den Deutschen beschützen würde. Und als ich dann noch sah, wie dieselben Buckligen den Musterungssaal mit dem Tauglichkeitsgrad 1 wieder verließen, wurde mir klar, dass diese Armee nicht nur außerstande war, uns vor einem erneuten deutschen Angriff zu bewahren, sondern nicht einmal einen Aufstand der tschechischen Minderheit niederschlagen würde, die im Dorf Lewin Kłodzki und in der Gegend um Kudowa Zdrój lebte und 45 Personen zählte. Aus reiner Neugierde fragte ich einen der Buckligen, warum er trotz einer so deutlich sichtbaren Behinderung den höchsten Tauglichkeitsgrad erhalten hatte. Er erklärte mir, wir seien ein geburtschwacher Jahrgang und Polen brauche jeden einzelnen Soldaten. Sogar die Buckligen. Hinzu kam, dass diese Buckligen sogar noch stolz auf ihren Tauglichkeitsgrad waren, und keine zehn Pferde sie dazu hätten bringen können, die Entscheidung der Kommission anzufechten, sie warteten geradezu auf ihre Eintrittskarte zum Krieg. Ich vermute, dass die Polnische Volksarmee zu jener Zeit die einzige Organisation war, die Bucklige zu schätzen wusste. Da ich noch die Schule besuchte, wurde ich erst einmal zurückgestellt. Gemustert wurde ich wie alle anderen mit T1. Ich nutzte die Gelegenheit zur Blutspende sowie zum Mittagessen im Restaurant „Zodiak“, und schenkte die Schokolade meiner Freundin, die sehr stolz auf mich war. Ich erwähnte ihr gegenüber nicht, dass an diesem Tag keine anderen Tauglichkeitsgrade vergeben worden waren. Jene von uns, die nicht mehr zur Schule gingen, wurden sofort zu ihren Einheiten irgendwo ans andere Ende Polens beordert. Ihre Verlobten weinten bittere Tränen und wurden anschließend sofort von einem anderen schwanger. Am schlimmsten war es, wenn einer zur Kriegsmarine musste. Ein echter Griff ins Klo. Erstens musste man nicht nur zwei, sondern volle drei Jahre dienen. Zweitens liefen unsere Unterseeboote ganz von allein auf Grund. Drittens kehrten ehemalige Matrosen, wenn sie denn überlebt hatten, mit Tätowierungen am ganzen Körper zurück. Viertens wurden in der Marine selbst Nichttrinker zu Alkoholikern. Und fünftens schließlich hatten die Hosen vorne keinen Schlitz. Es gab nur eine einzige Sache, um die die Jungs von der Marine beneidet wurden. Die schmuckten Uniformen. Aber die halfen ihnen auch nichts gegen den Siff an Bord. Ich

schwor mir, niemals in die Fänge einer solchen Organisation zu geraten, und versteckte meinen Wehrpass so gut, dass ich ihn für lange Zeit vollständig vergaß. Auf dem Gymnasium spielte ich in einer Punkband und sang anarchistische Texte. Mir war alles scheißegal, denn unser Motto lautete REBELLION. Mit meiner Freundin lief es nicht so gut. Doch sie hatte eine Schwäche für Uniformen und träumte im Stillen, ich würde mir nach dem Abitur meinen blauen Iro abrasieren, die Springerstiefel, die engen Jeans und die Tarnjacke ausziehen, aufhören schmutzige Lieder zu singen, aufhören Polen zu verunglimpfen und ein pragmatischer Mensch werden. Dann würde ich mich an der Posener Höheren Quartiermeisterschule bewerben und nach vier Jahren Berufslandser im Rang eines Unterleutnants werden. Sie träumte auch, wir würden bereits vorher ein Kind gebären und im dritten Jahr eine Wohnung vom Militär zugeteilt bekommen. Wenn ich erst einmal Unterleutnant wäre, würde ich auch beruflich schnell vorankommen. Ich würde mich als kluger und gerissener Dieb erweisen, vielleicht würde ich es sogar bis zum Oberst bringen. Dann würde ich noch ein paar Jahre weiterarbeiten und schließlich vorzeitig in Rente gehen. Von dem zusammengeklauten Geld würden wir uns irgendwo in der Gegend von Srebrna Góra eine Villa bauen und Gästezimmer an Touristen vermieten. Unser Sohn würde heiraten und uns bald darauf Enkelkinder schenken. Schließlich würde ich sterben, und meine Beerdigung würde komplett vom Militär bezahlt werden. Solche Träume hatte meine Freundin. Wenigstens war sie ehrlich. Ich war auch ehrlich, also ging es mit uns bald nach dem Abitur zu Ende. Ich ließ meinen Iro stehen und die Doc-Martens-Imitate an den Füßen. Und selbstverständlich versuchte ich, nicht einmal an die Militärschule zu denken, geschweige denn mich dort zu bewerben. Obwohl ich mein Abitur in der Tasche hatte, schrieb ich mich an einer Hochschule ein, die gar kein Abitur verlangte, und zwar an der Berufsfachhochschule für Nutztierbesamung in Henryków, dem ehemaligen Heinrichau. Genau, im selben Heinrichau, wo einst das sogenannte Heinrichauer Gründungsbuch entstand, in dem irgendein Mönch den ersten polnischen Satz niederschrieb. Dieser Satz lautet übersetzt in etwa: „Lass mich jetzt mahlen, und du ruh dich aus“. Ein Bauer namens Boguchwał hatte ihn auf dem Feld zu seiner Frau gesagt und der eifrige Schreiber hatte ihn sich notiert. Man könnte sich jetzt fragen, was dieser Mönch da zwischen den beiden Eheleuten auf dem Feld zu suchen hatte. Aus diesem Grund wird der erste polnische Satz von Sprachwissenschaftlern auch folgendermaßen interpretiert: „Lass mich jetzt pflügen, und du leg dich hin“. Ich denke mir, dass es in diesem Satz gar nicht um die Feldarbeit ging, sondern um etwas wesentlich Angenehmeres, und dass dieser Mönch dort aufgetaucht war, weil er gerne als Zweiter ranwollte. Aber lassen wir diese ersten polnischen Dreiecks geschichten. Als ich mich an der Fachhochschule einschrieb, wurde ich erneut nach meinem Wehrpass gefragt und erhielt einen weiteren Zurückstellungsvermerk. Ach ja, ich vergaß zu erwähnen, dass meine Freundin damals endgültig mit mir Schluss machte, weil sie begann, sich vor mir zu ekeln. In einem Anflug von Aufrichtigkeit hatte ich ihr erzählt, auf welche Weise Zuchteber um ihren Samen erleichtert wurden. Studieren wollte ich nicht. Ich wusste, dass ich nach dem Studium doch noch eingezogen werden würde,

als sogenannter „Fasan“. Im zweiten Studienjahr erhielt ich einen weiteren Zurückstellungsvermerk in meinen Wehrpass. Denselben Wehrpass verbrannte ich kurz darauf auf einer Party mit ein paar anderen Punks unter dem Einfluss einer Inhalation von Butapren-Kautschukkleber. Mein Kumpel Tomek verschwand nach dieser rituellen Verbrennung spurlos. Später erfuhr ich, dass er geheiratet hatte und nach Ziębice gezogen war, also beschloss ich, ihn zu besuchen. Ich erklomm das zweite Stockwerk eines in der Innenstadt gelegenen Wohnhauses und klingelte. In der Tür erschien sein Vater oder Schwiegervater, ich weiß es selbst nicht. – Guten Tag, ist Tomek da? – Tomek ist geschieden! – erwiderte er mir automatisch. Dieser kurze Dialog machte mir bewusst, dass in Polen nicht nur das Militär einen Hang zum Surrealismus hat, sondern auch Väter und Schwiegerväter. Ich beschloss, mich aus dem Staub zu machen. Nach dem Abschluss der Fachhochschule buchte ich eine Reise nach Wien, unterschrieb eine Loyalitätserklärung, dass ich nach Polen zurückkehren würde, und erhielt einen Reisepass. Im ersten Moment atmete ich erleichtert auf, doch gleich darauf erinnerte ich mich daran, dass man in Österreich deutsch spricht, und Deutsch war die dritte Sache, die ich im Leben am meisten fürchtete.

Die Ursachen dieser Furcht sind einfach zu erklären. Sie liegen, genau wie die eingelegten Füße, in meiner Kindheit. Herren-Mokassins, graue Staubmäntel, faltige Gesichter, grüne Filzhüte, Portemonnaies, die bis an die Grenzen des Anstands gefüllt waren, Fotoapparate und bunte Reisebusse mit eingebauten Toiletten. Jawohl, dies ist ein typisches Bild aus meiner Heimat zu Beginn der Siebzigerjahre, und auch ich bin auf diesem Bild zu sehen. Ich kämpfe, denn die anderen kapitulieren, verkaufen ihre Würde für eine Handvoll Bonbons. Nie werde ich diesen Tag vergessen. Ich und meine Kumpel sitzen vor der Kirche. Es ist still, der Himmel ist klar, die Sonne scheint, Vögel fliegen, da kommt plötzlich eine Reisegruppe um die Ecke. Alle in der oben beschriebenen Aufmachung. Sie brabbeln irgendetwas Unverständliches und machen uns Angst. Ich sehe schon vor mir, wie sie mich aus unserem Haus jagen und in die Berge treiben. Hinter diesen Bergen ist nichts als Leere, und ich stürze in den Abgrund. Doch anstelle von todbringenden Kugeln haben sie Süßigkeiten dabei und nehmen uns damit unter Beschuss. Meine Kumpel stürzen sich wie ausgehungerte Hunde auf die Bonbons. Die mit den Hüten knipsen Fotos. Meine Ehre gebietet mir einzuschreiten, und ich schreie sie an, sie sollen die Süßigkeiten liegen lassen, denn sie könnten vergiftet sein. Selbst das hilft nicht. Schließlich wemmt mir erst mein einer Kumpel eine und dann mein anderer, und es gibt richtig Ärger. Die Krautfresser knipsen noch ein paar Bilder und verschwinden dann. Aus der Ferne höre ich noch ihre furchtbare Sprache. Mit geschwellenem Gesicht liege ich im Bett. Ich schlafe ein und habe einen Albtraum. Es ist furchtbar, weil alle in dem Traum deutsch schreien. Sie fangen mich und stecken mich in die Gaskammer. Nur dass in dieser Kammer kein Zyklon B verwendet wird, sondern Furzgas. Ein riesiger, kollektiver deutscher Furz, hergestellt aus Bier, Würsten und Sauerkraut. Ich bemerke eine Öffnung in der Decke, und durch diese Öffnung steckt irgendein Feldweibel den Behälter mit diesem Furz. Das Gas strömt aus. Ich bekomme keine Luft mehr. Doch

da betritt ein Mann mit Gasmasken die Kammer, nimmt eine in polnischer Sprache geschriebene Nachricht aus seiner Jackentasche und gibt sie mir. Mit tränenden Augen lese ich: Noch kannst du umkehren, noch kannst du diesen Raum verlassen und in Ruhe und Wohlstand weiterleben. Du musst nur die Liste unterschreiben und deutsch lernen. Ich werde von einem dümmlichen Lachen geschüttelt. Ich zerreiße den Zettel und schmeiße ihn der Gestalt mit der Gasmasken ins Gesicht. Der verlässt den Raum und schließt die Metalltür hinter sich, während ich langsam an den Kohlgasen ersticke und mit letzter Kraft die polnische Hymne intonierte. Noch ist Polen nicht verloren ... Als ich aufwachte, schwor ich mir, dass ich alles tun würde, um nie im Leben Deutsch zu lernen, genau wie ich mir einst geschworen hatte, niemals eingelegte Schweinefüße anzurühren, und wie ich mir später schwören sollte, niemals zum Militär zu gehen. Begünstigt wurde mein Vorhaben noch durch einige andere Umstände. Einem aus unserer Stadt war es nämlich gelungen, in den Ferien nach Westdeutschland zu fahren, und wundersamerweise war er auch zurückgekehrt. Er hatte eine bunte Zeitung mitgebracht, auf deren erster Seite meine eingeschlagene Fresse zu sehen war und darunter der Kommentar: „Die Armut in Polen kennt keine Grenzen, selbst die Jüngsten werden jeglicher Menschlichkeit beraubt. Um in den Besitz eines Bonbons zu kommen, misshandeln diese armen Jugendlichen sogar ihren Freund.“ In mir brodelte es, und später brodelte es noch mehr, als meine Eltern mir nicht erlaubten, die Fachschule für Veterinärmedizin in Nysa zu besuchen, und mich auf das hiesige Gymnasium schickten. Und auf diesem Gymnasium wurde als zweite Fremdsprache (neben Russisch) Deutsch unterrichtet. Da schaltete ich natürlich auf stur. Ich war konsequent genug, dass mein Deutschlehrer Herr Theodor Mopp mich am Ende des Schuljahres durchfallen ließ und ich infolgedessen auf ein anderes Gymnasium wechseln durfte, eines mit Russisch und Englisch. Ich vermute, dass mein Studium der Nutztierbesamung eine Art Prothese, ein Ausgleich für den entgangenen Besuch der Fachschule für Tiermedizin war. Aber gut, ich schnorrte mir von meinen Eltern das Geld für die Wienreise, von der ich selbstverständlich nicht zurückkehren wollte, wohin auch? Geradewegs zum Militär? Ich sitze also im Bus und wir nähern uns dem Grenzübergang bei Boboszów. Die Grenze. Erst kommen polnische Grenzer hereingestürzt, dann tschechische, und schließlich die Zöllner, und machen sich über unser Gepäck her. Sie scheuchen uns aus dem Bus, fordern uns auf, unsere Taschen auf die Bänke zu legen und nehmen uns die Beichte ab. Dann beschlagnahmen sie den Großteil des Gepäcks und lassen uns wieder einsteigen. Nur mir glauben sie nicht, denn ich habe nichts als eine kleine Reisetasche mit persönlichen Gegenständen dabei. – Leibvisitation! – befiehlt einer der Zöllner. Sie fordern mich auf, die Hose auszuziehen, wühlen in meinem Hintern herum und leuchten mit einer Taschenlampe hinein, aber da ist nichts. Wir fahren weiter. Jetzt sind wir in der Tschechoslowakei, einem traurigen und sternengeschmückten Land, dessen Einwohner mit hängenden Köpfen und hängenden Hosen herumlaufen. Wir passieren Svitavy und fahren weiter in Richtung Brno. Der Reiseleiter quasselt vorne irgendetwas über Brno, aber keiner hört zu, weil jeder überlegt, wie er das bisschen, was ihm noch geblieben ist, über die nächste

Grenze bekommen soll. Wir sind bereits kurz vor Mikulov. Die nächste Grenze. Der Eiserner Vorhang. Tschechen kommen in den Bus. Das Gleiche wie in Boboszów. Dann fahren wir durch einen minenbewehrten Streifen Niemandland. Schließlich erblicken wir Stacheldraht und ein Schild mit der Aufschrift „Republik Österreich“. Die österreichischen Grenzer prüfen unsere Papiere, die Zöllner kommen mit Spiegeln an langen Stangen, um den Boden unseres Reisebusses zu untersuchen. Sie schaffen eine Atmosphäre, die uns demonstrieren soll, dass wir von Wien nichts Gutes zu erwarten haben. Aber schließlich lassen sie uns durch. Wir sind jetzt in der großen, weiten Welt. Die Straße ist gerade, der Asphalt eben. Auf dem Parkplatz in Wien erklärt der Reiseführer durch das knisternde Mikrofon: „Jenen von Ihnen, die vorhaben, nach Polen zurückzukehren, schlage ich vor, dass wir uns am Sonntag um elf hier vor dem Reisebus treffen. Und jenen von Ihnen, die ihren Aufenthalt gerne verlängern möchten, wünsche ich viel Erfolg und mache Sie darauf aufmerksam, dass die österreichische Caritas morgens und abends an allen größeren Bahnhöfen der Stadt kostenlose Mahlzeiten an Obdachlose verteilt“.

So wanderte ich also drei Monate ziellos umher, nutzte das kostenlose Angebot der Caritas, übernachtete, wo es gerade passte, verkehrte, mit wem es gerade passte, und dachte sogar schon daran, nach Polen zurückzukehren, nur dass ich kein Geld hatte. Es wurde immer kälter und immer hoffnungsloser. Doch im Dezember kehrte die Hoffnung zurück, und zwar in Person von General Jaruzelski, der zu Hause das Kriegsrecht verhängt hatte. Also lief es darauf hinaus, dass ich doch nicht zurückkehrte. Ich meldete mich bei der Polizei und die schickten mich weiter ins Lager. Im Lager war es warm, man konnte Polnisch reden und ein Bad nehmen. Kleidung und Essen bekam man auch. Nur dass uns diese Österreicher gerne wieder loswerden wollten. Zum Beispiel in Richtung Südafrika oder Australien. Einige von uns hatten nichts dagegen, Jagd auf Neger oder Kängurus zu machen, aber ich sagte, ich würde lieber in Österreich bleiben, weil ich Angst vor der langen Reise hatte und weil ich alleinstehend war. Die mit den Kängurus hatten ihre Familien dabei. Für sie war es einfacher, wegzufahren und irgendwo anders von vorn zu beginnen. Weil ich nicht locker ließ und gar nicht daran dachte, so weit zu reisen, kam man meinem Wunsch entgegen, aber als Gegenleistung musste ich einen Deutsch-Kurs besuchen. Der Albtraum kehrte zurück. Zyklon B und so weiter. Beim Einstufungstest stellte sich heraus, dass Herr Mopp doch irgendwelche Spuren in meinem Gehirn hinterlassen hatte, denn ich wurde in den Kurs für mittlere Fortgeschrittene eingestuft. Bis heute hege ich jedoch den Verdacht, dass die Prüfungskommission und die Lagerleitung die Ergebnisse geschönt hatten. Ich besuchte den Kursus gemeinsam mit einem Araber, einem Schwarzen und einem Russen, mit dem ich mich einigermaßen verständigen konnte. Der Kursus wurde von einer bemerkenswert abstoßenden Deutschlehrerin aus Tirol geleitet, die die deutschen Begriffe mit einem ebenso bemerkenswert abstoßenden Akzent aussprach. Überhaupt ekelte sie sich vor uns, und wir ekelten uns vor ihr. Fremde. Diese Lehrerin, an deren Vor- und Nachnamen ich mich beim besten Willen nicht erinnern kann, hatte eigentümliche Unterrichtsmethoden. Wenn einer von uns eine unzureichende oder über-

haupt keine Antwort gab, musste er aufstehen und stehen bleiben. Am meisten verschissen hatte unser schwarzer Kollege, nicht nur wegen seiner Hautfarbe, sondern vor allem wegen seiner scharfsinnigen Antworten. Er machte nie seine Hausaufgaben, aber wenn ihn die Lehrerin fragte, warum nicht, dann antwortete er, er habe seine Hausaufgaben nicht gemacht, weil er gestern gar nicht zu Hause gewesen sei. Oder ganz einfach, dass er zurzeit gar kein Haus besäße und erst eines kaufen müsse, um darin seine Hausaufgaben zu machen. Unsere Lehrerin wurde fuchsteufelswild, und der Schwarze musste fast jeden Tag bis zum Ende der Stunde stehen bleiben. Ich hatte meine Rebellion aufgegeben, aber ich beruhigte mich damit, dass dieses österreichische Deutsch ein völlig anderes Deutsch sei als das deutsche Deutsch, und ich meine Ideale somit nicht vollständig verkauft hatte. Außerdem hatte ich das Gefühl, dass sich aus diesem Land etwas herausholen ließe und sich das dargebrachte Opfer später einmal auszahlen würde. Zum Ende des Kurses fand ein Examen statt, das ich wundersamerweise als Einziger bestand. Ich erhielt eine Arbeits- und Aufenthaltserlaubnis sowie eine Sozialwohnung. Allerdings durfte ich das Land nicht verlassen. Mein polnischer Reisepass hatte ausgedient. Bei meiner Rückkehr würde mich entweder das Militär oder das Kittchen erwarten. Und ich hatte doch irgendwie Sehnsucht nach Polen bekommen. Neben einem Sprachdiplom mit dem säuberlich geschriebenen Eintrag „Genügend“ erhielt ich ein schriftliches Gutachten von einigen überaus wichtigen Experten für überaus wichtige internationale Fragen. In diesem Dokument wurde mir bestätigt, dass ich angesichts meiner Herkunft, der von mir an den Tag gelegten Sprachkenntnisse sowie meines Vor- und Nachnamens, denn ich heiße Robert Kant, gute Chancen hätte, mich vollständig zu integrieren und die österreichische Staatsbürgerschaft zu erlangen. Die Staatsbürgerschaft bedeutete, dass ich einen Pass bekommen würde. Und ein Pass bedeutete, dass ich nach Polen ein- und auch wieder ausreisen dürfte. Also freute ich mich sehr und bewarb mich, sobald ich die erforderliche Zeit in Öster-

reich gearbeitet und die erforderlichen Dokumente beschafft hatte, um die österreichische Staatsbürgerschaft. Diese wurde mir schließlich auf dem normalen Dienstweg erteilt. Ich kam mir vor wie jemand Wichtiges, jemand, der mit beiden Beinen im Leben stand, der es trotz aller Widrigkeiten des Schicksals geschafft hatte, seine Jugendträume zu verwirklichen oder zumindest fast zu verwirklichen. Ich schlenderte durch Wien, denn jetzt war es meins, ich hatte es erobert. Ich zog durch die Kneipen, und wenn ich irgendeinen durstigen Polen sah, gab ich ihm sofort ein paar Bier aus, weil ich wollte, dass er sich wohlfühlte, dass er sich besser fühlte, so wie ich, ein freier Bürger eines freien Landes. Ich öffnete meinen Briefkasten und entnahm ihm Glückwünsche aus Polen und eines Tages auch ein amtliches Schreiben. Mit brennenden Wangen begann ich zu lesen, denn ich war sicher, man wolle mir mitteilen, dass mein Reisepass bereits auf mich wartete. Überschwänglich kämpfte ich mich durch die ersten Zeilen, las von Wort zu Wort langsam und hörte schließlich ganz auf zu lesen, denn der Brief war vom österreichischen Militär, das mir den Termin für meine Musterung mitteilte. – Verdamm! – schrie ich und begann zu weinen. Ich lief aus dem Haus und rannte los, als ginge es um mein Leben. Ich rannte durch mehrere benachbarte Stadtteile, bis ich schließlich vor irgendeinem Schaufenster anhielt und einen Stein vom Bürgersteig hob. Dann umwickelte ich den Stein mit meinem Musterungsbescheid und schleuderte ihn voller Wut und Verzweiflung gegen das Schaufenster. Die Scheibe zerbrach. Ich stand reglos da und wartete darauf, dass die Polizei mich abholen würde. Doch niemand kam. Aus dem Laden trat ein dicker Mann in einem weißen Kittel. In den Händen hielt er eine große Platte, und auf dieser Platte schwabbelten eingelegte Schweinefüße, und zwischen ihnen lag mein Stein.

[Übersetzung: Heinz Rosenau]

► Найбільше в житті я боявся трьох речей: холодно, армії та німецької мови. Пам'ятаю гостину в нашому помешканні й нетерплячі голоси гостей: «Мариліо! Ну що там з тими ногами на холодець! Дай щось кинути на зуб!». Я думав, що батьки розчленували когось із нашого будинку, варять на ньому холодець і їстимуть. Я аж спітнів зі страху і натягнув ковдру на вуха. За мить почулося голосне «ооооо!». З ідальні долинали вигуки захоплення: «Мариліо, вдався тобі холодець! Просто чудовий! Ну, пані та панове, на здоров'я! Вип'ємо під здохле м'ясце!». Потім настала тиша. Раптова й страшна. Тепер я знаю, що вона спричинена колективним вдихом після тосту. А тоді думав, що всі замовкли з поваги до небіжчика. Тоді знов стало голосно, і знову тиша. І так раз по раз. Від страху я аж заснув. Наступного дня я з величезною підозрою спостерігав за батьками. Коли вони вийшли на балкон, я попрямував до кухні й спробував відшукати в смітнику рештки вбитого сусіда.

Я подумав, що оскільки Трояновський завжди нервував батьків, то, певно, його ноги вони й з'їли. Я навіть приготував паперову торбину, щоб запакувати в неї знайдений череп, вислизнути з помешкання відвідати міліціонера Ковальчика з доказом злочину. Ковальчик теж був непростою штучкою. Принаймні раз на тиждень він лупцював свою жінку Аліну. Вона лялася на весь будинок, а він верещав: «Я зараз роздеру тобі той величезний зад, суко!» Але на міліціонера не було ради, його просто всі боялися. Аліна приходила до моїх батьків. Усміхнена, з підбитими очима, вона сідала пити каву і розповідала, що за вар'ят її чоловік. Якось він запахав пістолет їй у зад і натиснув на курок. Її облило потом від страху, що це вже кінець, що зараз куля вилетить їй крізь голову разом із мозком. «Але мій старий не зарядив пістолет. Хі-хі-хі», – сміялась вона, а мої батьки пополотніли. Я не знайшов черепа Трояновського, зате зустрів сусіда на сходах, і той

уперше у житті не почув від мене «добридень». Я стояв перед ним і міряв його очима від пояса донизу. Він був неушкоджений. Коли я подорослішав і дізнався про багато речей, а деякі пережив на власній шкурі, то збагнув, що Ковальчик та Аліна були напрочуд вдалою та щасливою садо-мазо парою. А що з холодцем? Фахово це, мабуть, зветься дитячою травмою. Бо коли я сиджу в гостях за горілкою, а господарі подають на закуску холодець, то я, попри добірне товариство і запевнення господині, що свинина перевірена, з найкращої бійні й від найкращого різника, що вона дала часнику, горошку, моркви, що холодець натуральний, тобто на наварі з кісток, я чемно ухилився і п'ю горілку, закушуючи хлібом. Друга травма – то військо. Армії я не люблю, особливо армії примусового призову. Бо якщо хтось має садистські нахили і любить чи мусить постріляти в іншу людину, то професійна армія ще має якийсь сенс. Отож мене, як і кожного вісімнадцятирічного хлопця, викликали до призовної комісії. Комісія засідала в місті Дзерджонів Силезький. На ринку. Я не хотів іти, та довелося, бо якби я на це забив, то заплатив би штраф, мене викликали би до колегії, і я все одно потім мусив би з'явитися. Приемним аспектом цього цирку було звільнення зі школи, а якщо призовник гонорово здавав кров, то звільняли на два дні, давали кілька плиток гіркого шоколаду і купони на обід у барі «Зодіак». Чекаючи у приміщенні для рекрутів, я зауважив між ними кілька горбатих. І відчув до цієї інституції ще більшу відразу, бо збагнув, що ця армія знову не захистить нас від німців. А коли ті самі горбані виходили після засідання комісії з категорією «А-1», я зрозумів, що така армія не лише не вбереже нас від повторного нападу німців, а не зможе придушити навіть бунт чеської меншини в кількості сорока п'яти осіб у селі Левін Клодзький та в околицях Кудови-Здрую. З чистої цікавості я запитав одного горбаня, чого йому з його каліцтвом, з такою помітною вадою, присвоїли найвищу категорію. Він пояснив, що в країні демографічна криза і Польщі потрібен кожен солдат. Навіть горбатий. Ба більше, ті горбаті дуже пишалися своєю категорією, за жодні гроші не бажали відмовлятися від рішення комісії і просто чекали на квиток до війська. Підозрюю, що Польська Народна Армія була єдиною організацією, яка в ті часи зуміла оцінити горбатих. З огляду на навчання я отримав відтермінування. Як і категорію «А-1». Я скористався нагодою здати кров, пообідати в барі «Зодіак», а шоколад віддав своїй дівчині, яка дуже мною пишалася. Я забув сказати, що того дня присвоєння інших категорій не було передбачено. Ті, хто закінчив профучилище, отримали квитки до військових частин. Їхні наречені плакали, бо хлопці від'їжджали в протилежний кінець Польщі. Потім одразу ж вагітніли від інших. Найгірше було, коли хлопець із нашого містечка отримував скерування до морського флоту. Це був повний облом. По-перше, він мусив відслужити три роки, тоді як інші служили два. По-друге, наші підводні човни тонули самі. По-третє, колишній моряк, якщо він виживав, повертався весь у татуваннях. По-четверте, якщо до армії він не

пив, то на флоті ставав алкоголіком. Ну, і по-п'яте, моряки носили штани без ширінки. Хлопцям із флоту заздрили лише з однієї причини. У них були гарні мундири. Але й ті не могли вберегти їх від бруду на борту. Я присягнув собі, що ніколи не потраплю до цієї структури і сховав військовий квиток так далеко, що забув про його існування на тривалий час. У ліцеї я грав у панк-групі й співав анархістських пісень. Я мав усе в носі, бо нашим головним словом було слово БУНТ. Із дівчиною якимось не склалося. Вона чомусь любила хлопців у формі й мріяла, що після школи я зголю свого синього ірокеза, зніму гади, вузькі джинси і куртку хакі, припиню співати погані пісні, перестану ображати Польщу і стану прагматичною людиною. Вступлю до Вищої академії інтендантських військ у Познані і через чотири роки стану професійним злодюжкою у званні підпоручика. Ще мріяла, що нам, можливо, вдасться народити дитинку, і через три роки нам дадуть від армії квартиру. А коли я вже стану підпоручиком, то швидко просуватимусь по службі. Злодюжка з мене буде тямовитий і спритний, так що я, можливо, навіть вислужусь на полковника. Потім ще трохи попрацюю і раніше вийду на пенсію. А за вкрадені гроші ми збудуємо собі віллу десь біля Сребрної Ґури і винайматимемо туристам кімнати. Наш син одружиться, у нас будуть онуки. Зрештою, я помру, і похорон буде безкоштовним, бо армія за все заплатить. Ось про що мріяла моя дівчина. Вона була щирою. Я теж, тому в нас почало все йти не так, шойно я склав випускні іспити. Я не зголив ірокеза. Не зняв з ніг палених «Докторів Мартенсів». І звісно, навіть не намагався думати, не те що просити, про вступ до військової академії. Я, хоч і мав у кишені папірець про середню освіту, вступив до закладу, в якому атестат був непотрібний, себто до Технікуму штучного запліднення тварин у Генрикові Силезькому. Так-так, у тому самому Генрикові, де з'явилася Генриковська книга, в якій якийсь монах написав перше речення польською мовою. Звучало воно приблизно так: «*daј aс ja robruszam a ty roszywaј*». Його промовив Боґухвал на полі до своєї жінки, а старанний писар занотував. Отож це старопольське речення мовознавці переклали так: «дай, я тепер поору, а ти відпочинь». Я думаю, що в цьому реченні ішлося зовсім не про орання, а про речі значно приємніші, і той монах власне тому там і з'явився, що хотів чогось зовсім іншого. Але даймо спокій першим старопольським любовним трикутникам. Коли я вступив до технікуму, мене теж запитали про військовий квиток і поставили відтермінування. Ага, забув сказати, що ми з моєю дівчиною остаточно розійшлися, бо вона почала мною гидувати. У приступі щирості я розповів їй, яким способом мені вдається отримувати сім'я від кнурів-плідників. Вступати до інституту я не хотів. Я знав, що коли його закінчу, то й так муситиму йти до війська в ролі так званого фазана. На другому році навчання мені поставили наступну печатку у квиток. А незабаром під впливом бутапренових інгаляцій ми разом з іншими панками спалили наші військові квитки. Після цього ритуального спалення документа зник Томек. Потім я довідався, що він одружився і оселився в Зембіцах Силезьких, тож я вирішив його відвідати.

Я вдерся на третій поверх будинку в самому центрі міста і подзвонив. Мені відчинив його батько чи тесть, не знаю.
– Добридень, а Томек є?
– Томек розлучився! – відповів він ніби автоматично. Після цього короткого діалогу я збагнув, що в цій країні сюрреалістичними є не лише армія, а й батьки та тесті. Я вирішив звідси чухати. Закінчивши школу, я придбав путівку до Відня, підписав у поліції папір про те, що повернуся, і мені видали паспорт. Спершу я з полегшенням зітхнув, а тоді до мене дійшло, що в Австрії говорять німецькою, а німецька мова була третьою річчю в житті, якої я найбільше боявся. Причини цього страху прості й сягають ще в дитинство, так само, як ті ноги з холодцю. Мока-

сини, старі порохівники, зморщені обличчя, зелені фетрові капелюшки, напхані до меж пристойності гаманці, фотоапарати та кольорові автобуси з туалетом посередині. Це типова картинка з моїх країв початку сімдесятих, і я на цій картинці теж є. Я борюся, бо інші здаються. Продають гідність за жменю цукерок. Ніколи не забуду того дня. Я сиджу з друзями під костелом. Тиша, чисте небо, сонце, літають пташки, і тут із-за рогу – екскурсія. Люди вбрані у вищеописаний спосіб. Щось шваркочуть і сповнюють нас ляком. Я вже бачу, як мене виганяють з будинку і женуть у гори. А за горами немає нічого, лише порожнеча, і я падаю в прірву. Але замість смертоносних куль у них цукерки, і вони починають у нас ними стріляти. Мої друзі, як голодні

© Katja Hoffmann 01/11/27 St. Petersburg: Kasaner Kathedrale



пси, кидаються на землю. Ті, в капелюшках, клацають фотоапаратом. Із почуття гідності я рвуся вперед і кричу, щоб вони кидали ті цукерки, вони можуть бути отруєні. Не допомагає навіть це. Врешті-решт я отримую по пиці раз, потім ще раз, і зчиняється безлад. Гебельсівці роблять ще кілька знімків і зникають. Десь далеко від мене чути цю жажливу мову. Я лежу в ліжку з розбитим обличчям, яке добре змісили мої друзяки. Засинаю, і мені сниться кошмар. Це жахливо, бо всі дійові особи кричать лише німецькою. Мене хапають і кидають у газову камеру. Але в цій камері використовують не Циклон-Б, а пердюхи. Це такий великий колективний німецький пук після пива, ковбасок та квашеної капусти. Я бачу отвір у стелі, і в цей отвір якийсь фельдфебель запирає банку з цим пуком. Газ розповсюджується. Я починаю задихатися. Тут до камери заходить хлопець у протигазі і витягає з кишені аркуш, на якому написано щось польською. Подає мені. Я кризь слюзи читаю. «Все ще можна повернути, ти можеш вийти з цього приміщення й жити, жити спокійно та в достатку. Лише мусиш тут підписатись і вивчити німецьку». Мене охоплює дурнуватий сміх. Я розриваю аркуш і кидаю його в чоловіка у протигазі. Той виходить і зачинає за собою металеві двері, а я, задихаючись капустяними пердюхами, намагаюся заспівати державний гімн. «Єще Польска не згінела...». Прокинувшись, я пообіцяв собі, що зроблю в житті все для того, щоб не навчитися німецької мови, так само, як колись пообіцяв, що не торкнуся холодно, і як згодом пообіцяв собі не йти до армії. На це рішення вплинуло ще кілька фактів. Отже, комусь із нашого містечка вдалося поїхати на канікули до Західної Німеччини, і він, на диво, повернувся. Той хтось привіз із собою газету, в якій на першій сторінці була моя побита пика, а внизу було додано такий коментар: «Злидні в Польщі переходять усі межі, вони позбавляють решток людяності навіть підлітків. Несчасні молоді люди зроблять усе, щоб отримати цукерка, вони навіть вдаються до жорстокого побиття свого друга». В середині у мене все закипіло, а потім мало не вибухнуло, коли мої батьки не погодилися, щоб після восьмого класу я пішов до ветеринарного технікуму в Нисі, а наказали мені вступати до нашого ліцею. У тому ліцеї другою іноземною мовою, крім російської, була німецька. Тоді я вже геть затався і був настільки послідовним, що професор Теодор Моп мусив завалити мене на іспиті в кінці року, і завдяки цьому я міг іти деінде, і пішов до іншого ліцею, де була російська й англійська. Гадаю, що той мій технікум зі штучного запліднення тварин був своєрідним протезом, відшкодуванням за ветеринарний інститут. Потім я виканючив у батьків гроші на екскурсію до Відня, звідки, ясна річ, не планував повертатися, та й куди? Просто до армії? Я сиджу в автобусі, а ми наближаємося до кордону у Бобошові. Кордон. Спершу заходять польські прикордонники, потім чеські, наостанок митники і обшукують усіх. Наказують нам вийти, покласти сумки на лавки і сповідають. Забирають більшу частину товару і кажуть повертатися до автобуса. Не довіряють лише мені, бо в мене невеличка торба з особистими речами. «На особистий контроль!» –

чую розпорядження одного з митників. Вони наказують мені спустити штани, обдивляються зад, світять ліхтарем, а там нічого немає. Їдемо далі. Ми вже у Чехословаччині, сумній країні, прикрашеній зірками, де люди ходять із низько спущеними головами та штанами. Минаємо Світави і їдемо в напрямку до Брна. Гід щось там меле про Брно, та ніхто його не слухає, бо кожен думає, як йому перевезти все, що треба сплавити. За мить – Мікулов. Наступний кордон. Залізна завіса. Заходять чехи. Те саме, що й у Бобошові. Їдемо смугою нічєї землі, обкладеної мінами. Бачимо колючий дріт і напис «Республіка Австрія». Австрійські прикордонники перевіряють документи, митники під'їжджають зі спеціальними дзеркальцями, щоб старанно перевірити наш автобус знизу. Вони навмисне створюють таку атмосферу, щоб довести нам, що у Відні нас не чекає нічого доброго. Та врешті-решт відпускають. Ми потрапляємо до великого міста. Дороги порожні, асфальт рівний. У Відні на паркінгу гід каже у тріскучий мікрофон: «тим, хто має намір повернутися, я пропоную зустрітись у неділю об одинадцятій на цьому ж місці біля автобуса. А тим, хто хоче продовжити перебування, зичу успіху і повідомляю, що австрійський Карітас безкоштовно розвозить теплу їжу для бездомних вранці та ввечері й роздає її біля всіх вокзалів міста». Так я безцільно волочився три місяці, користуючись із дармової допомоги Карітасу, спав, де випаде, зв'язувався з ким попало, і вже навіть думав про повернення, але грошей не було, і ставало все холодніше, все безнадійніше. І ось у грудні з'явилася надія в особі генерала Ярузельського, який запровадив воєнний стан. Отож, усе складалося так, щоб я не повернувся. Я зголосився до поліції, і мене скерували до табору. Там було тепло, можна було поговорити польською і помитися. Одяг та їжу теж давали. Але ті австрійці хотіли, щоб ми переїхали кудись далі, наприклад, до ПАР чи Австралії. Частина з нас погодилася полювати на негрів чи кенгуру, але я сказав, що хочу залишитися в Австрії, бо боюся такої далекої подорожі, до того ж я був сам. Ті з кенгуру поїхали цілими сім'ями. Їм було легше виїхати і почати життя в іншій країні. Та оскільки я вперся і не мріяв про далекі краї, вони якось пристали на моє прохання, але я мусив піти на курси німецької. Кошмар повернувся. Циклон-Б і так далі. Я склав вступні тести і виявилось, що професор Теодор Моп щось-таки залишив у моїй голові, бо мене зарахували до групи середнього рівня. Проте я досі підозрюю екзаменаторів у завищенні результатів. На курсах я сидів у бараку разом з арабом, негром та росіянином, з яким хоч якось міг порозумітися. Курси вела надзвичайно огидна вчителька з Тироля, яка вимовляла німецькі слова з таким самим огидним акцентом. Узагалі-то вона нас бридилася, а ми бридились її. Чужі. Отже, у вчительки, імені й прізвища якої я не пригадую, були особливі методи навчання. Коли хтось із нас не відповідав достатньо добре або взагалі не відповідав, він мусив встати і стояти. Найбільше перепадало колезі-негрові, не лише через колір шкіри, а й через блискучі відповіді. Він ніколи не робив домашніх завдань, а коли вчителька питала, чому, він відказував, що не має

домашнього завдання, бо його не було вчора вдома. Або що в нього зараз просто немає дому, і щоб зробити домашнє завдання, йому спершу треба цей дім купити. Вчителька лютувала, і негр майже щодня мусив стояти до кінця заняття. Так, я дозволив собі пливти за течією, але виправдовувався тим, що австрійська німецька – це зовсім не те, що німецька німецька і що я не продаю себе з тельбухами. Крім того, я відчув, що можу щось витягнути з цієї країни, що принесена жертва дасть плоди. Наприкінці курсу був іспит, і, на диво, я був єдиним, хто його склав. Я отримав дозвіл на роботу і проживання, а також «кавалерку» з соціальної черги. Проте я не міг виїжджати. Мій польський паспорт був недійсний. Після повернення на мене чекала армія або в'язниця. А я якось затужив за Польщею. Крім свідоцтва з чітко виведеним «задовільно» з мови, я отримав письмові рекомендації дуже поважних експертів з дуже поважних міжнародних проблем. У документі було написано, що, беручи до уваги моє походження, мої здібності до мов, а також ім'я та прізвище, а звати мене Роберт Кант, я маю високі шанси на отримання громадянства та цілковиту інтеграцію. Громадянство означало паспорт. Паспорт означав вільний в'їзд і виїзд до Польщі. Тому я дуже зрадив, коли, відпрацювавши в Австрії певну кількість часу і зібравши відповідні документи, подав клопотання про надання мені громадянства. Офіційно громадянство мені надали. Я відчув себе кимось важливим, кимось, хто влаштувався в житті, й кому вдалося – всупереч ударам долі – реалізувати чи майже реалізувати те, що пообіцяв собі замолоду. Я ходив цим Віднем,

тепер він був моїм, я завоював його. Я ходив по барах і, побачивши якось ще не зовсім п'яного поляка, ставив йому кілька пив, я хотів, щоб він почувався добре, краще, так само, як я, громадянин вільної країни. Я відкривав свою поштову скриньку і виймав звідти вітальні листівки з Польщі, і от одного дня видобув із неї службового листа. Поки читав, мої щоки палали: я був певен, що це повідомлення про те, що я можу забрати свій паспорт. Спершу я гарячково перестрибував через рядки, потім став читати повільніше, аж доки зовсім не спинився, бо то був лист з австрійської армії, яка викликала мене до призовної комісії. «Холера!» – вигукнув я і заплакав. Вискочив зі свого будинку й почав бігти як обпечений. Пробігши кілька сусідніх кварталів, я спинився перед якоюсь вітриною і підняв із тротуару камінь. Потім загорнув цей камінь у лист. Із люттю та відчаєм жбурнув ним у шибку. Шибка розбилася, а я стояв непорушно, чекаючи, поки мене забере поліція. Та ніхто не під'їжджав. Із магазину вийшов якийсь товстун у білому халаті. В руках він тримав тарілку, на тарілці дриготів холодець, а в ньому лежав мій камінь.

¹ Фазанами в польській армії називають солдат, які починають службу після вишу. З огляду на вік та досвід вони мають особливий статус в армії, їх там не люблять. Назва походить від великої кількості «макаронів» на погонах. (прим. перекладача).

[Переклад: Христина Стельмах]

Hubert Klimko-Dobrzaniecki (1967, Polska) – pisarz. Studiował filozofię, teologię i filologię islandzką. Wydał dwa tomiki poezji po islandzku. Swoje opowiadania publikował w takich czasopismach jak „Studium”, „Czas Kultury”, „Twórczość”, „Lampa” i „Portret”. W 2003 ukazał się jego zbiór opowiadań *Stacja Bielawa Zachodnia* (w 2007 nowe wydanie pod nazwą *Wariat*). Rozgłos przyniosła mu quasi-powieść, składająca się z dwóch odrębnych nowel *Dom Róży* i *Kryśuvík*, która otrzymała nominację do Nagrody literackiej Nike. Jego ostatnia powieść *Rzeczy pierwsze* ukazała się w 2009 roku nakładem wydawnictwa Znak. Autor był też nominowany do Nagrody Angelus i do Paszportów Polityki w 2007 roku. Jego twórczość została przetłumaczona na francuski, włoski, serbski i bułgarski. Autor przez dzie-sięć lat mieszkał na Islandii. Obecnie mieszka w Wiedniu.

Hubert Klimko-Dobrzaniecki (1967, Polen) – Schriftsteller. Er studierte Philosophie, Theologie und Islandistik. Herausgeber zweier Poesiebände auf Isländisch. Er veröffentlichte seine Erzählungen in den Zeitschriften „Studium”, „Czas Kultury”, „Twórczość”, „Lampa” und „Portret”. Im Jahr 2003 erschien sein Erzählband *Haltestelle Bielawa West* (neueste Ausgabe 2007 unter dem Titel *Der Verrückte*). Berühmtheit erlangte er mit einer Quasi-Erzählung, bestehend aus

den beiden separaten Novellen *Haus der Rose* und *Kryśuvík*, die für den Literaturpreis Nike nominiert wurden. Sein Schaffen wurde ins Französische, Italienische, Serbische und Bulgarische übersetzt. Der Autor lebte zehn Jahre in Island, gegenwärtig jedoch in Wien .

Губерт Клімко-Добжанецький (1967, Польща) – письменник. Вивчав філософію, теологію та ісландську філологію. Видав дві збірки віршів ісландською мовою, публікував оповідання у журналах: „Студіум”, „Час культури”, „Творчість”, „Лямпя” і „Портрет”. У 2003-му опублікував збірку оповідань *Стація Белява Заходня* (перевидану у 2007 році під назвою Вар'ят). Славу здобув завдяки квазі-романові, до якого ввійшли дві окремі новели *Дім троянди* та *Крисувік*. Твір висувався на літературну премію Ніке. Його останній роман *Перші речі* вийшов 2009 року у видавництві Знам. Його кандидатуру висунули на отримання Літературної премії центральної Європи „Ангелус”, а у 2007-му році – на отримання премії паспорт журналу „Політика”. Його творчість перекладена французькою, італійською, сербською та болгарською мовами. Протягом десяти років жив в Ісландії. Нині мешкає в Австрії.



► Proszę księdza, o moim życiu to ktoś powinien księżkę napisać, i nawet jednego słowa nie musiałyby dokładać, bo tego to by i na dwie książki wystarczyło. Na cienką komedię i horror w pięciu tomach. Zaczynałyby się tak:
Pan Krawczyk założył pani Krawczyk sprawę o mięso. Zrobił ksiądz minę jak ci policjanci na komisariacie. Najpierw też się dziwili, a potem to już tylko wybuchali śmiechem na mój widok.
Wszystkich spraw miałam, w sumie, cztery: o mięso, o kota, o złoto i o trzecie. Mogę księdzu opowiedzieć. Ja wszystkim o tym opowiadałam, bo jakbym tak latami dusiła w sobie, jak niektóre kobiety, to już by pewnie moje dziecko miało matkę w Tworkach.
Proszę, niech się ksiądz częstuje. Ale może ja jednak przyniosę coś porządnego do jedzenia, a nie tak tylko ciastka po całym dniu?
Strawa duchowa strawą duchową, ale przecież jeść trzeba. Nie, nie, to żaden kłopot, ja zawsze mam coś w lodówce. Marek... to znaczy znajomi mówią, że nieźle gotuję. Może nie chcą krytykować. Tylko, że jakby im nie smakowało, to by pewnie raz pochwalili i więcej nie przyszli.
Ten gnojek jadł, aż mu się uszy trzęsły, ale potem w mailach i na gadu gadu to nie pisał tym różnym, że żona umie gotować, tylko, że ma grubą dupę. Przepraszam księdza, ale tak było. Wiem, bo kiedyś zapomniał się wylogować i przez cały wieczór czytałam sobie do poduszki, jak bardzo mnie kocha.
Zapomniałam zapytać: czy ksiądz słodzi?
Boże, kto by pomyślał, że dzień rozwodu będzie najszcześniejszym dniem w moim życiu. Najpierw myślałam, że to będzie dzień naszego ślubu. Potem że ten, w którym urodziła się Agnieszka. A teraz proszę, co się okazuje. A wie ksiądz, co jest w tym wszystkim najlepsze? Ten gnojek jeszcze w ogóle nie wie, że ma rozwód. Nie stawał się na rozprawy, przysyłał lewe zwolnienia, no to w końcu, po trzech latach, sędzia miała dosyć i wyrok zapadł zaoc-

nie. Z orzeczeniem o jego całkowitej winie.
Przepraszam, wydawało mi się, że mnie Agnieszka woła. Już daję cukiernicę.
Mnie to jedno jeszcze trzyma przy życiu – że mam dziecko. Ja wiem, proszę księdza, że to grzech tak myśleć, ale w którymś momencie tak mi obrzydziło życie, tymi groźbami, tymi szantażami, że gdyby nie Agnieszka, to na pewno nie miałabym siły, żeby walczyć.
Własne dziecko, to własne dziecko.
A mąż to jest, tak naprawdę, zawsze obcy człowiek. Niech go sobie ta... weźmie i idzie w cholerę. I niech się nie dziwi, jak ją stłucze, a potem będzie szantażował, żeby wycofała oskarżenie. Albo żeby chociaż nie zeznała, bo jak już jest obdukcja i oskarżenie z urzędu, to i tak nie można go wycofać.
Zawsze myślałam, że zdrada to jest najgorsze, co mi się może przytrafić, ale teraz wiem, że w porównaniu z resztą to jest po prostu drobiazg.
Dro-biaż-dżek.
Po tym, jak ich nakryłam w moim własnym łóżku myślałam, że zwymiotuję. Zabrałam Agniesię i od razu pojechaliśmy do moich rodziców. No, ale na drugi dzień musiałam wrócić, żeby wziąć trochę rzeczy. Przecież myśmy nawet nie miały się w co się ubrać.
Poszłam z koleżanką, żeby była świadkiem, jakby co. Przychodzimy, a tam już zamki wymienione.
Wkładam klucz, kręcę, raz, drugi – nic.
Ale słyszę, że ktoś podchodzi na palcach do drzwi i głos jakiegoś dzieciaka. O nie, myślę sobie, nie będą się cudze bachory bawiły zabawkami mojej córki. Niech się ich nawet nie waży dotykać. Precz z łapami od mojej pościeli, od moich ręczników, od moich szklanek, od wszystkiego!
Następnym razem przyjechałam z rodzicami, kolegą, policją i aktem własności. Akt własności i policja muszą być, nie może ksiądz wejść, ot tak sobie, do własnego mieszkania, bo mogliby księdza oskarżyć o włamanie.
Ślusarz od razu wziął się do roboty, potem też poszło bardzo sprawnie. Ja pakowałam rzeczy moje i Agnieszki,

a ojciec z kolegą wynieśli kanapę, plazmę, lodówkę i pralkę. Jak nie było czasu bawić się z pochowanymi kablami, to ucinali i tyle.
Ta... nie będę się przy księdzu wyrażać, siedziałam w kuchni przy stole, roztrzęsiona, biedactwo, i dzwoniła do tego gnojka, żeby natychmiast przyjeżdżał.
– Ania – mówi moja mama – przecież ona ma na sobie twój szlafrok!
Zdębiałam. No po prostu zdębiałam. Siłą musiałam go z niej ściągać, mówię księdzu - w życiu nie przeżyłam takiego upokorzenia.
Patrzę, a ona ma całe ciało w tatuażach. Na rękach napisy, chyba chińskie czy jakieś, nie wiem, może japońskie, a na plecach dwa skrzydła anielskie. Anielica.
Jak tylko stamtąd wyszliśmy, wrzuciłam go do kontenera na odzież używaną. Pewnie ktoś się ucieszył, bo to był drogi szlafrok, ja nigdy nie kupuję byle czego. Kanapę sprzedawałam na allegro właściwie za bezcen.
Nie mogłam na nią patrzeć, a to była piękna kanapa, wielka, bordowa, z takim jakby wytłaczanym szlaczkiem po bokach. Ta się nie umywa, ale nie żałuję.
Mam bardzo dobre flaki, może ksiądz się skusi?
Kilka dni później ta... oskarżyła mnie o kradzież złota. Nawet nie pamiętam dokładnie, co to było, jakiś pierścionek czy... pierścionek i łańcuszek, zdaje się. Ja bym się połasiła na jej rzeczy. JA bym się połasiła na JEJ rzeczy. Ręce mi opadły, jak o tym usłyszałam, a to był, proszę księdza, dopiero początek.
Ten gnojek założył mi sprawę o mięso. W lodówce, którą wynieśliśmy z JEGO mieszkania, napisał, w zamrażalniku, była połówka świniaka. Owszem, była. Bo o to, żeby cudzy bachor miał co jeść na święta, to pomyślał, ale o swojej córce to nie laska.
Była, była. Przez cały tydzień znajomym rozdawałam, przecież ja bym tego do ust nie wzięła.
To też mi umorzyli, widocznie mieli ważniejsze sprawy na głowie.
Więc znów mnie oskarżył, tym razem o trucie. Że niby jak wychodziliśmy z rodzicami i policją z mieszkania, to do wina, które stało w kuchni napuściłam mu rtęci. Nawet bym na to nie wpadła, szczerze księdzu powiem, nawet jakbym w końcu zwariowała i faktycznie chciała się go pozbyć, to na pewno bym nie wymyśliła takiej kretyńskiej metody.
Dwa dni później założył mi sprawę o kota.
No pewnie, że go zabrałam, nie będzie ta... głaśkała mojego kota.
Poszłam na komisariat, złożyłam zeznanie.
Bardzo ładny jest ten nasz Kitek – niby dachowiec, ale taki puszysty. Dla Agnieszki go kiedyś przywieźliśmy, od znajomych z działki.
Myślałam, że ten idiota da mi spokój, ale chodzenie po sądach dopiero się zaczęło.
Któregoś popołudnia czekał na mnie na klatce, jak wracałam z pracy. Mieszkałyśmy wtedy z Agniesią u moich rodziców. Złapał mnie za ręce i popchnął na ścianę.
– Żebyś zdechła – powiedział – ty krowo.
Mała tak się zanosila potem od płaczu, że przez dwie godziny nie mogłam jej uspokoić.
Sprawa o pobicie i znęcanie się psychiczne nad rodziną to była pierwsza, jaką mu założyłam. Potem drugą, o zastraszanie. Przecież on do dziś nie wie, gdzie ja mieszkam. Ale i tak co rano wyglądam przez okno, bo mi się wydaje, że może wystaje gdzieś przed kamieni-

ca. Za pobicie skazali go na rok w zawieszeniu. To mnie trochę podniosło na duchu, bo po raz pierwszy pomyślałam, że widocznie jest jeszcze jakaś sprawiedliwość na tym świecie. Druga sprawa, ta o zastraszanie, ciągnie się i ciągnie, i końca nie widać. Ale ja mam dowody, nagrywałam jak dzwonił z pogroźkami i puszczałam znajomym.
Ten rozwód to jedna z niewielu rzeczy w życiu, których nie żałuję.
On w tej sprawie o pobicie napisał, że ja się sama pobijałam, bo on miał kochanki i byłam zazdrosna. Jak sędzia zobaczyła, że on się sam przyznaje, że miał kochanki, to mi z miejsca dali. Nie mówiąc już o mailach, bo nie byłam głupia, zrobiłam wydruk. Pisał tym różnym, że mam grubą dupę po tym, jak urodziłam małą i nie mogłam schudnąć. Zaraz na drugi dzień poszłam do jubilera i sprzedawałam obrączki, a na ich miejsce kupiłam sobie ten pierścionek. Proszę. Specjalnie taki duży, żeby go było z daleka widać. A wie ksiądz, co kupiłam za resztę?
Wycieraczkę pod drzwi wejściowe.
Tylko jedna rzecz mnie, proszę księdza, bardzo niepokoi i właśnie dlatego chciałam dziś z księdzem porozmawiać. Słyszałam, że podobno jak jestem rozwódką i spotykam się z... no, różnymi, to mogę się wypowiadać i dostanę rozgrzeszenie, ale jakbym chciała założyć nową rodzinę i zamieszkać z jakimś porządnym człowiekiem, dać Agnieszki prawdziwego ojca, to mnie to automatycznie odcina od sakramentów.
Niemożliwe.
To jak jakiś pedofil albo złodziej w końcu się nawróci, to może przyjmować komunie, a ja nie? Ja jestem wierząca, proszę księdza, ale nie mam zamiaru spędzić reszty życia jak jakaś, za przeproszeniem, zakonnica. To taka ma być moja nagroda za te wszystkie nerwy, nieprzespane noce, poniżenie i depresję? To człowiek nie ma w życiu prawa do jednego błędu?
Moja przyjaciółka chodziła przed ślubem do wróżki, taka szczęśliwa miała być i co? I też się rozwiodła.
Dlatego ja bym bardzo chciała unieważnić to małżeństwo. Podobno to jest możliwe, jeśli nie zostało skonsumowane, albo jedno z małżonków ukryło chorobę psychiczną, albo nie chce mieć dzieci.
No przecież jak ktoś porzuca własną córkę, to tak jakby w ogóle nie chciał mieć dzieci, tak? Nie mówiąc już o tym, że normalny to on na pewno nie jest.
Koleżanka mówiła mi, że jej dziadek wyjechał do Kanady i po prawie czterdziestu latach wrócił, żeby unieważnić. Z powodu młodego wieku w momencie zawierania, pochopnie podjętej decyzji, czy jakoś tak.
Sprytnie to załatwił, nikt się nie spodziewał.
No i nagle jej babka dowiedziała się, że przez całe życie była panną z trojgiem dzieci.
Zresztą – po tym wszystkim to ja mogę być nawet panną z dzieckiem, nie przeskadza mi.
Dziękuję księdzu, że mnie ksiądz wysłuchał. Ja wiem, że jest za późno na wizyty duszpasterskie, ale właśnie dlatego poprosiłam, żeby ksiądz zajrzał jak już odwiedzi wszystkich innych, bo nie chciałam, żeby malutka słuchała takich rzeczy. Musiałam ją położyć.
Teraz pewnie sąsiedzi będą gadać, że po dwudziestej trzeciej to już nawet ksiądz ode mnie wychodził.
No i dobrze, niech gadają.
Samotna kobieta nie powinna być sama.

Ich bitte Sie, Herr Pfarrer, über mein Leben sollte jemand ein Buch schreiben, da müsste er nicht ein einziges Wort hinzufügen, denn das würde auch für zwei Bücher ausreichen. Für eine kurze Komödie und eine Horrorgeschichte in fünf Bänden.

Und so würde es beginnen:

Herr Krawczyk hat Frau Krawczyk wegen des Fleisches angezeigt.

Sie machen eine Miene, Herr Pfarrer, wie die Polizisten auf dem Revier. Die haben sich auch erst gewundert, und später sind sie bei meinem Anblick immer nur in Gelächter ausgebrochen.

Ich habe alle Verfahren hinter mir, insgesamt vier: wegen des Fleisches, der Katze, des Goldes und wegen Vergiftung. Ich kann Ihnen das erzählen, Herr Pfarrer. Ich erzähle allen davon, denn wenn ich das jahrelang in mich hineinfressen würde, wie manche Frauen es tun, dann hätte mein Kind eine Mutter in Tworki in der Nervenklinik. Bitte bedienen Sie sich, Herr Pfarrer. Oder soll ich vielleicht etwas Anständiges zu essen bringen, nicht nur Kuchen nach einem langen Tag?

Geistige Nahrung hin oder her, aber essen muss man doch. Nein, nein, das ist kein Problem, ich habe immer etwas im Kühlschrank. Marek... das heißt meine Bekannten sagen, dass ich nicht schlecht koche. Vielleicht wollen sie nur nicht kritisieren. Doch wenn es ihnen nicht schmecken würde, würden sie sicher nur einmal loben und dann nie wieder kommen. Dieser Mistkerl hat gefuttert wie ein Scheunendrescher, aber später in den Mails und auf Messenger hat er den Leuten nicht geschrieben, dass seine Frau gut kochen kann, sondern nur, dass sie einen fetten Arsch hat. Entschuldigen Sie bitte, Herr Pfarrer, aber so war es. Ich weiß das, weil er irgendwann vergessen hat, sich auszuloggen und ich einen ganzen Abend lang im Bett gelesen habe, wie sehr er mich liebt. Ich habe vergessen zu fragen, Herr Pfarrer:

Nehmen Sie Zucker?

Mein Gott, wer hätte gedacht, dass der Tag unserer Scheidung der glücklichste in meinem Leben sein würde? Erst dachte ich, das würde der Tag meiner Hochzeit sein. Später, der Tag von Agniesias Geburt. Und jetzt schauen Sie bitte, wie es gekommen ist. Wissen Sie, Herr Pfarrer, was das Beste von allem ist? Dieser Mistkerl weiß überhaupt noch nicht, dass er geschieden ist. Er ist nicht zur Verhandlung erschienen, hat gefälschte Krankenschreibungen geschickt, bis der Richter am Ende, nach drei Jahren, genug hatte und das Urteil in seiner Abwesenheit fällte. Und ihn allein schuldig sprach.

Entschuldigung, ich dachte, Agnieszka hätte nach mir gerufen.

Ich bringe Ihnen gleich den Zucker.

Mich hält nur noch eins am Leben: dass ich ein Kind habe. Ich weiß, Herr Pfarrer, es ist eine Sünde, so zu denken, aber irgendwann hat er mir so das Leben vermietet mit seinen Drohungen und Erpressungen, dass ich, wenn Agnieszka nicht wäre, bestimmt keine Kraft gehabt hätte zu kämpfen. Das eigene Kind ist eben das eigene Kind.

Und der Ehemann bleibt in Wirklichkeit immer ein fremder Mensch.

Soll ihn doch die... nehmen und sich zum Teufel scheren. Aber sie soll sich nicht wundern, wenn er sie verdrischt und später erpresst, damit sie die Anzeige zurücknimmt.

Oder zumindest nicht auszusagen, denn wenn es eine ärztliche Untersuchung gibt und eine Anzeige von Amts wegen, dann kann man die nicht mehr zurückziehen.

Ich dachte immer, betrogen zu werden, ist das Schlimmste, was mir widerfahren kann, aber jetzt weiß ich, dass das im Vergleich zum Rest nur eine Lappalie ist.

Eine Lap-pa-lie.

Als ich sie in meinem eigenen Bett entdeckte, dachte ich, ich müsste mich übergeben. Ich habe Agnieszka genommen und bin mit ihr sofort zu meinen Eltern gefahren.

Tja, aber am nächsten Tag musste ich zurückkehren, um ein paar Sachen zu holen. Wir hatten ja nicht einmal etwas zum Anziehen.

Ich ging mit einer Freundin dorthin, um eine Zeugin zu haben, für alle Fälle.

Wir kommen hin, da sind die Schlösser ausgewechselt.

Ich stecke den Schlüssel hinein, drehe ihn einmal, zweimal – nichts tut sich.

Aber ich höre jemanden auf Zehenspitzen an die Tür schleichen und eine Kinderstimme. Oh nein, denke ich, es werden keine fremden Bälger mit den Spielsachen meiner Tochter spielen. Sie sollen nicht wagen, sie auch nur anzurühren. Finger weg von meiner Bettwäsche, meinen Handtüchern, meinen Gläsern, von allem!

Beim nächsten Mal fuhr ich hin mit meinen Eltern, einer Freundin, der Polizei und meiner Besitzurkunde. Die Besitzurkunde und die Polizei das muss sein, Sie können nicht einfach die eigene Wohnung betreten, Herr Pfarrer, sonst kann man Sie wegen Einbruchs belangen. Der Schlosser machte sich gleich an die Arbeit, dann lief es wie am Schnürchen. Ich packte meine Sachen und die von Agnieszka, mein Vater und ein Freund von ihm trugen das Sofa, den Flachbildfernseher, den Kühlschrank und die Waschmaschine hinaus. Da keine Zeit war, sich mit den unter dem Putz verlegten Kabeln zu befassen, schnitten sie sie einfach ab.

Diese... ich werde in Ihrer Gegenwart nicht fluchen, Herr Pfarrer, saß in der Küche am Tisch, zitterte am ganzen Leib, die Ärmste und rief den Mistkerl an, er solle sofort kommen.

– Ania – sagte meine Mutter – sie trägt ja deinen Bademantel! Ich erstarrte. Wirklich, ich erstarrte buchstäblich.

Ich musste ihn ihr mit Gewalt ausziehen, ich sage Ihnen, Herr Pfarrer, in meinem ganzen Leben habe ich noch nie eine solche Demütigung erlebt.

Ich sehe sie an, und sie hat den ganzen Körper voller Tattoos. Auf den Armen Sprüche, chinesische oder so, ich weiß es nicht, oder japanische, und auf dem Rücken zwei Engelsflügel.

Ein wahrer Engel.

Kaum waren wir draußen, warf ich den Bademantel in einen Altkleider-Container. Da wird sich sicher jemand gefreut haben, denn er war teuer gewesen, ich kaufe ja nicht irgendwas. Das Sofa habe ich auf eBay verkauft, fast für umsonst.

Ich konnte seinen Anblick nicht mehr ertragen, dabei war das so ein schönes Sofa, groß, weinrot, mit einer an den Seiten eingepprägten Borte, da kommt kein anderes Sofa heran, aber ich bereue es nicht.

Ich habe sehr gute Kutteln, möchten Sie vielleicht kosten, Herr Pfarrer?

Ein paar Tage später hat mich diese... beschuldigt, ihr Gold gestohlen zu haben. Ich erinnere mich nicht einmal, was das gewesen sein soll, irgendein Ring oder... ein

Ring und eine Kette wohl. Ich soll mich an ihren Sachen vergreifen. ICH soll mich an IHREN Sachen vergreifen. Mir klappte die Kinnlade runter, als ich das hörte, aber das war erst der Anfang, Herr Pfarrer.

Dieser Mistkerl hat mich wegen des Fleisches angezeigt. In dem Kühlschrank, den wir aus SEINER Wohnung, wie er schrieb, herausgetragen haben, sei im Eisfach eine Schweinehälfte gewesen. Natürlich, die war da. Denn dass der fremde Balg über die Feiertage was zu essen hat, daran hat er gedacht, aber seine eigene Tochter? Kein Gedanke.

Sie war da, sie war da. Eine ganze Woche lang habe ich sie an meine Bekannten verteilt, ich selbst hätte nie davon gegessen.

Dieses Verfahren gegen mich wurde auch eingestellt, offenbar hatten sie sich um wichtigere Dinge zu kümmern. Also hat er mich erneut angezeigt, diesmal wegen

Vergiftung. Dass ich ihm angeblich, als wir mit meinen Eltern und der Polizei aus der Wohnung gingen, in den Wein, der in der Küche stand, Quecksilber geträufelt hätte. Darauf wäre ich nie gekommen, das sage ich Ihnen ganz ehrlich, Herr Pfarrer, selbst wenn ich am Ende wahnsinnig geworden und ihn tatsächlich gern losgeworden wäre, hätte ich mir ganz bestimmt nicht so eine idiotische Methode ausgedacht.

Zwei Tage später hingte er mir die Sache mit der Katze an. Klar habe ich sie mitgenommen, diese... soll doch nicht meine Katze streicheln.

Sehr niedlich ist unser Kitek, ein Streuner zwar, aber so flauschig. Wir haben ihn mal für Agnieszka aus dem Schrebergarten von Bekannten zu uns geholt.

Ich ging aufs Revier und machte meine Aussage.

Ich dachte, dieser Idiot würde mich jetzt in Ruhe lassen, aber die Rennerei auf die Gerichte begann nun



© Katja Hoffmann 09/09/25_Berlin: Edeka

und
nun

erst. Eines Nachmittags passte er mich im Treppenhaus ab, als ich von der Arbeit kam. Damals wohnte ich mit Agnieszka bei meinen Eltern. Er packte mich am Arm und drückte mich gegen die Wand.
– Sollst verrecken, blöde Kuh! – sagte er.
Die Kleine brach daraufhin so sehr in Tränen aus, dass ich sie zwei Stunden lang nicht beruhigen konnte. Die Anzeige wegen Körperverletzung und psychischen Missbrauchs der Familie war die erste, die ich ihm anhängte. Dann eine zweite, wegen Einschüchterung. Er weiß ja bis heute nicht, wo ich wohne. Trotzdem schaue ich jeden Morgen aus dem Fenster, weil ich das Gefühl habe, dass er dort irgendwo vor dem Haus herumlungern könnte. Wegen der Körperverletzung haben sie ihn zu einem Jahr auf Bewährung verurteilt. Das hat mich ein wenig aufgereizt, denn zum ersten Mal dachte ich, dass es offenbar doch noch eine Gerechtigkeit auf dieser Welt gibt. Die zweite Sache, wegen der Einschüchterung, zieht sich und zieht sich, ein Ende ist nicht abzusehen. Aber ich habe Beweise, ich habe aufgenommen, wie er angerufen und mich bedroht hat, und habe das Bekannten vorgespielt.

Diese Scheidung ist eines der wenigen Dinge in meinem Leben, die ich nicht bereue. In dem Verfahren wegen Körperverletzung hat er geschrieben, dass ich mich selbst verletzt hätte, weil er eine Geliebte hatte und ich eifersüchtig war. Als die Richterin sah, dass er selbst zugab, eine Geliebte gehabt zu haben, haben sie mir ohne Weiteres Recht gegeben. Ganz zu schweigen von den Mails, denn ich war ja nicht blöd und habe sie mir ausgedruckt. Er hat verschiedenen Leuten geschrieben, ich hätte einen fetten Arsch, nachdem ich die Kleine bekommen habe, und könne nicht abnehmen. Gleich am nächsten Tag ging ich zum Juwelier und verkaufte die Eheringe, stattdessen kaufte ich mir diesen Ring. Bitte. Extra so groß, damit er schon von weitem zu sehen ist.
Und wissen Sie, Herr Pfarrer, was ich mir für den Rest gekauft habe?
Einen Abtreter für meine Wohnungstür.
Nur eine Sache beunruhigt mich sehr, Herr Pfarrer, und eben deshalb wollte ich heute mit Ihnen sprechen. Ich habe gehört, dass angeblich, wenn ich geschieden bin und mich mit... naja, mit verschiedenen Leuten treffe, dass ich dann beichten kann und mir Absolution erteilt wird, aber wenn ich eine neue Familie gründen und mit einem anständigen Mann leben, wenn ich Agnieszka einen richtigen Vater geben möchte, dann werde ich automatisch von den Sakramenten ausgeschlossen. Unmöglich.
Wenn also irgendein Pädophiler und Dieb sich am Ende bekehrt, kann er die Kommunion empfangen, und ich

nicht? Ich bin gläubig, Herr Pfarrer, aber ich habe nicht die Absicht, den Rest meines Lebens wie eine – bitte entschuldigen Sie – Nonne zu verbringen. Soll das meine Belohnung sein für all die Nerven, die ich gelassen habe, die durchwachten Nächte, die Erniedrigung und Depressionen? Hat ein Mensch in seinem Leben nicht das Recht, einen Fehler zu machen?
Meine Freundin ist vor ihrer Hochzeit zu einer Wahrsagerin gegangen, so glücklich sollte sie sein, und nun? Nun hat sie sich auch scheiden lassen.
Deshalb würde ich gern diese Ehe für ungültig erklären lassen.
Angeblich ist das möglich, wenn sie nicht vollzogen wurde, wenn einer der Eheleute eine psychische Krankheit verschwiegen hat oder keine Kinder haben will. Wenn aber einer seine eigene Tochter im Stich lässt, dann ist das doch so, als habe er überhaupt keine Kinder haben wollen, oder? Ganz zu schweigen davon, dass er bestimmt nicht normal ist.
Eine Kollegin hat mir gesagt, dass ihr Großvater nach Kanada ausgewandert und nach fast vierzig Jahren zurückgekehrt sei, um seine Ehe für ungültig erklären zu lassen. Wegen seines jugendlichen Alters zum Zeitpunkt der Eheschließung, der leichtfertig getroffenen Entscheidung oder so etwas. Schlau hat er das angestellt, das hätte keiner erwartet. Und auf einmal hat sein Weib erfahren, dass sie ihr ganzes Leben eine Unverheiratete mit drei Kindern gewesen ist.
Übrigens, nach alledem kann auch ich eine Unverheiratete mit Kind sein, das stört mich nicht.

Danke, Herr Pfarrer, dass Sie mir zugehört haben. Ich weiß, dass es zu spät ist für seelsorgerische Besuche, aber gerade deshalb habe ich Sie gebeten vorbeizukommen, wenn Sie schon alle anderen besucht haben, denn ich wollte nicht, dass die Kleine diese Dinge hört. Ich musste sie schlafen legen.
Jetzt werden sich bestimmt die Nachbarn das Maul zerreißen, dass sogar der Herr Pfarrer erst nach 23 Uhr von mir weggegangen ist. Sollen sie doch reden. Eine alleinstehende Frau sollte nicht allein sein.

¹ In Polen nach den Heiligen Drei Königen besuchen die Pfarrer ihre Gemeindeglieder; die Aufschrift „K+M+B“ über der Haustür bedeutet, dass sie herzlich willkommen sind.

[Übersetzung: Ulrich Heiße]

жінки, то моя дитина, вже, мабуть, мала би мам у в психлікарні в Творках.
Прошу Вас, Отче, пригортайтеся. А може, все ж таки принести якоїсь суттєвішої їжі, а не лише тістечка, Ви ж зголодніли, мабуть, за цілий день?
Хліб духовний, хліб духовний, але їсти ж треба.
Ні, мені зовсім не важко, у мене завжди знайдеться щось у холодильнику. Марек... тобто, знайомі вважають, що я неопогано готую. Мабуть, не хочуть критикувати. Хоча... якби їм не смакувало, то напевно раз би похвалили і більше не прийшли.
А той скурвисин їв, аж йому за вухами лящало, але потім у мейлах і в аській то не писав тим своїм, що жінка вміє готувати, а тільки що у неї груба дупа.
Я перепошую святого Отця, але так справді було.
Я точно знаю, бо одного разу він забув замкнути поштову скриньку, і я цілий вечір читала собі перед сном, як сильно він мене кохає.
Я забула запитати – чи святий Отець п'ють чай із цукром?
Боже, хто б міг подумати, що день розлучення стане найщасливішим днем у моєму житті. Спершу я думала, що таким стане день нашого шлюбу. Потім сподівалася, що це буде день, коли народилася Агнеся. А зараз, будь-ласка, бачите, що виявляється. А чи ви, Отче, знаєте, що у тому всьому найцікавіше? Той скурвисин ще навіть не знає, що він розлучений. Він не приходив на засідання, прислав якісь відмазки, ну і врешті-решт, через три роки суддя вирішила, що з неї досить, і винесла вирок заочно. І оголосила, що вся провина падає на нього.

Перепошую, мені здалося, що Агнеся кличе. Вже даю цукерничку.
Єдине, що мене ще тримає в житті – те, що у мене є дитина. Я знаю, Отче, що гріх так думати, але був такий момент, коли мені вже зовсім обридло життя, через всі ті погрози, шантажування, тож якби не Агнеся, то я напевно не мала би сили, щоб боротися. Своя дитина, то своя дитина.
А чоловік, якщо розібратися, насправді завжди хтось чужий.
Нехай його собі візьме та, інша.. і нехай забираються під три чорти. І нехай не дивується, коли він її поб'є, а потім буде шантажувати, щоб вона забрала заяву. Або щоб хоча би не давала свідчень, бо коли вже є заява, покази очевидців і офіційне звинувачення, то вже нічого не можна зробити.
Мені завжди здавалося, що найгірше, що могло би зі мною трапитися – це зрада, але зараз я знаю, що у порівнянні з усім решта, зрада – це дрібниця. Дріб-ни-ця.
Коли я застала його з нею у своєму власному ліжку, думала, що мене знудить просто на них. Я забрала Агнесю і поїхала до своїх батьків. Але наступного дня довелось повернутися, щоб узяти трохи речей. Бо у нас не було навіть у що вбратися.
Ми пішли разом із подругою, щоб вона була свідком, якби щось трапилося.
Приходимо, а замки вже поміняні.
Запахую ключ, обертаю раз, другий раз – і нічого. Але тут чую, що з іншого боку дверей хтось на пальцях підходить і чути дитячий голос. Ну ні, – думаю я собі, чужі байстрики не будуть бавитися

іграшками моєї доньки. Навіть нехай не думають торкатися. Геть від моєї постелі, від моїх рушників, від моїх склянок, від усього!

Наступного разу ми приїхали вже з батьками, другом батька, поліцією і актом власності. Документи і поліція обов'язкові, бо ви, Отче, не можете так собі просто ввійти до власного помешкання, щоб вас не звинуватили у крадіжці. Слюсар відразу ж узявся до роботи, ну а потім уже все пішло швидко. Я пакувала речі, свої та Агнесі, а мій батько зі своїм другом винесли диван, телевізор, холодильник і пральку. Не було часу бавитися з похованими дротами, тож їх просто обрізали, і все.
Та... не буду вживати поганих слів у вашій присутності, Отче, сиділа біля столу в кухні, вся трусилася, нещастя таке, і дзвонила до того скурвисина, щоб негайно приїздив.
– Аню, – каже раптом моя мама, – дивися, вона ж у твоєму шляфроку!
Мене заціпило. Ну просто заціпило. Довелось силою стягати його з неї, кажу вам, Отче, – мені ніколи не доводилося пережити нічого більш принизливого. Дивлюся, а в неї все тіло в тату. На руках написи якісь китайські чи щось таке, не знаю, може, японські, на плечах два янгольські крила. Ну прям тобі ангелиця. Коли ми вийшли звідти, я відразу ж кинула шляфрок до контейнера з гуманітарною допомогою. Мабуть, хтось втішився, бо то був дорогий шляфрок, я ніколи не купую абищо. Диван я продала через інтернет за безцінь.
Просто не могла більше на нього дивитися, а то був гарний диван, бордовий, з таким вибитим візерунком по боках. Цей і близько не лежав від того, але я не шкодую.
У мене є дуже добрі флячки, може спокуситесь, Отче? Минуло кілька днів, і тамта... звинуватила мене у крадіжці золота. Я навіть не пригадую, про що саме йшлося, якийсь перстень, чи... перстень із ланцюжком, здається. Уявляєте собі, щоб я не побридилася її речей. Коли я почула про це, то мені аж руки опустилися, а насправді, Отче, то був лише початок.
Той скурвисин подав на мене в суд за м'ясо. У холодильнику, який ми винесли, з ЙОГО помешкання, як він написав, у морозильнику, було півсвині. Взагалі-то було. Бо про те, щоб його байстрик мав що їсти на свята, він подбав, а про власну доньку навіть не згадав.
Було, було. Цілий тиждень я роздавала те м'ясо знайомим, бо я б сама його ніколи не їла.
Пізніше вони забрали заяву, мабуть, мали якісь важливіші справи.
Але потім знову подали на мене в суд, тим разом за отруту. Ніби-то, коли ми з батьками і з поліцією виходили з помешкання, то кинули ртуті до вина, яке стояло на кухні. Щиру правду кажу Вам, Отче, мені б таке ніколи на думку не спало, навіть якби я остаточно зійшла з розуму і справді вирішила його позбутися, то напевно не додумалася б до такого ідіотизму.
Ще через два дні подав на мене в суд через kota. Ясна річ, що я забрала kota, не вистачало ще, щоб та... гладила мого kota.

► Прошу Вас, Отче, про моє життя хтось має написати книжку, і я би до цього тексту не могла додати жодного вигаданого слова, бо мого життя і на дві книжки вистачить. На тоненьку комедію і п'яти томний роман жаків.
А початок був би такий:
Пан Кравчик оскаржив пані Кравчик за м'ясо.

От і Ви, Отче, скривилися, як поліцейські на дільниці. Вони теж спочатку дивувалися, а потім уже тільки вибухали сміхом щоразу, коли бачили мене.
У мене було всього чотири судові позови: через м'ясо, через kota, через золото і через отруту. Я можу Вам, Отче, все розповісти. Я всім про це розповідаю, бо якби я це так роками душила в собі, як деякі

Наш Кітек страшенно гарний, ніби звичайний, вуличний, але дуже пухнастий. Ми колись привезли його для Агнесі від знайомих, із дачі. Я пішла до відділення поліції і написала свідчення. Думала, що той придурок нарешті дасть мені спокій, але ходіння по судах тільки почалося. Одного дня, коли я поверталася з роботи, він чекав мене на сходах. Ми тоді з Агнесею жили у моїх батьків. Він схопив мене за руку і штовхнув на стіну. – Щоб ти здохла, – сказав, – корова. Дитина ридала ще дві години після того, а я не могла її заспокоїти.

Перший раз я подала на нього в суд за побиття і психічне знущання над родиною. Потім ще раз, за залякування. Він досі не знає, де я живу. Але попри це я щоранку визираю у вікно, бо мені здається, що він ховається десь за рогом. За побиття йому дали рік умовно. Це трохи мене підбадьорило, бо я вперше за всю ту історію подумала собі, що існує ще на світі справедливість. Інший позов, за залякування, тягнеться і тягнеться, і кінця-краю йому не видно. Але у мене є докази, я записувала телефонні розмови, коли він дзвонив і погрожував, а потім давала послухати знайомим.

Це розлучення – одна з небагатьох речей у житті, про яку я не шкодую. Коли суд розглядав справу про побиття, він написав у поясненні, що я сама себе побила, бо у нього були коханки, а я ревнувала. Коли суддя прочитала, як він сам зізнається, що у нього були коханки, то відразу ж дала мені розлучення. Я вже не кажу про мейли, я не була дурною і все видрукувала. Він писав своїм різним дівкам, що у мене груба дупа, бо я не можу схуднути після того, як народила малу. Наступного ж дня я пішла в ювелірний і продала обручки, а замість них купила собі перстень. Ось, подивіться. Спеціально такий великий, щоб його було видно здалеку. А знаєте, Отче, що я купила за гроші, які залишилися? Хідник під двері. Але, Отче, тільки одне ще мене хвилює, і саме про це я з Вами хотіла би поговорити. Я чула таке, що ніби-то коли я розлучена і зустрічаюся з..., ну з різними там, то я можу висповідатися і отримую розгрішення, але якщо би я хотіла знову вийти заміж і жити разом із якимось порядним чоловіком, щоб дитина мала справжнього батька,

то це мене автоматично відлучить від святих Таїнств. Не може бути.

То що тоді, якийсь педофіл чи злодій, який врешті-решт вирішить покаятися, може приймати причастя, а я ні? Отче, я ж вірю в Бога, але не маю наміру решту життя проводити як, перепрошую, монахиня якась.

То яка ж тоді має бути для мене нагорода за всі ті нерви, недоспані ночі, приниження і депресії? Невже людина не має права у житті навіть на одну-єдину помилку?

Моя подруга перед шлюбом ходила до ворожки, та їй сказала, що вона має бути щаслива, і що з того? Теж розлучилася.

Тому я би дуже хотіла, щоб церква визнала мій шлюб недійсним.

Здається, таке можливо, якщо подружжя не встигло розділити спільне ложе, або якщо хтось із подружжя приховав психічну хворобу, або якщо не хоче мати дітей. Бо ж коли хтось кидає власну доньку, то насправді це те саме, що ніби він зовсім не хотів би мати дітей, хіба не так? Уже не кажучи про те, що нормальним, то він точно ніколи не був. Одна моя подруга розповідала, що її дідусь виїхав до Канади і майже через сорок років повернувся, щоб визнати шлюб недійсним. Причиною було записане поспішне рішення у надто молодому віці чи щось таке. І якось він дуже спритно все це залагодив, ніхто навіть не сподівався, що так можливо. І ось раптом бабця довідалася, що все життя була дівчиною з трьома дітьми. Хоча після того всього, то я вже можу бути навіть самотньою мамою з дитиною, мені вже байдуже.

Дуже Вам дякую, Отче, що вислухали мене. Я знаю, що вже надто пізня година для душпастирських візитів, але я саме тому і попросила, щоб Ви прийшли вже після того, як відвідаєте всіх решта, бо я не хотіла, щоб дитина слухала ці всі страшні речі. Хотіла вже покласти її спати. А тепер сусіди, мабуть, будуть пліткувати, що від мене вже навіть священники після одинадцятої виходять. Але нехай собі пліткують. Самотня жінка не повинна бути сама.

¹ У Польщі 6 січня священники відвідують своїх парафіян; напис "К+М+В" на дверях помешкання означає, що на візит чекають.

[Переклад: Наталки Сняданко]

projektu Grażyny Lange dla hiszpańskiego wydawnictwa Media Vaca. Dramat *Zero osiemset. Monologi* zaprezentowany został na antenie TVP Kultura w reżyserii Bogny Podbielskiej (2007). Stypendystka m.in. Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2005, 2008), Künstlerhaus Lukas (2007 Niemcy) i Akademii Schloss Solitude (2008/2009 Niemcy). Mieszka w Warszawie.

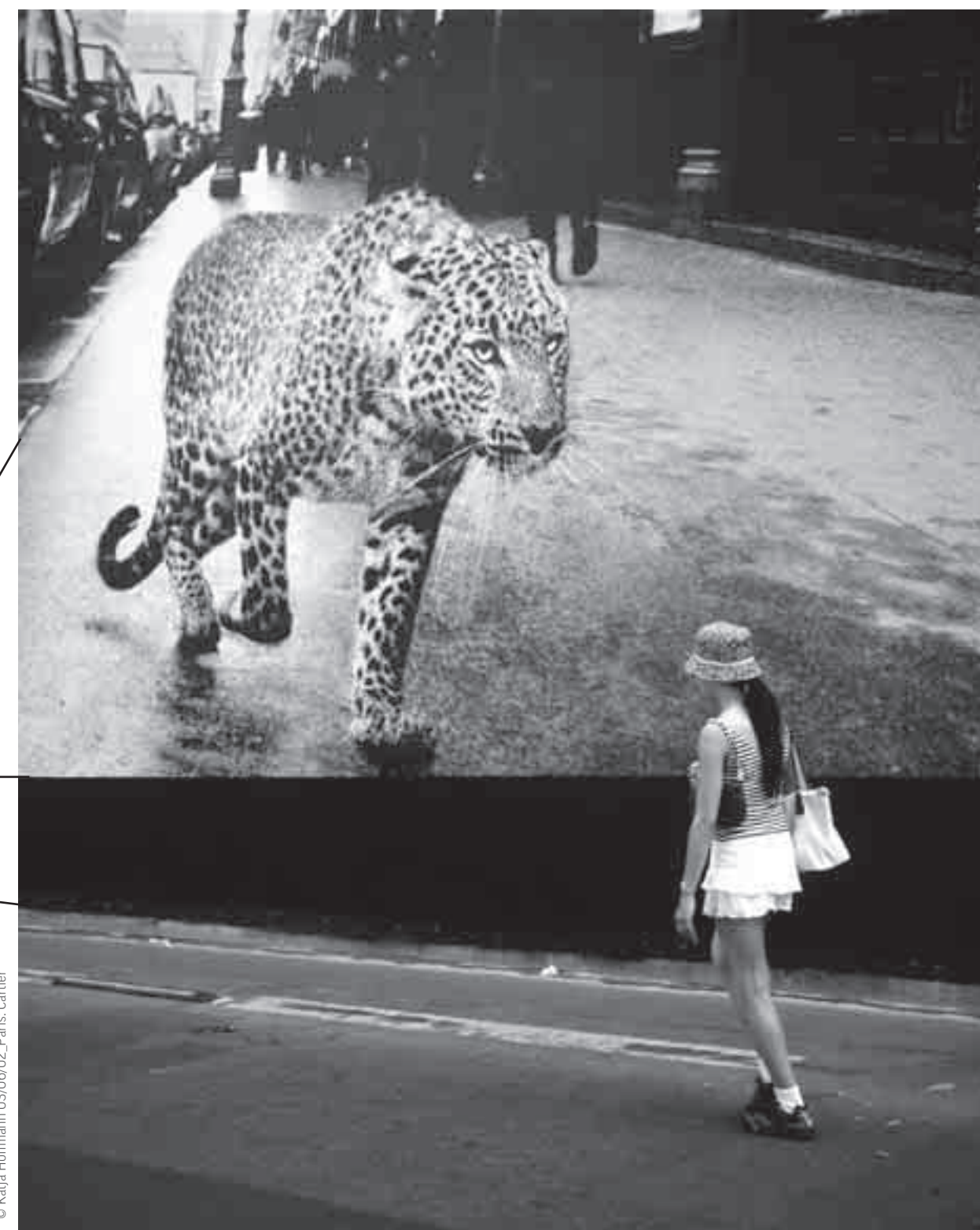
Katarzyna Sowula (1977, Polen) – Prosaikerin. Sie besuchte das Lehrer-Kollegium für englische Sprache

Katarzyna Sowula (1977, Polska) – prozaiczka. Ukończyła Nauczycielskie Kolegium Języka Angielskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim. Debiutowała w 2004 roku powieścią *Fototerapia*. Zbiór opowiadań *Zero osiemset* (2007) został przetłumaczony na niemiecki, a niebawem ukaże się również na Węgrzech. Opowiadanie tytułowe znalazło się w koreańskiej antologii *Europa. Fascynujące historie* (2009). Poszczególne opowiadania ukazały się również w tłumaczeniu na słoweński, norweski i ukraiński. Jest autorką jednego z tekstów do książki o Warszawie

an der Jagiellonen Universität. 2004 debütierte sie mit ihrem Roman *Fototherapie*. Die Novellensammlung *Null Achthundert* (2007) wurde ins Deutsche übersetzt und wird in nächster Zeit auch in Ungarn erscheinen. Die Titelerzählung befindet sich in der koreanischen Anthologie *Europa. Faszinierende Geschichten* (2009). Die einzelnen Erzählungen wurden auch in norwegischer, ukrainischer sowie slowenischer Übersetzung veröffentlicht. Sowula ist auch Autorin eines Textes, der in einem Buch über Warschau (Projekt: Grażyna Lange) des spanischen Herausgebers Media Vaca erscheinen wird. Stipendiatin u. a. des polnischen Ministeriums für Kultur und Nationalerbe (2005, 2008), des Künstlerhauses Lukas (2007, Deutschland) und der Akademie Schloss Solitude (2008/2009, Deutschland). Sie lebt in Warschau.

Катажина Совуля (1977, Польща) – авторка прози. Закінчила Педагогічний колегіум Ягеллонського

університету за фахом – викладання англійської мови. Дебютувала у 2004 році романом *Фототерапія*. Збірка оповідань *Нуль вісімсот* (2007) перекладена німецькою мовою і незабаром з'явиться в Угорщині. Оповідання, яке дало назву всій книзі, надруковане в корейській антології *Європа* (2009). Окремі тексти перекладені норвезькою, українською, а також словенською мовами. Авторка одного з текстів для книжки про Варшаву в проєкті *Гражини Ланге* для іспанського видавництва *Медіа Вака*. Драма *Нуль вісімсот*. Монологи у режисерії Богни Подбельської демонструвалася на польському телебаченні *Культура* (2007). Стипендіатка Міністерства культури та національної спадщини Польщі (2005, 2008), резиденції для митців *Лукас* (2007, Німеччина) *Академії Шльос Солітюд* (2008/2009 Німеччина). Живе у Варшаві.



WSZAK ŁAKOCIAMI JESTEŚMY DLA SIEBIE JA NASCHEREIEN SIND WIR UNS SELBST БО МИ ОДНЕ ДЛЯ ОДНОГО, ЯК СМАКОЛИКИ

fragmenty powieści „bogactwo”
auszug aus dem roman „reichtum”
уривки з роману „багатство”

► Pat

Pat mieszka w mieszkaniu po zmarłej babci. Z rozrzutności, od połowy czerwca. Kochani rodzice sponsorują jej życie, również jej zazdrościmy tego, jednak nie ma czego, o czym właśnie opowie nasz program, oto przed państwem metamorfoza (staje się) Pat. Pokażmy więc jak żyje ta laleczka. (A z okien tu widać Miasto, teraz wrześniowe, pamięć wybija wciąż pieczęcie na datach, pora deszczowa 2010, jak ten czas nas różnie na skrót.) Miasto jest tu oto miękkie i ciepłe, gęste i z proszku, powstało wszak po zmieszaniu ludzi z wrzątkiem. (A zamknięte w Mieście bąble powietrza pozwalają zaczerpnąć mieszkańcom tchu. Mieszka tu kilkaset tysięcy lub milionów, które ciekną chodnikami.) Nasza główna, co ja mówię, nasza jedyna bohaterka – Pat – („pokaż no się”) nie chce sobie wyobrazić tych ludzi, ilości głów, oczu, palców a zwłaszcza słów. W dzień to gorsze niż sen. Jednak my rozpoczniemy wreszcie naszą grę/zabawę, czas start.

Bio

Do biegu, do końca gotowa jesteś, Pat? Co my tu mamy, od czego zaczniemy, może przedstawię cię, Pat, o czym lubisz najbardziej myśleć lub ulubione zajęcia, przecież naraz byłoby trudno (salwa śmiechu), przecież naraz to po diable. Bohaterka naszego programu „Mocniej mocniej mocniej” ma lat (ukłoń się o, jak fajnie, o) dwadzieścia pięć, a spod jakiego jesteś znaku? I prezentuje nam cechy, generalnie („a ja nie wiem czy to taka wada, że lubisz sprzątać, Pat. Pat, tak do ciebie będziemy mówić, zgadzasz się?”).

Ja nie wiem czy państwo to też widzą tak dobrze jak my tutaj, już wyjaśniam, Pat nam właśnie o tu pokazuje swoje najulubieńsze zajęcia, będziemy ci towarzyszyć na żywo, nawet operator nasz, Tomek, pozdrowka, się śmieje. Słuchajcie, co się dzieje, co się dzieje! Kamerą Tomek trzęsie (co widzowie widzą), Pat do Tomka pomachaj i już się zajmij swoimi prawdami zajęciami. (Pat jest teraz owinięta białą zasłonką, którą brudzi, całując się z nią.

Dobrze państwo widzą, no jakie masz czerwone usta Pat, można dać ci za nie nawet osiem na dziesięć, bo jednak ząbek ułamany masz dziecko, za przebojowość masz za to dyszkę i przechodzisz do następnej rundy.)

Łakocie

Pat obejmuje również zwoje zasłonki tak, jakby obejmowała ramiona. Gładzi włosy i przesuwając policzkiem z pudru i różu po materiale, aż jest zadowolona. Plama mocna. Poprawnie schyla się (żeby kręgosłup starczył jej do późnej śmierci) i zdejmując pantofelki. Dopiero co wróciła ze śmietnika. Naszą ekipę spotkała przy drzwiach, i tak chodzimy za nią, chodzimy za Pat, a ona spłoszona. Miłe dziecko, pozwól nam cię obserwować, przecież nic więcej nie chcemy, aż. Sama się, obecna i dawna żeżesz, i tak, smacznego („nie przy jedzeniu”). Wszak łakociami jesteśmy dla siebie. Biegasz po mieszkaniu Pat, uciekasz nam, polowanie na ciebie trwa, tymczasem jesteś nagrywana, a my się cichutko zaśmiewamy w rękawy. Pokaż Pat, co ty też tu wyprawiasz?

Epilog

[Na wstępie możemy państwu tylko zdradzić Pat trudną sytuację, że ona sobie wrywa włosy z głowy, coś schyla się, jej w oczy patrzy, czy krzywdę masz w ciele Pat? Ona raczej „nie wiem”, ale skłania się na, że „tak”. I ona sobie z tym „nie daje rady” od dwóch miesięcy, usuwa więc z siebie pamięć i staje się człowiekiem następnym, bez wspomnień, ale za to z rozległymi nieużytkami, ze wspaniałym widokiem na przyszłość. A na razie wszystkie wspomnienia sprowadza do wspólnego mianownika, skraca oraz czyści ciało i wyrzuca rzeczy z mieszkania, bo jak to, nic nie może zostać w jej przyszłym życiu z przeszłości, trzeba (też) usunąć mięso do kości. No więc rozumieją państwo (ja to tak szeptem tylko przekazuję), się zainteresowaliśmy w naszej stacji, również bo Miasto jest (czyżby?) zaniepokojone z powodu braku relacji, bo chciałoby więcej wiedzieć (chyba ma prawo). Dziewczy-

na jest przecież zdolna do wszystkiego, jakżeby jej nie pomóc + sobie pooglądać.]

Sobie pooglądać

Pat się przed nami wypręża, co przecież jest w cenie, jak sterczy. Zwłaszcza jak jej od tego napięcia „pęknie serce”. Nam tu biją cyfry prądu na czas, kamery nasze nie śpią, jedząc nieustannie kilogramy watów. (Ciepło ich pracy będzie teraz ogrzewać Pat.) A ona czyści, obdziera się pięknie, pokaż no się tu, a możemy wejść ci z kamerą w ciało? To chociaż zobaczymy twoje zastrupiałe usteczka koralowe, kuszące pełne (krwi) wargi. Nikt nas tu nie zapraszał, ale na tym właśnie polega zabawa (niespodzianka!). My sobie będziemy od teraz śledzić Pat z kamerą wśród jej wad, a ona jak uwiązana nam tu będzie się miotać. Jest (specjalnie) dla państwa na bieżąco, w telewizji, Internecie, na niebie i na ziemi, Pat nasza kochana, sława Miasta, ona już się przed sobą nie schowa. Już nikim więcej nie jest tylko tą marną osłoną (którą zresztą zdrapuje – ciekawska). A my jej towarzyszymy w podróży, wszak całe Miasto czeka aż dziewczyna wreszcie zdechnie. Jednak w odcinkach. My przecież wiemy, co z niej za człowiek, co z niej za zwierzę, dlatego tu przyszliśmy i cię będziemy rejestrować Pat, spodziewaj się również pytań („Czy tamtego wieczoru piłaś alkohol?” – tak/nie).

Bogactwo

(A tak poza tym) wyrwano z ciebie bogactwo, jednak jego łożysko zostało w strzępach. Brak, który teraz się w nim umościł, kopie i rośnie. (A strach napręża swoje łodygi w twoim ciele i pcha się na zewnątrz, to dlatego pękasz jak chodniki.) Czy twoim nowym bogactwem mogą stać się czyste przestrzenie, doszorowana skóra i wybielenie pamięci? Puste magazyny do zaaranżowania na najlepszy adres w Mieście? Opróżniasz przecież mieszkanie, już wyrzuciłaś, już. Wszystko prócz mebli (czas zacząć je ostrożnie podpalać, aby ściany się nie zajęły i podłoga). Tymczasem ekipa telewizyjna kręci twoje włosy na palce i podąża za tobą, a ty wciąż nosem po podłodze, perfekcyjna pani domu (kto tu jest właścicielem?).

Komentarz

Zostańcie z nami, reportaży o Pat oczywiście również potniemy i wypuścimy na dvd, jednak co za możliwość na żywo wejścia jej w oczy tej cichej kurwie, która od dwóch miesięcy pokutuje tu i jeszcze nie odpokutowała, która od dwóch miesięcy czyści siebie i jeszcze nie wyczyściła. Urzekła nas twoja historia, Pat, uprzyżmy z twoich oczu ją. Żarem rozdęte ziarna dwa, nie patrz się „tak”, tylko się zachowuj, naturalnie, jakby tu nikogo nie było. Pozwolisz, że zapalę, a ty tymczasem sobie żyj jak zwykle, to nas właśnie obchodzi, co ty też tam sobie prywatnie robisz.

Miasto

Miasto, gdyby tylko (naprawdę) pamiętało o Pat, powiedziałoby, że poprzewracało jej się w dupie. Miasto jednak jest zajęte swoim rozrodem i szarą krwią, którą rozlewa, żeby wypić od nowa (chodniki przecież gdzieś pękają).

Mapa

Miasto ma mapę, patrząc na nią, Pat widzi, co następuje: wysypują się ludzie w przyspieszonych światłach, a ich ruchy, ich szemranie, ich zapaszki wywołują fale pamięci, które pchają się na wolność przez Pat. (Przepływają przez nią, szeroko rozpościerając pazury.) A ludzie rozłączają się uwolnieni z mapy i wyczuwając zapach pod-

chodzą do Pat, wchodzą na Pat (patrz jak drżą mrówki topione w miodzie). Pamięć wciąż dudni o wnętrze warg. Zamrożone wspomnienia zaczynają pękać i rozpyływać się w ustach, wyciekając strużką („jak ty wyglądasz”). Pat spłukuje po sobie i dotyka brzucha, wciskając w niego opuszki po kolei, jakby badała ciasto przez papier, sprawdza, jakie nadzienie kryje. „Tymczasem mapa jest praktycznie do wyrzucenia, psu z gardła” prezenzterka z naszej ekipy poprawia grzywkę i udaje dąsy.

Dwa miesiące wcześniej

Nasza biedna Pat zamartwia się przeszłością, o, dokładnie tak, że „oni wszyscy” się mogą dowiedzieć, a poza tym. Widzieli. Kelnerka widziała, Pat pamięta jak (z pełnymi ustami) śmiała się do tej kelnerki, kiedy Pablo wyrwał jej telefon. I zaczął z niego dzwonić pod swój numer. A następnie zapisał ją na karcie sim. Pat pamięta jak wzruszyła wtedy ramionami do kelnerki, a jej spojrzenie było uśmiechem. Jak koleżanki, które rozumieją się na oczy (choć kelnerka widziała niejedną kurwę, taką droższą i uśmiechała się, bo wśród nich Pat jedyna miała warkocz i pantofelki).

A Pablo zapisał numer Pat i zatarł ręce. (Pat nie mogła jeszcze wtedy wiedzieć, że wszystkie swoje drogie kosmetyki, którymi poprawiała makijaż, siedząc zdyszana na kiblu. Zostawiła tam rozrzucone na szklanej podłodze, pod którą pływały żółte ryby. I tylko dzięki temu, że zgubiła trzysta złotych w tuszu, pudrze, różu i pomadce, będzie mogła bezpiecznie schronić się następnego dnia w przerażeniu o te kosmetyki, o te inwestycje, które pokryły jej twarz, nieskazitelnie trwają do rana. Nie będzie musiała natychmiast się bać wstydu. Będzie mogła płakać po kosmetykach.) Kiedy następnego dnia wstała, miała włosy kręcone z warkoczem, rzęsy wciąż długie. Ale bez szminki. Wstała i upadła na łóżko, niczego się nie spodziewała po swoim ciele, oprócz rumieńców po dobrym śnie z wódki. Piekły ją plecy, piekły ją oczy. Pablo zaczął dzwonić po południu, a ona wciąż chciała odebrać. Choć wsadził jej 20 złotych w rękę, kiedy wsiadała do taksówki i zapytał, kiedy skończy jej się okres. (Teraz Pablo!)

I Pat wciąż nie może usunąć ze swojego ciała tamtych wydarzeń. A techniki czyszczące, wybielenie, zmiana wystroju i kneblowanie odgłosów codziennego dreptania – tylko rozmazują plamę. Zakazanie się rozprzestrzenia. Należy więc zwalczyć chorobę zniszczeniem żywiciela. Nowa Pat będzie wyjątkowo gładka od blizn, nikt się za nią nie obejrzy. [Tymczasem wciąż jest nabrzmiałym owocem dla ekipy, która obлизuje skórę i nadgryza, sącząc światło na Pat z (tych wszystkich) lamp (przez filtry również/bardziej przeżera).]

I tak

Pat nie musi patrzeć na mapę, żeby widzieć ludzi, Ludzi. I tak pękają od nich okna w mieszkaniu Pat, i tak uderzają w szyby rozpędzeni. Pozlepieni z piachem na swój cukier + wodniste języki. W kule (strzelają oczami, wiercą dziury).

(Wszyscy ci ludzie przesypują się przez ciało Pat a Pat prostuje się w kącie, niepotrzebnie rozmawialiśmy o mapie, tylko się przeleżała nasza bohaterka.)

W garść

Jednak potrafi zamknąć się w garść.

Będzie po prostu udawać poważną (choć rozmnożone skargi na nią i jej strach mają mocne zęby + ich działają twardej).

A hałas podchodzi pod okna Pat. Strach wzbiera w ścięgna (jednak to mleko jeszcze nie kipi). Pat chucha na podnoszący się kozuch wcielając się w rolę, przed chłopcami, którzy ją nachodzą, często z prezentami (umarłego pogrzebać) lub tylko pachnący. A ona ich wypuszcza. Dzięki temu czuje się normalniejsza, nie taka wyobcowana, chociaż jest tylko głęboką miską dla nich, do całowania, dna i brzegów.

Dwa miesiące wcześniej

Wtedy, przez następne dwa dni wciąż wymiotowała, jakby jej ciało chciało pozbyć się wszystkiego, co przyjęło. Myślała, że wyrzyga w miskę migdałki i zęby, a rura przeloty, że się wywinie na drugą stronę. Jadła na siłę, jadła, jakby ciśnienie tłumiła korkiem. Jednak fajerwerki. Och jaka biedna, jak jej szkoda, nasikał jej w usta a ona nie może tego przeżyć.

Wersja Pat

I zaraz, za chwileczkę, Pat twardnieje i – mamy ją, już! Już się pozbywa myślenia. Już jest przemiłą gospodynią. (Zbliżenie na twarz pełną mleka i drożdży.) Wspaniale ucieka, slalomem pomiędzy płomieniami tego strumienia ilości/strachu. Ucieka i oto wybiega do nas twarzą. A to jest twarz gospodarnej dziewczyny, która postanowiła upiec ciasto.

Pat porzuca więc niedorzeczne, ach jak mogła być tak głupia, Pat porzuca imaginacje, otrzepuje się, wstaje z kąta. Będzie teraz piec, o proszę, jak rękawicę bokserką szybkim ruchem nakłada grubą kuchenną osłonę od wrzątku. (Chociaż tylko wrzątkowi można wierzyć w kwestii zabicia brudu, a więc wstydu, a więc oskarżeń o jego przyczynę.) Pat ma jeszcze spocone plecy po tym strachu, który jej przygryzł wargę w grymasie (a jeszcze tego wykrzywienia twarzy nie zauważyła). Z taką oto skurczoną brodą wesoło odgarnia kosmyk włosów z czoła i już, zawiązuje fartuch, szklankami odmierza, w kuchni swojej metalowej. Pozostały jej skórki od jabłek, oczywiście może je wyrzucić, nawet należałoby, zła dziewczynko, jednak co za piękny skręt, jak długie spirale (obciążający je miąższ ciemniejszy). Skórki leżały, co prawda, już kilka tygodni, to prawda, kurcząc się i ściągając muchy (z których niejedną już Pat rozgniotła). „Pat, czy to są właśnie twoje umiejętności hobbystyczne, tak spędzasz wolny czas, szykując znajomym wypieki, czy używasz do tego żywego owocu, ażeby puścić sok? No pokaż nam, nie trzeba się wstydzić”. Mikrofon wyciągnięty w stronę Pat mówi się prądem.

Placek Patrycji, część 1.

(Udekorujemy skórkami ciasto, upieczemy placek owocowy.) Piecze więc Pat ciasto, włączyła sobie radio i jak pięknie, skorupki brzegiem ręki do śmietnika i oto co tam widzi. Odpadki! (resztki mięsa, waciki, pióra, puste butle po domestosie). Ma już plan, co robi, kiedy ciasto wstawi do piekarnika. Pójdzie wyrzucić śmieci i och, jak wspaniale tym zagospodaruje czas, mogąc się cieszyć użytecznością sprzętów kuchennych takich jak pralka albo kuchenka, tyle kobieta może dzięki temu zrobić, nic nie robiąc, większa wydajność. O, i rodzinę są. Ciasto można urozmaicić, dobre na pracę jelit. Pat coś boli w twarzy, co to może być? Dotyka z zaniepokojeniem swojego podbródka („zapomniałam się rozluźnić”).

Pat więc wyciąga wargę spod zębów i oto już, jest piękną kobietką w biało-czerwonej kratce oraz ma czyste paznokcie i szykuje tu państwu ciasto, jakie aromatyczne.

Miasto

(A Miasto wciąż kielkuje pniami pięt i nachyla się w kierunku centrum dzielnicami na „obrzeżach”). Gdyby Pat mogła zebrać chociaż ludzi mieszkających w kolorowych blokach, w garść, jak orzechy, wrzuciłaby ich na gaz i włączyła okap, ponieważ jak się pali włosy, to śmierdzi. Później urznęłaby bulwy opustoszałych osiedli i wetknęłaby zgrabne Miasto do doniczki własnego horyzontu. Czekalaby aż zakwitnie i ucinąłaby młode lby na bieżąco. Miasto jest jednak wezbrane i krzyczy na Pat, wie wszystko, wie, czemu Pat ukrywa się w mieszkaniu, wie, czemu Pat mieszkanie odczyszczają i wie, czego Pat w tym brudzie szuka. Ale stop. Pat przecież piecze ciasto!

Placek Patrycji, część 2.

Oddziela żółtko od białek, miesza, mąkę dosypuje i dmucha w nią i chmura pyłu brudzi jej twarz a ona z siebie się słodziutko śmieje („szybko, dawać jej nos i usta”). I uspokaja się, oblizuje palec, wsypuje cukier, jakby łała wodę. I miesza, margarynę wkraja, ciężką kostkę wrzuca i rozdrabnia nożem, stukła w stół, ustawiając piekarnik, zaczyna nucić melodię razem z radiem, a ptaków świergot rozlega się za oknem, brakuje tylko kota, który wygrzewałby się w słońcu, może małe dziecko jeszcze? Dziecko, raz! W skarpetkach niech stanie w progu kuchni, o pytających oczach, niech gryzie paluszek i poliki ma umazane nutellą, bo jest to psotnik i wyjadł. I jest to chłopiec, ponieważ Karol na przykład, chciałby chłopca, a dziś przychodzi Karol. A Karol lubi ją w przebraniu młodej mężatki o włosach spiętych kokardą.

Miasto

(A Miasto pędzi łodygami wzdłuż kanałów podziemnych. Wytryska chodnikami na oceanach rond. Nadyma brzuch granic.)

Wiry

Ciasto rośnie w formie, a Pat patrząc na zegar, planuje, na jak długo będzie mogła uciec od myślenia, robiąc makijaż i dobierając bieliznę przed przyjściem Karola oraz czy dać mu ciasto palcami czy na języku. (Podkład muzyczny pt. „Relaks” – włączcie mi tam! Prezenterka poprawia włosy i nasłuchuje z dłonią przy uchu, oczekuje + „z kim ja pracuję, natychmiast!”.) Pat zostało pięć godzin. Słyszy jak pralka wiruje odkażone wrzątkiem ręczniki pełne krwi, zasłony pełne szminki. (Rzeka w Mieście wiruje, ponieważ tu wszystko tylko udaje bezruch. Tak szybko się porusza, że traci kolor i krawędzie, stając się mieszaniną hałasu. Słońce w centrum Miasta syczy światło przez wieżowce. Fruwa wata cukrowa na strzępy, neony delikatesów podmieniają księżyc conocnie. I pozorny spokój zostaje zachowany wśród przepastnej ilości. Gdzieś w jej porażającym blasku słysząc szum, który podąża za Pat po całym mieszkaniu, w żadnym pokoju nie jest cicho na wylot.

Pat przyzwyczaiła się do tego szemrania pamięci i nawet już się nie drapie.)

Komentarz

(Porobiło się Pat tak może nie od razu, ale mniej więcej od czasu, kiedy taka ładna i fresh, jak mówił Pablo, wydmuchała wewnątrz swojej głowy w Stali, właśnie. I w piszczącej próżni dała z siebie zrobić lalkę do wsadzania palców – „to informacja dla widzów, którzy dopiero teraz”).

Dwa miesiące wcześniej

A dwudziestego ósmego lipca czas wylażał soki spod siebie i do tej pory się krzywi, zgina w pół. Trwa, bez

karnawału i kierunku. Odsłania swój układ rozrodczy, śmierdzi stamtąd kacem, tłustym mlekiem, likierem, biżuterią pocieraną opuszkami do rozgrzania i świeżo startym zarostem. Nie powinna o tym mówić. Powinna to sprzątnąć.

W sobie

Pamięć zyskała w Pat sporo miejsca, odkąd awansowała na stanowisko strachu. Pat nie boi się przecież przeszłości, ale tego, co z niej przesiąka (pamięć). Pamięć zamknięta w lupinie przeszłości rośnie, obie rosną w sobie. Bogactwo było mięśniami tkwiącymi jeszcze głębiej, migdał ukryty w cieście (na szczęście, „się nie udławi”). Było zbiorem rafinowanych nadziei i zdjęć z dzieciństwa, planów gospodarowania przyszłością. Pat przecież kiedyś była małą dziewczynką i czy pomyślałaby wtedy, że jej ktoś wsadzi butelkę, na przykład w dupę? Lub będzie próbował. Najtwardsze kości Pat były budowane z bogactwa (trochę się teraz pozmieniało, kaleko brudna, szkielec masz spróchniały, mięśnie zakażone/zaparzone, bogactwo wyrwane z pamięci z korzeniami, jeszcze ciepłe i mokre porwały czyjeś zęby, „jakże ono odżywcze!”). Pablo wydłubał z Pat bogactwo i je połączył, jak witaminy, na pewno. Ponieważ jest „zaskakująco” promienny i ma piękną cerę na zdjęciu, które Pat znalazła w Internecie w tamtym tygodniu. I teraz codziennie się mu przygląda, można by pomyśleć, że się zakochałaś, małeńka Pat. („Pablo, jak lekko trzymasz kieliszek szampa na zdjęciu i masz loczki, Pat nie pamiętała, że masz loczki”).

Dwa miesiące wcześniej

Pablo nakrył Pat pospiesznie i krzywo atlasową fioletową płachtą, pchnął w dół jej ramię („cisza!”). Kiedy do pokoju weszła kelnerka z tacą drinków i papierosami, (rozglądała się dyskretnie szukając szkła, które mogłaby doliczyć do rachunku). Ale szkło Pat już dobrze schowała pod plecami. Leżała oto skulona pod śliską kołderką i wychylała tylko buzię. Zapewniła promiennym głosem, że wszystko w porządku (taca błyszczała, Pat mrużyła oczy), bo doprawdy – miała nago prosić kelnerkę? (Przytrzymując przy piersiach płachtę, ocierając spocone skronie, odgarniając białą rączką kosmyki.) Miała nago prosić: „moja droga przynieś mi gorącą czekoladę i wezwij policję, bo czuję się gwałcona”? A czemu? Krzywda jej się dzieje? Niech się wstydy lepiej, paluszek na ustach położy, zamilknie i zastanowi się. Bo widać było przecież, jak świetnie się bawi, jakże szampańsko. Szpilki po kątach, spodnie wykopane pod ścianę, kieliszki się turlają, powietrze zapchane potem i upałem. A Pablo naszą Pat przyjemnie obejmuje i gładzi po dłoni, Pat się uśmiecha. „Wszystko w porządku” (i „poproszę

wodę mineralną”). Następnie opada na poduszki i zaraz czuje coś śliskiego (śliskiego?) na plecach. To z pewnością frędzle poduszek, jakie gładziutki, podczas gdy drzazgi kieliszka cichutko trzeszczą.

Pablo nalał jej wodę mineralną. Założył sobie majtki, dysząc nierówno (był śpiący i głodny, podczas gdy Pat połykała chłód, który uderzał w jej palce i żołądek). Poczula język i wytarła usta, strzepując z pleców okruchy. Wstała, trzymając się łóżka, macając w ciemnościach, wciąż ledwo rozróżniała kształty (mimo miliardów czerwonych światełek rozhuśtanych na ścianach). Pablo podprowadził ją do łazienki („ja się tylko idę załatwić, rozumiesz to po polsku to?!”), osobnej dla gości pokoju. Pat ciągnęła za sobą odnalezioną pod kołdrą torebkę, jakby prowadziła pieska na spacer. (Nasza kruszynka, nasza miła dziewczynka, pijana byłaś w sztok? Czy może tylko odebrało ci władzę w rękach? Sparaliżowało cię? Nie żartuj, naprawdę nie czułaś, że krwawi ci tyłek?) Zamknęła się w kabynie i wyjęła kosmetyczkę. Chłód potrząsnął nią, od stóp. Podświetlone akwarium w podłodze rzucało krople tęczy na sufit (Pat kołysała się ślicznie, oczy wzniesione, jakże romantycznie). Obudziła ją uderzenie skronią o pojemnik z papierem toaletowym. Wytrąciło to Pat z rytmu (ponieważ ból pojawi się jutro). Zaczęła więc ładnie ustawiać kosmetyki na podłodze (powtarzała na głos, żeby nie zapomnieć: „muszę poprawić makijaż” + szukała lusterka, a ono pękło). Rozstawiając puderniczkę, kredkę do oczu, tusz i róż przyglądała się wielkim żółtym rybom połyskującym pod szkłem („dzień dobry, mam trzy, no, mam jedno życzenie, okej” + histeryczny śmiech, który Pablo usłyszał). Potłuczone lustreczko postawiła na pojemniku na papier toaletowy, ściągnęła z włosów zakrzepłą maź, krew to czy ślina? Roztarła w palcach. Wytarła w ścianę. (Jednak odnalezienie siebie nie było proste) – kilkoro oczu na nią patrzyło z lusterka, a ona kucając szukała siebie w drzazgach. Upudrowała więc czoło na wycucie, przeciągnęła gąbką po nosie (poślizgnęła się). Morele z elektrycznego odświeżacza (przecież Stal jest polecana w przewodnikach) a magnolie w wazonie obok mydła. „Generalnie luksus” (powiedziała na głos i już jej było wstyd – no proszę). Nos przeżerał od wewnątrz zapach podłogi, chlor z perfumami.

Pat wyjęła telefon z torebki dopiero, kiedy umalowała usta („przecież pamiętam gdzie mam wargi” – macała nad brodą, delikatnie, palcami, których nie czuła, a usta znikwały w zębach).

Pat

Pat wohnt in der Wohnung ihrer verstorbenen Großmutter. Die reinste Verschwendung, seit Mitte Juni. Die lieben Eltern sponsern sie, auch darum beneiden wir sie, jedoch ohne jeden Grund, wovon eben unser Programm erzählen wird, Sie sehen nun Pats Metamorphose: und es ward Pat. Zeigen wir also, wie dieses Püppchen lebt. (Man blickt hier aus den Fenstern auf die STADT im September, die Erinnerung drückt ständig ihren Stempel auf das Datum, Regenzeit 2010, wie die Zeit uns in Null komma nichts beschleißt). Die STADT ist hier weich

und warm, dickflüssig und aus Pulver, schließlich entstand sie aus einer Mischung aus Mensch und kochendem Wasser. (Und die in der STADT eingeschlossenen Luftblasen ermöglichen es den Bewohnern, Atem zu holen. Es wohnen hier mehrere Hunderttausend oder Millionen, die über die Bürgersteige rinnen.) Unsere Hauptheldin, was sag ich, unsere einzige Heldin, Pat („nun zeig dich schon“), will sich all diese Menschen nicht vorstellen, diese Mengen von Köpfen, Augen, Fingern und insbesondere Wörtern. Tagsüber ist es schlimmer als ein Traum.



© Katja Hofmann 08/08/10_London: Regent's Park

Beginnen wir jedoch endlich mit unserem Spiel/Spaß, los geht's.

Bio
Achtung, ganz fertig, Pat? Was haben wir denn hier, womit beginnen wir, vielleicht stellst du dich einfach mal vor, Pat, worüber denkst du am liebsten oder deine Lieblingsbeschäftigung, beides zugleich wäre schließlich schwierig (eine Lachsalve), beides zugleich hol's der Teufel. Die Heldin unseres Programms „Härter härter härter“ (verbeug dich, oh, toll, oh) ist fünfundzwanzig Jahre alt, und was bist du für Sternzeichen? Und präsentiert uns Eigenschaften, ganz allgemein („ich weiß nicht, ob das so ein großer Fehler ist, dass du gern putzt, Pat, Pat, so werden wir dich nennen, einverstanden?“). Ich weiß nicht, ob Sie das auch so gut sehen können wie wir hier, ich erklär's Ihnen, Pat zeigt uns eben gerade ihre Lieblingsbeschäftigung, wir werden dich live begleiten, sogar unser Kameramann Tomek, hi, lacht. Ihr könnt nicht glauben, was hier los ist! Tomek rüttelt an der Kamera (wie die Zuschauer sehen können), Pat, wink Tomek zu und dann kümmer dich, nicht wahr, um deine

Sachen. (Pat ist jetzt in einen weißen Vorhang eingewickelt, den sie mit ihren Küssen schmutzig macht. Sehen Sie selbst, was du für einen roten Mund hast, Pat, dafür kann man dir sogar acht Punkte aus zehn geben, schließlich hast du einen abgebrochenen Zahn, Kind, für deine Unerschrockenheit bekommst du dafür einen Zehner und kommst in die nächste Runde.)

Naschereien

Pat umarmt auch den Vorhang, so als würde sie jemanden in die Arme schließen. Sie streicht sich über das Haar und gleitet mit der Wange aus Puder und Rouge immer wieder über den Stoff, bis sie mit dem Ergebnis zufrieden ist. Ein kräftiger Fleck. Sie beugt sich vorbildlich nach unten (die Wirbelsäule wird noch bis zum späten Tod gebraucht) und zieht ihre Schühchen aus. Sie ist gerade erst von den Mülltonnen zurückgekommen. Unser Filmteam hat sie an der Tür angetroffen, also folgen wir ihr, folgen wir Pat, sie aber scheut. Liebes Kind, erlaube uns, dich zu beobachten, mehr wollen wir schließlich nicht, bis. Du, die Pat von heute und damals, dich selbst auffrisst, sowieso, guten Appetit („nicht beim Essen“).

Ja Naschereien sind wir uns selbst. Du läufst durch die Wohnung, Pat, entwischst uns, die Jagd auf dich dauert an, derweil wirst du gefilmt, und wir lachen uns in die Ärmel. Zeig, Pat, was stellst du da an?

Epilog

[Zu Beginn können wir Ihnen nur so viel verraten, dass Pat in einer schwierigen Situation steckt, dass sie sich die Haare rauft, etwas beugt sich nach unten, schaut ihr in die Augen, hast du Leid im Leib, Pat? Sie eher „ich weiß es nicht“, neigt aber zu einem „Ja“. Und damit „kommt sie nicht zurande“ seit zwei Monaten schon, also beseitigt sie das Gedächtnis und wird zum Folgemenschen, ohne Erinnerungen, dafür mit ausgedehntem Brachland, mit herrlichem Blick auf die Zukunft. Aber bis auf Weiteres reduziert sie sämtliche Erinnerungen auf einen gemeinsamen Nenner, kürzt sowie reinigt ihren Körper und wirft die Sachen aus der Wohnung, wie auch anders, nichts darf in ihrem zukünftigen Leben an die Vergangenheit erinnern, man muss (auch) das Fleisch bis auf die Knochen entfernen. Jetzt verstehen Sie auch (ich gebe das nur vertraulich weiter), dass wir uns im Sender dafür interessiert haben, zumal die STADT (nicht zu glauben) beunruhigt ist wegen der fehlenden Berichterstattung, denn sie würde gern mehr wissen (das ist ihr gutes Recht). Das Mädchen ist schließlich fähig/ehrgeizig zu allem, wie sollte man ihr da nicht helfen + sich das nicht ansehen.]

Sich das ansehen

Pat nimmt Haltung an vor unseren Augen, schließlich steht hoch im Kurs, was vorsteht. Insbesondere wenn ihr von dieser Anspannung „das Herz platzt“. Uns schlägt der Strom die Stunden, unsere Kameras schlafen nicht, fressen pausenlos kilogrammweise Watt. (Die Wärme, die sie abstrahlen, wird jetzt Pat erwärmen.) Sie aber reinigt sich, reißt sich elegant die Haut herunter, jetzt zeig dich doch mal, dürfen wir mit der Kamera in deinen Körper? Dann zumindest dein schorfbedecktes Korallenmündchen, deine verführerischen, (blut)vollen Lippen. Niemand hat uns hier eingeladen, aber darauf beruht ja gerade der Spaß (Überraschung!). Wir werden von nun an einfach Pat mit der Kamera folgen inmitten ihrer Fehler, und sie wird sich versuchen loszureißen wie eine, die festgehalten wird. Sie ist (speziell) für Sie auf Sendung, im Fernsehen, Internet, im Himmel und auf Erden, unsere liebe Pat, die Berühmtheit der STADT, sie wird sich nicht mehr vor sich selbst verstecken. Sie ist nichts weiter als diese klägliche Schutzschicht (die sie im Übrigen abkratzt – neugierig wie sie ist). Und wir gehen mit ihr auf Reisen, die ganze STADT wartet ja nur darauf, dass das Mädchen krepitiert. Aber in mehreren Folgen. Wir wissen schließlich, was sie für ein Mensch ist, was für ein Tier, deswegen sind wir hier und werden dich aufzeichnen, Pat, mach dich auch auf Fragen gefasst („Hast du an jenem Abend Alkohol getrunken?“ – ja/nein).

Reichtum

(Und ansonsten:) Man hat deinen Reichtum herausgerissen, sein Mutterkuchen blieb zerfetzt zurück. Der Mangel, der sich jetzt in ihm gemütlich macht, tritt und

wächst. (Und die Angst spannt ihre Stengel in deinem Körper und drückt nach außen, deshalb platzst du wie die Bürgersteige.) Können saubere Räume, eine blankgescheuerte Haut und ein Ausbleichen des Gedächtnisses dein neuer Reichtum werden? Leere Magazine zum Einrichten der besten Adresse in der STADT? Du räumst schließlich die Wohnung aus, hast du schon alles weggeworfen, schon. Alles außer den Möbeln (es ist Zeit, sie vorsichtig anzuzünden, damit Wände und Fußboden nicht Feuer fangen). Unterdessen dreht das Filmteam deine Haare um die Finger und folgt dir, während du immer noch mit der Nase über den Boden gehst, eine perfekte Hausfrau (wer ist hier der Besitzer?).

Kommentar

Blieben Sie dran, die Reportage über Pat werden wir natürlich auch zusammenschneiden und auf DVD herausgeben, jedoch was für eine Gelegenheit ohne Betäubung dieser stillen Hure ins Auge zu sehen, die seit zwei Monaten hier Buße tut und ihre Schuld noch nicht abgebußt hat, die seit zwei Monaten sich reinigt und immer noch nicht sauber ist. Deine Geschichte hat es uns angetan, Pat, wir rösten sie aus deinen Augen. Zwei von der Glut aufgeblähte Körner, schau nicht „so“, sondern benimm dich, natürlich, als gäbe es hier niemanden. Erlaubst du, dass ich rauche, in der Zwischenzeit leb ganz normal, gerade das interessiert uns, was du privat so treibst.

Die STADT

Die STADT, wenn sie sich denn (wirklich) an Pat erinnert, würde sagen, dass es ihr zu Arsch gestiegen ist. Die STADT ist jedoch beschäftigt mit ihrer Fortpflanzung und ihrem grauen Blut, das sie vergießt, um von Neuem zu trinken (die Bürgersteige platzen schließlich irgendwo).

Stadtplan

Die STADT hat einen Stadtplan, wenn Pat ihn betrachtet, sieht sie Folgendes: In die beschleunigten Lichter werden Menschen geschüttet, und ihre Bewegungen, ihr Murmeln, ihr Körpergeruch lösen Wellen der Erinnerung aus, die durch Pat hindurch in die Freiheit drängen. (Sie strömen durch sie und spreizen die Klauen.) Und die vom Stadtplan befreiten Menschen zerstreuen sich und nähern sich, dem Geruch folgend, Pat, besteigen Pat (schau wie die in Honig getauchten Ameisen zittern). Das Gedächtnis trommelt immer noch gegen die Innenseite der Lippen. Eingefrorene Erinnerungen beginnen zu platzen und im Mund zu schmelzen, fließen aus ihr heraus („wie du aussiehst“). Pat wäscht hinter sich weg, berührt den Bauch, in den sie eine Fingerkuppe nach der anderen hineindrückt, so als würde sie durch das Papier den Teig betasten, prüfen, womit er gefüllt ist. „Mittlerweile kann man den Stadtplan praktisch wegwerfen, zerknittert bis zum Gehnichts mehr“, die Moderatorin unseres Filmteams bringt ihr Pony in Ordnung und tut so als würde sie schmollen.

Zwei Monate früher

Unsere arme Pat grämt sich um ihre Vergangenheit, ja genau so, dass „sie alle“ es erfahren können, und außerdem. Sie haben es gesehen. Die Kellnerin hat es gesehen, Pat erinnert sich, wie sie (mit vollem Mund) der Kellnerin zugelacht hat, als Pablo ihr das Telefon aus der Hand riss. Und damit bei sich anrief. Anschließend speicherte er sie auf seiner SIM-Karte. Pat erinnert sich, wie sie damals die Kellnerin angelächelt und mit den Achseln gezuckt hat. Wie Freundinnen, die sich mit den



Augen verstehen (obwohl die Kellnerin schon viele Huren gesehen hat, von diesen teureren, lächelte sie, denn Pat war die einzige von ihnen mit Zopf und Schühchen). Und Pablo speicherte Pats Nummer und rieb sich die Hände. (Was Pat damals noch nicht wissen konnte, sie hatte alle ihre teuren Kosmetika, mit denen sie ihr Make-up ausbesserte, während sie keuchend auf dem Klo saß, dort auf dem gläsernen Fußboden verstreut liegengelassen, unter dem gelbe Fische schwammen. Und nur weil sie dreihundert Zloty an Wimperntusche, Puder, Rouge und Lippenstift verloren hat, wird sie am nächsten Tag sicheren Unterschlupf finden können in der Angst um diese Kosmetika, diese Investitionen, die ihr Gesicht bedeckten, die ohne jeden Makel bis morgens halten. Sie wird nicht sofort die Scham fürchten müssen. Sie wird die Kosmetika beweinen können.) Als sie am nächsten Tag aufstand, hatte sie vom Zopf lockiges Haar und immer noch lange Wimpern. Aber ungeschminkt. Sie stand auf und sank aufs Bett zurück, sie erwartete nichts von ihrem Körper, außer gerötete Wangen nach einem guten Wodka schlaf. Ihr Rücken brannte, die Augen brannten. Pablo begann am Nachmittag anzurufen, und sie wollte immer noch abheben. Obwohl er ihr 20 Zloty zugesteckt hatte, als sie ins Taxi eingestiegen war, und gefragt hatte, wann ihre Tage vorüber wären (Jetzt Pablo!)

Aber Pat kann jene Ereignisse immer noch nicht aus ihrem Körper verbannen. Reinigungstechniken, Bleichen, Sich-Neu-Einrichten und die unterdrückten Geräusche des Alltagstrotts – verschmieren den Fleck nur. Die Infektion breitet sich aus. Es gilt die Krankheit zu bekämpfen, indem man den Wirt vernichtet. Die neue Pat wird keimfrei und glatt von Narben sein, niemand wird sich nach ihr umdrehen. [Indessen ist sie immer noch eine angeschwollene Frucht für das Team, das ihre Haut ableckt und ein Stück abbeißt, während aus (all diesen) Lampen Licht auf Pat sickert (durch die Filter wird sie auch/nach mehr zerfressen).]

Auch so

Pat muss nicht auf den Stadtplan schauen, um Menschen zu sehen, MENSCHEN. Auch so bringen sie die Fenster in Pats Wohnung zum Bersten, auch so prallen die Auseinandergetriebenen gegen die Scheiben. Die mit Sand an ihrem Zucker Zusammengeklebten + wässrige Zungen. Zu Kugeln (sie machen schöne Augen, bohren Löcher). (Alle diese Menschen rieseln durch Pats Körper, während Pat sich in der Ecke ausrichtet, unnötigerweise haben wir vom Stadtplan gesprochen, unsere Heldin hat sich darüber nur erschrocken.)

In die Hand

Dennoch ist sie in der Lage, sich in die Hand zu nehmen. Sie wird einfach einen auf ernst machen (obwohl die vermehrten Klagen über sie und ihre Angst starke Zähne haben + ihr Zahnfleisch verhärtet sich). Währenddessen nähert sich der Lärm Pats Fenster. Die Angst schwillt in den Sehnen (jedoch die Milch kocht noch nicht über). Pat haucht gegen die sich hebende Haut und spielt ihre Rollen, vor den Jungen, die ihr unangekündigte Besuche abstatten, oft mit Geschenken (den Toten zu begraben), manchmal nur parfümiert. Und sie lässt sie herein. Dadurch fühlt sie sich normaler, nicht so entfremdet, obwohl sie für sie nur eine tiefe Schüssel ist, zum Küssen, bis zum Boden und zu den Rändern.

Zwei Monate früher

Damals erbrach sie zwei Tage lang an einem Stück,

als wollte ihr Körper alles loswerden, was er zu sich genommen hatte. Sie glaubte, sie würde ihre Mandeln und Zähne in die Schüssel kotzen, und die Speiseröhre würde sich nach außen stülpen. Sie aß, was das Zeug hielt, sie aß, als würde ein Korke den Druck zurückhalten. Dann aber doch Feuerwerke. Oh, die Arme, wie sie einem Leid tun kann, er hat ihr in den Mund gepinkelt, und sie kommt nicht darüber hinweg.

Pats Version

Und sofort, Moment, verhärtet sich Pat und – jetzt haben wir sie! Jetzt macht sie sich vom Denken frei. Jetzt ist sie eine liebenswerte Hausfrau (Nahaufnahme des Gesichts voller Milch und Hefe). Wie wundervoll sie flieht, im Slatom zwischen den Flammen dieser Menge Strom/Angst. Sie flieht, und nun kommt sie mit dem Gesicht auf uns zugelaufen. Es ist das Gesicht eines tüchtigen Mädchens, das beschlossen hat, einen Kuchen zu backen. Pat verwirft also unsinnige, ach, wie konnte sie so dumm sein, Pat verwirft ihre Phantasien, klopf sich ab, erhebt sich aus der Ecke. Sie wird jetzt backen, na bitte, als würde sie boxen zieht sie mit einer schnellen Bewegung den dicken Handschuh zum Schutz vor kochendem Wasser an. (Obwohl man nur dem kochenden Wasser glauben darf, wenn es um die Dreckbeseitigung geht, also die Scham, also die Beschuldigungen, deren Verursacher zu sein.) Pat klebt noch der Schweiß auf dem Rücken von der Angst, der ihr die Lippe zu einer Grimasse gebissen hat (die Verzerrung des Gesichts hat sie aber noch nicht bemerkt). Mit so einem zusammengekrampften Kinn streicht sie sich fröhlich eine Haarsträhne aus der Stirn, und schon geht's los, sie bindet sich eine Schürze um, misst in Gläsern ab, in ihrer doch so metallenen Küche. Apfelschalen sind übriggeblieben, natürlich könnte sie sie wegwerfen, sollte sie eigentlich sogar, böses Mädchen, jedoch was für eine schöne Krümmung, was für lange Spiralen (das sie beschwerende Fleisch wird dunkler). Die Schalen lagen, wie wahr, schon mehrere Wochen herum, wie wahr, schrumpften vor sich hin und lockten die Fliegen an (von denen Pat bereits einige zerquetscht hat). „Pat, sind das also deine Hobbys, verbringst du deine freie Zeit damit, dass du für Bekannte backst, benutzt du dazu eine lebendige Frucht, damit sie Saft lässt? Zeig es uns doch, du brauchst dich nicht zu schämen.“ Das Mikrophon, das in Pats Richtung gestreckt wird, wimmelt vor Strom.

Patrycjás Kuchen, Teil 1

(Wir verzieren den Kuchen mit Schalen, wir backen einen Obstkuchen.) Pat backt also einen Kuchen, sie hat den Dudelkasten angestellt, wie schön, die Schalen mit der Handkante im Mülleimer, und was sieht sie da. Abfälle! (Fleischreste, Wattetupfer, Federn, leere Domestos-Flaschen). Sie hat schon einen Plan, was sie tun wird, wenn sie den Teig in den Backofen geschoben hat. Sie bringt den Müll weg und ach, wie wunderbar sie von der Zeit Gebrauch macht, gleichzeitig kann sie sich an der Nützlichkeit von Küchengeräten wie der Waschmaschine oder dem Herd erfreuen, wie viel eine Frau auf diese Weise tun kann, ohne etwas zu tun, größere Effektivität. O, Rosinen gibt es auch. Man kann den Kuchen variieren, er ist gut für die Gedärme. Pat tut etwas im Gesicht weh, was kann das sein? Sie berührt besorgt ihr Kinn („ich habe vergessen, mich zu entspannen“). Pat zieht also die Lippe unter den Zähnen hervor und schon ist sie ein schönes, rot-weiß kariertes Weibchen,

sie hat saubere Fingernägel und macht hier für Sie einen Kuchen, und wie gut der riecht.

Die STADT

(Und die STADT treibt ständig Stockwerkstämme aus, und die Außenbezirke beugen sich Richtung Zentrum herunter.) Hätte Pat die Menschen, die in den bunten Blocks wohnten, zusammenbringen können, in einer Hand, wie Nüsse, dann hätte sie sie in die Herdflamme geworfen und die Abzugshaube angemacht, denn wenn Haare brennen, stinkt das. Später hätte sie die Knollen der verlassenen Wohnsiedlungen abgeschnitten und die wohlgeformte STADT in den Blumentopf des eigenen Horizonts gepflanzt. Sie hätte gewartet bis sie blüht und die jungen Köpfe immer gleich abgeknipst. Die STADT ist jedoch angeschwollen und schreit Pat an, sie weiß alles, sie weiß, warum sich Pat in der Wohnung versteckt, sie weiß, warum Pat die Wohnung putzt und weiß, was Pat in diesem Dreck sucht. Aber stopp. Pat backt schließlich einen Kuchen!

Patrycjás Kuchen, Teil 2

Sie trennt das Eigelb vom Eiweiß, rührt, schüttet Mehl dazu und bläst hinein und eine Staubwolke legt sich auf ihr Gesicht, sie aber lacht possierlich über sich selbst („schnell, auf ihre Nase und ihren Mund halten“). Sie beruhigt sich, leckt den Finger ab, schüttet Zucker hinein, als wäre es Wasser. Und verrührt alles, sie schneidet die Margarine in Stücke, wirft einen schweren Würfel hinein und zerkleinert ihn mit dem Messer, klopf gegen den Tisch, beim Einstellen des Backofens beginnt sie mit dem Radio im Chor eine Melodie zu summen, während draußen Vogelgezwitscher ertönt, es fehlt nur die Katze, die sich in der Sonne wärmt, vielleicht noch ein kleines Kind? Ein Kind, bitte! Es stünde in Socken mit fragendem Blick in der Küchentür, kaute am Finger, die Pausbäckchen mit Nutella verschmiert, denn es ist ein Schelm und hat das Glas leergegessen. Es ist ein Junge, denn Karol zum Beispiel würde einen Jungen haben wollen, und heute kommt Karol. Und Karol mag es, wenn sie sich als junge Ehefrau verkleidet, das Haar mit einer Schleife zusammengebunden.

Die STADT

(Und die STADT treibt ihre Stengel die unterirdischen Kanäle entlang. Wirft Bürgersteige aus auf den Ozeanen der Rondelle. Bläst mit dem Bauch Grenzen auf.)

Strudel

Der Kuchen wächst in der Form, und Pat schaut auf die Uhr und überlegt sich, wie lange sie den Gedanken wird entfliehen können, während sie ihr Make-up auflegt und die Unterwäsche für Karols Besuch auswählt, sowie, ob sie ihm den Kuchen mit den Fingern oder auf der Zunge geben soll. (Als musikalische Untermalung ein Stück mit dem Titel „Relax“ – wollt ihr das wohl spielen! Die Moderatorin bringt ihre Haare in Ordnung und lauscht mit der Hand am Ohr, sie wartet ungeduldig + „arbeiten denn hier nur Dilettanten, aber dalli!“.) Pat blieben fünf Stunden. Sie hört wie die Waschmaschine die im Kochgang desinfizierten Handtücher voller Blut, die Vorhänge voller Schminke schleudert.

(Der Fluss in der STADT strudelt, denn hier ist alles nur scheinbar bewegungslos. Er bewegt sich so schnell, dass er seine Farbe und Ränder verliert und zu einem Gemisch aus Lärm wird. Durch die Hochhäuser im Zentrum der STADT sickert Sonnenlicht. Zuckerwatte flattert in Fetzen, die Leuchtreklamen der Supermärkte täuschen

Nacht für Nacht den Mond vor. Und die trügerische Ruhe bleibt inmitten der unergründlichen Menge gewahrt. Irgendwo in ihrem erschütternden Glanz ist ein Rauschen zu hören, das Pat durch die ganze Wohnung folgt, in keinem Zimmer ist es gänzlich still. Pat hat sich an dieses Murmeln des Gedächtnisses gewöhnt und kratzt sich nicht mal mehr.)

Kommentar

(Pat ist vielleicht nicht gleich so geworden, aber in etwa seit eine so Hübsche und Freshe, wie Pablo sagt, sich im STAHL das Innere ihres Kopfes ausgeblasen hat, eben. Und in der quietschenden Leere eine Fingerpuppe hat aus sich machen lassen – das als Information, für die Zuschauer, die sich erst jetzt zugeschaltet haben“.)

Zwei Monate früher

Aber am achtundzwanzigsten Juli leckte die Zeit die Säfte unter sich aus und krümmt sich bis jetzt, klappt sich zusammen. Sie dauert an, ohne Karneval und Richtung. Sie enthüllt ihren Fortpflanzungsapparat, stinkt von dort nach Kater, fetter Milch, Likör, zwischen den Fingerkuppen warmgeriebenen Schmuck und frisch abgeriebenen Bartwuchs. Sie hätte nicht davon sprechen sollen. Sie hätte das wegräumen sollen.

Sie hätte das wegräumen sollen.

In sich

Das Gedächtnis nahm in Pat großen Raum ein, seit es zum Posten der Angst befördert wurde. Pat fürchtet sich schließlich nicht vor der Vergangenheit, sondern davor, was aus ihr durchsickert (Gedächtnis). Das in der Schale der Vergangenheit eingeschlossene Gedächtnis wächst, beide wachsen in sich. Der Reichtum war ein Muskel, der noch tiefer wurzelte, eine im Teig verborgene Mandel (zum Glück, „verschluck dich nicht“). Er war eine Sammlung raffinierter Hoffnungen und Bilder aus der Kindheit, Zukunftspläne. Pat war schließlich einmal ein kleines Mädchen gewesen und hätte sie damals gedacht, dass ihr jemand eine Flasche, zum Beispiel in den Arsch stecken würde? Oder es versuchen würde. Pats härteste Knochen waren aus Reichtum gebaut (das hat sich jetzt etwas verändert, du dreckiger Krüppel, du hast ein verfaultes Skelett, die Muskeln infiziert/wund gerieben, der samt Wurzeln aus dem Gedächtnis gerissene, noch warme und feuchte Reichtum wurde von jemandem mit den Zähnen zerfetzt, „wie nahrhaft!“). Pablo pulte aus Pat den Reichtum heraus und schluckte ihn hinunter, wie Vitamine, sicher. Da er ein „überraschend“ strahlendes Gesicht und einen schönen Teint hat auf dem Bild, das Pat in der letzten Woche im Internet fand. Und jetzt tagtäglich betrachtet, könnte man meinen, du hättest dich verliebt, kleine Pat. („Pablo, wie locker hältst du das Glas Sekt auf dem Bild und Löckchen hast du, Pat erinnerte sich nicht, dass du Löckchen hast.“)

Zwei Monate früher

Pablo deckte Pat hastig und schief mit einem samtene violettfarbenen Laken zu, drückte ihren Arm nach unten („still!“). Als die Kellnerin mit einem Tablett mit Drinks und Zigaretten hereinkam (sie sah sich diskret um, auf der Suche nach Glas, das sie auf die Rechnung setzen könnte). Aber das Glas hatte Pat gut unter ihrem Rücken versteckt. Sie lag zusammengekrümmt da unter der schlüpfrigen Decke und streckte nur ihr Mäulchen heraus. Sie versicherte mit freudestrahlender Stimme, dass alles in Ordnung sei (das Tablett blitzte, Pat blinzelte mit den Augen), also wirklich – sollte sie nackt die Kellnerin bitten? (Das Laken an die Brust haltend, die verschwitzt

ten Schläfen reibend, mit dem weißen Händchen die Strähnen aus der Stirn streichend.) Hätte sie nackt bitten sollen: „Meine Liebe, bring mir eine heiße Schokolade und ruf die Polizei, denn ich fühle mich vergewaltigt“? Aber wozu? Geschieht ihr Leid? Sie sollte sich besser schämen, ein Fingerchen auf den Mund legen, schweigen und sich besinnen. Man konnte schließlich sehen, wie prima sie sich amüsiert hat, in Champagnerlaune. Die Stöckelschuhe lagen in den Ecken, die Hose an der Wand, die Gläser kullerten umher, die Luft war mit Schweiß und Hitze verstopft. Und Pablo umarmt unsere Pat angenehm und streichelt ihr über die Hand, Pat lächelt. „Alles in Ordnung“ (und „ein Mineralwasser, bitte“). Anschließend sinkt sie auf das Kopfkissen und spürt gleich etwas Schlüpfriges (Schlüpfriges?) am Rücken. Das sind sicher die Fransen des Kopfkissens, wie glatt, während die Glassplitter leise knirschen.

Pablo goss ihr das Mineralwasser ins Glas. Ungleichmäßig keuchend zog er sich die Unterhose an (er war schläfrig und hungrig, während Pat Kälte geschluckt hatte, die ihre Finger und ihren Magen angriff). Sie spürte die Zunge und fuhr sich über den Mund, während sie die Glasstückchen aus dem Rücken wischte. Sie stand auf, hielt sich am Bett fest, tastete sich durch die Dunkelheit, sie konnte kaum mehr als die einzelnen Umrisse erkennen (trotz der Milliarden roten Lichter, die an der Wand flimmerten). Pablo führte sie zur Badezimmertür („ich muss mein Geschäft erledigen, verstehst du das auf Deutsch?“), zum Gästebad. Pat zog die unter der Decke gefundene Handtasche hinter sich her, als würde sie ihr Hündchen spazieren führen. (Unser Frauchen, unser liebes Mädchen, warst du sturzbesoffen? Hast du vielleicht nur die Kontrolle in den Händen verloren? Hat es dich gelähmt? Mach keine Witze, hast du wirklich nicht gemerkt, dass dein Arsch blutet?)

Sie schloss sich in der Kabine ein und holte ihr Kosme-

tikköfferchen hervor. Die Kälte schüttelte sie, von den Füßen. Das beleuchtete Aquarium im Fußboden warf Regenbogentropfen an die Decke (Pat schaukelte wunderschön, die Augen erhoben, wie romantisch). Sie wachte auf, als sie mit der Schläfe gegen den Toilettenpapierhalter schlug. Das riss Pat aus dem Rhythmus (denn der Schmerz kommt morgen). Sie begann also die Kosmetika hübsch auf dem Boden aufzustellen (sie wiederholte laut, damit sie es nicht vergaß: „ich muss das Make-up nachbessern“ + sie suchte einen kleinen Spiegel, und der platzte). Während sie die Puderdose, den Augenbrauenstift, die Wimperntusche und das Rouge ausbreitete, beobachtete sie die großen gelben Fische, die hinter dem Glas glänzten („guten Tag, ich habe drei, sagen wir, einen Wunsch, ok.“ + hysterisches Lachen, das Pablo hörte). Den zerbrochenen Spiegel stellte sie auf den Toilettenpapierhalter, aus den Haaren entfernte sie eine geronnene Schmiere, ist das Blut oder Speichel? Sie zerrieb sie zwischen den Fingern. Rieb sie an die Wand. (Das Sich-Wiederfinden war jedoch nicht einfach) – mehrere Augen schauten aus dem Spiegel auf sie, und sie suchte sich in der Hocke in den Splittern. Sie puderte sich die Stirn nach Gefühl, fuhr mit dem Schwamm über die Nase (rutschte aus). Aprikose aus dem elektronischen Duftspender (schließlich ist das STAHL in den Reiseführern ein Tipp) und Magnolien in der Vase neben der Seife. „Im Allgemeinen Luxus“ (sagte sie laut und schämte sich gleich dafür – na bitte). Der Geruch des Fußbodens, Chlor mit Parfümen zerfraß die Nase von innen. Pat nahm ihr Telefon erst aus der Handtasche, als sie ihren Mund fertig gemalt hatte („ich erinnere mich doch, wo ich meine Lippen habe“, tastete über dem Kinn, vorsichtig, mit den Fingern, die sie nicht fühlte, und der Mund verschwand in den Zähnen).

[Übersetzung: Andreas Volk]

► Пат

Пат живе у помешканні покійної бабці. З самого лише марнотратства, вже з середини червня. Люби батьки спонсорують їй таке життя, і ми також заздriamo їй через це, хоча немає підстав для заздри, і саме про це розповідь наша програма, ось на ваших очах відбудеться перетворення (і відбувається) Пат. Отже, ми покажемо вам, як живе ця лялечка. (А з її вікон видно середмістя, зараз воно вересневе, пам'ять відразу ж ставить печатки на датах, дощова пора 2010, як цей час рубає нас на скорочення). А ось і місто, м'яке і тепле, густе і зроблене з порошку, воно виникло після того, як людей перемішали з окропом. (А закупорені у місті повітряні бульбашки дозволяють мешканцям перевести подих. Тут живуть кілька сотень тисяч або й мільйонів, які перетікають з місця на місце по тротуарах). Наша головна, ні, що це я кажу, наша єдина героїня Пат („ану покажися всім“) не хоче уявляти собі всіх тих людей, кількості голів, очей, пальців, а особливо слів. Удень це гірше, ніж сон. Але час починати нашу гру/забаву, час на старт.

Біографія

Чи ти готова бігти, бігти до кінця, Пат? Що у нас тут, з чого почнемо, може, давай, розкажи про себе,

Пат, про що ти найбільше любиш думати, які твої улюблені заняття, хоча зрозуміло, що так відразу це складно (вибух сміху), отак ні з того ні з сього – це тільки людей насмішити. Героїні нашої програми „Сильніше, сильніше, сильніше“ (вклонися, о, саме так, чудово) двадцять п'ять років, а хто ти за гороскопом? І вона демонструє нам загалом такі свої риси („навіть не знаю, чи те, що ти любиш прибирати, це вада, Пат. Ми називатимемо тебе Пат, гаразд?“).

Я не знаю, чи наші шановні глядачі теж бачать все це так само добре, як ми тут, у студії, вже пояснюю, Пат саме демонструє нам свої улюблені заняття, ми будемо супроводжувати тебе наживо, навіть наш оператор Томек, вітаннячко, сміється. Ви тільки подивіться, що робиться, Томек трясє камерою (глядачам це помітно), Пат, помахай Томкові і вже нарешті займися, правда ж, своїми заняттями. (Пат зараз закутана білою шторою, яку плямить, цілуючись із нею. Сподіваюся, всім добре видно, але ж у тебе червоні вуста, Пат, за них можна тобі зробити навіть вісім на десять, бо все ж таки, дитино, в тебе надламаний зуб, але за хітовість отримуєш

десяточку і переходиш до наступного етапу гри).

Смаколики

Пат обнімає свою штормку так, ніби це чийсь плечі. Гладить по волоссю і третється об тканину щочкою у пудрі і рум'янах, аж поки відчуває, що повністю собою задоволена. Пляма дуже помітна. Сильно нахилиється уперед (бажаємо їй, щоб хребет так служив їй аж до пізньої смерті) і знімає капці. Вона щойно повернулася від смітника. Ми з нею зустрілися біля дверей, а тепер так і ходимо за Пат назирці, а вона перелякана. Люба дитино, дозволяй нам спостерігати за тобою, бо ж ми нічого більше не вимагаємо, тільки це. Ти ж сама себе з'їси, таку, яка ти зараз, чи таку, якою була колись, смачного (“не при столі”). Бо ж ми одне для одного, як смаколики. Пат, ти бігаєш по квартирі, тікаєш від нас, але полювання на тебе триває і тим часом тебе знімають на камеру, а ми тихесенько посміюємося в рукави. Покажи-но нам, Пат, чим ти там займаєшся?

Епілог

[Під час цієї вступної частини ми можемо вам сказати тільки те, що Пат опинилася в складній ситуації, що вона рве на собі волосся, хтось нахилиється і дивиться їй в очі, чи твоє тіло покривджене, Пат? Вона каже, здається „не знаю“, але більше схиляється до „так“. І вона „не дає собі з цим ради“, вже два місяці, тож викидає із себе пам'ять і перевтілюється у подальшу людину, без спогадів, зате з великими неторканими і чудовими перспективами на майбутнє. А зараз усі свої спогади вона зводить до спільного знаменника, скорочує і водночас чистить тіло, викидає з помешкання речі, бо у її майбутньому житті ніщо не мало би залишитися з минулого, потрібно (також) вичистити м'ясо до голої кістки. Тож ви, панове, розумієте (це я тільки пошепки вам переказую), що ми у нашій студії зацікавилися, бо громадськість міста (справді?) відчуває певну занепокоєність через відсутність зв'язку, бо хотілося б знати більше (зрештою, ми маємо право). Бо ж дівчина здібна/амбітна до всього, і як же їй не допомогти у цій ситуації + не подивитися собі на це все.]

Подивитися собі

Пат вигинається і напружується перед нами, і це дорого коштує, особливо, коли стирчить. А ще більше, якщо від цього напруження у неї „серце розривається“. Ми тут платимо за струм похвилинно, адже наші камери не сплять, а невтомно споживають кілограми ватів. (Тепло їхньої праці зараз зігріє Пат). А вона тим часом гарно вичищається, обдирається, покажися нам іще з цього боку, а можна ми камерою увійдемо в твоє тіло? Тоді й побачимо твої засохлі коралові вустонька, а також спокусливі повні (крові) губи. Ніхто нас сюди не запрошував, але саме у цьому і полягає гра (несподіванка!). Відтепер ми будемо спостерігати камерою за Пат посеред її вад, а вона буде нам тут метушитися, ніби зв'язана. І трансляція (спеціальна) для вас, шановні глядачі, прямий ефір, на телебаченні, в інтернеті, на небі й на землі, кохана наша Пат, гордість нашого міста, вона вже не зможе схватитися від себе. Вона вже перестала бути ще кимось, окрім тієї нещасної штормки (яку вона, зрештою, здряпала, от цікава дівчина). А ми супроводжуємо її у подорожі, бо ціле місто чекає, аж поки ця дівчина нарешті здохне. Але

все поступово. Ми ж із вами знаємо, яка вона людина, яка це звірюка, і саме тому ми прийшли сюди і будемо фіксувати кожен твій порух, Пат, будь готова також до запитань. („Чи минулого вечора ти пила алкоголь?“ – так/ні).

Багатство

(А крім того всього) з тебе вирвали багатство, але шматки його пуповини залишилися. Брак, який тепер там оселився, копається і росте. (А страх напружує свої стебла у твоєму тілі й намагається випхатися назовні, тому ти і репашешся час від часу, як асфальт). Чи можуть стати твоїм новим багатством чисті простори, вишурувана шкіра і вибілена пам'ять? Порожні склади, які можна винайняти за найкращою в місті адресою? Ти ж викидаєш усе з помешкання, воно вже порожне, вже. Усе, крім меблів (вже час почати обережно їх підпалювати, щоб не зайнялися стіни і підлога). А тим часом телевізійники накручують твоє волосся на пальці й ідуть слідом за тобою, а ти все ще сунеш носом по підлозі, ідеальна господиня дому (хто тут власник?)

Коментар

Залишайтеся з нами, ми, звичайно ж, поділимо на серії і випустимо на dvd репортаж про Пат, але не прогавте унікальної можливості подивитися їй в очі під час прямої трансляції, в очі цій мовчазній лярві, яка вже два місяці спокутує тут свою провини і ще не закінчила, яка вже два місяці чистить себе і ще не вичистила. Нас зворушила твоя історія, Пат, ми посмажимо її собі з твоїх очей. Дві зернинки, широко розплющені від спеки, не дивися „так“, а поведься пристойно, так, ніби тут нікого немає. Якщо дозволиш, я запало цигарку, а ти собі тим часом живи, живи як завжди, нас, власне, і цікавить, чим ти там займаєшся наодинці.

Місто

Місто, якби воно (справді) пам'ятало про Пат, могло би підтвердити, що їй у задниці все попереверталось. Але місто зайняте тим, щоб розродитися, і сірою кров'ю, яку розливає, щоб потім знову випити (бо ж асфальт постійно десь тріскає).

Мапа

Місто має карту, і, дивлячись на неї, Пат бачить, що діється: у квапливому блиманні світла звідкись висипаються люди, а їхні рухи, їхні шепоти, їхні запахи викликають хвилі пам'яті, які пхнуться на волю через Пат. (Перепливають через неї, широко розчепірюючи пазури). А люди розповзаються, звільнені, і, відчуваючи запах, підходять до Пат, виходять на Пат (дивися, як тремтять мурахи, які топляться у меді). Пам'ять все ще гуде, наштовхуючись на внутрішню поверхню губ. Заморожені спогади починають тріскати і розпливатися в устах, витікаючи стружкою („як ти виглядаєш“). Пат зливає після себе воду і торкається живота, по черзі притискаючи до нього подушечки пальців, так, ніби досліджує тісто через папір, перевіряє, яка у нього всередині начинка. „А тим часом мапу вже можна викидати, вона виглядає так, ніби її видерли з горла псові“, – дівчина з нашої знімальної групи поправляє зачіску і вдає, ніби образилася.

Два місяці перед тим

Наша бідна Пат хвилюється через своє минуле,

а точніше, через те, що „всі вони” можуть довідатися, а крім того. Бачили. Кельнерка бачила, Пат пам'ятала, як (із повним ротом) сміялася до тієї кельнерки, коли Пабло вирвав у неї телефон. І почав дзвонити з нього на свій номер. А потім записав її номер на сім-карту. Пат пам'ятає, як тоді знизала плечима, дивлячись на цю кельнерку, і посміхнулася самими очима. Це був погляд товаришки, яка розуміє іншу без слів (і хоча кельнерка бачила не одну повію, з тих дорожчих, і посміхалася, бо серед них Пат єдина мала косу і була в хатніх капцях).

А Пабло записав номер Пат і потер долоні. (Пат тоді ще не могла знати, що всю свою дорогу косметику, якою вона поправляла макіяж, коли сиділа, задихана в туалеті, залишила там, розкидану на скляній підлозі, під якою плавала жовта риба. І тільки завдяки тому, що вона загубила триста злотих у вигляді туші, пудри, рум'ян і помади, вона зможе безпечно сховатися наступного дня у свій жах через косметику, через ту інвестицію, яка покривала її обличчя і бездоганно протрималася до ранку. Тож вона не муситиме відразу ж лякатися сорому. А зможе плакати за косметикою.) Коли вона встала наступного дня, її волосся було хвилястим від заплетених на ніч кіс, всі все ще були довгі. Але вже без косметики. Вона встала, а потім знову впала на ліжко, нічого не очікуючи від власного тіла, крім рум'янів після міцного горілчаного сну. Плечі й очі пекли. Пабло почав дзвонити після обіду, а вона все ще хотіла взяти слухавку. Хоча він і втиснув їй у долоню 20 злотих, коли вона сідала в таксі, й запитав, коли у неї закінчатся місячні. (Тепер Пабло!) І Пат все ще не може викинути зі свого тіла тих подій. А техніки очищення, вибілення, зміни декору і приглушення звуків щоденного клопотання тільки розмазують пляму. Зараження поширюється. Тож хворобу слід побороти за допомогою знищення того, хто живить її. Нова Пат буде вихолощена і гладенька, без жодного шраму, ніхто не озирнеться її услід. [А тим часом вона далі є налитим фруктом для всієї знімальної групи, яка облизує шкірку і надкушує, крапаючи світлом на Пат із (усіх тих) ламп (через фільтри все-одно\ще більше зжире).]

І так

Пат не мусить дивитися на мапу, щоб бачити перед собою людей, Людей. І так від них тріскають вікна у її квартирі, і так вони з розгону влітають їй у шиби. Пообліплювані піском на свій цукор+водянисті язика. В кулі (стріляють очима, прокручують дірки). (Всі ці люди пересипаються крізь тіло Пат, а Пат сидить випростана у куточку, ми даремно розмовляли про мапу, тільки перелякали нашу героїню.)

У руки

А все ж таки вона може взяти себе в руки. І буде просто вдавати з себе солідну (хоча численні скарги на неї та її страх мають міцні зуби + їхні ясна твердішають). А шум підкрадається під самі вікна Пат. Страх піднімається в жилах (а все ж таки молоко ще не кипить). Пат дмухає на пінку, входить у роль перед хлопцями, які відвідують її, часто з подарунками (поховати покійного) або тільки пахнуть. А вона впускає їх. Завдяки цьому почувається нормальнішою, не такою самотньою, хоча для них вона лишень глибока миска, миска

для поцілунків, миска до дна і по вінця.

Два місяці перед тим

Тоді, протягом двох наступних днів вона постійно блювала, її тіло хотіло позбутися всього, що мало в собі. Їй здавалося, що вона от-от виблює в миску гланди і зуби, а її стравохід вигнеться в протилежний бік. Вона примушувала себе їсти, їла так, ніби корком стримувала тиск. А все ж таки феєрверки. Ох, яка вона бідна, як її шкода, він насцяв їй в уста, а вона не може цього пережити.

Версія Пат

І ось тепер, через мить. Пат збирається з силами і – ось вона, ми її маємо! Вона вже втрачає здатність мислити. Перетворюється на дуже милу господиню. (Камера крупним планом на обличчя, повне молока і дріжджів). Чудово тікає, біжить галопом поміж вогниками цього струменя кількості\страху. Тікає і ось вибігає обличчям просто на нас. А це обличчя доброї господині, яка вирішила спекти плячок. Пат даремно покинула, о Боже, як вона могла бути такою дурною, Пат припинила мріяти, уявляти собі щось, вона встає, виходить із кутка, поправляє на собі одяг. Зараз вона буде пекти, о будь-ласка, як боксерську рукавицю, швидким рухом вона вбирає рукавичку кухонну, яка захищає від опіків окропом. (Хоча тільки окропові можна вірити в питаннях знищення бруду, тобто сорому, тобто звинувачень щодо його причин). На плечах Пат усе ще проступає піт від страху, який прогриз їй губи в гримасі (але вона ще не зауважила свого скривленого обличчя). І ось із такою перекривленою міною вона весело відгортає з чола пасмо волосся і вже зав'яже фартух, відмірює склянками щось там у своїй металевій кухні. Там у неї лежать шкірки від яблук, які вона, ясна річ, може викинути, навіть мала би викинути, ох ти ж, недобра дівчино, але подивіться, як гарно закручується ця шкірка, яка довга спіраль (м'якуш на ній темнішає). Шоправда, ці шкірки лежали вже кілька тижнів, так і було, вони скручувалися і стягали на себе мух (і вже не одну з цих мух Пат вбила). „Пат, чи це і є твоє захоплення, ти так проводиш вільний час, печеш для знайомих солодке, чи додаєш ти до плячків свіжі фрукти, такі, що пускають сік? Ну, давай, покажи нам, не соромся”. Мікрофон, простягнутий у бік Пат, роїться струмом.

Плячок Патриції, частина 1.

(Давайте використаємо шкірки як прикраси, спечемо фруктовий плячок). Отже, Пат пече плячок, увімкнула собі радіо, і все так гарно, шкаралупки викидає долонею в смітник, і ось що вона там бачить. Рештки! (шматки м'яса, ватки, ручки, порожні пляшки з-під „Доместоса”). Вона вже знає, що робитиме, коли поставить плячок у духовку. Вона піде викидати сміття і чудово проведе час, тішитиметься практичністю різних кухонних приладів, наприклад, пральки чи плитки, жінка може так багато зробити завдяки цьому, хоча насправді нічого і не робить, це так підвищує продуктивність. О, родзинки теж є. Можна урізноманітнити ними тісто, а крім того, родзинки стимулюють роботу кишечника. Пат щось болить на обличчі, що би це могло бути? Вона занепокоєно доторкається до підборіддя („я забула розслабити м'язи”). Пат витягує губу з-під зубів і відразу ж перетворюється

на вродливу жіночку в біло-червону клітинку, а крім того, у неї чисті нігті й вона готує плячок для гостей, плячок так чудово пахне.

Місто

(А Місто і далі множить пнями поверхів і нахилється у напрямку центру дільницями „на околицях”. Якби Пат могла зібрати бодай тих людей, які живуть у кольорових багатоповерхівках, зібрати в кулак, як горіхи, вона кинула би їх на газ і увімкнула витяжку, бо коли горить волосся, сильно смердить. А потім вона повиполовала би клубні спустих осель і запахнула би акуратне Місто до вазонка власного горизонту. Вона чекала би, поки воно зацвіте і акуратно зрізала би молодесенькою кожну голову, щойно та випустить бруньки. Але Місто набрякле і кричить на Пат, воно знає все, знає, чому Пат ховається у себе в помешканні, знає, чому Пат чистить своє помешкання і викидає все підряд, знає, що Пат шукає в цьому бруді. Але стоп.

Пат пече плячок!

Плячок Патриції, частина 2.

Вона відділяє жовтки від білків, мішає, досипає борошна і дмухає в нього, хмарка пилу запорошує їй обличчя, а вона солоденько сміється сама з себе („швиденько підставляйте їй ніс і вуста”). А потім заспокоюється, облизує палець, висипає цукор, так, ніби лле воду. Потім перемішує, ріже маргарин, стикає всередину важкі шматки і подрібнює їх ножем, куцає по столі, примощує на ньому пічку, починає підспівувати мелодію, яка звучить по радіо, а під вікном чути пташиний спів, бракує тільки кота, який вигрівався би на сонці, а може, ще малої дитини? Дитина, раз! Нехай стоїть на порозі кухні із запитальним поглядом, нехай смочче палець, а щоки має вимашені „Нутеллою”, бо, бешкетник, виїв цілу банку. І то хлопець, бо, наприклад, Кароль хотів би хлопця, а сьогодні приходить Кароль. А Кароль любить, коли вона одягається, як молода дружина, і заколює волосся.

Місто

(А Місто тече стеблами вздовж підземних каналів. Випорскує асфальтом на океанах перехресть. Надимає живіт кордонів.)

Вири

Плячок підіймається у формі для запікання, а Пат дивиться на годинник і розмірковує, як довго їй вдасться тікати від думок, робити макіяж і підбирати білизну перед тим, як прийде Кароль, а також думає про те, як частувати його плячком – давати пальцями чи на язичку. (Увімкніть мені там музичний супровід під назвою „Релакс”! Ведуча поправляє волосся і дослухається, приклавши долоню до вуха, чекає + „ну що це за робота, ану бігом!”) Пат залишилося п'ять годин. Вона чує, як пралька обертає відчищені окропом рушники, які були забруднені кров'ю, пере шмаття, вимазане макіяжем. (Річка у Місті вирує, бо все тут тільки імітує безрух. Вода плине так швидко, що втрачає колір і межі й перетворюється на галасливий вир. Сонце у центрі міста просочує світло крізь багатоповерхівки. У повітрі літають шматки цукрової вати, неонове світло „Делікатесів” щоночі заміняє місяць. І вдаваний спокій зберігається посеред пропащої множинності. Десь у її вбивчому блиску чути шум, який переслідує

Пат, ходить за нею по всьому помешканні, у жодній із кімнат немає цілковитої тиші. Пат звикла до цього шурхоту пам'яті і вже навіть не дряпається.)

Коментар

(Пат змінилася не відразу, але приблизно відтоді, коли, така вродлива і свіжа, фреш, – як казав Пабло, видмухала нутрощі своєї голови у кнайпі „Сталь”. І посеред писку цієї порожнечі дозволила перетворити себе на ляльку, в яку всі встромляють пальці – „це інформація для тих наших глядачів, які щойно зараз”).

Два місяці перед тим

А двадцять восьмого липня час вилизав з-під себе соки і досі кривиться, згинається у дві погібелі. Триває без карнавалу і напрямку. Демонструє свої дїтородні органи, які смердять похміллям, жирним молоком, лікером, біжутерією, яку кінчиками пальців натирають, аж поки вона не нагріється, свіжою щетиною. Вона не повинна говорити про це. Повинна просто це прибрати.

У собі

Пам'ять знайшла у Пат чимало місця, відколи та піднялася на посаду страху. Адже Пат не боїться минулого, але боїться того, що витікає з неї (пам'ять). Пам'ять росте, замкнена у шкаралупі минулого, вони обидві ростуть, одна в одній. Багатство було м'язом, який стримів ще глибше, мигдаликом, схованим у тісті (на щастя, „не вдався”). Воно було збираниною амбїтних сподівань і дитячих світлин, планів на майбутнє. Адже Пат колись була маленькою дівчинкою і хіба вона могла тоді подумати, що хтось зможе колись запхнути їй пляшку, наприклад, у задницю? Або принаймні намагатиметься це зробити. Найтвердіші кістки Пат були зроблені з багатства (зараз це трохи змінилося, ти, брудна каліко, твій скелет розсипається, а м'язи заражені\запарені, багатство, яке виривають з корінням із пам'яті, воно ще тепле і мокре, його вхопили чийсь зуби, „яке ж воно поживне!”) Пабло видлубав із Пат багатство і ковтнув його, як вітаміни, точно. Оскільки він зараз „дивовижно” світиться і на світліні має чудову шкіру, цю світліну Пат знайшла в інтернеті минулого тижня. І зараз вона щодня вдивляється у його риси, навіть можна подумати, що ти закохалася, маленька Пат („Пабло, як ти легко тримаєш келих шампанського на фото, які у тебе кучері, Пат не пригадає, що у тебе були кучері”).

Два місяці перед тим

Пабло поспіхом накрив Пат атласною фіолетовою тканиною, зіпхнув униз її плечі („тихо!”). Коли до кімнати зайшла кельнерка, тримаючи в руках тацю з дрінками і цигарки, („вона потай роззиралася довкола у пошуках розбитого скла, яке можна було би включити в рахунок”). Але скло Пат вже добре заховала під спиною. Вона лежала скоцюрблена під слизькою ковдрою і з-під ковдри визирало тільки її обличчя. Радісним голосом вона повідомила, що все гаразд (таця блищала, Пат мружила очі), бо що могла зробити насправді – просити про щось кельнерку, якщо сама була гола? (Притримуючи тканину на грудях, вона витирає спітнілі скроні, відгортає білою долонею пасмо волосся). Невже вона повинна була голою попросити: „шановна, принеси мені гарячого шоколаду і виклич поліцію, бо я почуваюся так,

ніби мене згвалтували”?

А чого це раптом? Хтось її скривдив? Хай би вона краще посоромилася трохи, приклала палець до вуст, замовкла і подумала, що робить. Бо ж всім було видно, як їй весело, настрої як шампанське. Мешти на шпильках порозкидані по кутах, штани лежать під стіною, келихи підстрибують на столі, повітря просякнуте потом і спекою. А Пабло приємно обіймає нашу Пат і гладить по долоні, вона посміхається. „Все гаразд” (і „я би хотіла мінеральної води”). А потім вона падає на подушки і чує на плечах щось слизьке (слизьке?). Це точно китиці подушки, такі гладенькі, а келихи тим часом і далі тихенько вібрують.

Пабло налив їй мінеральної води. Важко дихаючи, одягнув труси (він був сонний і голодний, а у той же час Пат ковтала холод, який бив її просто в пальці і у шлунок). Вона відчула власний язик і витерла вуста, струшуючи з плечей крихти. Встала, тримаючись за ліжко, мацаючи довкола себе у темряві, вона все ще ледь розрізняла контури предметів (попри те, що на стінах світилися мільярди червоних цяток). Пабло відпровадив її в туалет („я тільки йду пописати, ти що, не розумієш польської?!”), окремих для гостей цієї кімнати. Пат тягнула за собою торбинку, яку знайшла під ковдрою, так, ніби вивела на прогулянку песика. (Наша крихтонька, наша кохана дівчинко, ти що, була зовсім п’яна? Чи, можливо, тобі тільки відібрало силу в руках? Тебе що, паралізувало? Не жартуй, ти що справді, не відчувала, що з твоєї задниці тече кров?)

Вона замкнулася в кабінці і витягла косметичку.

Її трусило від холоду, холод підіймався від ніг.

Підсвітлений акваріум у підлозі кидав краплі райдуги на стелю (Пат гарно собі гоїдалася, піднявши очі догори, як усе це романтично). Вона отямилася від того, що вдарилася скронею об скриньку для туалетного паперу. Це вибило Пат з ритму (бо біль з’явиться лише наступного дня). Вона почала гарно викладати косметику на підлозі (повторювала вголос, щоб не забути: „я мушу підправити макіяж” + шукала дзеркальце, але воно тріснуло). Розставляючи пудру, олівець для очей, туш і рум’яна, вона придивлялася до великих жовтих риб, які виблискували під склом („доброго дня, у мене три, так, маю одне бажання, окей” + істеричний сміх, який почув Пабло). Розбите дзеркальце вона примостила на туалетний папір, зняла з волосся засохлу рідину, то кров чи слина? Розтерла у пальцях. Витерла об стіну. (Не так-то просто було віднайти себе) – з дзеркальця на неї дивилося кілька пар очей, а вона, присівши, шукала себе посеред друзок. Тож вона навропамачки припудрила обличчя, протягнула губкою по носі (послизнулася). Абрикосовий електричний освіжувач повітря (адже „Сталь” рекомендують у путівниках), а у вазонку біля миля магнолії. „Повний люксус” (сказала вголос і засоромилася – ось масте).

Ніс вбирив запах підлоги, хлорки з парфумами. Пат витягла з торбинки телефон тільки після того, як нафарбувала вуста („я ж пам’ятаю, де у мене губи” – навропамачки шукала їх над підборіддям, обережно, пальцями, яких не відчувала, а вуста зникали у зубах).

[Переклад: Наталка Сняданко]

Галина Ткачук Halyna Tkatschuk Halyna Tkaczuk

ТИСЯЧА ШМАТОЧКІВ TAUSEND TEILE TYSIĄC KAWAŁKÓW

► Звісно, мені не щодня випадає їздити у трамваї. Як правило, я беру таксі. Або користуюся одним із двох моїх автомобілів: великим рожевим або маленьким чорним. А ще, буває, потреба транспорту взагалі не постає, бо мене, як Ганімеда, щось підхоплює і несе. І одне незрозуміло: чому я щодня по два рази на день опиняюся у громадському транспорті.

**

– Ану встаньте! Якого чорта ви всілися на місце кондуктора?!

– Бо це місце уже не належить кондуктору.

Проїзд давно безкоштовний!

– До чого тут? Я працюю кондуктором на залізниці, а це – моє місце.

Я заклала пальцем книгу, в яку ще кілька секунд тому була глибоко занурена, і перейшла на вільне місце поруч. Але і тут мене спіткала задовбаща цьоця: – Дівчино, встаньте, будь ласка, це місце для вагону новозагатового. Місця для студентів у другому вагоні, до того ж усі стоячі.

– Я не студентка! – Голосно заперечила я, відпихнувши носочком чобітка яблучний качан, який щойно до мене докотився, – я – філолог.

– Місця для осіб із вищою освітою гуманітарного профілю так само у другому вагоні, – доброзичливо посміхнулася жіночка, яка сиділа на сусідньому кріслі під табличкою «місце для водія фунікулера».

**

Місце для філолога посів грубезний мужик, який читав газету «Дзеркало Тижня».

– Перепрошую, – кажу, – виглядає, що це місце для філолога.

– Ну так і є, – сказав грубим голосом грубий мужик, відірвавшись від читання. – Я філолог, тому тут і всія.

– Мені доведеться висловити сумнів у тому, що ви філолог. Бо у цьому трамваї філолог я.

– Що ж, аби підтвердити це, вам доведеться показати диплом із додатком.

Я показала.

– Матінко моя! – заголосив мужик. – Але ж і філолог! З рідної мови яка низька оцінка!

– Це тому, – кажу, – що оцінку ставлять не середню, а останню. А останнім у вивченні мови іде синтаксис. – А синтаксис, значить, вчити не треба?!!!

– театральню вигукнув грубий.

– Та треба. Але була одна обставина.

– Яка?

Я нахилилася до мужика і дещо прошепотіла йому на вухо.

– О Боже! – обурився мужик.

– Та це ще не все. Потім виявилось, що вона зовсім не...

Я знову нахилилася до нього і шшепотіла другу частину історії.

Грубий аж гавкнув від обурення. Потім заспокоївся і сказав:

– Тепер я бачу, що ви – справжній філолог. І я таки мусив би поступитися вам місцем. Але ситуація така: я – бухгалтер, але працюю в одному великому видавничому домі. Тому, коли побачив, що на місце бухгалтера сіла бабуся, я вирішив посісти місце філолога. Але якщо ви умовите бабусю пересісти на місце для пенсіонерів, я охоче сяду на своє місце і звільню ваше.

Як не дивно, бабуся, до якої я йшла, уже чула нашу розмову.

– Люба пташечко, – сказала вона, – мила зозуленько. Перепілочко. Ти б не смикала зайвий раз літніх людей, а сіла б отам в куточку на місце домогосподарки.

У мене по щоках потекли гарячі сльози:

– Навіщо стільки років вчитися?! Щоби їхати у трамваї на місці домогосподарки?!

– Ну то знайди собі роботу! – закричав хтось.

– Та я знайшла, але на моє місце сів отой чоловік, оскільки на його місце сіла оця бабуся.

– Порятуйте хоч ви цю жахливу ситуацію, – звернулося до бабусі кілька голосів.

– Я б з радістю пересіла на місце для пенсіонерів, – незворушно відповіла бабуся, – але по-перше, на ньому уже хтось сидить, а по-друге, я ще працюю,

я – працівник рибного господарства. А такого місця взагалі немає, я двічі обійшла весь салон.

– Як це немає?! – почувся голос огрядної тітки. – Як це немає місця для працівника рибгоспу, якщо я саме на нього всілася?! Ви просто не бачите відповідної таблички, бо її закриває моя величезна спина. Але і я не можу вирішити цього прикрого інциденту, бо ж я співробітник водоканалу, а такого місця точно нема, і я підозрюю, що раніше воно було там, де тепер

Marta Syrwid (1986, Polska) – autorka. Studiuje filmoznawstwo na Uniwersytecie Jagiellońskim, absolwentka Krakowskiej Szkoły Scenariuszowej. Publikowała m.in. w „Perspektywach”, „Borussi”, „Ha!artcie”. Od 2009 r. pisze felietony do autorskiej rubryki w „Lampie”. Autorka opowiadania do zbioru *Piątek 2.45* (2010) oraz współautorka powieści *Pióro do pióra* (2009/2010 „Bluszcz”). Wydała zbiór opowiadań *Czkawka* (2004) oraz powieść *Zaplecze* (2009). Obecnie, wspólnie z Grażyną Trelą, pracuje nad scenariuszem na podstawie debiutanckiej powieści, kończy drugą książkę i pisze pracę magisterską o kinie polskim lat sześćdziesiątych. Stypendystka Funduszu Pomocy Młodym Talentom Jolanty i Aleksandra Kwaśniewskich, programu Homines Urbani oraz Fundacji Sapere Auso.

Marta Syrwid (1986, Polen) – Autorin. Sie studierte Filmwissenschaft an der Jagiellonen Universität und ist Absolventin der Krakauer Drehbuchschule. Sie veröffentlichte u. a. in den Zeitschriften „Perspektywy“, „Borussia“ und „Ha!art“. Seit 2009 hat sie eigene Kolumne in der Zeitschrift „Lampa“. Verfasserin einer Erzählung für den Sammelband *Freitag 2.45* (2010) sowie Koautorin des Romans *Feder zu Feder* (2009/2010 „Bluszcz“). Autorin des Erzählbands *Schluckauf* (2004) sowie des Romans

Hinterzimmer (2009). Gegenwärtig arbeitet sie gemeinsam mit Grażyna Trela an einem Drehbuch auf der Grundlage ihres Debütromans, beendet ihr zweites Buch und schreibt ihre Magisterarbeit über das polnische Kino der Sechziger Jahre. Stipendiatin des Fonds zur Unterstützung junger Talente von Jolanta und Aleksander Kwaśniewski, des Programms Homines Urbani sowie der Stiftung Sapere Auso.

Marta Syrwid (1986, Польша) – авторка. Студентка кінознавства Ягеллонського університету, випускниця Краківської школи сценаріїв. Публікувалася зокрема в „Перспективах”, „Боруссії”, „Га!арті”. З 2009 р. дописує авторські колонки до літературного часопису „Лямпа”. Авторка оповідання зі збірки *П’ятниця 2.45* (2010), а також співавторка роману *Перо до пера* (2009/2010 часопис „Блющ”). Видала збірку оповідань *Гикавка* (2004), а також повість *Комірчина* (2009). Разом із Гражиною Трелою працює над сценарієм на основі першого роману, завершує другу книжку і пише магістерську роботу про польське кіно шістдесятих років. Стипендіатка Фонду допомоги молодим талантам Йоланти і Олександра Квасневських, програми Гомінес Урбані а також Фонду Сапере Аусо.

виламане крісло. Тому вам, любонько, я просто раджу сісти на місце для вагітних.

Я впала у відчай і вирішила вийти з вагона на найближчій зупинці. Але це помітили і мене спинили. – Чому ж ви так впевнені, що не вагітні? У наш час ніхто не може знати напевне! До того ж те, що місце залишається порожнім, означає, що хтось у нашому вагоні вагітний, просто цього ще не усвідомив. Тому нічого страшного не станеться, якщо поки що там посидите ви.

І я скорилася долі, і півзупинки, яких мені лишалось, пройшла сидячи і в сльозах.

З трамвая мій шлях вів до наукової бібліотеки.

В інтересах моєї наукової діяльності було швидко відкрити кілька розділів рідкісної книги. Проте, отримавши її на руки і вистоявши довжелезну чергу на ксерокси, я була прикро здивована почути от що: – На жаль, я не маю права відкрити для вас розділи цієї книги, бо її читання заборонено вагітним.

– Та я ж не вагітна!

– Я мушу висловити сумнів у шойно сказаному вами, оскільки я їхала з вами в одному трамваї і чітко пам'ятаю, що ви сиділи на місці для вагітних.

– Так, це чиста правда. Але я змушена була туди сісти, бо на місце для філолога сів бухгалтер, тому що на місце для бухгалтера сіла працівниця рибгоспу, оскільки на місце працівника рибгоспу сіла співробітниця водоканалу, яка не мала місця, оскільки його було кимось виламано.

– Що ж, ця історія видається мені досить правдивою, – завважила оператор ксерокопіювального апарата.

– Але я не можу просто так переступити через наші правила. Мені потрібне від вас певне документальне підтвердження ваших слів. Я знаю адресу людини, яка виламує крісла у трамваях. Зайдіть, будь-ласка, до нього, аби він підтвердив, що справді виламав місце працівника водоканалу у відповідному трамваї. Його звати Мірошниченко Євген Павлович, 1954 року народження, адреса проживання – вулиця Горшеніна, 37, помешкання 20.

Євген Павлович зустрів мене надзвичайно приязно, пригостив чаєм із печивом, від якого я відмовилась.

Тоді дав кілька величезних груш із власної дачі. Він підтвердив, що справді виламав у трамваях чотири крісла, аби зробити симпатичну лавочку у себе на дачі в селі Снітинка Фастівського району Київської області. Але то були, як правило, місця для керівників підприємств, які переважно все одно не їздять у трамваях. А от місце для співробітника водоканалу він би ніколи не посмів виламати зі структури трамвая.

– Що ж мені робити!? – У відчаї відкусила шматок груші я. – Як тепер знайти того, хто виламав водоканальне місце!?

– О, не журіться так. Горе не біда. Подзвоніть на гарячу лінію і спитайте. Ось, можете скористатися моїм домашнім телефоном.

Я подякувала Євгенові Павловичу за добру пораду і за телефон, і набрала номер гарячої лінії.

Там довго не могли зрозуміти предмет мого звернення. Потім знов-таки досить довго шукали потрібну мені людину по базі. Зв'язок кілька разів обривався через перевантаженість гарячої лінії.

Але кінець-кінцем мені таки пощастило дізнатися,

що місце для працівника водоканалу у трамваї 251, який працює на маршруті 27, було виламано Мельниченком Олександром Анатолійовичем, 1979 р. н., який проживає за адресою: вул. Металістська, 24, помешкання 71.

Олександр Анатолійович виявився не таким гостинним, як Євген Павлович, проте суть моєї справи швидко зрозумів. Він повідомив, що крісло, яке було місцем працівника водоканалу, виламав у трамваї з метою облаштування власного побуту. Але, оскільки поза структурою трамвая крісло не може постійно зберігатися вертикального положення, Олександр згоден повернути його назад. Втім, дати розписку про те, що це він виламав крісло, Мельниченко відмовився. Натомість він наполіг на тому, щоби я забрала крісло із собою, пред'явивши його операторові ксерокопіювального апарату як доказ того, що я не вагітна. Також Мельниченко попросив мене взяти на себе обов'язок передзвонити на гарячу лінію і уточнити, що крісло більше не знаходиться у О. А. Мельниченка, а потім занести зазначений предмет у трамвай і встановити його на його ж законне місце.

Вийшовши від Мельниченка на вулицю із трамвайним кріслом в руках, я ніби подивилася на себе збоку і зазначила, що виглядаю з ним не так і погано. Навпаки, крісло навіть доповнювало мій зовнішній вигляд, гармонізуючи кольори вбрання. Хвилин за двадцять, проте, мене було зупинено представником міліції за підозрою у виламуванні водоканального крісла зі структури трамвая. Я пояснила, що несучи водоканальне крісло операторові ксерокопіювального апарату і виклала усю історію, зазначену вище. Представник міліції, втім, вирішив залишити поки що водоканальне крісло у себе, попросивши мене принести від оператора ксерокопіювального апарату довідку про те, що їй необхідне пред'явлення мною водоканального трамвайного крісла для користі справи.

Коли я звернулася із цим проханням до оператора, вона висловила подив щодо того, що я несла їй ціле крісло замість простого письмового свідчення Євгена Павловича про те, що так, він справді одного листопадового туманного вечора виламав місце співробітника водоканалу зі структури трамвая номер 27.

Мені довелося пояснити, що Євген Павлович не виламував місць працівників водоканалу, а що це зробив Мельниченко О. А., який не захотів видавати мені ніяких документів, а натомість як свідчення моєї правоти дав саме крісло, яке я щасливо несла сюди, коли мене спинив представник міліції, попросивши звернутися до оператора ксерокопіювального апарату (тобто до вас) по документальне свідчення того, що вам потрібне крісло працівника водоканалу як документальне свідчення того, що ви не переступите жодних правил тим, що повернете мені ксерокси відповідних розділів потрібної мені книги. Отже, вузол було розплутано. І навіть крісло встановлено на законне місце. Я навіть передзвонила на гарячу лінію і розтлумачила операторові гарячої лінії, що Мельниченка варто викинути з бази, оскільки крісло більше не знаходиться у нього. Але

операторка не погодилася видаляти Мельниченка, оскільки свого часу мала особисту зустріч із ним, і в неї склалося враження, що він схильний повертатися до видирання крісел зі структури трамвая, навіть пересвідчившись у тому, що поза його структурою вони не мають сталого вертикального положення. Вночі я ніяк не могла заснути. І навіть ксерокси вищезазначених розділів згаданої книги не могли мені в цьому допомогти. Я зрозуміла, що прикрі випадки траплятимуться зі мною весь час, поки крісла чотирьох начальників підприємств не повернуто у структури відповідних трамваїв, поки вони стоять біля хати на дачі Євгена Павловича у Снітинці Фастівського району Київської області. Тому мені довелося іще раз, втретє, подзвонити на гарячу лінію і спитати номер телефона, з якого я дзвонила туди вперше.

Євген Павлович також не спав. Він читав книгу. Мою думку він швидко зрозумів і повністю із нею погодився.

У Снітинку ми поїхали першою ж електричкою, о 4.59 ранку від станції Київ-Пасажирський (метро Вокзальна). Дорогою Євген Павлович читав книгу Г.Г.Гадамера. Коли не погоджувався із викладеними у ній думками, нам доводилося довго обговорювати

► Ich habe nicht jeden Tag das Glück, mit der Straßenbahn zu fahren. Normalerweise fahre ich mit dem Taxi. Oder ich nehme eines meiner beiden Autos: das große rosa Auto oder das kleine schwarze. Es kommt vor, dass sich die Frage nach dem Transportmittel nicht stellt, denn ich werde wie Ganymed von irgendetwas gepackt und davongetragen. Nur eines bleibt dabei ein Rätsel: Wieso finde ich mich zweimal am Tag in einem öffentlichen Verkehrsmittel wieder.

„Stehen Sie auf! Warum in Gottes Namen sitzen Sie auf dem Platz des Schaffners!?“

„Weil dieser Platz nicht mehr für den Schaffner reserviert ist. Das Benutzen der Straßenbahn ist schon lange gratis!“

„Was hat das damit zu tun? Ich bin Schaffnerin bei der Bahn, und das ist mein Platz.“

Ich schlug das Buch zu, in das ich noch wenige Sekunden zuvor vertieft gewesen war, und setzte mich auf den freien Platz daneben. Aber auch da ließ man mich nicht in Ruhe:

„Junge Frau, stehen Sie bitte auf, das ist der Platz für Straßenbahnfahrer. Die Plätze für Studenten sind im zweiten Waggon, außerdem sind es Stehplätze.“

„Ich bin keine Studentin!“, widersprach ich laut und kickte mit der Schuhspitze einen Apfelrest weg, der eben zu mir herübergerollt war, „ich bin Philologin.“

„Der Platz für Personen mit Universitätsabschluss in einer geisteswissenschaftlichen Richtung ist auch im zweiten Waggon“, lächelte mir die Frau auf dem Platz neben mir, der das Schild „Platz für Funikularfahrer“ trug, wohlwollend zu.

Auf dem Platz für Philologen saß ein breiter Mann,

те чи інше місце, щоби нарешті прийти до загальної згоди. Але випав перший сніг. За вікном, коли розвиднілось – знову огорнулося. Туманом. Лавку Євген Павлович швидко розібрав. Але ми зрозуміли, що нам доведеться зробити ще один рейс, оскільки за раз кожен із нас міг узяти лише одне крісло.

Від дачі Павловича до залізничної станції «Снітинка» ішли уже не так весло, як від станції до дачі. Жоден із нас не додумався взяти рукавички, тож руки змерзли, аж нили. Але ми про щось таки весело балакали. Аж тут запищала моя мобілочка голосом срібних дзвіночків, які розпочинають свій спів, коли відкривається золота табакерка.

Ні, то була не велика чорна моя мобілка, номер якої знають триста осіб (зрештою, його можна знайти вконтакті), а маленька, зелена. Її номер знає тільки одна особа. Мало того, вона обіцяла дзвонити мені лише в одному випадку.

Від несподіванки я випустила з рук крісло. Воно бахнуло об змерзлий асфальт і розлетілося на тисячі шматочків.

der die Zeitung „Dzerkalo tyzhnia“ las.

„Entschuldigen Sie bitte“, sagte ich, „es sieht so aus, als wäre das der Platz für Philologen.“

„So ist es“, sagte der dicke Mann mit tiefer Stimme und schaute von seiner Zeitung auf. „Ich bin Philologe, deshalb sitze ich hier.“

„Ich bezweifle, dass Sie Philologe sind. Denn in dieser Straßenbahn bin ich die Philologin“

„Um das zu beweisen, müssen Sie mir schon ihr Diplom inklusive Diplomprüfungszeugnis zeigen.“

Ich zeigte es ihm.

„Ach du liebe Neune“, rief der Mann. „Eine Philologin! Und so eine schlechte Note in Ukrainisch!“

„Das kommt daher“, erklärte ich ihm, „dass nicht die Durchschnittsnote sondern die Note der letzten Prüfung eingetragen wird. Und als letztes wird Syntax durchgenommen.“

„Ist Syntax etwa nicht wichtig, oder wie ist das zu verstehen?!““, rief der Dicke theatralisch.

„Natürlich ist Syntax wichtig. Aber es gab besondere Umstände.“

„Und zwar?“

Ich beugte mich zu dem Mann hinunter und flüsterte ihm etwas ins Ohr.

„Oh mein Gott“, rief der Mann empört.

„Das ist noch nicht alles. Später stellte sich heraus, dass sie gar nicht ...“

Ich beugte mich wieder zu ihm hinunter und flüsterte ihm den zweiten Teil der Geschichte ins Ohr.

Der Dicke schnappte vor Entrüstung nach Luft.

„Ich sehe, Sie sind eine echte Philologin. Und ich müsste Ihnen den Platz wirklich überlassen. Aber die Situation ist folgende: Ich bin Buchhalter, arbeite aber in einem großen Verlagshaus. Als ich sah, dass auf dem Platz für

Buchhalter eine alte Frau sitzt, beschloss ich, den Platz für Philologen zu nehmen. Aber wenn Sie die alte Frau dazu bringen, sich auf den Platz für Rentner zu setzen, räume ich gerne Ihren Platz und setze mich auf meinen.“ Die alte Frau, auf die ich zusteuerte, hatte unser Gespräch natürlich gehört.

„Schätzchen“, sagte sie, „Engelchen. Mein Herzchen. Hör auf, ältere Leute zu belästigen und setz dich besser auf den Platz für Hausfrauen, dort drüben in der Ecke. Heiße Tränen kullerten meine Wangen hinunter: „Habe ich dafür so viele Jahre studiert?! Um in der Straßenbahn auf dem Platz für Hausfrauen zu sitzen?!“ „Dann such Dir doch eine Arbeit!“, rief jemand. „Ich arbeite ja, aber auf meinem Platz sitzt dieser Herr, weil auf seinem Platz diese alte Frau hier sitzt.“

„Retten Sie diese schreckliche Situation“, richteten sich ein paar Stimmen an die alte Frau. „Ich würde mich liebend gerne auf den Platz für Rentner setzen“, antwortete sie unbeeindruckt, „aber erstens ist er besetzt und zweitens arbeite ich noch, und zwar beim Wirtschaftshof. Und für Mitarbeiter des Wirtschaftshofes gibt es keinen Platz, ich bin den Waggon zweimal abgegangen.“

„Wie bitte?!“, ertönte die Stimme einer beleibten Frau. „Es soll keinen Platz für Mitarbeiter des Wirtschaftshofes geben? Auf dem sitze ich ja! Sie sehen bloß das Schild nicht, weil es von meinem breiten Rücken verdeckt wird. Aber auch ich kann diese bedauerliche Situation nicht aufklären, weil ich bei den Wasserwerken arbeite, und so einen Platz gibt es garantiert nicht, ich vermute, er war dort drüben, wo der Sitz herausgerissen wurde. Darum, meine Liebe, rate ich Ihnen, sich einfach auf den Platz für Schwangere zu setzen.“

Ich war am Rand der Verzweiflung und beschloss bei der nächsten Station auszusteigen. Aber die anderen Fahrgäste bemerkten mein Vorhaben und hielten mich auf. „Warum sind Sie sich so sicher, dass Sie nicht schwanger sind? In der heutigen Zeit kann sich niemand hundertprozentig sicher sein! Außerdem weist die Tatsache, dass dieser Platz frei ist, doch darauf hin, dass jemand in diesem Waggon schwanger ist, es aber noch nicht weiß. Darum ist es nicht weiter schlimm, wenn Sie sich derweil auf diesen Platz setzen.“

Ich fügte mich meinem Schicksal und fuhr die halbe Station, die mir geblieben war, sitzend und weinend. Von der Straßenbahn führte mein Weg in die Bibliothek. Für meine wissenschaftliche Tätigkeit wollte ich schnell ein paar Kapitel aus einem seltenen Buch kopieren. Als ich das Buch endlich bekommen und den Anfang der elendiglichen langen Schlange vor dem Kopiergerät erreicht hatte, bekam ich zu meiner Verwunderung Folgendes zu hören:

„Wir können Ihnen die betreffenden Kapitel aus diesem Buch leider nicht kopieren, da Schwangeren die Lektüre untersagt ist.“

„Aber ich bin nicht schwanger!“
„Das bezweifle ich, denn ich bin mit Ihnen in einer Straßenbahn gefahren und kann mich genau daran erinnern, dass Sie auf dem Platz für Schwangere gesessen sind.“
„Das stimmt. Aber ich musste mich auf diesen Platz setzen, weil auf dem Platz für Philologen ein Buchhalter saß, dessen Platz von einer Mitarbeiterin des Wirtschaftshofes besetzt war, auf deren Platz eine Angestellte der Wasserwerke saß, die keinen Platz hatte, weil dieser

herausgerissen worden war.“
„Die Geschichte klingt plausibel“, bemerkte die Kopierdame. „Aber ich kann mich nicht über die Regeln hinwegsetzen. Ich brauche eine kurze schriftliche Dokumentation des Vorfalles. Ich kenne jemanden, der Sitze aus Straßenbahnen herausreißt. Gehen Sie zu ihm und lassen Sie sich bestätigen, dass er den Sitz für Mitarbeiter der Wasserwerke aus eben dieser Straßenbahn entfernt hat. Er heißt Jewhen Pawlowytsch Miroschnytschenko, geboren 1954, wohnhaft in: Horschennin-Straße 37, Tür 20.“
Jewhen Pawlowytsch war außergewöhnlich zuvorkommend und bat mir Tee und Kekse an, doch ich lehnte ab. Dann gab er mir ein paar riesengroße Birnen von seiner Datscha.

Er bestätigte mir, vier Sitze aus verschiedenen Straßenbahnen herausgerissen zu haben, um bei sich auf der Datscha, im Dorf Snitynka, im Bezirk Fastiwskyj, Region Kiew, eine hübsche Bank zu bauen. Aber das seien Plätze für Geschäftsführer gewesen, die in der Regel ohnehin nicht mit der Straßenbahn fahren. Er hätte sich im Traum nicht an einem Sitz für Mitarbeiter der Wasserwerke vergriffen. „Was soll ich jetzt tun?“, verzweifelt biss ich von einer der Birnen ab. „Wie soll ich denjenigen finden, der den Wasserwerke-Sitz herausgerissen hat?“

„Machen Sie nicht so ein Gesicht. Es gibt Schlimmeres. Rufen Sie bei der Hotline an und fragen Sie dort nach. Hier, Sie können mein Telefon benutzen.“

Ich bedankte mich bei Jewhen Pawlowytsch für den Tipp und für das Telefon und wählte die Nummer der Hotline. Dort konnten sie lange nicht verstehen, was ich wollte. Danach suchten sie eine halbe Ewigkeit in ihrer Datenbank nach der richtigen Person. Die Verbindung riss ein paar Mal ab, weil die Hotline überlastet war. Zu guter Letzt erfuhr ich dennoch, dass der Platz für Mitarbeiter der Wasserwerke in der Straßenbahn 251, die auf der Linie 27 verkehrt, von Oleksandr Anatolijowytsch Melnytschenko, Geburtsjahr 1979, wohnhaft in der Metalistska-Straße 24, Tür 71, herausgerissen worden war. Oleksandr Anatolijowytsch war nicht ganz so gastfreundlich wie Jewhen Pawlowytsch, verstand den Grund meines Besuches aber sofort. Er teilte mir mit, den Sitz für Mitarbeiter der Wasserwerke herausgerissen zu haben, um sein Wohnungsinventar aufzubessern. Da der Sitz außerhalb der Straßenbahn aber keine vertikale Position beibehalten könne, sei er bereit ihn zurückzugeben. Eine Bestätigung, dass er den Sitz herausgerissen habe, wollte er mir jedoch nicht ausstellen. Stattdessen bestand er darauf, dass ich den Sitz mitnahm, als Beweis dafür, dass ich nicht schwanger sei. Außerdem bat mich Melnytschenko darum, bei der Hotline anzurufen und dort zu Protokoll zu geben, dass sich der Sitz nicht mehr im Besitz von O. A. Melnytschenko befände. Den betreffenden Gegenstand sollte ich an seinen vom Gesetz vorgesehenen Platz zurückbringen.

Als ich die Wohnung von Melnytschenko mit dem Straßenbahnsitz in der Hand verließ, betrachtete ich mich von der Seite und stellte fest, dass er mir gar nicht so schlecht stand. Ganz im Gegenteil, der Sitz ergänzte mein Aussehen ausgesprochen gut, er stellte zwischen den Farben meiner Kleidungsstücke eine Harmonie her, die es ohne den Sitz nicht gab. Zwanzig Minuten später wurde ich von einem Milizionär aufgehalten, da ich unter dem dringenden Verdacht stand, den Sitz für Mitarbeiter der Wasserwerke aus einer

Straßenbahn entfernt zu haben. Ich erklärte, dass ich den Sitz zu der für den Bibliothekskopierer zuständigen Frau brächte, und schilderte dem Milizionär die ganze Geschichte. Dieser beschloss, den Sitz für Mitarbeiter der Wasserwerke einstweilen an sich zu nehmen und bat mich, von der für den Kopierer zuständigen Frau eine Bestätigung zu verlangen, in der sie darlegte, dass für die Lösung des Problems das Vorweisen des Sitzes für Mitarbeiter der Wasserwerke unerlässlich sei.

Als ich mit dieser Bitte zur Kopierdame zurückkehrte, wunderte sie sich darüber, dass ich ihr den Sitz brachte anstatt einer einfachen schriftlichen Erklärung von Jewhen Pawlowytsch, dass er an einem nebligen Novemberabend den Sitz für Mitarbeiter der Wasserwerke aus einer Straßenbahn der Linie 27 entfernt habe.

Ich erklärte ihr, dass nicht Jewhen Pawlowytsch den Sitz für Mitarbeiter der Wasserwerke herausgerissen hätte, sondern Melnytschenko O. A., welcher mir keine Bestätigung hatte ausstellen wollen, mir jedoch als Beweis dafür, dass ich im Recht war, den Sitz selbst aushändigte. Mit diesem war ich auf dem Weg zu ihr gewesen, als ich von einem Polizisten aufgehalten wurde, der mich bat von ihr, der für den Kopierer Zuständigen, eine schriftliche Bestätigung zu bringen, dass sie den Sitz für Mitarbeiter der Wasserwerke als Beweis brauche, um keine Regeln zu verletzen, wenn sie mir die Kopien der betreffenden Kapitel anfertige.

Der gordische Knoten war gelöst. Und der Sitz kehrte an seinen vom Gesetz vorgesehenen Platz zurück. Ich rief sogar bei der Hotline an und erklärte, dass Melnytschenko O. A. aus der Datenbank gelöscht werden könne, da sich der Sitz nicht mehr bei ihm befände. Die Telefonistin war jedoch nicht bereit, Melnytschenko zu löschen, da sie ihn seinerzeit persönlich kennengelernt und den Eindruck gehabt hatte, dass er jederzeit wieder dazu fähig sei, einen Sitz aus einer Straßenbahn zu reißen, auch wenn er nun wusste, dass Straßenbahnsitze von selbst keine vertikale Position beibehalten.

Am Abend konnte ich nicht einschlafen. Sogar die bereits erwähnten Kopien waren mir dabei keine Hilfe. Ich kam zu dem Schluss, dass mir derartige Dinge immer wieder

passieren würden, solange die vier Sitze für Geschäftsführer hinter der Datscha von Jewhen Pawlowytsch in Snitynka, im Bezirk Fastiwskyj, Region Kiew stehen und nicht in die betreffenden Straßenbahnen zurückkehren würden. Deshalb musste ich ein drittes Mal bei der Hotline anrufen, um nach der Nummer zu fragen, von der aus ich beim ersten Mal dort angerufen hatte.

Jewhen Pawlowytsch schlief auch nicht. Er las ein Buch. Er verstand mein Anliegen sofort und war vollkommen meiner Meinung.

Wir nahmen den ersten Vorortzug nach Snitynka; morgens um 4.59 Uhr fuhren wir vom Kiewer Hauptbahnhof (U-Bahnstation „Wokzalna“) ab. Unterwegs las Jewhen Pawlowytsch in einem Buch von Hans-Georg Gadamer. Als er mit den darin dargelegten Theorien nicht einverstanden war, mussten wir die eine oder andere Stelle lange diskutieren, um am Ende zu einem gemeinsamen Schluss zu kommen. Es schneite zum ersten Mal. Als es dämmerte, sah man, dass alles in dichten Nebel gehüllt war. Jewhen Pawlowytsch nahm die Bank schnell auseinander. Uns wurde jedoch klar, dass wir ein zweites Mal würden kommen müssen, da jeder von uns nur einen Sitz tragen konnte.

Auf dem Weg von der Datscha zur Bahnstation „Snitynka“ waren wir nicht mehr ganz so fröhlich wie auf dem Weg von der Station zur Datscha. Keiner von uns hatte daran gedacht, Handschuhe mitzunehmen, sodass wir kalte, eiskalte Hände bekamen. Trotzdem plauderten wir angeregt miteinander. Plötzlich läutete mein Handy – wie die Silberglockchen, die erklingen, wenn sich das goldene Tabakdöschen öffnet.

Nein, es war nicht mein großes schwarzes Handy, dessen Nummer dreihundert Leute kennen (schließlich findet man sie im Internet), sondern mein kleines grünes. Seine Nummer hat nur eine Person. Und die hatte mir versprochen nur in einem einzigen Fall anzurufen.

Vor Überraschung ließ ich den Sitz fallen. Er knallte auf den eiskalten Asphalt und zersprang in tausend Teile.

[Übersetzung: Maria Weissenböck]

► Oczywiście, nie jeżdżę tramwajem codziennie. Najczęściej wybieram taksówkę. Albo jeden z moich dwóch samochodów: duży różowy lub mały czarny. Czasem bywa, że w ogóle nie potrzebuję środków transportu, bo ktoś mnie zabiera i niesie niczym Ganimedesa. I tylko jedno pozostaje niezrozumiałe: dlaczego dwa razy dziennie łąduję w komunikacji miejskiej.

**
No proszę wstać! Po jakiego diabła zajmuje się miejsce konduktora?!

Bo to miejsce już nie należy do konduktora. Przejazd już od dawna jest bezpłatny! Ale jaki to ma związek? Pracuję jako konduktor w pociągach i to jest moje miejsce. Założyłam palcem książkę, w której jeszcze kilka sekund temu byłam głęboko zatopiona i przesłam na wolne miejsce obok. Ale i tutaj dopadła mnie natrętna paniusia: – Niech dziewczyna wstanie, to jest miejsce dla kierowni-

ka wagonu. Miejsca dla studentów znajdują się w drugim wagonie i są stojące.

– Nie jestem studentką! – głośno zaprzeczyłam, odrzucając czubkiem buta ogryzek jabłka, który przed chwilą się do mnie podtoczył. – Jestem filolożką.

– Miejsca dla osób z wyższym wykształceniem humanistycznym również znajdują się w drugim wagonie – życzliwie uśmiechnęła się kobietka, która siedziała na sąsiednim fotelu pod tabliczką „miejsce dla motorniczego kolejkę linowej”.

**
Miejsce dla filologa okupował tustawy facet, który czytał „Dzekało Tyżnia”.

– Przepraszam – mówię – wygląda na to, że jest to miejsce dla filologa.

– No tak właśnie jest – powiedział grubym głosem tusty facet, oderwawszy się od lektury. – Jestem filologiem i dlatego usiadłem.

– Śmiałem wątpić, iż jest pan filologiem. Bo w tym tramwaju filologiem jestem ja.

– No cóż, w celu potwierdzenia będzie Pani musiała pokazać dyplom wraz z załącznikiem. Pokazałam.

– O mamusiu! – zajączkał facet. – Co za filolog! Z języka ojczystego taka niska ocena!

– To dlatego – mówię – że nie wpisują oceny średniej, a tylko tę ostatnią. A ostatnim etapem w nauczaniu języka jest składnia.

– To składni, znaczy się, już nie trzeba się uczyć?!!! – teatralnie huknął gruby.

– Tak, trzeba. Ale była jedna okoliczność.

– Jaka?

Nachyliłam się do faceta i coś wyszeptalam mu do ucha.

– O Boże! – oburzył się facet.

– I to jeszcze nie wszystko. Potem okazało się, że ona wcale nie jest...

Znowu nachyliłam się nad nim i wyszeptalam drugą część historii.

Gruby aż huknął z oburzenia. Potem uspokoił się i powiedział:

– Teraz widzę, że pani jest prawdziwą filolożką.

I powinienem ustąpić pani miejsca. Ale sytuacja wygląda następująco: jestem księgowym, ale pracuję w pewnym wydawnictwie. Dlatego też, kiedy zobaczyłem, że na miejscu księgowego usiadła babcia, postanowiłem zająć miejsce filologa. Ale jeśli namówi pani tę babcie, żeby przesiadła się na miejsce dla emerytów, chętnie zajmę swoje i ustąpię pani miejsce.

Jak można się domyśleć, babcia, w kierunku której ruszyłam, już usłyszała naszą rozmowę.

– Serdeńko moje – powiedziała – jaskółeczko miła.

Przepióreczko. Nie czepiałabyś się starszych ludzi bez potrzeby, a usiadłabyś w kąciaku na miejscu dla gospodyń domowych.

Po policzkach pociekły mi gorące łzy:

– I po co uczyć się tyle lat?! Żeby jechać w tramwaju na miejscu dla gospodyń domowych?!

– No to znajdź sobie pracę! – ktoś krzyknął.

– Ale ja znalazłam, ale na moje miejsce usiadł ten człowiek, ponieważ na jego miejscu usiadła ta babcia.

– Niech chociaż pani rozwikła tę straszliwą sytuację – zwróciło się do babci kilka głosów.

– Z chęcią przesiadłabym się na miejsce dla emerytów – niewzruszenie odpowiedziała babcia – ale po pierwsze, ktoś już tam siedzi, a po drugie jeszcze pracuję, jestem pracownicą gospodarstwa rybnego. A takiego miejsca wcale nie ma, dwukrotnie obeszałam cały wagon.

– Jak to nie ma?! – dał się słyszeć głos postawnej paniusi.

– Jak to nie ma miejsca dla pracownika gospodarstwa rybnego, jeśli sama na nim siedzę?! Pani po prostu nie widziała odpowiedniej tabliczki, ponieważ zasłaniają ją moje ogromne plecy. Ale i tak nie mogę zaproponować rozwiązania tego przykrego incydentu, ponieważ współpracuję z Regionalnym Zarządem Dróg Wodnych, a takiego miejsca z pewnością nie ma. Co więcej, podejrzewam, iż poprzednio było tam, gdzie znajduje się teraz to wyłamane siedzenie. Dlatego radzę Ci serdeńko, usiądź po prostu na miejscu dla ciężarnych. Wpadłam w szał i postanowiłam, że wyjdę z wagonu na najbliższym przystanku. Ale zauważono to i powstrzymano mnie.

– A dlaczego jest pani taka pewna, że nie jest pani w ciąży? W naszych czasach niczego nie można być

pewnym! Poza tym, to miejsce pozostaje puste, co oznacza, że ktoś w naszym wagonie jest ciężarny, tylko po prostu jeszcze sobie tego nie uświadomił. Dlatego nic strasznego się nie stanie, jeśli póki co posiedzi tam właśnie pani.

Poddałam się losowi i pół przystanku, które mi jeszcze zostało, przejechałam siedząc i we łzach.

Z tramwaju mój szlak wiódł do biblioteki naukowej.

W sferze moich zainteresowań naukowych leżało szybkie skserowanie kilku rozdziałów rzadkiej książki. Jednak, otrzymawszy ją do rąk i odstawszy swoje w długiej kolejce do ksero, zaznałam przykrego rozczarowania usłyszawszy:

– Nie mam prawa skserować dla pani rozdziałów z tej książki, ponieważ jej czytanie jest zabronione ciężarnym kobietom.

– Ale ja nie jestem w ciąży!

– Pozostaję sceptyczna wobec tej wypowiedzi, jechałam bowiem z panią w jednym tramwaju i dokładnie pamiętam, iż siedziała pani na miejscu dla kobiet w ciąży.

– Tak, to czysta prawda. Ale byłam zmuszona tam usiąść, ponieważ na miejscu dla filologa siedział księgowy, dlatego że na miejscu księgowego usiadła pracownica gospodarstwa rybnego, ponieważ na jej miejscu usiadła współpracowniczka Zarządu Regionalnych Dróg Wodnych, która nie miała siedzenia, ponieważ ktoś je zdewastował.

– No cóż, ta historia wydaje mi się dosyć prawdziwa – zauważyła operatorka kserokopiarki. – Nie mogę jednak po prostu, ot tak sobie złamać obowiązujących nas reguł. Potrzebuję pewnych dokumentów zaświadczających Pani słowa. Znam adres człowieka, który dewastuje siedzenia w tramwajach. Proszę się do niego udać, aby uzyskać potwierdzenie, że naprawdę wyłamał miejsce pracownika Zarządu Dróg Wodnych w rzeczonym tramwaju. Nazywa się Miroszenko Jewhen Pawłowicz, urodzony w roku 1954, adres zamieszkania – ul. Horszenina 37, mieszkanie 20.

Jewhen Pawłowicz przywitał mnie nadzwyczaj przyjaźnie, częstował herbatą z ciastkami, od których się wymówiłam. Wówczas zaoferował kilka ogromnych gruszek z własnej daczki.

Potwierdził, że faktycznie wyłamał w tramwajach cztery krzesła, w celu zbudowania sympatycznej ławeczki u siebie na daczki we wsi Snitynka rejonu Fastwskiego w obwodzie kijowskim. Były to jednak miejsca dla kierowników przedsiębiorstw, którzy przeważnie i tak nie jeżdżą tramwajami. A tego miejsca dla pracownika Regionalnego Zarządu Dróg Wodnych, nigdy nie śmiałyby wyłamać ze struktury tramwaju.

– Co mam robić!? – W rozpacz odgryzłam kawałek gruszki. – Jak teraz odnaleźć tego, kto zdewastował miejsce kanałów wodnych?!

– O, proszę się nie martwić. Smutek to jeszcze nie tragedia. Radzę zadzwonić na gorącą linię i zapytać. Może Pani skorzystać z mojego domowego telefonu.

Podziękowałam Jewhenowi Pawłowiczowi za jego dobrą radę oraz za telefon i wykreśliłam numer gorącej linii. Tam najpierw długo nie mogli zrozumieć przedmiotu mojej prośby. Następnie długo szukali w bazie potrzebnej mi osoby. Ale w końcu udało mi się dowiedzieć, że miejsce dla pracownika Regionalnego Zarządu Dróg Wodnych w tramwaju 251, który jeździ po linii 27 zostało zdewastowane przez Melnyczenkę Ołeksandra Anatolijowicza,

ur. 1979, który mieszka pod adresem: ul. Metalistska 24, mieszkanie 71.

Ołeksandr Anatolijowicz nie był taki gościnny jak Jewhen Pawłowicz, jednak szybko zrozumiał sedno sprawy. Poinformował, iż siedzenie, które było miejscem pracownika Regionalnego Zarządu Dróg Wodnych, wyłamał w celu lepszej organizacji swojego gospodarstwa domowego. O ile jednak, poza strukturą tramwaju siedzenie nie utrzymuje położenia wertykalnego, Ołeksandr jest skłonny zwrócić je z powrotem. Jednak nie zgodził się wydać zaświadczenia, iż to on wyłamał siedzenie. Należał natomiast, abym zabrała siedzenie ze sobą, jako dowód dla operatorki kserokopiarki, iż nie jestem w ciąży. Melnyczenko poprosił mnie także, abym zobowiązała się do zadzwonienia na gorącą linię i ustalenia, iż siedzenie nie znajduje się już u O. A. Melnyczenki, a następnie do zamieszenia ww. przedmiotu do tramwaju i postawienia go na właściwe miejsce.

Wyszedszy od Melnyczenki na ulicę z tramwajowym siedzeniem w rękach, popatrzyłam na siebie jakby z boku i pomyślałam, że nie wyglądam z tym siedzeniem tak źle. Przeciwnie. Siedzenie nawet dopełniało mój wygląd zewnętrzny, harmonizując różne barwy mego stroju, które bez siedzenia nie łączyłyby się tak udanie.

Za dwadzieścia minut zostałam jednak zatrzymana przez przedstawiciela milicji, z podejrzeniem o wyłamywanie siedzenia dla pracownika Regionalnego Zarządu Dróg Wodnych ze struktury tramwaju. Wyjaśniłam, iż niosę siedzenie Regionalnego Zarządu Dróg Wodnych do operatorki kserokopiarki i wyjaśniłam całą, wyżej wyłożoną historię. Przedstawiciel milicji tymczasem zdecydował, iż póki co siedzenie zostanie u niego i poprosił mnie o przyniesienie od operatorki kserokopiarki zaświadczenia, iż dla dobra sprawy powinnam przedłożyć fotel pracownika Regionalnego Zarządu Dróg Wodnych.

Kiedy zwróciłam się z tą prośbą do operatorki, wyraziła ona podziw, iż niosłam jej całe siedzenie, zamiast przedstawić zaświadczenie pisemne od Jewhena Pawłowicza o tym, iż faktycznie pewnego mglistego wieczora wyłamał miejsce dla pracownika Regionalnego Zarządu Dróg Wodnych ze struktury tramwaju nr 27. Przyszło mi wyjaśnić, iż Jewhen Pawłowicz nie wyłamał miejsca pracownika Regionalnego Zarządu Dróg Wodnych, a że zrobił to Melnyczenko O.A., który odmówił sporządzania jakichkolwiek dokumentów, natomiast jako dowód na prawdziwość mych słów wydał mi siedzenie, które niosłam tu szczęśliwie, dopóki nie zostałam zatrzymana przez przedstawiciela milicji, który poprosił, aby operatorka kserokopiarki (czyli, że pani) wydała mi zaświadczenie, że potrzebne jest pani siedzenie Regionalnego Zarządu Dróg Wodnych jako dowód na to, że nie łamię pani

żadnych przepisów przez to, że wyda mi pani kserokopie odpowiednich rozdziałów potrzebnej mi książki.

Supeł udało się rozwiązać. I nawet siedzenie trafiło na odpowiednie miejsce. Zadzwoniłam nawet na gorącą linię i wytłumaczyłam operatorce, że warto usunąć Melnyczenkę z bazy, gdyż siedzenie nie znajduje się już u niego. Jednak operatorka nie zgodziła się usunąć Melnyczenki z bazy, ponieważ swego czasu miała osobiste z nim spotkanie i ma wrażenie, iż jest skłonny do wyrwania ze struktury tramwaju siedzeń, nawet upewniwszy się, że poza jego strukturą nie mają one położenia wertykalnego.

W nocy nie mogłam zasnąć. Nawet kserówki ww. książki nie mogły mi w tym pomóc. Zrozumiałam, że nadal będą przytrafiać mi się przykre wypadki, dopóki siedzenia czterech naczelników przedsiębiorstw nie zostaną zwrócone do struktury odpowiednich tramwajów, dopóki stać będą na daczki Jewhena Pawłowicza we wsi Snitynka rejonu Fastwskiego w obszarze Kijowskiej. Dlatego przyszło mi znowu, już po raz trzeci, zadzwonić na gorącą linię i zapytać o numer telefonu, z którego połączyłam się po raz pierwszy.

Jewhen Pawłowicz także nie spał. Czytał książkę. Szybko zrozumiał mój pomysł i w pełni się z nim zgodził. Do Snitynki pojechaliśmy pierwszym pociągiem podmiejskim o godzinie 4.59 rano ze stacji Kijów Pasażerski (metro Dworcowa). W drodze Jewhen Pawłowicz czytał książkę Gadamera. Kiedy nie zgadzał się jego wywodami, długo omawialiśmy to czy inne miejsce, żeby wreszcie dojść do porozumienia. Spadł jednak pierwszy śnieg. Za oknem, kiedy się tylko rozwidniło – znowu się otuliło. Mgłą. Jewhen Pawłowicz szybko rozebrał ławkę. Zrozumielismy jednak, że trzeba będzie wykonać jeszcze jeden kurs, ponieważ każde z nas mogło udźwignąć za jednym razem tylko jedno krzesło.

Z daczki Pawłowicza do stacji kolejowej Snitynka szliśmy już nie tak wesoło, jak ze stacji do daczki. Żadne z nas nie wpadło na to, żeby wziąć rękawiczki, tak więc ręce zmarzły nam do bólu. Jednak gawędziliśmy o czymś wesołym. Aż tu moja komórka zapiszczała głosem srebrnych dzwoneczków, które rozpoczynają swój śpiew, kiedy otwiera się złota tabakierka.

Nie, to nie była ta duża czarna komórka, której numer zna trzysta osób (można go zresztą znaleźć na facebooku), a malutka zielona. Jej numer zna tylko jedna osoba. Mało tego, obiecała, że zadzwoni do mnie tylko w jednym wypadku.

Z zaskoczenia wypuściłam krzesło z rąk. Uderzyło o zmarznięty asfalt i rozleciało się na tysiąc kawałeczków.

[Tłumaczenie: Zofia Bluszcz]

Галина Ткачук (1985, Україна) – поетка, авторка прози та літературної критики. Оpubлікувала поетичну книгу *Біле Благо* (2002) та прозову *Славка* (2006). Вірші Галини Ткачук виходили друком у перекладі російською, проза – польською мовами.

Halyna Tkatschuk (1985, Ukraine) – Dichterin, Prosaikerin und Literaturkritikerin. Verfasserin des Gedichtbandes *Weißes Gut* (2002) und des Romans *Slawka* (2006).

Ihre Gedichte erschienen in russischer, ihre Prosa dagegen in polnischer Übersetzung.

Hałyna Tkaczuk (1985, Ukraina) – poetka, prozaiczka, krytyczka literacka. Autorka tomu poezji *Białe dobro* (2002) i powieści *Slawka* (2006). Wiersze Hałyny Tkaczuk ukazywały się drukiem w przekładach na język rosyjski, zaś proza w przekładach na język polski.

auszüge
fragmenty
фрагменти

AU BORD DE LA MER AU BORD DE LA MER

AU BORD DE LA MER

Der folgende Text von Salome Wieland erscheint in RADAR im Rahmen einer Heftpartnerschaft mit der Leipziger Literaturzeitschrift EDIT – Papier für neue Texte. Wir bedanken uns bei EDIT für den Abdruck des in Radar 1/2010 publizierten Textes „Wenn die Sonne still steht“ von Serhij Zhadan in EDIT 52. ■

Poniższy tekst Salome Wieland prezentujemy w Radarze w ramach partnerstwa z lipskim czasopismem literackim EDIT – Papier für neue Texte. Jednocześnie pragniemy podziękować za przedruk tekstu Serhija Żadana „Czas, kiedy zatrzymuje się słońce” (Radar nr 1/2010) w piśmie EDIT nr 52. ■

Цей текст Саломе Віланд публікується у РАДАРi у рамках співпраці із лясцізьким літературним часописом EDIT – Papier für neue Texte. Ми дякуємо часопису за публікацію у EDIT 52 вміщеного у 1\2010 числі РАДАРУ прозового тексту Сергія Жадана “Час, коли зупиняється сонце”. ■

► In die erwachende Stadt

Ich weiss nie, ob es richtig ist, einzusteigen, oder ob ich warten soll. Vielleicht kommt mein perfektes Auto später? Wie kann ich einen Plan aufstellen, wann ich wo sein werde, wenn ich mich mitnehmen lasse von Fremden? Ich weiss noch nicht, was ich sehen werde an der Grenze, wie der Zaun aussehen wird und was die Migranten mir erzählen. Ich bin immer noch auf der sicheren Seite. Jederzeit könnte ich umkehren, und wäre einen Tag später zuhause, in vertrautem Gebiet. Aber nun sitze ich seit fünf Minuten in Spanien in einer schummrigen Bar, bestelle ein Fischsandwich und eine Cola, werde von einem schon am Mittag betrunkenen Mann angepöbelt, und mir gegenüber sitzt Christophe, der Bahnhofsvorstand von Perpignan. Wir sprechen über Fußball und über die verlorenen Perspektiven der Jugendlichen in seiner Stadt. Was tue ich hier? Ich esse ein Fischsandwich und trinke eine Cola. Was sollte ich denn sonst tun?

Da kommt einer dahergefahren, ein Mann allein in seinem alten Mercedes, der vollbeladen ist, doch der Beifahrersitz ist frei und ich rufe durch die geschlossene Scheibe „dirección Barcelona?“ und schaue ihn sehr bittend an. Er fährt durch die Schranke und hält an, ich laufe zur Beifahrerseite und öffne die Tür, hinter uns hat sich schon wieder die Schranke geöffnet, das nächste Auto will durch und ist blockiert wegen mir. Noch hupt keiner. Ich quetsche mich rein, meinen Rucksack zwischen mich und die Windschutzscheibe gepresst,

Türe zu und los. I go to Morocco, sagt der Fahrer. Ich starre ihn ungläubig an, me too, rufe ich, und er, which city? Oujda, sage ich, und er, that's my city, I was born there! Schon sind wir unterwegs, schon diskutieren wir die Korruption in Afrika, das Bankgeheimnis in der Schweiz und die Mentalität der Menschen überhaupt. Ich habe immer noch meinen Rucksack ins Gesicht gepresst und bin nicht angegurtet, aber in diesem Auto werde ich die nächsten 15 Stunden bleiben.

Jeder Tag ist ein Jahrestag

Ich werde nicht mehr schweigen. Ich bin still in mir und höre, ich bewege mich nicht und sehe, was da ist. Ich bin seit zwei Tagen und zwei Nächten unterwegs und habe nur wenige Stunden geschlafen. Ich stehe am südlichsten Punkt eines Kontinents, meines Kontinents, und schaue hinüber. Das muss der Mosesberg sein, der dort aus dem Nebel ragt. Ich halte die Karte der Mittelmeerländer in meiner Hand, die iberische Halbinsel sieht aus wie ein Küken, auf dessen Schnabelspitze ich gerade stehe. Ich finde mich wieder. Ich wurde geboren, um heute hier zu sein. Wissen, dass ich heute hier bin, weil ich hier sein muss heute. Ich besuche Menschen, von denen weiss niemand, warum sie da sind, nicht einmal sie selber können sich erklären. Sie selber sagen: Ich hätte auch bleiben können und sterben. Also sind sie weggegangen und hier gelandet. Ich bin auch weggegangen und hier gelandet, ich gehe bald zurück. Die ersten

sehe ich in einer großen spanischen Hafenstadt. Sie laufen im Hafenviertel herum und könnten irgendwer sein. Aber mit dieser Hautfarbe müssen sie von irgendwo hergekommen sein. Eine Frau ruft die Polizei an: Da sitzt ein Schwarzer in meinem Restaurant und trinkt einen Kaffee. Die Polizei rückt nicht aus deswegen, nur Wochen später finden sie ihn tot vor einer Hütte.

Manchmal weiß ich, wo ich bin. Manchmal bricht alles über mir zusammen. Dann liege ich im Bett und alles fällt mir ein. Dann träume ich, dass ich Helikopter fliegen sollte. Ich will nicht glauben, dass ein Abschied für immer gelten kann. Abschiednehmen ist eine Flussteilung um eine Insel herum. Mit einem Bein im Noch, mit dem andern im Schon, dazwischen gibt es verschiedene Tode: Die überraschenden, die schleichenden, die friedlichen, die qualvollen. Bin ich am Leben oder am Sterben? Wenn man stirbt, lebt man noch, und wenn man lebt, stirbt man noch. Wann beginnt ein Tod und wo hört er auf? Beginnt er schon beim Älterwerden, also bei der Zeugung? Oder von dem Zeitpunkt an, an dem ein Mensch nicht mehr wächst? Oder dann, wenn Körperfunktionen zu versagen beginnen? Dann atmet man und kriegt nicht mehr genug Luft. Man bewegt sich und jede Bewegung schmerzt an einem anderen Ort. Oder man läuft auf einer Straße, und im nächsten Augenblick ist man nicht mehr da. Leben ist nicht mehr noch nicht und noch nicht nicht mehr. So bin ich ängstlicher geworden. Auf ein klar definiertes Ziel entschlossen hinstrebende Menschen stoßen mich ab. Sich treiben lassende Menschen stoßen mich ab. Ich stoße mich selbst ab. Was zieht mich an? Ziehe ich meine Zukunft an oder sie mich? Ist sie schon da und ich laufe hinein? Ich habe gelernt, dass ich Geschehenes nicht ungeschehen machen kann, und dass ich Konsequenzen des Geschehenen nicht umgehen kann, ich kann nur mit ihnen umgehen, umhergehen, durch sie hindurch untergehen. Ich gehe. Ich sterbe. Ich finde morgen meine Liebe. Ich gehe niemals. Ich kriege schon nächste Woche mein Leben in den Griff. Ich muss gehen. Ich entscheide mich. Ich entscheide mich nie. Ich entscheide mich dagegen. Dafür. Ich will mehr.

Möglichkeiten im Rücken

Ich liege auf dem Boden einer Fähre. Meine Füße lege ich auf mein Gepäck, mein Geld ist an meinen Bauch gebunden. Da liegen Füße am Ende meines Schlafsacks. Haben sie mich hierhergetragen? Da ist Geld um meinen Bauch geschnallt, was wird damit geschehen? Das Schiff schwankt langsam aber mächtig, unser Deck ist menschenleer. Ich verstopfe mir die Ohren mit Schaumgummi und höre ein gleichmäßiges entferntes Brummen. Ich binde mir einen Ärmel um den Kopf, so dass es dunkel wird. So fahre ich nach Afrika: Mit verbundenen Augen und zugestopften Ohren, mit den Füßen auf einem Rucksack und meiner Brille in den Schuhen. Bevor ich einschlafe, frage ich mich, ob da sonst noch wer auf dem Wasser ist, jetzt gerade, mitten in der Nacht, und ob ihr Boot auch so schwankt. Dann falle ich hinunter, in eine Welt ohne Boden und ohne Wasser, da gibt es nur Flächen aus Licht, auf denen man laufen kann oder nicht, mehrere Ebenen liegen übereinander und doch nicht, die Häuser sind in alle Richtungen gebaut. Wenn ich etwas aus der Distanz anschau, bin ich im nächsten Augenblick schon dort. Ich denke mich durch die Welt,

während mich eine Fähre in acht Stunden von Europa nach Afrika führt, schwankend das Wasser durchpflügt. Ich scheine zu schweben. Wie kann ich auf dem Wasser sein ohne unterzugehen? Gehe ich nur deshalb nicht unter, weil ich das Wasser nicht sehe? Habe ich mir deshalb die Augen verbunden, um nicht untergehen zu können? Wo ich liege, kann ich in Wirklichkeit gar nicht sein. Meine Hände suchen meine Brille, suchen eine Lampe, suchen eine Uhr. Meine Hände tasten sich durch Schuhbündel, Rucksacktaschen und Jackenärmel, während ich immer noch mit verbundenen Augen daliege, während sich der Boden hebt und senkt, hebt und senkt. Ich packe die Enden alles Angefangenen und ziehe sie zusammen, ich verknote sie und bette mich hinein wie in eine Hängematte. So in der Luft schwebend entspanne ich mich, fühle die Möglichkeiten im Rücken wie offene Türen. Da ist niemand anderes in der Welt, die mir zur Heimat wird, aber es ist alles da: Nichts fehlt. Da ist ein Feuer in der Nähe, es brennt mich nicht und hält mich am Leben. Ich bewege mich liegend darum herum, die Flammen atme ich ein. Dann erwache ich, weil Licht zu meinen Augen dringt. Durch die verregnete Glasscheibe sehe ich Lichter. Rings um mich herrscht Aufbruchstimmung, Mütter wecken ihre Kinder, übernachtigte Männer sitzen daneben und sind bleich. Die Folgen meines Schlafentzugs sind noch nicht ausgestanden, noch ist mir nicht klar, welche Wirklichkeit gewinnt. Ich entscheide mich für die Lichtwelt und packe meine Sachen zusammen, schwanke hinaus in den kalten Wind, mache meine Augen zu, während wir am Hafen anlegen.

Ich schaue mir die Sache an

Ich erwache, der Boden schwankt, draußen ist es nicht mehr so dunkel wie zwei Stunden vorher, als ich aufgewacht war. Ich sehe Lichter vor uns, das muss die Küste von Melilla sein, Spanien auf afrikanischem Boden. Die ersten Schritte sind nichts Ungewöhnliches, es ist ein großer, leerer Parkplatz. All die Menschen, die mit mir auf der Fähre waren, sind spurlos verschwunden, ich scheine die einzige zu sein, die an diesem Morgen unterwegs ist. Gegen Abend sitze ich im Bus zur Grenze. Als ich aussteige, wimmelt es von Zigarettenverkäufern, verschleierte Frauen mit vollen Einkaufstaschen, von Lieferwagen und Geldwechslern. Auf einem Platz direkt vor dem spanischen Grenzposten wird ein zerbeultes Auto auf einen Abschleppwagen gezogen. Dahinter sehe ich zum ersten Mal den Grenzzaun. Er beginnt beim Grenzposten und zieht sich die Hügel hinauf und an kleinen Dörfern vorbei. Irgendwo hinter einer der vielen Hügelkuppen verschwindet er aus meinem Blickfeld. Ich laufe hin und bin plötzlich allein, nur ab und zu fährt ein Auto an mir vorbei. Der Zaun ist eigentlich mehrere Zäune. Auf der marokkanischen Seite steht ein vier bis fünf Meter hoher Zaun, auf dem schräg stehende Klappen angebracht sind, jede knapp einen Meter breit. Wer hochklettert, muss diese Klappen überwinden, allerdings fallen sie bei Belastung nach innen, so dass die kletternde Person hinunter stürzt auf die gespannten Drahtseile. Direkt nach diesem ersten Zaun nämlich kommt ein zweiter, kleinerer Zaun, und dazwischen ist ein Labyrinth von Drahtseilen gespannt, die über- und durcheinander gehen. Ich möchte nicht dort hineinfallen. Ich schaue mir die Sache an und komme zum Schluss, dass einem die Seile

alles aufschneiden würden; mit Sicherheit würde man sich etwas brechen; ein Bein oder ein Arm stößt dort hinein und der Rest des Körpers wird abgedreht und wäre in einem Geflecht daneben gefangen. Außer Drahtseilen sehe ich Sensoren, die CS-Gas auslösen und Alarm. Alle paar Meter stehen da große Flutlichter und alle zweihundert Meter Wachposten. Nach dem bereits erwähnten zweiten Zaun steht noch ein dritter da, der mit 6 Metern der höchste ist. Manchmal sind die Zäune auch elektrisch geladen.

Ich stehe auf der sicheren Seite des Zauns, kein Mensch interessiert sich dafür, ob ich hier bin oder nicht. Ich weiß um die Erhöhung des Zauns, und dass vorher an dieser Stelle zwei Männer erschossen wurden beim Versuch, hinüberzukletterern.

Was soll ich jetzt tun, wo ich hier bin? Ich stehe auf europäischem Boden in Afrika, zwei Meter vor mir beginnt Marokko, und dort in den Wäldern leben Menschen in Verstecken. Den Zaun zu überwinden ist aussichtslos geworden. Heute muss man sich unter Lastwagen hängen, sich über die Achsen legen oder sich in Lüftungsschächten von Reiseautos verstecken. Was, wenn ich auf der anderen Seite stehen würde? Warum können gerade mir diese zwei Meter Distanz nichts anhaben, warum stehe ich hier und nicht dort? Wochen später werde ich durch mir vertraute Städte laufen. Ich werde Frauen anschauen, die mir auf der Straße begegnen, und an Grenzschilder denken. Ich lebe innerhalb von Grenzen, die von Grenzschildern bewacht werden, und die frei verfügen über die Körper, die hinüberwollen.

Ich schreite den Zaun ab und suche nach Zeichen von Leben. Spatzen sitzen in den Maschen des äußersten Zaunes und machen Pause. Ich verlasse die Schutzzone und zeige meinen Pass dem nächsten Beamten vor.

Draußen rauscht die mächtige Tanne

Wo sind die Migranten? Gestern erst ist mir etwas eingefallen und bis heute nicht wieder zum Vorschein gekommen. Ich will die Migranten sehen. Es gibt keine Migranten hier. Ich muss umkehren, nicht weiter hinauflaufen. Ich laufe hinunter, meinen Rucksack habe ich untergestellt, ich suche einen Weg in die Altstadt, aber die Altstadt ist abgeriegelt. Von oben habe ich hineingesehen zwischen die Mauern, auf Treppen und Durchgänge. Nun stehe ich vor hohen Mauern, und wo immer ich das Gefühl habe, eine Lücke zu finden, steht schon eine weitere Mauer hinten an. Männer in orangen Overalls winken mich weiter, winken mich fort. Ich laufe durch saubere Straßen, an Schaufenstern vorbei. Ich suche eine Straße ohne Schaufenster.

Irgendwann ist einer von irgendwo nach woanders gezogen. Wäre ich nicht losgefahren, würde ich sterben, wo ich war. Die Männer, denen ich hier begegne, sind vielleicht schon lange tot. Wie Statuen stehen sie an einem Ort, und auf den ersten Blick kann ich nicht erkennen, ob sie atmen oder nicht. Ich laufe durch einen Park, der leer ist bis auf zwei solche Männer. Einer steht da, der andere macht Muskelübungen. Er macht Liegestütze mit den Händen auf einer Parkbank. Macht er den ganzen Tag Liegestütze? Lebt einer noch, der Zeit hat, den ganzen Tag Liegestütze zu machen?

Heute laufe ich durch ein Land, welches in Wirklichkeit gar keines ist. Ich laufe durch eine Enklave wie durch eine Lücke, die irgendwo fehlt, die falsch eingesetzt

wurde und mir keinen Eingang zeigt zur Altstadt. Erst am Nachmittag finde ich einen und laufe durch enge Gassen. Die einzigen Lebewesen, die mir begegnen, sind Katzen und Mäusen. Sonst höre ich nur die Brandung des Meeres von tief unten, und ab und zu Baustellengeräusche. Ich setze mich an einen windigen Ort und passe auf.

Die Deportierten laufen zurück

Die Deportierten laufen zurück. Es ist Nacht, weit entfernt Lichter einer Stadt, kaum auszumachen von hier. Ich sehe Gestalten durch die Wüste laufen. Ich träume, dass ich ins Erdloch geworfen werde, dabei liege ich in einem Hotelzimmer und nicht dort, wo die Polizei am Morgen alles niederbrennt und alle Schlafenden in die Wüste fährt. Stattdessen liege ich unter tausend Decken und friere, jemand legt mir eine Wärmeflasche auf die Füße. Ich schreie und weine, Fieber schüttelt mich und jemand wiederholt immer wieder: C'est normal, c'est normal. Die Hausmutter fragt mich in Zeichensprache, ob ich meine Periode habe. Frauengeheimsprache. Wir müssen nicht zum Arzt fahren, es ist alles normal. Ich muss auch nicht über etwas schreiben, es ist alles normal, ein Regelwerk nimmt seinen Lauf und hört nicht eher auf bis alle Arbeit getan ist. Pünktlich wie eine Kuckucksuhr klappen Autotüren auf und es stürzen Polizisten heraus, alles in der Hand haltend: Schlagstöcke und Handschellen, Benzinkanister und Zündhölzer. Es braucht nicht viel, um ein Zeltlager anzuzünden.

Ich treffe Frauen aus Nigeria, aus Ghana, aus Guinea, aus Senegal. Sie tragen Grenzwächterkinder in sich, die wurden ihnen angehängt in der Wüste, im Gefängnis, in Militärlagern, am Grenzzaun. Wenn die Kinder mit ihren Müttern nicht ertrinken, können es einige bis zu uns schaffen. Dann wachsen sie in kleinen Schweizer Dörfern auf und besuchen die lokale Schule, spielen Verstecken mit den Kindern der Käfersfrau. Wenn sie in der zweiten oder dritten Klasse sind, bekommt die Mutter Post und bald darauf ist kein schwarzes Kind mehr in der Klasse, weil es wieder zurückgebracht wurde. Damals wohnte Victoria aus Kamerun im Haus am Fluss. Ich erinnere mich, sie besucht zu haben, als sie mit Blutungen und hohem Fieber im Bett lag. Sie war am Tag ihrer Bauchoperation aus dem Spital entlassen worden, wenige Stunden nach der Vollnarkose lief sie die zwei Kilometer zum nächsten Bahnhof und lag später zuhause im Bett, als wir sie fanden.

Heute kommt so etwas nicht mehr vor. Heute müsste Victoria nicht mehr bis ins Emmental laufen, denn heute sind exterritoriale Unterstützungslager in der libyschen, algerischen, marokkanischen Wüste gebaut. Dort unten hat jeder Mensch seine Rechte, er darf sie für sich behalten und mit zurück nehmen.

Heute schlafen sie nicht, weil sie damit rechnen müssen, aufgeschreckt und weggefahren zu werden. Kann man davon halten was man will? Was kann ich halten davon? Ich halte meinen Fotoapparat in der Hand, ich halte mein Notizbuch in der Hand und einen Kugelschreiber. Ich sitze an einem Tisch gegenüber von Männern, ich schreibe mit so schnell ich kann. Dann werde ich nach Hause gehen und meine Sachen zusammenpacken, ich werde mich verabschieden von allen und allen alles Gute wünschen, mich bedanken und versprechen, zurückzu-

kommen. Ich werde schlafen und aufwachen und zum Bahnhof fahren, in einen Zug steigen, ich werde weggebracht werden, wohin ich will.

Ich kann gewisse Wörter nicht mehr in den Mund nehmen. Ich kenne sie noch, aber lieber spucke ich aus, als sie mit meiner Zunge zu formen. Ich kann gewisse Sachen nicht mehr essen.

Ich habe keine Eigenwärme mehr

Ich nehme keine Nahrung mehr auf, nur Wasser trinke ich noch und erinnere mich an die Zeit, als ich den Tod an mir vorbeigehen sah und als ich zuschauen musste, wie er sich einen andern holt. Da wurde dem Tod einer ausgeliefert, da wurde einer in den Tod abgeschoben. Natürlich hat das etwas miteinander zu tun: Einer wird in den Tod geschoben, andere aus dem Garten verdrängt. Wenn ich die Wüste wäre, würde ich was tun? Heute renne ich nicht mehr um mein Leben. Ich könnte es leicht verlieren, aber noch viel leichter könnte ich es bis zum Tod festhalten. Versteht mich jemand? Es geht um mein Leben, und ich weine um die Leben der anderen, deren Träume allein geblieben sind. Ich schreie um Hilfe: Da muss so viel anders werden. Ich bewege mich durch die Schichten, die meine Welt umgeben, und suche die, in der ein starker Wind weht. Dinge müssen dringend bewegt werden.

Würde ich einen Migranten abholen, in Tarifa, und ihn zu mir nach Hause schmuggeln? Und dann, was würde ich mit ihm tun? Wie ginge das überhaupt, einen Migranten zu schmuggeln? Ich verspreche Dinge um Hoffnung am Leben zu erhalten, naiv und unüberlegt fahre ich nach Afrika um Hoffnungslosen Mut zu machen. Ich maße mir an, Hoffnung zu machen oder nicht. Wer hat die Hoffnung erschaffen, und wann ist sie ausgeschöpft? Stirbt niemand mehr, wenn die Hoffnung tot ist? Ich weine um Schicksale, die ich vorher nicht gekannt habe. Zuerst denke ich an die, die sich umgebracht haben. Wer aufs Wasser hinausfährt, weil er leben will – ist das einer, der sich umbringt? Oder wurde er schon umgebracht, bevor er aufbrach?

Auf dem Schnee liegt heute Wüstensand

Eine Spinne hat ein Netz gebaut, gespannt hängt es an zwei kaum sichtbaren Fäden zwischen Schuppen und Haus. Gespannt stehe ich davor und warte auf das erste

Opfer. Eine Fliege fliegt durch eine Masche des Netzes. Eine Elster fliegt aus der Tanne heraus. Einer hat sich gerade von der Brücke gestürzt.

Vielleicht hat der eine nichts mit dem andern zu tun. Aber heute sitze ich zwei Männern gegenüber im ersten Stock eines versteckten Restaurants; ich werde beäugt, auf der Straße, in der Stadt, im Taxi. Heute laufe ich durch einen Fiebertraum: Nebenan liegt ein Geisterlager, ich sehe Männerkörper auf Mauern sitzen, leben sie noch? Mir gegenüber sitzen zwei, die mehrmals überlebt haben. Sie essen und trinken, sie telefonieren und laufen, sprechen und sitzen, aber wo ist das Leben hin? Ich laufe durch die Station der Seelentoten. Sie erzählen mir von einer Geisterstadt in der Wüste, von tagelangen Märschen und so vielen Toten, wie ich es mir nicht vorstellen kann. Keiner führt Buch darüber, aber alle erinnern sie sich an die Zahlen: 37 von 96 haben überlebt, 21 von 62 nicht. Ich werde müde und möchte schlafen. Aber ich muss zuhören, gerade jetzt muss ich zuhören. Es gibt nur diesen einen Moment, diese eine Stunde. Vielleicht sind sie morgen schon tot, wen kümmert es schon: Ihre Familien fragen nach Geld und alle andern sind froh, wenn da zwei weniger sind. Natürlich weiß jeder darum. Ich schaue auf und sage: Wenn du durchs Feuer musst, wird dich keine Flamme brennen, und wenn du noch einmal hinschaust, dann ist da gar keiner mehr. Es ist dann, als wäre nie jemand dagewesen. Zeig mir den, der dich umbringen will, und ich führe dich zum Tisch, der für dich gedeckt ist. Worte geistern in meinem Kopf herum, während ich durch eine verlassene Stadt laufe, in der es an Wasser mangelt. Gerade noch konnte ich bestellen, was ich wollte, und bezahlen für alle. Aber hier, in dieser Stadt, lebt keiner mehr, für den ich bezahlen könnte. Das ist das Furchtbare: Da, wo ich durchlaufe, sind sie nicht. Und da, wo sie sind, läuft keiner durch. Sie laufen durch Feuer und werden verbrannt, und im Wasser sterben sie in Hundertschaften. Nur weil es jeder weiß, heißt das noch lange nicht, dass ich es nicht mehr schreiben muss. Eine Freundin schreibt mir einen Brief und dort steht: Auf dem Schnee liegt roter Sand und man hat mir gesagt, der sei von der Sahara. Oben im Diemtigtal haben sie einen Toten gefunden, man sagt, der sei aus Somalia. Ich frage mich, wer länger gebraucht hat, er oder der Sand.

mawiamy o piłce nożnej i o straconych perspektywach młodych ludzi w jego mieście. Co tutaj robię? Jem sandwicza z rybą i piję colę. A co innego miałabym robić?

Wtem ktoś nadjeżdża, facet sam w starym mercedesie, załadowanym do pełna, ale siedzenie obok kierowcy jest wolne, wołam więc przez zamkniętą szybę „direcció Barcelona?” i patrzę na niego błagalnie. Mija szlaban i zatrzymuje się, podbiegam do wozu od strony miejsca dla pasażera i otwieram drzwiczki, szlaban za nami podniósł się już znowu, następne auto chce przejechać, ale nie może z mojego powodu. Jeszcze nikt nie trąbi.

Gramolę się do szoferki, plecak wciskam między siebie a przednią szybę, zamykam drzwi i jazda. I go to Morocco, mówi kierowca. Z niedowierzaniem wytrzeszczam na niego oczy, me too, wołam, a on na to, which city? Oujda, mówię, a on, that's my city, I was born there! I już jedziemy, już dyskutujemy o korupcji w Afryce, tajemnicy bankowej w Szwajcarii i mentalności ludzi w ogóle. Wciąż jeszcze trzymam plecak wciśnięty w twarz i nie zapięłam pasów, ale w tym aucie spędzę następnych piętnaście godzin.

Każdy dzień to rocznica

Nie będę już milczeć. Jestem wyciszona a słucham, nie ruszam się i bacznie obserwuję. Od dwóch dni i dwóch nocy jestem w drodze, spałam zaledwie kilka godzin. Stoję w wysuniętym najdalej na południe punkcie kontynentu, mojego kontynentu, i patrzę na drugą stronę. To, co wylania się z mgły, to pewnie Góra Mojżesza. Trzymam w ręku mapę krajów śródziemnomorskich, Półwysep Iberyjski wygląda jak pisklę, właśnie stoję na czubku jego dzioba. Odnajduję tam siebie. Urodziłam się, żeby dzisiaj być tutaj. Wiedzieć, że dzisiaj jestem tutaj, bo dzisiaj muszę tu być. Mam odwiedzić ludzi, o których nikt nie wie, dlaczego są w tym miejscu, nawet oni sami nie potrafią sobie tego wyjaśnić. Mówią: Mogłem też zostać i umrzeć. A więc wyjechali i wylądowali tutaj. Ja także wyjechałam i wylądowałam tutaj, wkrótce wrócę. Pierwszych widzę w dużym hiszpańskim porcie. Kręcą się po dzielnicy portowej i mogliby być kimkolwiek. Ale mając taki kolor skóry, musieli skądś przyjechać. Jakaś kobieta dzwoni na policję: W mojej restauracji siedzi czarny i pije kawę. Z tego powodu policja naturalnie nie ruszy tyłkiem, ale parę tygodni później znajdują go martwego przed jedną z chat.

Czasami wiem, gdzie jestem. Czasami wszystko się na mnie wali. Leżę wtedy w łóżku i najróżniejsze rzeczy przychodzą mi do głowy. Śni mi się wtedy, że mam lecieć helikopterem. Nie chce mi się wierzyć, że pożegnanie może być na zawsze. Żegnanie się jest jak rozdzielone wody rzeki opływającej wyspę. Jedną nogą w „jeszcze”, drugą w „już”, pomiędzy są różne śmierci: zaskakujące, skradające się, spokojne, w mękach. Jestem przy życiu czy umieram? Kiedy człowiek umiera, znaczy, że jeszcze żyje, a kiedy żyje, śmierć jest jeszcze przed nim. Kiedy śmierć się zaczyna i gdzie się kończy? Czy zaczyna się już, gdy człowiek zaczyna się starzeć, czyli od chwili spłodzenia? Czy może od momentu, w którym człowiek przestaje rosnać? Czy wtedy, kiedy zaczynają wysiadać funkcje życiowe organizmu? Bierze człowiek oddech, a nie nabiera dość powietrza. Porusza się, a każdy ruch sprawia ból w innym miejscu. Albo idzie ulicą, a w następnej chwili go nie ma. Życie już nie jest „jeszcze nie” i nie jest jeszcze „już nie”. Stałam się więc bardziej bojaźliwa. Ludzie zmierzający zdecydowanie do jasno określonego celu działają na mnie odpychająco. Tak samo działają na mnie ludzie, którzy zajmują bierną postawę. Ja sama działam na siebie odpychająco. Co mnie przyciąga? Czy ja przyciągam swoją przyszłość, czy ona mnie? Czy ona już tam jest i ja w nią wchodzę? Nauczyłam się, że nie potrafię cofać tego, co się stało, i nie potrafię uniknąć konsekwencji tego, co się stało, potrafię tylko się z nimi obchodzić, obchodzić je, przechodzić pod nimi. Chodzę. Umieram. Jutro znajdę

swoją miłość. Nigdy nie odejdę. Już w przyszłym tygodniu wezmę w garść swoje życie. Muszę odejść. Decyduję się. Nigdy się nie zdecyduję. Decyduję się przeciw. Za. Chcę więcej.

Możliwości w plecach

Leżę na pokładzie promu. Nogi kładę na swoim bagażu, pieniądze mam w szaszetce na brzuchu. Oto nogi spoczywające na końcu mojego śpiwora. Czy one przyniosły mnie tutaj? Oto pieniądze w szaszetce przypiętej do mojego brzucha, co się z nimi stanie? Statek kołysze się powoli, lecz mocno, na pokładzie nie ma żywej duszy. Zatykam sobie uszy gąbką i słyszę monotony odległy pomruk. Obwiązuję sobie głowę rękawem i robi się ciemno. Tak płynę do Afryki: z zawiązanymi oczami i zatkanymi uszami, z nogami na plecaku i okularami włożonymi do butów. Przed zaśnięciem zastanawiam się, czy jest jeszcze ktoś na wodzie oprócz nas, właśnie teraz, w środku nocy, i czy ich łódź też się tak kołysze. Potem spadam w dół, w świat bez pokładu i wody, są w nim tylko platy światła, po których można chodzić albo i nie, kilka płaszczyzn położonych jedna nad drugą, a zarazem nie, domy zbudowane we wszystkich kierunkach. Ledwo spojrzę na coś z dystansu, w następnej chwili już tam jestem. Moja myśl wędruje przez świat, a tymczasem prom przez osiem godzin wiezie mnie z Europy do Afryki, kołysząc się przeoruje fale. Mam wrażenie, że się unoszę. Jak mogę być na wodzie, a nie tonąć? Czy tylko dlatego nie tonę, że nie widzę wody? Czy nie po to zawiązałam sobie oczy, żeby nie móc utonąć? Tam gdzie leżę, w rzeczywistości może mnie w ogóle nie być. Moje dłonie szukają okularów, szukają latarki, szukają zegarka. Moje dłonie przedzierają się po omacku przez sznurówki, kieszenie plecaka i rękawy kurtki, a tymczasem ja w dalszym ciągu leżę z zawiązanymi oczami, a tymczasem pokład podnosi się i opada, podnosi się i opada. Chwytam końce wszystkiego co ponapoczynane i łączę je, związuję je ze sobą i układam się w nich jak w hamaku. Unosząc się tak w powietrzu, odprężam się, czuję w plecach możliwości jak otwarte drzwi. Nie ma nikogo innego na świecie, który staje się moją ojczyzną, za to jest wszystko: niczego nie brakuje. W pobliżu jest ogień, który mnie nie parzy i trzyma mnie przy życiu. Leżąc poruszam się wokół niego, wdycham płomienie. Potem się budzę, bo światło widzi się do moich oczu. Przez załaną deszczem szybę widzę jakieś światła. Wokół mnie panuje już niepokój związany z końcem podróży, matki budzą dzieci, obok siedzą bładzi niewyspani mężczyźni. Jeszcze odczuwam skutki braku snu, jeszcze nie mam jasności, która rzeczywistość zwycięży. Decyduję się na świat światła i pakuję swoje rzeczy, wytaczam się na pokład, gdzie wieje zimny wiatr, i zamykam oczy, kiedy przybijamy do portu.

Przyglądam się sprawie

Budzę się definitywnie, pokład się kołysze, na zewnątrz nie jest już tak ciemno jak przed dwiema godzinami, kiedy po raz pierwszy się obudziłam. Widzę przed nami jakieś światła, to pewnie wybrzeże Melilli, skrawek Hiszpanii na lądzie afrykańskim. Pierwsze kroki to nic niezwykłego, duży, pusty parking. Wszyscy ludzie, którzy byli ze mną na promie, zniknęli bez śladu, wygląda na to, że jestem jedyną osobą w podróży tego ranka. Pod wieczór siedzę w autobusie jadącym do granicy.

Kiedy wysiadam, wokół mnie roi się od sprzedawców pa-pirosów, zakwefionych kobiet z wyładowanymi torbami na zakupy, samochodów dostawczych i handlarzy walutą. Na placu przed hiszpańskim posterunkiem granicznym wciągają właśnie poobijane auto na samochód holowni-czy. Za budynkiem widzę po raz pierwszy płot granicz-ny. Zaczyna się przy posterunku granicznym i ciągnie wzdłuż pagórków obok małych wiosek. Za jednym z wielu wzniesień znika z mojego pola widzenia. Podbie-gam do niego i nagle jestem sama, z rzadka przejeżdża obok mnie jakieś auto. Płot to właściwie kilka płotów. Po stronie marokańskiej stoi płot wysoki na cztery do pięciu metrów, na nim umieszczone są ukośne kłapy, każda szerokości niespełna pół metra. Podczas wspina-czki trzeba pokonać owe kłapy, tyle że pod ciężarem składają się one do środka i wspinająca się osoba spada na rozpięte druty.

Bo zaraz za tym pierwszym płotem jest drugi, niższy płot, a między nimi labirynt stalowych lin biegnących jedna nad drugą wzdłuż i w poprzek. Nie chciałam tam upaść. Przyglądam się sprawie i dochodzę do wniosku, że te liny pocięłyby człowiekowi wszystko; na pewno by sobie coś złamał; noga lub ręka przechodzi między nimi, ale reszta ciała zostałaby wykręcona i utknęłaby w takim splocie. Oprócz stalowych lin dostrzegam czujniki, które włączają alarm i gaz obezwładniający. Co kilka metrów stoją wielkie reflektory, a co dwieście metrów strażnik. Za wspomnianym już drugim płotem jest jeszcze trzeci, najwyższy, bo sześciometrowy. Czasami płyty są dodat-kowo pod napięciem.

Stoję po bezpiecznej stronie płotu, nikogo nie interesuje, czy tutaj jestem, czy mnie nie ma. Wiem o podwyższeniu płotu i że wcześniej w tym miejscu zastrzelono dwóch mężczyzn podczas próby jego sforsowania.

Co mam teraz zrobić tu, gdzie jestem? Stoję na europej-skim gruncie w Afryce, dwa metry przede mną zaczyna się Maroko, a tam w lasach ludzie mieszkają w kryjów-kach. Nie mają już szans na pokonanie płotu. Dzisiaj trzeba by się podwiesić pod ciężarówką, położyć na osiach albo ukryć w szybach wentylacyjnych autobusów wycieczkowych. A co by było, gdybym stała po tamtej stronie? Dlaczego akurat mnie nie mogą zaszkodzić te dwa metry odległości, dlaczego stoję tu, a nie tam? Parę tygodni później będę chodzić po znanych mi miastach. Będę patrzeć na spotykane na ulicy kobiety i myśleć o strażnikach granicznych. Żyję w obrębie granic strze-żonych przez strażników granicznych, a oni mają władzę nad ciałami, które chcą się dostać na drugą stronę. Idę wzdłuż płotu i szukam oznak życia. Wróble siedzą w otworach zewnętrznego płotu i robią sobie przerwę. Opuszczam strefę buforową i pokazuję paszport najbliższemu urzędnikowi.

Na zewnątrz szumi potężna jodła

Gdzie są emigranci? Dopiero wczoraj coś rzuciło mi się w oczy i nie pojawiło się do dzisiaj. Chcę zobaczyć emi-grantów, ale ich tutaj nie ma. Muszę zawrócić, nie mogę iść dalej wzdłuż płotu.

Schodzę więc na dół, plecak postawiłam pod płotem, szukam drogi do starówki, ale starówka jest odcięta. Z góry przez odstęp między murami zajrzałam do środka, na schody i wąskie przejścia. Teraz stoję przed wysokim murem, ale gdziekolwiek mam nadzieję znaleźć lukę, czeka już za nim następny mur. Mężczyźni w poma-

rańczowych kamizelkach machają na mnie, żebym przechodziła dalej, żebym odeszła. Idę czystymi ulicami, mijam wystawy sklepów. Szukam ulicy bez wystaw. Ktoś kiedyś przeniósł się skądś dokądś. Gdybym nie wyjechała, umarłabym tam, gdzie byłam. Możliwe, że mężczyźni, których spotykam, dawno nie żyją. Stoją w jednym miejscu jak posągi i na pierwszy rzut oka nie potrafię odróżnić, czy oddychają, czy nie. Idę przez jakiś park, w którym nikogo nie ma z wyjątkiem dwóch takich mężczyzn. Jeden stoi, drugi wykonuje ćwiczenia gimnas-tyczne. Robi pompki, opierając ręce na ławce parkowej. Czy przez cały dzień robi pompki? Czy ktoś, kto ma czas przez cały dzień robić pompki, jeszcze żyje?

Dzisiaj wędruję przez kraj, który w rzeczywistości wcale nie jest krajem. Wędruję przez enklawę jak przez lukę, której gdzieś brakuje, która została wstawiona w niewłaściwym miejscu i nie ukazuje mi wejścia na starówkę. Znajduję je dopiero po południu i wędruję ciasnymi uliczkami. Jedynie żywe istoty, jakie spotykam, to koty i mewy. Poza tym słyszę daleko z dołu szum przyboju, a od czasu do czasu odgłosy z placów budowy. Siadam w wietrznym miejscu i wytężam uwagę.

Deportowani wracają

Deportowani wracają. Jest noc, w oddali światła miasta, ledwo można je stąd dostrzec. Widzę postacie biegnące przez pustynię. Śni mi się, że wrzucono mnie do jakiejś jamy, tymczasem leżę w pokoju hotelowym, a nie tam, gdzie policja rano wszystko spali i wywiezie wszystkich śpiących na pustynię. Zamiast tego leżę pod stoma ko-cami i marzę, ktoś kładzie mi na stopy termofor. Krzyczę i płaczę, od gorączki mam dreszcze, ktoś ciągle powtarza: C'est normal, c'est normal. Kierowniczką schroniska pyta mnie, czy mam okres. Sekretny język kobiet. Nie musimy jechać do lekarza, wszystko w normie. Nie muszę też o niczym pisać, wszystko jest w normie, coś toczy się zgod-nie z regułą i nie przestanie, dopóki wszystkie czynności nie zostaną zakończone. Punktualnie jak zegar z kukułką otwierają się drzwi samochodu i wypadają policjanci, trzymający w ręku wszystko co konieczne: pałki i kaj-danki, kanistry z benzyną i zapałki. Niewiele trzeba, żeby podpalić obozowisko.

Spotykam kobiety z Nigerii, z Ghany, z Gwinei, z Senega-lu. Noszą w łonie dzieci strażników granicznych, które im doczepiono na pustyni, w więzieniu, w obozach wojsko-wych, przy płocie granicznym. Jeśli dzieci z matkami nie utoną, niektóre z nich mogą dotrzeć do nas. Wychowują się wtedy w małych szwajcarskich wioskach i chodzą do miejscowej szkoły, bawią się w chowanego z dziećmi żony serowara. Kiedy są w drugiej albo trzeciej klasie, matka dostaje pocztę i wkrótce potem nie ma już w klasie czar-nego dziecka, bo odesłano je z powrotem. Victoria z Ka-merunu mieszkała wtedy w domu nad rzeką. Pamiętam, że odwiedziłam ją, kiedy leżała w łóżku z krwotokiem i wysoką gorączką. W dniu operacji brzusznej wypisano ją ze szpitala, w kilka godzin po pełnej narkozie przeszła dwa kilometry do najbliższej stacji, a później, kiedyśmy ją odnaleźli, leżała w domu. Dzisiaj coś takiego już się nie zdarza. Dzisiaj Victoria nie musiałaby iść pieszo do Emmental, bo zbudowano eksterytorialne obozy pomocnicze na pustyni libijskiej, algierskiej, marokańskiej. Tam każdy człowiek ma swoje prawa, może je zachować i zabrać ze sobą z powrotem.

Dzisiaj nie śpią, bo muszą się liczyć z tym, że zbudzą ich nagle w środku nocy i wywiozą. Czy można o tym myśleć, co się chce? Co ja o tym myślę? Trzymam w ręku aparat fotograficzny, trzymam w ręku notes i długopis. Siedzę przy stole naprzeciwko mężczyzn, spisuję ich relacje najszybciej, jak potrafię. Potem pójść do domu i spa-kuję swoje rzeczy, pożegnanię się z wszystkimi i złożę wszystkim życzenia wszystkiego dobrego, podziękuję i obiecuję, że wrócę. Prześpię się, potem wstanę i poja-dę na dworzec, wsiądę do pociągu, który mnie uniesie, dokąd chcę.

Pewnych słów nie potrafię już używać. Jeszcze je znam, ale wolę je wypluć niż formować językiem w ustach.

Pewnych rzeczy nie mogę już jeść.

Nie mam już własnego ciepła

Nie przyjmuję już żadnego pokarmu, piję jeszcze tylko wodę i przypominam sobie czas, kiedy musiałam się przyglądać, jak śmierć mnie omija i zabiera kogoś in-nego. Oto ktoś został wydany na śmierć, oto ktoś został wydany i wepchnięty w jej paszczę. Naturalnie jedno ma z drugim trochę wspólnego: jeden zostaje wepchnięty w paszczę śmierci, inni wypchnięci z ogrodu. Co bym zrobiła, gdybym była pustynią? Dziś już nie biegam, żeby ratować życie. Łatwo mogłabym je stracić, ale jeszcze łatwiej mogłabym się go trzymać aż do śmierci. Czy ktoś mnie rozumie? Chodzi o moje życie, a ja płaczę z powodu życia innych ludzi, których sny pozostały sierotami. Wołam o pomoc: Tak wiele musi się zmienić. Poruszam się przez otaczające mój świat warstwy i szukam tej, w której wieje silny wiatr. Rzeczy trzeba pilnie poruszyć.

Czy pojechałabym po emigranta, do Tarify, i przeszmu-glowała go do siebie do domu? A potem, co bym z nim zrobiła? Jak w ogóle byłoby możliwe przeschmugłowanie emigranta? Obiecuję rzeczy, żeby utrzymać przy życiu nadzieję, naiwnie i bez zastanowienia wyjeżdżam do Afryki, żeby dodać otuchy tym, którzy nadzieję utracili. Uzurpuję sobie prawo do robienia lub nierobienia ludziom nadziei. Kto stworzył nadzieję i kiedy ona się wyczerpuje? Czy nikt już nie umrze, kiedy nadzieja będzie martwa? Oplakuję losy ludzi, których wcześniej nie znałam. Najpierw myślę o tych, którzy się zabili. Kto wypływa na morze, bo chce żyć – czy to jest ktoś, kto się zabija? Czy może został już zabity, zanim wyruszył?

Na śniegu leży dzisiaj piasek pustyni

Pająk utkał sieć, która wisi rozpięta na dwóch ledwo

widocznych nitkach między szoną a domem. W napięciu stoję przed nią i czekam na pierwszą ofiarę. Mucha prze-latuje przez oko sieci. Sroka wyfruwa spomiędzy gałęzi jodły. Ktoś rzucił się właśnie z mostu. Może jeden nie miał z drugim nic wspólnego. Ale dzisiaj siedzę naprzeciwko dwóch mężczyzn na pierwszym piętrze ukrytej restauracji; ludzie przyglądają mi się, na ulicy, w mieście, w taksówce. Dzisiaj wędruję w gorączkowym śnie: obok po sąsiedzku znajduje się obóz duchów, widzę siedzące na murach męskie ciała, czy one jeszcze żyją? Naprzeciwko mnie siedzi dwóch takich, którzy kilkakrotnie przeżyli. Jedzą i piją, telefonują i chodzą, rozmawiają i siedzą, ale gdzie się podziało życie? Chodzę po oddziale martwych na duszy. Opowiadają mi o mieście duchów na pustyni, o wielo-dniowych wędrownikach i tylu zmarłych, że nie potrafię sobie tego wyobrazić. Nikt tego nie księguje, ale wszyscy pamiętają liczby: 37 z 96 przeżyło, 21 z 62 nie. Ogarnia mnie zmęczenie i chciałam pójść spać. Ale muszę słuchać, akurat teraz muszę słuchać. Jest tylko ten jeden moment, ta jedna godzina. Może już jutro będą martwi, kogo to zresztą obchodzi: ich rodziny będą pytać o pie-niądze, także wszyscy inni się ucieszą, kiedy dwóch ubędzie. Naturalnie każdy o tym wie. Podnoszę wzrok i mówię: Jeśli musisz przejść przez ogień, nie poparzy cię żaden płomień, a jeśli spojrzysz jeszcze raz, nie będzie tam już nikogo. I wyda ci się wtedy, że nigdy tam nikogo nie było. Pokaż mi tego, który chce cię zabić, a zaprowadzę cię do stołu nakrytego dla ciebie. Słowa kołaczą się w mojej głowie, kiedy idę przez opustoszałe miasto, w którym brakuje wody. W ostatniej chwili zdążyłam zamówić, co chciałam, i zapłaciłam za wszystkich. Ale tu, w tym mieście, nie mieszka już nikt, za kogo mogłabym zapłacić. To okropne: tam, gdzie przechodzę, ich nie ma. A tam, gdzie są, nikt już nie przejdzie. Przechodzą przez ogień i zostają spaleni, a w wodzie umierają setkami. Tylko dlatego, że każdy o tym wie, wcale nie znaczy, że nie powinniśmy już o tym pisać. Pewna przyjaciółka napisała do mnie list, a w nim takie słowa: Na śniegu leży czerwony piasek, powiedziano mi, że z Sahary. Wysoko w Alpach, w Diemtigtal, znaleziono zwłoki mężczyzny, podobno z Somalii. Zastanawiam się, kto potrzebował na drogę więcej czasu, on czy piasek.

[Tłumaczenie: Ryszard Wojnakowski]

до вранішнього міста

Ніколи не знаю, сидати чи почекати. Можливо, моє ідеальне авто ще тільки на під'їзді? Ну, як я маю скласти план місця і часу мого перебування, коли мене підвозять чужинці?

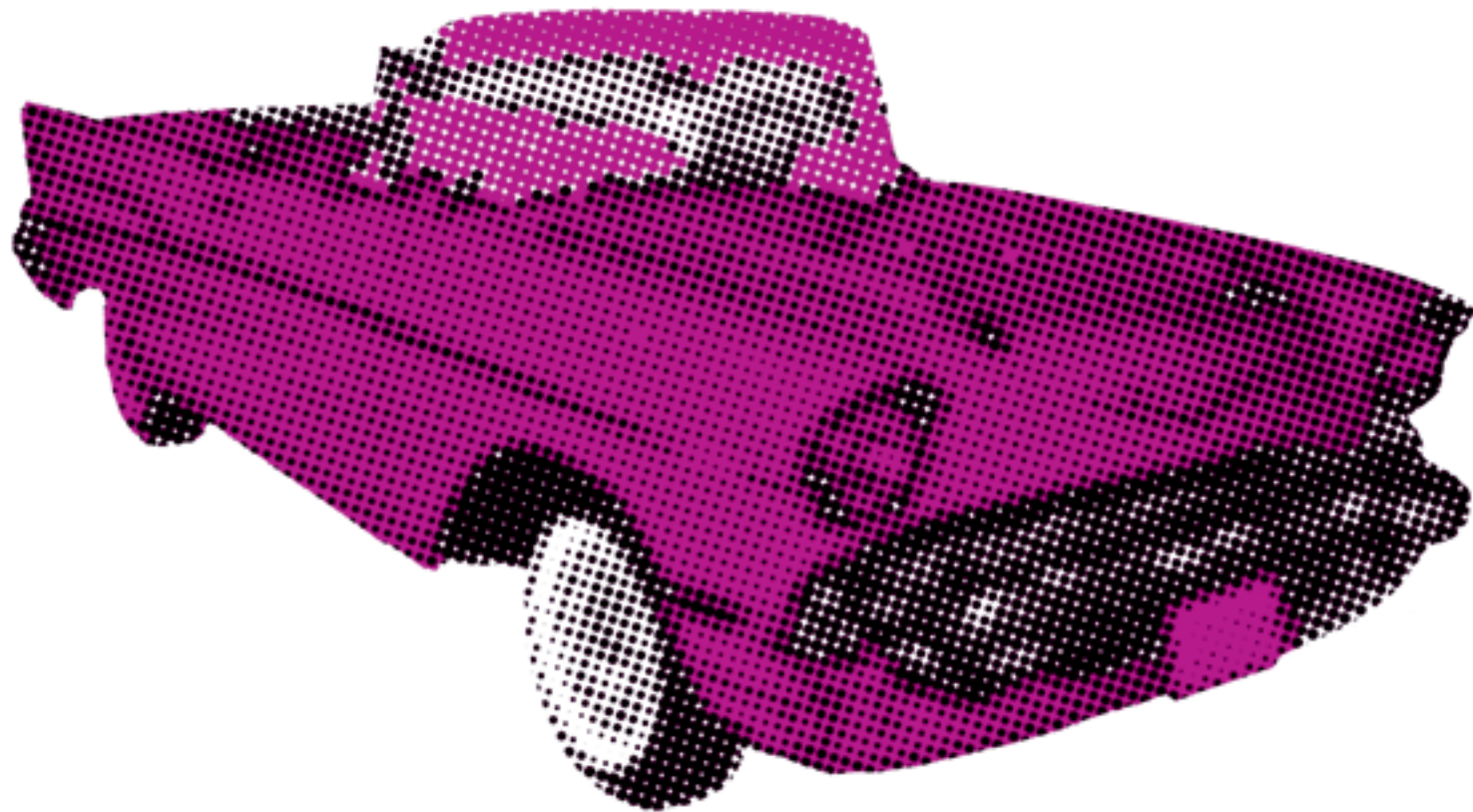
Ще не знаю, що побачу на кордоні, як виглядатиме огорожа і що мені оповідадуть мігранти. Я все ще перебуваю на безпечному боці. Будь-якої миті я можу розвернутися назад, а тоді, наступного дня, вирушити додому, в рідні краї. А зараз от сиджу вже п'ять хвилин в Іспанії в якомусь притемненому

барі, замовляю сендвіч із рибою і колу, до мене щось верзе якийсь п'яний вже під цю обідню пору чоловік, навпроти мене сидить Крістоф, начальник залізниці в Перпіньяні. Ми розмовляємо про футбол і про втрачені перспективи молоді його міста. Що я тут роблю? Та їм сендвіч з рибою, запиваю колою. А що мені ще робити?

А от хтось і над'їжджає, самотній чоловік їде старим залатованим речами мерседесом, проте місце поруч

Що не день — річниця

Більше не мовчатиму. Я завмерла і слухаю, я застигла без руху і дивлюся, що тут. У дорозі я вже два дні й дві ночі і спала всього кілька годин. Стою в найпівденнішій точці континенту, мого континенту, і вдивляюся в далину. Там із туману визирає гора Мойсея, мабуть. Тримаю в руці карту Середземномор'я, Піренейський півострів виглядає на ній, як курча, на кінчику дзьобика цього курчати стою я. Віднайдена. Я народилася, щоб сьогодні побути тут. Знаю, що я сьогодні тут, бо тут бути я сьогодні мушу. Заходжу до людей, про яких ніхто не знає, чому вони тут, зрештою, вони самі цього не здатні пояснити. Самі вони кажуть: Я міг залишитися і там померти. Насправді вони забралися звідти і опинилися тут. Я теж забралася і теж опинилася тут, незабаром я повертатимуся. Перших я бачу в



із ним вільне, крізь шибу я гукаю „direction Barcelona?“, благально дивлячись на нього. Він минає шлагбаум і зупиняється. Я підбігаю до місця поруч із водієм, відчиняю дверцята, позаду нас шлагбаум уже знову піднявся, збирається проїхати наступне авто, а через мене рух заблоковано. Ніхто ще не сигналізує. Я втискаюся на сидіння, наплечник ставлю між собою і лобовим склом, дверцята затріскуються, поїхали. “I go to Могоссо”, — каже водій. Я вражено витрищаюся на нього і вигукую “me too”, а він на це: “which city”? Уджда, відповідаю, на що він: “that’s my city, I was born there”! Ми вже в дорозі, вже обговорюємо корупцію в Африці, таємницю швейцарських банків та людську ментальність загалом. Наплечник все ще на рівні мого обличчя, і я не пристібнута, та в цьому авті я проведу наступних 15 годин.

іспанському портовому місті. Вони тиняються вуличками порту і можуть бути Ким завгодно. Проте з таким кольором шкіри вони мали б таки звідкись приїхати. Жінка телефонує в поліцію: В моєму ресторані сидить чорний і п’є каву. Поліція з такого приводу не турбується, а за кілька тижнів його знаходять мертвим перед якоюсь халупою. Часом я знаю, де я. Часом усе йде шкереберть. Тоді я лежу в ліжку і пригадую все. Потім мені сниться, що я мала летіти гелікоптером. Не хочу повірити, що прощання — це назавжди. Прощання — це коли річка розділяється навколо острова. Коли однією ногою ти у Ще, а іншою в Уже, а посередині — різні смерті: несподівані, повзучі, спокійні, в муках. Я живу чи помираю? Коли помираєш, то все ще живеш, а коли живеш, то далі помираєш. Коли починається смерть

і де вона закінчується? Чи вона починається вже тоді, коли починаєш старшати, тобто відразу при зачатті? Чи відправним пунктом є той, коли людина перестає рости? Чи тоді, коли починають відмовляти функції тіла? Тоді людина дихає, проте вже не отримує достатньо повітря. Людина рухається, а кожен рух віддає боєм у щораз іншому місці. Або ж ідеш собі дорогою, а наступної миті тебе вже немає. Життя — це вже ні й ще ні, і ще ні вже ні. Так я стала боязкішою. Мені огидні люди, які рішуче простують до чіткої мети. Мені огидні люди, які пливають за течією. Я сама собі відразлива. Що мене приваблює? Це я приваблюю своє майбутнє чи воно мене? А може, воно вже тут, і я забігаю в нього? Я навчилася, що не можу відмінити те, що трапилося, і не можу оминути наслідків того, що трапилося. З ними я можу тільки минатися чи розминатися, проминати в них. Я проминаю. Я помираю. Завтра я знайду своє кохання. Я ніколи не піду. Вже наступного тижня я опаную своє життя. Я мушу йти. Приймаю рішення. Приймаю рішення проти. За. Вимагаю більшого.

Можливості за спиною

Лежу на дні порому. Ступні я поклала на свої речі, гроші лежать у гаманці, закріпленому в мене на поясі. Ось мої ступні, вони лежать собі на тому кінці спальника. Це вони привели мене сюди? Ось у мене на поясі гаманець із грішми, на що я їх витрачатиму? Пором повільно й потужно похитується, на палубі ні душі. Я затикаю вуха берушами і чую рівномірне далеке гудіння. Голову обв’язую рукавом, щоб стало темно. Так вирушаю до Африки: із зав’язаними очима й заткнутими вухами, з ногами на наплечнику й окулярами в черевиках. Перед сном я запитую себе, чи, крім мене, ще хтось є на воді, саме зараз, посеред цієї ночі, і чи їхній корабель теж так само похитується. Після цього я падаю вниз, у бездонний і безводний світ, у ньому тільки світляні площини, по яких можна ходити або ні, а будинки збудовано в усі напрямки. Коли дивлюся трохи звіддала, то вже наступної миті я там. Я протискаюся думками крізь цей світ, а пором відвезе мене за вісім годин з Європи до Африки, перетинаючи воду і похитуючись. Здається, ніби я зависла в небі. Як мені вдається бути на воді й не тонути? А може, я тільки тому не тону, що не бачу води? Може, щоб не потонути, я і зав’язала собі очі? Насправді мене зовсім не може бути там, де я лежу. Долона намацує окуляри, намацує лампу, намацує годинника. Моя долона пробирається крізь шнурівки черевиків, кишені наплечника і рукав куртки, а сама я далі лежу тут із зав’язаними очима, тоді як земля піді мною підіймається й опускається, підіймається й опускається. Я хапаюся за кінці всього розпочатого і зв’язую їх докупі, лягаю в них, немов у гамак. Лежачи в повітрі, я розпружуюся і відчуваю можливості за спиною, як відчинені двері. Там у світі немає нікого, хто міг би стати моєю батьківщиною, але там є все. Не бракує нічого. Там недалеко палахкотить вогонь, він не пече і втримує мене при житті. Лежачи, я обертаюся навколо вогню, я вдихаю полум’я. Тоді прокидаюся, бо до моїх очей пробивається світло. Крізь мокру від дощу шибку я бачу вогні. Навколо мене вирує настрій вирушання. Матері розбуркують зі сну дітей, поруч сидять

бліді від недоспаної ночі чоловіки. Наслідків мого скороченого сну ще не видно, мені ще не зрозуміло, котра дійсність візьме гору. Я обираю світ світла і збираю речі, виходжу, похитуючись, на холод вітру, заплющую очі, а пором пришвартовується в порту.

Я розглядаю все це

Прокидаюся, земля стугонить, за вікном вже не так темно, як ще дві години тому, коли я розплющувала крізь сон очі. Я бачу попереду вогні, це, певно, узбережжя Мелільї, Іспанія на африканському материка. Перші кроки не ведуть до чогось особливого, тут великий порожній паркінг. Всі ці люди, які разом зі мною їхали поромом, безслідно зникли, таке враження, що я єдина цього ранку вирушала в дорогу. Надвечір я їду автобусом до кордону. Виходжу, навколо аж роїться від продавців цигарок, запнутих тканинами жінок і напханих закупаними торбів, вантажівок і валютників. На площі перед іспанським прикордонним пунктом евакуатор відтягає потовчене авто. За евакуатором я вперше бачу прикордонну огорожу. Вона починається біля контрольно-пропускного пункту і тягнеться догори на пагорби повз невеличкі села. Десь там, за одним із численних пагорбів, вона зникає з поля зору. Я їду туди і раптом опиняюся в цілковитій самотності, тільки врядагоди повз мене проїжджає автомобіль. Огорожа складається, власне кажучи, з декількох огорож. На мароканському боці — огорожа висотою чотири чи п’ять метрів, на ній косо закріплені метрові клапани. Якщо хтось повзтиме догори, то муситиме якось подолати ці клапани, які, до речі, провалюються від людської ваги всередину, так що той, хто повзтиме, зірветься вниз на натягнені металеві троси. Справа в тому, що відразу ж за першою огорожею тягнеться друга, нижча, а поміж обома натягнуто лабіринт із переплетених на різній висоті металевих тросів. Не хотіла б я туди впасти. Я розглядаю все це і дожджу висновку, що людині ці троси все порозрізали б; цілком напевно не обійшлося би без переломів; у сплетіння тросів потрапляє нога чи рука, і от уже решта тіла вивертається і потрапляє в полон сусідніх тросів. Окрім металевих тросів, я бачу сенсори, які виділяють сльозогінний газ, і сигналізацію. Щокілька метрів там стоять прожектори, а щодвісті метрів — вартові. За згаданою щойно другою огорожею є ще й третя. Вона шестиметрова і найвища. Нерідко крізь огорожу йде електричний струм. Я стою з безпечного боку огорожі, і жодну людину не хвилює, тут я чи де-інде. Мені відомо, що огорожа тут вища і що раніше на цьому місці при спробі перелізти через неї застрелили двох чоловіків. Що мені робити тут, де я тепер? Я стою в європейській частині Африки, за два метри починається Мароко, а он там по лісах у кривках живуть люди. Подолання огорожі перетворилося на безнадійну затію. Сьогодні для цього треба підвішуватися під вантажівками, лягати на раму або ж ховатися у вентиляційних отворах туристичних автобусів. А що було б, якби я стояла по той бік? Чому саме для мене ці два метри відстані не відіграють ніякого значення, чому я стою тут, а не там? За кілька тижнів я йтиму знайомими містами. Дивитимуся

на жінок, яких зустрічатиму дорогою, і згадуватиму прикордонників. Я живу всередині кордонів, на сторожі яких стоять прикордонники, кордонів, що довільно розпоряджаються тілами тих, які хочуть на інший бік.

Я походжаю вздовж огорожі і виглядаю ознак життя. В отворах сітки зовнішньої огорожі відпочивають горобці. Я виходжу із зони відчуження і простягаю свій паспорт наступному службовцеві.

Надворі шумить старезна ялина

Де мігранти? Не далі як учора я щось помітила і досі так цього й не побачила ще раз. Хочу побачити мігрантів. Тут мігрантів немає. Мені треба повертати назад, нема чого далі йти догори.

Збігаю вниз, наплечника я поставила внизу в камеру зберігання, я шукаю дороги в середмістя, проте шлях туди перегороджено. Згори я зазірала всередину поміж мурів, на сходові марші, в переходи. А зараз стою перед високими стінами, і хоч де б я підозрювала шпарину, там позаду вже стримить наступний мур. Чоловіки в помаранчевих комбінезонах велють мені помахом руки не зупинятися, відмахують мене звідси. Я їду прибраними вулицями, минаю вітрини. Я шукаю вулицю без вітрин.

Хтось колись подався звідкілясь куди-інде. Якби я не вирушила у дорогу, то там, де я була, померла би. Не виключено, що чоловіки, які трапляються мені тут, давно мертві. Вони, немов скульптури, завмерли в якомусь місці, і з першого погляду мені не розгледіти, дихають вони чи ні. Їду парком, у ньому нікого, лише двоє власне таких чоловіків. Один просто стоїть, інший виконує гімнастичні вправи. Він відтискається руками від паркової лавочки. Цікаво, а він весь день відтискається? І чи жива ще людина, яка має час для цілоденного відтискання?

Сьогодні я чимчикую краєм, якого насправді не існує. Я їду анклавою, немов щілиною, якої десь бракує, яку помістили не в тому місці, яка не вказує мені, де знаходиться вхід на середмістя. І тільки пополудні я знаходжу вхід і потрапляю на вузькі вулички. Єдиними істотами на моєму шляху є коти і чайки. Поза тим мені чутно тільки звук морського прибою далеко внизу, а ще зрідка – звук будови. Я всідаюся у вітряному місці і пильную.

Депортовані повертаються

Депортовані повертаються. Ніч, удалині горять вогні міста, звідси з ними нічого не поробиш. Мені видно кілька постатей, які біжать пустелею. Мені сниться, що мене викидають у земляну яму, при цьому я лежу в готельному номері, а не там, де поліція зранку спалить усе, виславши всіх, хто там спав, до чортової мами в пустелю. Я натомість лежу під тисячею ковдр і тремчу від холоду, хтось кладе мені на ноги грілку. Я кричу і плачу, гарячка стрясає мною, а хтось раз по раз повторює: C'est normal, c'est normal. Господиня знаками запитує мене, чи в мене місячні. Таємна жіноча мова. Нам не треба їхати до лікаря, все нормально. А мені не потрібно про щось писати, все нормально, правила функціонують і не зупиняться доти, поки не буде закінчено всю роботу. Пунктуально, немов годинники із зозулькою,

відчиняються дверцята авта, і з них висипає поліція, стискаючи в руках гумові палиці і наручники, каністри з бензином і сірники. Підпалити наметовий табір – для цього багато не потрібно.

Я зустрічаю жінок із Нігерії, Гани, Гвінеї, Сенегалу. Вони виношують дітей від прикордонників, дітей втулили їм у пустелі, у в'язниці, у військових таборах, під прикордонною огорожею. Якщо діти не потонуть разом із матерями, то дехто з них добереться аж до нас. Тоді вони ростимуть у крихітних швейцарських селах, ходитимуть до місцевих шкіл, гратимуться в хованки з дітьми молочниці. Коли вони ходитимуть до другого чи третього класу, мама отримає листа, і невдовзі в класі вже не стане чорної дитини, бо її відправлять назад. Вікторія з Камеруну жила тоді в будинку над річкою. Я пам'ятаю, як ходила провідувати її, коли вона лежала з кровотечею і в гарячці. У той день, коли їй зробили операцію на шлунок, її виписали з лікарні, за кілька годин після загального наркозу вона пройшла два кілометри до найближчого вокзалу, а потім, коли ми її знайшли, лежала вдома в ліжку.

Сьогодні такого вже не трапляється. Сьогодні Вікторії не треба було би більше йти до Емменталю, тому що сьогодні в лівійській, алжирській, мароканській пустелі стоять екстериторіальні пункти підтримки. Там унизу кожен має свої права, їх можна зберегти, а тоді забрати із собою назад.

Сьогодні вони не сплять, бо мусять бути готові до того, що їх сполохають і вивезуть звідси. Чи можна думати про це все що завгодно? Що можу про це думати я? Я сиджу з фотоапаратом у руці, сиджу з блокнотом і ручкою за столом навпроти, записую, якомога швидше. Тоді піду додому, спакую речі, попрощаюся з усіма і побажаю всім усього найкращого, подякую і обіцяю повернутися. Спатиму і прокинуся і поїду на вокзал, сяду в потяг, який повезе мене звідси, куди мені захочеться. Є слова, яких я вже не можу вимовляти. Я все ще знаю їх, але з найбільшою охотою я би їх, замість вилплювати язиком, виплюнула. Є речі, яких я більше не можу їсти.

Я вже не маю власного тепла

Я перестала засвоювати їжу, тільки п'ю воду і пригадую час, коли бачила поруч смерть і коли була змушена спостерігати, як смерть забирає із собою когось іншого. Тоді когось приймала смерть, тоді когось депортували на смерть. Певна річ, одне пов'язане з іншим: одного висилають на смерть, інших витурюють із райського саду. А якби я була пустелею, чи я щось би робила? Сьогодні я вже не клопочуся своїм життям. Я легко могла би з ним попрощатися, а ще легше я могла би стійко витримувати до самої смерті. Хтось розуміє, про що я? Йдеться про моє життя, а я оплакую життя інших, чий мрії осиротіли. Я волаю на допомогу: стільки всього мусить змінитися. Я переміщаюся пластами, які оточують мій світ, і шукаю пласту, в якому вівав би сильний вітер. Треба терміново перемістити речі. Чи могла б я підібрати в іспанській Тарифі мігранта і провезти його контрабандно до себе додому? І, якщо так, то що би я з ним робила? Як це взагалі відбувається: контрабанда мігранта? Я обіцяю щось,

щоб підтримати надію на подальше життя, їду наївно і нерозважно до Африки, щоб додати сміливості тим, які втратили надію. Я вбила собі в голову, що можу вселяти надію, або ж ні. Хто створив надію, і хто її вичерпав? Чи перестануть люди помирати, коли помре надія? Я оплакую долі, яких раніше не знала. Спочатку я думаю про тих, хто вкоротив собі віку. Якщо хтось виїжджає в море, бо хоче жити, чи вкоротить він собі віку? Чи, може, його умертвили, ще заки він вирушив у море?

На снігу лежить сьогодні пісок пустелі

Павук сплів павутину, вона напнута на двох ледь помітних нитках між стайнею і будинком. І я напнута, стою перед павутиною, очікуючи першої жертви. В отвір павутини залітає муха. З ялини злітає сорока. Хтось саме кинувся з моста в воду. Можливо, все це ніяк не пов'язано. Але я нині сиджу навпроти двох чоловіків на другому поверсі непримітного з вулиці ресторану; за мною стежать, на вулиці, в місті, в таксі. Сьогодні я рухаюся в гарячковому сні: поруч розташований наметовий табір, я бачу тіла чоловіків на мурах, чи вони ще живі? Навпроти мене сидить двоє з тих, які не раз урятували собі життя. Вони їдять і п'ють, телефонують і ходять, розмовляють і сидять, але ж куди поділося життя? Переходжу зупинкою мертвих душ. Вони розповідають мені про місто-міраж у пустелі, про кількадевні переходи і про таку кількість мертвих, якої я собі не уявлю. Ніхто цього не фіксує, проте всі можуть пригадати цифри: вижило 37 із 96, 21 із 62 помер. Я втомилася і хочу спати. Проте я мушу це вислухати, саме зараз я мушу слухати. Бо

існує лише ця мить, ця одна година. Може, завтра вони вже будуть мертві, хіба це когось обходить: їхні сім'ї допитуються про гроші, а всі решта радіють, коли залишається двома менше. Певна річ, кожному про це відомо.

Я підіймаю очі і кажу: Якщо ти маєш пройти крізь полум'я, воно не обпалить тебе, а коли глянеш туди ще раз, там уже нікого не буде. Тоді здаватиметься, ніби ніколи нікого й не було. Покажи мені того, хто хоче тебе убити, і я підведу тебе до столу, накритого для тебе. У моїй голові кружляють фрази, а я самотньо їду покинутим містом, у якому бракує води. Оце щойно я ще могла замовити те, чого мені хочеться, а ще – заплатити за всіх. Проте тут, у цьому місті, не живе більше ніхто, за кого я могла б заплатити. От що найстрашніше: Там, де я проходжу, їх немає. А там, де вони є, вже ніхто не проходить. Вони проходять крізь полум'я, і воно обпікає їх, а у воді вони помирають сотнями. Проте той факт, що це відомо кожному, аж ніяк не означає, що я не мушу більше про це писати. Я отримую листа від подруги, там написано: На снігу лежить червоний пісок, мені сказали, що то пісок Сахари. Вгорі у швейцарському Дімтіґталі вони знайшли мертве тіло, кажуть, той чоловік був із Сомалі. Я запитую себе, кому знадобилося більше часу: йому чи піску.

[Переклад: Христина Назаркевич]

Salome Wieland (1983, Schweiz) – wuchs im Emmental auf und absolvierte 2009 den Lehrgang für literarisches Schreiben des Schweizerischen Literaturinstituts in Biel/Bienne. Ihre Texte veröffentlichte sie u. a. in „EDIT.“ 2007 hat sie den SALON DES ARTS Wettbewerb in der Sparte Literatur gewonnen. Zurzeit lebt sie in Redding, Kalifornien.

Salome Wieland (1983, Szwajcaria) – dorastała w szwajcarskim regionie Emmental, a w 2009 roku ukończyła studium pisania literackiego w Szwajcarskim Instytucie Literatury w Biel/Bienne. Swoje teksty publikowała m.in.

w czasopiśmie „EDIT”. W 2007 roku wygrała konkurs SALON DES ARTS w dziedzinie literatury. Obecnie mieszka w Redding, w Kalifornii.

Саломе Віланд (1983, Швейцарія) – виросла в швейцарському регіоні Емменталь, а в 2009 році закінчила курс літературного писання в Швейцарському інституті літератури в Біль/Бієнне. Свої тексти публікувала зокрема в журналі „EDIT”. У 2007 році перемогла у конкурсі МИСТЕЦЬКИЙ САЛОН у категорії літератури. Нині живе в Реддінзі, у Каліфорнії.

ПОВЕРНЕННЯ ДО ГРАЦА RÜCKKEHR NACH GRAZ POWRÓT DO GRAZU

► Мій дід, Іван Забужко, в юності мріяв стати лікарем. Студіювати медицину він гадав у Граці. Крім високої репутації тутешнього університету, для такого вибору мали бути й прагматичніші причини: та частина України, звідки походить моя родина по батькові, – Волинь – у міжвоєнний період належала до Польщі, а в польських університетах для студентів-неполяків існували обмеження, ба навіть квоти, тож українці переважно їхали на навчання за кордон. І найчастіше, звісно, до Австрії – за традицією, що склалася ще перед 1918 р. Але історія мого діда (якого я живим уже не застала) виходить далеко за межі міжвоєнного пейзажу Східної Європи та складної драматургії тодішніх польсько-українських стосунків. Це історія про долю і вибір.

Дід Іван ніколи не поїхав до Граца. Його батько, а мій прадід, вольовий і владний, як усі чоловіки в роду, навідріз відмовився утримувати свого старшого сина на медицині, – дід мав успадкувати батьківський земельний фільварок і був без зайвих балачок посланий до Чехословаччини – студіювати сільське господарство. Либонь, студіював він його все ж таки непогано, бо до 1939 р. фільварок під його рукою не тільки розрісся, а й примножився кількома новими: дід господарював із запалом людини, яка глушить себе роботою так, як інші алкоголем чи наркотиками, спав не більше п'яти годин на добу, і діти звикли, що в татовому кабінеті завжди горить світло. Про Грац він ніколи не згадував. А в 1939 р. прийшли більшовики – і маєток, задля якого дід пожертвував своєю мрією, перестав існувати. Земля моїх предків стала колгоспною.

Я знаю, як дід тужив за своїм Грацом. Знаю по тому, що коли його старший син, а згодом мій батько, вибрався на студії – вже по війні, до радянського Львова, – дід вирядив його туди, куди замолоду не дістався сам, – на медицину. Батько ж, ні слова вдома не сказавши, повернувся із вступних іспитів – студентом філології. Пізньої ночі, не попередивши телеграмою, він пішки пройшов полевих десять кілометрів від станції до дому, як у гарячці, цілий час напружено міркуючи, як сповістити татові про своє

свавілля. А підходячи до дому, обімлів: у глибині саду блимав у темряві вогник цигарки. Дід не спав, дід чекав. – Ну що? – спитав коротко. – Вступив? – Вступив, – зітхнув новоспечений шанувальник художнього слова. – А... куди ти вступив? (Про щось він усе-таки мусив здогадуватися, щось відчувати – чи, може, впізнавав у синові себе, вісімнадцятирічного, бачив, що той живить у мріях свій власний “Грац”?) І мій батько, якому вилетів із голови весь, заготовлений на дистанції в десять кілометрів, полум'яний монолог, тільки й потрапив сказати, що правду, всю правду, і нічого, крім правди: – На філологію.

Дід умгукнув. Очевидно, прокручував в умі всі можливі наслідки почутого. – Вчителюватимеш, значить, – зробив висновок уголос. – А може, й для преси їхньої писатимеш (“совети” довіку залишилися для діда – “вони”, то була “їхня” влада і “їхня” преса). А знаєш, що ти собі вибрав, сину? Теж – усе життя мати діло з людьми. Тільки вже не з тілом, а з душею. (Десь у той самий час на іншому кінці континенту, в Парижі, Камю дописував свою Чуму – з тою самою, нині вже затраченою вірою в те, що бути *l'homme de lettres* у нашому хворому світі – це й значить, бути лікарем, цілителем...) – Що ж, – зважив дід, – Бог тобі в поміч. Тільки знай, що душу людині легше скалічити, ніж тіло. І якби мені довелось коли-небудь почути, що ти комусь скалічив душу... чи то обманом, чи кривдою... то знай, що я б тебе зараз волів бачити, – він змахом показав вогником цигарки, і той у темряві здався хлопцеві біблійним вогняним стовпом, -о-он на тій гілліці... (По суті, це перифраз першої заповіді Гіппократа – “не зашкодь”: гадаю, з діда справді вийшов би добрий лікар, якби він свого часу наважився пересісти в чеських Подебрадах на поїзд до Граца...) За дослівність цієї розмови можна ручитися: батько щоразу переповідав її мені однаково, так, як вона на увесь вік впечаталася йому в свідомість. Казав, що ніколи в житті йому не було так страшно, як тієї миті. Хоча відміряно йому було в тому житті всіх можливих

страхів, що випали на долю української інтелігенції його покоління: перед самим захистом диплома на нього чекав арешт, допити в ГБ, потім шість років заслання в Сибіру, а пізніше, по щасливій історичній інтерлюдії хрущовської “відлиги” й буремних 1960-х, – знову, “по другому колу”, допити в КГБ, звільнення з університетської кафедри, позбавлення вченого ступеня, заборона друкуватися – словом, “заборона на професію”. На ту саму професію, яку він обрав собі один раз, як і жінку, – і якій вірно служив за дідовим заповітом.

– Я ні про що не шкодую, – сказав він нам із мамою незадовго до смерті. І знову пригадав дідові слова, промовлені тої ночі, – тільки цим разом додав ще дещо. Коли він повернувся з Сибіру, дід був уже смертельно хворий, і вони тоді багато розмовляли – вже не як “старший із молодшим”, за ієрархією патріархальних династій, а як рівні: як двоє дорослих чоловіків. І ото щойно тоді батько вперше почув від діда про Грац – про те життя, яке дід хотів, але не зміг прожити.

...Як дивно, думала я, блукаючи Грацом восени 2002-го – через вісімдесят років по тому, як цими самими вуличками міг блукати мій дід (от тільки – чи став би він тоді моїм дідом? чи не потекло б, бува, його життя по геть іншому руслу – з іншою жінкою, іншими дітьми, а чого доброго, й іншою країною?..) – як дивно, що це місто, котре в нашій родині от уже три покоління є символом “життя-яким-воно-мало-б-бути-але-не-відбулося”, існує насправді, що воно реальне – домашнє й тепле, як спогад про дитинство, і пахне, як і належить пахнути дитинству, – гарячими каштанами, мандаринками і глінтвейном... І вже зовсім дивно, що мені випало опинитися в цьому місті – у фортеці на горі, звідки все його видно як на долоні, – зі своїм ноутбуком саме тоді, коли я почала роботу над *Музеєм покинутих секретів* – романом-сагою про три покоління однієї родини, долі яких

пов'язані між собою протяглими крізь ціле 20-те століття “підпільними” нитями – довготривалими, невидними в межах одного людського життя наслідками раз зробленого вибору.

З моїх щоденникових записів тих днів: «Грац, 2/12/02
Може, насправді ми, як особистості, більше нагадуємо не наших батьків, а – батьків наших батьків, і традиція давати внукові ім'я діда має глибший сенс, ніж здається на позір. У першій половині життя ми своїх батьків заперечуємо, а коли вони старіють, стаємо щодо них у батьківську позицію (доглянути і – нарешті – обмити: як зворотний рух повернення в утробу, цим разом вселенську, звідки й приходимо ж, – напроям). Тим самим ми несвідомо впадаємо в ті “пазики”, котрі рід уже “наїздив”, проклав, – стаючи власними бабами й дідами... Там треба шукати подібності, там.
(Тато, мабуть, хотів би, щоб я була схожа – на його батька)».

...Ні, серед персонажів „Музею покинутих секретів” дід Іван не з'являється – ні в прямому, ні в “переработаному” вигляді. На портрет його покоління в цьому романі пішли інші “натурники”, – для цього я сиділа по архівах, їздила по країні, записала десятки інтерв'ю... Так що – *nothing personal*, можна вважати. За винятком однієї деталі: коли в романі буде поставлено останню крапку, то нижче, після дат 2002–2008, у переліку тих письменницьких притулків, де він писався, другим із черги стоятиме Грац. Мій Грац – невеличка фортеця на горі, звідки видно дах медичного факультету... Я знатиму, ІЦО це означає.

Тоді я ще не знала, що через три роки Грац усе ж таки відіграє роль у моєму житті, бо саме тамтешнє видавництво Droschl Verlag вирішило перекласти німецькою мій перший роман *Польові дослідження українською*.

► Mein Großvater Ivan Zabuzhko träumte in seiner Jugend davon, Arzt zu werden. Er wollte in Graz Medizin studieren. Außer dem guten Ruf der Grazer Universität gab es auch praktische Gründe für diese Wahl. Wolhynien, jener Teil der Ukraine, aus dem meine Verwandtschaft väterlicherseits stammt, gehörte in der Zwischenkriegszeit zu Polen. An polnischen Universitäten gab es jedoch für nicht-polnische Studenten Zulassungsbeschränkungen und Quoten, weshalb Ukrainer zum Studieren häufig ins Ausland gingen. Zumeist gingen sie nach Österreich, einer Tradition folgend, die vor 1918 wurzelte. Doch die Geschichte meines Großvaters (den ich selbst nicht mehr gekannt habe) geht über die Verhältnisse im Osteuropa der Zwischenkriegszeit und dem komplizierten Geflecht der damaligen polnisch-ukrainischen Beziehungen hinaus. Es ist eine Geschichte über Schicksal und Wille. Mein Großvater Ivan fuhr nicht nach Graz. Sein Vater, mein Urgroßvater, willensstark und gebieterisch wie alle Männer in der Verwandtschaft, lehnte es kategorisch ab, ein Medizinstudium seines ältesten Sohnes zu unterstützen, er sollte das väterliche Gut erben und wurde des-

halb ohne überflüssiges Gerede in die Tschechoslowakei geschickt, um Landwirtschaft zu studieren. Er hatte offensichtlich erfolgreich studiert, denn bis 1939 vergrößerte sich der Gutshof unter seiner Leitung nicht nur, sondern es kamen auch verschiedene Neuerungen hinzu. Mein Großvater wirtschaftete mit der Unermüdlichkeit eines Menschen, der sich ganz der Arbeit hingab, so wie andere dem Alkohol oder den Drogen, er schlief nie mehr als fünf Stunden und wir Kinder waren gewohnt, dass in seinem Arbeitszimmer stets Licht brannte. Graz erwähnte er nie wieder mit einem Wort. Doch 1939 kamen die Bolschewiken, und das Eigentum, für das mein Großvater seinen Traum geopfert hatte, gab es nicht mehr. Der Grund und Boden meiner Vorfahren wurde kollektiviert. Ich bin mir sicher, dass der Großvater sich nach seiner Graz sehnte. Ich weiß es, denn als er seinen ältesten Sohn, meinen Vater, nach dem Krieg in das sowjetische Lemberg zu den Aufnahmeprüfungen fürs Studium begleitete, brachte er ihn dorthin, wohin er als junger Mann nicht durfte, zum Medizinstudium. Mein Vater kehrte allerdings, ohne vorher ein Wort darüber verloren

zu haben, als Philologiestudent nach Hause zurück. Spät nachts, ohne ein Telegramm zur Vorwarnung geschickt zu haben, ging er wie im Fieber die zehn Kilometer von der Bahnstation querfeldein nach Hause und überlegte die ganze Zeit angespannt, wie er dem Vater seinen Eigensinn beichten könne. Doch als er dem Haus näher kam, stockte er, im Dunkeln des Obstgartens sah er die Glut einer Zigarette. Mein Großvater schlief nicht, mein Großvater wartete.

„Nun?“, fragte er. „Prüfung bestanden?“
„Bestanden“, seufzte der frisch gebackene Philologe.
„Und welche... Prüfung?“
(Er hatte es wohl geahnt, gespürt, vielleicht erkannte er sich selbst in seinem Sohn, dem Achtzehnjährigen, der in seinen Träumen sein eigenes Graz lebte?)
Die flammenden Worte meines Vaters, die er sich während des zehn Kilometer langen Fußmarsches zu rechtgelegt hatte, erloschen einfach und er sagte schlicht die Wahrheit, nichts als die Wahrheit:
„Philologie.“

Der Großvater seufzte nachdenklich. Offensichtlich ging er im Geiste die möglichen Folgen durch.
„Das heißt also, du wirst unterrichten“, verkündete er mit lauter Stimme das Ergebnis, „oder vielleicht sogar für deren Presse schreiben“ (die Sowjets blieben für meinen Großvater bis an sein Lebensende immer „die da“, es war „deren“ Regierung und „deren“ Presse). „Ist dir auch klar, was du dir ausgesucht hast, mein Sohn? Nun ist nicht der menschliche Körper dein Geschäft, sondern vor allem Seele und Geist.“

(Etwa zur gleichen Zeit beendete am anderen Ende des Kontinents, in Paris, Albert Camus *Die Pest* mit dem gleichen, heute bereits verlorenen Glauben, dass in unserer leidenden Welt ein *l'homme de lettres* zugleich ein Arzt und Heilkundiger sei...)

„Nun, Gott helfe dir“, er überlegte, „aber pass auf, Geist und Seele des Menschen sind leichter zu verstümmeln als sein Körper. Und sollte ich einmal erfahren, dass du jemandem die Seele verstümmelt hast... sei es durch Lug oder Trug... dann wisse, dass ich dich sofort rufen lasse“, und er vollführte eine abrupte Abwärtsbewegung mit der Zigarette, die dem Jungen in der Dunkelheit wie eine biblische Feuersäule erschien, „hier an diesem Ast...“ (Es war fast eine Paraphrasierung des ersten Gebotes des Eids des Hippokrates gewesen „du sollst niemandem schaden“ – nun, aus Großvater wäre bestimmt ein guter Arzt geworden, wenn er sich damals getraut hätte, im tschechischen Poděbrady in den Zug nach Graz umzusteigen...). Die Authentizität dieser Unterhaltung ist verbürgt: Mein Vater erzählte sie mir mehrere Male auf die gleiche Weise, als hätte sie sich für alle Zeiten in sein Gewissen gemeißelt. Er berichtete, dass er in seinem Leben nie so viel Angst gefühlt hatte wie in jenem Moment. Dabei hielt das Leben für ihn alle Arten von Schrecken bereit, die einen ukrainischen Intellektuellen seiner Generation treffen konnten: unmittelbar vor seiner mündlichen Diplomprüfung wartete die Verhaftung auf ihn, Verhöre beim KGB, danach sechs Jahre Verbannung in Sibirien, und später, nach dem glücklichen historischen Intermezzo von Chruschtschows „Taufwetter“ und den rebellischen 60er Jahren, im „zweiten Kreis“ wieder Verhöre beim KGB, Suspendierung vom Universitätslehrstuhl, Aberkennung der wissenschaftlichen Titel, Publikationsverbot, kurz und gut: Berufsverbot für jene Berufung,

der er gemäß des Vermächtnisses seines Vaters diente, der einzigen, der er gefolgt und treu geblieben war, wie seiner Frau.

„Ich bereue nichts“, sagte er meiner Mutter und mir nicht lange vor seinem Ende. Und abermals erwähnte er die Worte meines Großvaters in jener Nacht, nur diesmal erzählte er noch etwas. Als er damals aus Sibirien zurückkam, war sein Vater bereits todkrank und sie beredeten viel, nicht mehr in patriarchaler Hierarchie „der Alte mit dem Jungen“, sondern wie Gleichgestellte, wie zwei erwachsene Männer. Und gerade damals hörte mein Vater seinen Vater erstmals über Graz sprechen, über das Leben, das mein Großvater wollte aber nicht erleben durfte. Wie seltsam, dachte ich, als ich im Herbst 2002 durch Graz schlenderte, über achtzig Jahre nachdem mein Großvater durch diese Straßen hätte schlendern können (nur wäre er dann tatsächlich mein Großvater geworden? Wäre sein Leben nicht in einer ganz anderen Bahn verlaufen? Mit einer anderen Frau, anderen Kindern und so weiter, in einem anderen Land?...). Wie seltsam, dass diese Stadt, die in unserer Familie gleich für drei Generationen ein Symbol des „Lebens-das-es hätte-geben-können-aber-nicht-gab“, darstellt, tatsächlich existiert, real ist, freundlich und warm wie eine Erinnerung aus der Kindheit, und auch duftet, wie es sich für eine Kindheitserinnerung gehört, nach Maroni, Mandarinen und Glühwein... Und noch verwunderlicher ist, dass es mir zufiel, in dieser Stadt zu verweilen, in der Festung auf dem Hügel, von wo die Stadt wie auf dem Handteller erscheint, wo ich mit dem Notebook gerade meinen Roman *Das Museum der verratenen Geheimnisse* beginne, in dem es um drei Generationen einer Familie geht, deren Schicksale durch das gesamte 20. Jahrhundert hindurch mit einem geheimnisvollen Band verknüpft sind, mit weitreichenden und innerhalb eines Menschenlebens nicht sichtbaren Folgen einer einmal getroffenen Entscheidung.

Aus meinen Tagebuchaufzeichnungen jener Tage:

Graz, 2.12.02

Vielleicht entsprechen wir unserem Wesen nach wirklich nicht so sehr den Eltern als vielmehr den Eltern unserer Eltern; auch die Tradition, dem Enkel den Namen des Großvaters zu geben, hat einen tieferen Sinn, als es auf den ersten Blick scheint. In der ersten Lebenshälfte grenzen wir uns von unseren Eltern ab, wenn sie dann alt werden, geraten wir ihnen gegenüber in die Elternposition (wir sorgen uns um sie, waschen sie, eine Rückkehr in den Mutterschoß, doch diesmal in den allumfassenden, wohin auch wir kommen, der Erde). Damit folgen wir unbewusst einer Spur, die unser Geschlecht schon ausgefahren, zementiert hat und werden zu unseren eigenen Großmüttern und Großvätern... dort muss man die Ähnlichkeit suchen, dort.
(Vielleicht wollte mein Vater sogar, dass ich seinem Vater ähnelte)

...Nein, unter den Romanfiguren von *Das Museum der verratenen Geheimnisse* taucht Großvater Ivan nicht auf, weder unmittelbar noch in abgewandelter Gestalt. Das Portrait seiner Generation setzt sich in diesem Roman aus anderen Charakteren zusammen, deshalb saß ich in Archiven, reiste durchs Land, machte Interviews... Also denn, nichts Persönliches könnte man meinen.

Ja, mit Ausnahme eines Details: Wenn im Roman der letzte Punkt gesetzt wird, ganz am Schluss, nach den Jahreszahlen 2002-2007, bei der Nennung der Literaturhäuser und Schriftstellerrefugien, in denen ich schrieb, wird an zweiter Stelle Graz stehen. *Mein* Graz, eine kleine Festung auf einem Hügel, von wo aus man das Dach der medizinischen Fakultät sehen kann... Und ich weiß, was das bedeutet.

Damals wusste ich noch nicht, dass Graz nach drei Jahren abermals eine Rolle in meinem Leben spielen

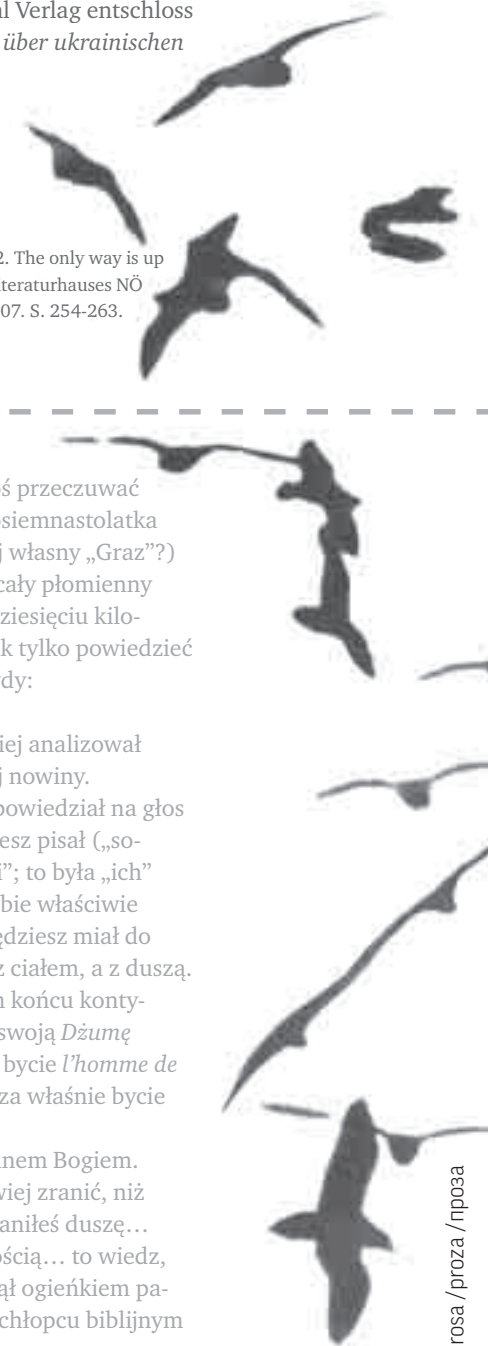
► Mój dziadek, Iwan Zabużko, w młodości chciał zostać lekarzem. Marzył o studiach medycznych w Grazu. Oprócz dobrej reputacji tamtejszego uniwersytetu, za takim wyborem przemawiały również bardziej pragmatyczne względy: ta część Ukrainy, z której pochodzi moja rodzina ze strony ojca – Wołyń – w okresie międzywojennym należała do Polski, a polskie uniwersytety wobec studentów nie-Polaków stosowały ograniczenia, a nawet pobierały opłaty, tak więc Ukraińcy zazwyczaj wyjeżdżali na studia za granicę. I najczęściej, rzecz jasna, do Austrii – zgodnie z tradycją, ustaloną jeszcze przed rokiem 1918. Ale historia mojego dziadka (którego nie zdażyłam już poznać) wykracza daleko poza granice międzywojennego pejzażu Europy Wschodniej i skomplikowanej dramaturgii ówczesnych stosunków polsko-ukraińskich. Jest to historia o losie i wyborze. Dziadek Iwan nigdy nie pojechał do Grazu. Jego ojciec, a mój pradziadek, stanowczy i władczy jak wszyscy mężczyźni w rodzinie, nieodwołalnie odmówił utrzymywania starszego syna na medycynie: dziadek miał odziedziczyć ojcowski folwark i został bez zbędnego gadania wysłany do Czechosłowacji – na studia rolnicze. Mimo wszystko był chyba nie najgorszym studentem, bo do roku 1939 folwark w jego rękach nie tylko się rozrósł, ale i rozwinął: dziadek gospodarzył z zapałem człowieka, który pracą – jak inni alkoholem czy narkotykami – zagłusza myśli, spał najwyżej pięć godzin na dobę, a dzieci przywykły, że u taty w gabinecie zawsze pali się światło. O Grazu nigdy nie wspominał. A gdy w roku 1939 przyszli bolszewicy – także majątek, dla którego złożył w ofierze swoje marzenie, przestał istnieć. Ziemia moich przodków przeszła na własność kolchozu. Wiem, jak bardzo dziadek tęsknił za swoim Grazem. Wiem, bo kiedy jego starszy syn, mój przyszły ojciec, wybierał się na studia – już po wojnie, do radzieckiego Lwowa – dziadek wysłał go tam, gdzie sam za młodu się nie dostał – na medycynę. Ojciec zaś, słowa w domu nie mówiąc, powrócił z egzaminów wstępnych jako student filologii. Późno w nocy, nie uprzedziwszy nikogo telegramem, pieszo przeszedł polami dziesięć kilometrów ze stacji do domu, jak w gorączce, cały czas w napięciu rozmyślając, jak powiedzieć ojcu o swoim nieposłuszeństwie. A gdy był już koło domu, struchlał: w głębi sadu błyskał w ciemności żar papierosa. Dziadek nie spał, dziadek czekał.
– I co? – spytał krótko. – Dostałeś się?
– Dostałem – westchnął świeżo upieczony miłośnik literatury pięknej.
– A... gdzie się dostałeś?

würde, denn gerade der dortige Droschl Verlag entschloss sich, meinen ersten Roman *Feldstudien über ukrainischen Sex* herauszubringen.

[Übersetzung: Alexander Kratochvil]

erschienen in:
Oksana Sabuschko. *Rückkehr nach Graz*. In: top 22. The only way is up Beiträge der Ateliergäste des Unabhängigen Literaturhauses NÖ (Teil 3). Hrsg. Kühn, W. Wien (Edition Aramo) 2007. S. 254-263.

(Jednak musiał się czegoś domyślać, coś przeczuwać – a może rozpoznawał w synu siebie - osiemnastolatka i widział, że nosi on w marzeniach swój własny „Graz“?) I mój ojciec, któremu wyleciał z głowy cały płomienny monolog, przygotowany na dystansie dziesięciu kilometrów, nie zdołał zrobić nic innego, jak tylko powiedzieć prawdę, całą prawdę, i nic oprócz prawdy:
– Na filologię.
Dziadek mruknął znacząco. Najwyraźniej analizował w myślach wszystkie możliwe skutki tej nowiny.
– Będziesz, znaczy, nauczycielem – wypowiedział na głos wniosek. – A może i dla ich prasy będziesz pisał („sowieci” to byli do końca dla dziadka „oni”; to była „ich” władza i „ich” prasa). A wiesz, co ty sobie właściwie wybrał, synu? Ty też przez całe życie będziesz miał do czynienia z człowiekiem. Tylko już nie z ciałem, a z duszą. (Gdzieś w tym samym czasie na drugim końcu kontynentu, w Paryżu, Camus kończył pisać swoją *Dżumę* – z tą samą, dziś już utraconą wiarą, że bycie *l'homme de lettres* w naszym chorym świecie oznacza właśnie bycie lekarzem, uzdrowicielem...)
– No cóż – podsumował dziadek. – Z Panem Bogiem. Tylko pamiętaj, że duszę człowieka łatwiej zranić, niż ciało. I jeśli kiedyś usłyszę, że komuś zraniłeś duszę... czy to kłamstwem, czy niesprawiedliwością... to wiedz, że wolałbym teraz cię widzieć – machnął ogieńkiem papierosa, a jego ślad w mroku wydał się chłopcu biblijnym słupelem ognia – tam o, na tej gałęzi...
(W istocie jest to parafraza pierwszego przykazania Hipokratesa: „nie szkodzić” – myślę, że z dziadka byłby naprawdę dobry lekarz, gdyby swego czasu odważył się przesiąść w czeskich Podiebradach na pociąg do Grazu...) Za dosłowność tej rozmowy można ręczyć: ojciec za każdym razem powtarzał mi ją bez żadnych zmian, tak, jak na całe życie wbiła mu się w pamięć. Mówił, że nigdy w życiu nie czuł takiego lęku, jak w tamtej chwili. Chociaż w życiu tym przypadły mu w udziale wszystkie możliwe koszmary, które spotkały ukraińską inteligencję jego pokolenia: przed samą obroną czekał go areszt, przesłuchania w Służbie Bezpieczeństwa, potem sześć lat zesłania na Syberii, a później, po szczęśliwym historycznym interludium chruszczowowskiej „odwilży” i burzliwych lat sześćdziesiątych – „drugi krąg”: przesłuchania w KGB, zwolnienie z katedry uniwersyteckiej, odebranie stopnia naukowego, zakaz druku – słowem, „zakaz wykonywania zawodu”. Tego samego zawodu, który wybrał sobie raz na zawsze – podobnie jak żonę – i któremu wiernie służył, dochowując dziadkowego przykazania.
– Niczego nie żałuję – powiedział mamie i mnie niedługo



przed śmiercią. I znów wspomniawszy słowa dziadka, wypowiedziane tamtej nocy – tylko tym razem dorzucił coś jeszcze. Kiedy wrócił z Syberii, dziadek był już śmiertelnie chory, i wiele wtedy rozmawiali – już nie jak „starszy z młodszym”, wedle hierarchii dynastii patriarchalnych, ale jak równy z równym: jak dwóch dorosłych mężczyzn. I to wtedy właśnie ojciec po raz pierwszy usłyszał od dziadka o Grazu – o tym życiu, którego dziadek pragnął, ale którego nie udało mu się przeżyć. ...Jakie to dziwne, myślałam, spacerując po Grazu jesienią 2002 roku – osiemdziesiąt lat później, od czasu, kiedy tymi samymi uliczkami miał spacerować mój dziadek (ale właśnie – czy zostałby wtedy moim dziadkiem? czy jego życie nie popłynęłoby czasem zupełnie innym nurtem, z inną żoną, innymi dziećmi, kto wie, może nawet z innym krajem?...) – jakie to dziwne, że to miasto, które w naszej rodzinie już od trzech pokoleń jest symbolem „życia-takiego-jakim-być-powinno-ale-nie-było”, istnieje naprawdę, że jest realne – przytulne i ciepłe, jak wspomnienie dzieciństwa, i pachnące tak, jak powinno pachnieć dzieciństwo – gorącymi kasztanami, mandarynkami i grzanym winem... I co już najdziwniejsze – zdarzyło mi się zatrzymać w tym mieście, z moim notebookiem, w twierdzy na wzgórzu, skąd wszystko widać jak na dłoni, właśnie wtedy, gdy zaczęłam pracę nad *Muzeum porzuconych sekretów* – powieścią-sagą o trzech pokoleniach jednej rodziny, których losy wiążą ze sobą przenikające cały wiek dwudziesty niczym „podziemne” nici – rozrzucone, niemożliwe do dostrzeżenia w granicach pojedynczego ludzkiego życia – skutki raz dokonanego wyboru.

Z mojego ówczesnego dziennika:

„Graz, 2.12.02

Może tak naprawdę, jako jednostki, bardziej podobni

Oksana Zabuzko (1960, Ukraina) – pisarka, poetka i eseistka. Uzyskała tytuł doktora filozofii na Uniwersytecie Kijowskim (1987). Wykładała filologię ukraińską na uniwersytetach w USA. Na stałe mieszka w Kijowie. Największą sławę przyniosła jej powieść *Badania terenowe nad ukraińskim seksem*, wydana w 1996 i przetłumaczona na 12 języków. W marcu 2006 roku jej *Badania terenowe nad ukraińskim seksem* miały w warszawskim teatrze Polonia (Krystyny Jandy) swoją sceniczną premierę. W monodramie autorstwa i reżyserii Małgorzaty Szumowskiej wystąpiła Katarzyna Figura. W Polsce ukazał się również zbiór opowiadań *Siostra, siostra* (2007). Pod koniec grudnia 2009 ukazała się najnowsza powieść Oksany Zabuzko pt. *Muzeum porzuconych sekretów*, nad zakończeniem której autorka pracowała w Willi Deciusza, w ramach stypendium Homines Urbani.

Oksana Zabuzko (1960, Ukraina) – poetesa, письменниця, есеїстка. Отримала звання кандидата філософських наук Київського університету імені Тараса Шевченка (1987). Викладала україністику в американських університетах. Живе у Києві. Стала відома завдяки романові *Польові дослідження з українського сексу*, який видали у Києві у 1996 році та переклали 12 мовами. У березні 2006-го року

jestemy nie do naszych rodziców, a do ich rodziców, i tradycja nadawania wnukowi imienia dziadka ma głębszy sens, niż mogłoby się na pozór wydawać. W pierwszej połowie życia przeciwstawiamy się naszym rodzicom, a kiedy się starzejemy, zajmujemy wobec nich pozycję rodzicielską (zaopiekować się i – w końcu – obmyć: jak powrót do macicy, tym razem powszechnej, z której przecież – wprost – przychodzimy). Tym samym nieświadomie wpadamy w te koleiny, które ród już „wyżłobił”, przetarł – stając się swoimi własnymi babkami i dziadkami... Tam trzeba szukać podobieństw, tam.

(Tata pewnie by chciał, żebyśmy była podobna – do jego ojca)“

...Nie, wśród postaci *Muzeum porzuconych sekretów* dziadek Iwan się nie pojawia – ani wprost, ani „w przebraniu”. Na portret jego pokolenia w tej powieści złożyli się inni „naturščyzycy” – po to siedziałam w archiwach, jeździłam po kraju, nagrałam dziesiątki wywiadów... Tak więc – nothing personal, można by pomyśleć.

Z wyjątkiem jednego szczegółu: gdy w powieści zostanie postawiona ostatnia kropka, to niżej, po datach 2002-2008, w spisie tych wszystkich domów dla pisarzy, w których powstawała, jako drugi pojawi się Graz. Mój Graz – mała twierdza na wzgórzu, z której widać dach wydziału medycyny... Ja będę wiedzieć, CO to znaczy.

Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że Graz po trzech latach pojawia się znowu w moim życiu, ponieważ właśnie tamtejsze wydawnictwo Droschl Verlag zdecydowało się wydać moją pierwszą powieść *Badania terenowe nad ukraińskim seksem*.

[Tłumaczenie: Katarzyna Kotyńska]

у варшавському театрі *Polonia* (Кристини Янди) відбулася прем'єра вистави *Польові дослідження з українського сексу*. У монодрамі, авторкою та режисером якої була Маґожата Шумовська, зіграла Катажина Фігура. У Польщі вийшла також збірка оповідань *Сестро, сестро* (2007). Наприкінці грудня 2009 року вийшов новий роман Оксани Забужко *Музей покинутих секретів*, який авторка завершувала на Віллі Деціуша у рамках програми Homines Urbani.

Oksana Sabuschko (1960, Ukraine) – Schriftstellerin, Dichterin und Essayistin. Promotion in Philosophie an der Kiewer Universität (1987). Sie lehrte ukrainische Philologie an verschiedenen Universitäten in den USA. Sie lebt in Kiew. Großes Ansehen brachte ihr der Roman *Feldstudien über ukrainischen Sex*, welcher 1996 erschien und in 12 Fremdsprachen übersetzt wurde. 2006 feierte dieses Stück im Warschauer Theater Polonia von Krystyna Janda seine Premiere. In dem Monodrama der Autorin und Regisseurin Małgorzata Szumowska trat Katarzyna Figura auf. In Polen erschien auch Sabuschkos Erzähl-sammlung *Schwester, Schwester* (2007). Ende Dezember 2009 erschien ihr neuester Roman *Museum der vergessenen Geheimnisse* und 2010 seine deutsche Übersetzung. Die Autorin hat ihn während des Stipendiums Homines Urbani in der Villa Decius beendet.

Targi Książki w Krakowie, organizowane przez firmę Targi w Krakowie Sp. z o.o., są największą krajową imprezą branży wydawniczo-księgarskiej. W ubiegłorocznej edycji udział wzięło blisko 500 wystawców i 400 autorów oraz 25 tysięcy zwiedzających. Powierzchnia Targów to około 6.000 m². Kraków tętni życiem literackim przez cały rok. Jednak Targi Książki, trwające przez cztery dni i powtarzające się niezmiennie od czternastu lat, są prawdziwym fenomenem. W tym czasie Kraków staje się miastem książek. Nie brakuje spotkań z autorami, wydarzeń kulturalnych, dyskusji o literaturze i o kondycji branży wydawniczej. Tegoroczne Targi odbywają się w dniach 4 - 7 listopada, jak zwykle w Hali Targowej, przy ul. Centralnej 41a. Czytelnicy odwiedzający krakowskie Targi mogą porozmawiać ze znanymi pisarzami, a także uzyskać od nich autograf. Oprócz miłośników literatury, gośćmi targów są ludzie kultury i dziennikarze. Organizatorzy zapraszają do przytulnych kawiarenek i specjalnego pawilonu wystawieni-czego, gdzie znajduje się między innymi Salon Nowych Mediów (ebooki, audiobooki, czytniki). Targi Książki zostały docenione także przez mieszkańców Małopolski. Przyznali oni wydarzeniu certyfikat Strefy Wolnego Czytania, stanowiący wyróżnienie w akcji organizowanej przez Fundację Sztuki Nowej ZNACZY SIĘ. Targi Książki znalazły się na liście 50 krakowskich miejsc przyjaznych książce.

Więcej informacji: www.ksiazka.krakow.pl

Profil na Facebooku: www.facebook.com/targi.ksiazki.w.krakowie



Die Buchmesse in Krakau, organisiert von der Firma Targi w Krakowie Sp. z o.o., ist die größte nationale Veranstaltung der Verlags- und Buchhandelsbranche in Polen. An der vorjährigen Auflage der Buchmesse nahmen 25.000 Besucher und fast 500 Aussteller teil, sowie etwa 400 Autoren. Die Ausstellungsfläche der Buchmesse beträgt ca. 6.000 m².

In Krakau pulsiert das literarische Leben das ganze Jahr über. Trotzdem dauert das Phänomen Buchmesse in Krakau vier Tage und wiederholt sich konstant seit vierzehn Jahren. Während dieser Zeit wird Krakau zu einer Stadt der Bücher, es mangelt nicht an Begegnungen mit Autoren, Kulturveranstaltungen sowie Diskussionen über Literatur und den Zustand der Verlagsbranche. Die diesjährige Buchmesse findet vom 4.-7. November 2010 wie gehabt in der Messehalle in der Centralna-Straße 41a statt.

Die versammelte Leserschaft hat während der Buchmesse die Gelegenheit, mit bekannten Schriftstellern ins Gespräch zu kommen und von ihnen Autogramme zu erhalten. Gäste der Buchmesse sind neben Literaturliebhabern zudem Kulturschaffende und Journalisten. Die Organisatoren laden in gemütliche, kleine Cafés und zusätzliche Ausstellungspavillons ein, in denen sich unter anderem ein Salon der Neuen Medien (E-Books, Hörbücher, Lesegeräte) befindet.

Die Buchmesse wird auch von den Einwohnern von Kleinpolen sehr geschätzt. Sie verliehen der Veranstaltung das Zertifikat Strefa Wolnego Czytania (Zone des freien Lesens), das zur Aktion der Stiftung Neue Kunst ZNACZY SIĘ (Bedeutung haben) gehört. Die Buchmesse befindet sich auf der Liste der 50 buchfreundlichen Orte Krakaus.

Mehr Informationen: www.ksiazka.krakow.pl

Profil bei Facebook: www.facebook.com/targi.ksiazki.w.krakowie



Книжковий ярмарок у Кракові, організований фірмою Targi w Krakowie Sp. z o.o. (ТзоВ Ярмарок у Кракові) – це найбільша з регіональних подій видавничо-книготоргівельного ринку. Минулорічний ярмарок відвідали 25000 гостей, близько 500 видавництв і майже 400 письменників. Ярмарок займає площу 6000 м².

Літературне життя пульсує у Кракові протягом цілого року. Але щороку, вже протягом чотирнадцяти років, повторюється чотириденний феномен краківського ярмарку. У цей період Краків перетворюється на місто книги, відбувається чимало зустрічей із авторами, культурних подій, дискусій про літературу і про стан видавничого ринку. Цьогорічний ярмарок у Кракові відбувається протягом 4-7 листопада 2010 року, як завжди, у Торговому павільйоні на вул. Центральній 41а.

Читачі, які відвідують події ярмарку, можуть зустрітися з відомими письменниками і отримати від них автограф. А крім шанувальників літератури гістьми ярмарку є культурні діячі та журналісти. Організатори запрошують до затишних кав'ярень і додаткового виставкового павільйону, де розташований зокрема салон новітніх технологій (е-книги, аудіокниги, зчитувальні пристрої). Краківський книжковий ярмарок високо оцінили і мешканці Малопольщі, тож ярмарок отримав сертифікат Strefa Wolnego Czytania (Зони вільного читання) у рамках акції, організованої фундацією Новітнього мистецтва ZNACZY SIĘ (Мати значення). Книжковий ярмарок опинився у списку 50 краківських місць, доброзичливих у ставленні до книги.

Більше інформації: www.ksiazka.krakow.pl

Профіль на Facebook: www.facebook.com/targi.ksiazki.w.krakowie



WYDAWCA / HERAUSGEBER / ВИДАВЕЦЬ



Wydano z finansowym wsparciem
Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung
Видано завдяки фінансовій підтримці



FUNDACJA WSPÓŁPRACY
POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG
FÜR DEUTSCH-POLNISCHE
ZUSAMMENARBEIT

In Zusammenarbeit mit
We współpracy z
У співпраці з

